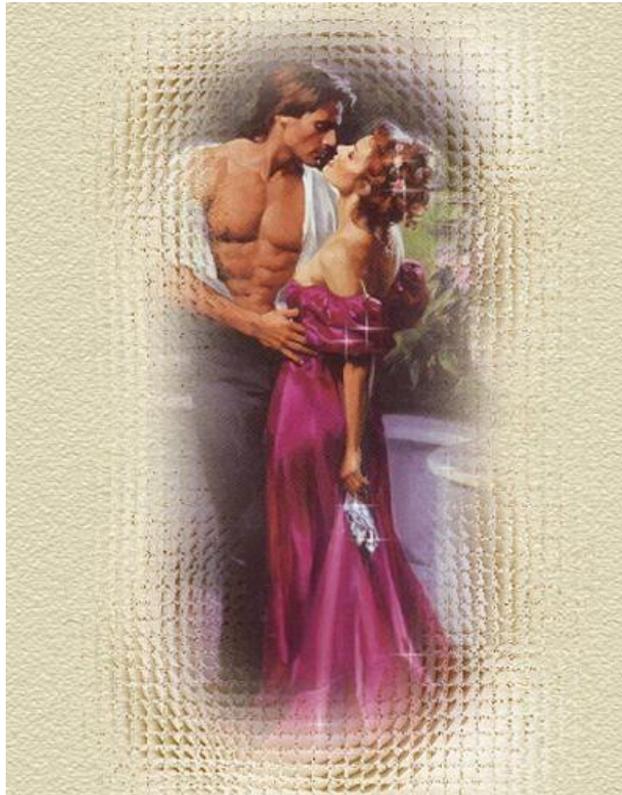




Anne Stuart



Bez tchu

Prolog

- To nie jest dobry pomysł - oznajmiła Jane Pagett, zaciskając pięści. - Pan St. John nie wydaje mi się godnym zaufania dżentelmenem.

Lady Miranda Rohan popatrzyła na najlepszą przyjaciółkę i uśmiechnęła się po-błażliwie. Młode damy siedziały w jej sypialni w miejskiej rezydencji Rohanów przy Clarges Street, gdzie Miranda szykowała się do potajemnej schadzki pod osłoną nocy.

- Och, ja również uważam, że nie jest godny zaufania - oświadczyła wesoło. - Właśnie dlatego tak się cieszę na pyszną zabawę. I nie praw mi kazań, moja droga. Przez trzy sezony byłam najbardziej potulnym dziewczęciem pod słońcem, pora zatem na coś choćby odrobinę niestosownego. Mam znaleźć męża, więc... eksperymentuję.

- Śmiem powątpiewać, by twoi rodzice pozwolili ci związać się z Christopherem St. Johnem - zauważyła Jane.

- Istotnie, mało prawdopodobne. Niemniej sędzę, że to nie w porządku. Pewnie odrzuciliby go ze względu na brak pieniędzy, choć mojego majątku wystarczy dla nas obojga. Doskonale by się nam żyło.

- Naprawdę chciałabyś wyjść za pana St. Johna? - Jane spojrzała na nią ze zdziwieniem.

- To równie dobry kandydat, jak każdy inny. - Miranda wzruszyła ramionami. - Nie zapominaj, że nie jestem wyjątkowo piękna i raczej nie powinnam wybrzydzać. Wiem, wiem, zapewne i tak znajdą się dżentelmeni, gotowi związać się ze mną, i kiedyś zdecyduję się na jednego z nich. Na razie jednak pragnę użyć życia i nieco poplirtować.

- Mirando, przecież jesteś śliczna! - zaprotestowała Jane.

- Cóż, nie nazwałabym siebie paskudą, ale po prostu nie grzeszę urodą. Takich jak ja jest na pęczki. Nie wyróżniam się ani wzrostem, ani tuszą, mam nudne, brązowe oczy i włosy, a do tego przeciętną twarz. Nikt nie uciekłby z krzykiem na mój widok, ale też w nikim nie wzbudzam dzikiej namiętności, choć Christopher St. John wydaje się mną zainteresowany. Osobiście podejrzewam jednak, że największy entuzjazm wzbudzają w nim moje pieniądze - dodała przytomnie.

- Dlaczego zatem narażasz na szwank reputację, jadąc z nim samotnie do Vauxhall? - krzyknęła Jane. - Z radością będę ci towarzyszyć. Weź chociaż pokojówkę...

- Wykluczone - ucieła Miranda, wiążąc pod szyją pelerynę. Jej suknia była stanowczo zbyt skromna jak na szaloną noc w ogrodach rozkoszy, ale Miranda doszła do wniosku, że peleryna powinna to ukryć. - Chcę tańczyć do upadłego, pić wino, grać w karty o wysokie stawki i śmiać się zbyt głośno. Pragnę całować i być całowana przez przystojnego mężczyznę. Musisz przyznać, że Christopherowi nie zbywa na urodzie.

- Ma cofniętą brodę - burknęła Jane.

- Mnie to nie przeszkadza. Żałuję tylko, że jadę akurat teraz i nie mogę z tobą zostać. Inna sprawa, że bez ciebie moja ucieczka byłaby skazana na niepowodzenie. Odkąd rodzice wyjechali do Szkocji, bratowa bardzo poważnie traktuje swoje obowiązki i nieustannie wypytuje mnie, co robię. Naturalnie nie chcę, abyś kłamała, jeśli ktoś zauważy moją nieobecność.

- Och, z całą pewnością nie zamierzam kłamać, aby cię chronić - zapowiedziała Jane. - W razie konieczności wyjawię ze szczegółami, dokąd i z kim pojechałaś.

- To bez znaczenia. Będzie już za późno, aby mnie znaleźć, a moi bliscy wiedzą, że nie jestem w ciemni bita. Wrócę do domu około północy i moja eskapada pozostanie tajemnicą. Pragnę tylko zakosztować wolności, nim zgodzę się wyjść za jednego z tych młodych nudziarzy, których bezustannie sprowadzają do domu moi bracia. Zadowolę się kilkoma całusami, skradzionymi podczas pokazu bengalskich ognii. Zresztą, co mi grozi, jeśli ta wyprawa wyjdzie na jaw? Przecież nikt mnie nie zbije, prawda?

- Dobrze wiesz, że potrafisz zauroczyć całą rodzinę i największe psikusy uchodzą ci na sucho. Udało ci się omamić nawet mnie - westchnęła Jane.

Miranda zarzuciła kaptur na głowę i sięgnęła po maskę.

- To dlatego, że jestem ujmująca - oznajmiła z rozbawieniem. - Nie martw się o mnie, kochana. Ani się obejrzysz, a będę z powrotem.

Jane posłała jej zatroskane spojrzenie.

- Byłoby lepiej, gdybyś została w domu, zamiast zdawać się na łaskę i niełaskę pana St. Johna.

- Już o tym mówiłyśmy. Obiecuję ci, że wyjdę za kogoś wyjątkowo statecznego. Po prostu mam chęć dopuścić się paru szaleństw z pięknym mężczyzną, nim ustatkuję się raz na zawsze. - Pochyliła się i ucałowała Jane w policzek. - Uszy do góry, nic mi nie grozi.

Po chwili już jej nie było.

TLR

Rozdział pierwszy

Lady Miranda Rohan niejednokrotnie wracała myślami do tamtej nocy i nadal nie mogła uwierzyć, że postąpiła tak idiotycznie. Okazała się wyjątkowo łatwowierną i niemądrą istotą, którą zgubiła zbytnia pewność siebie. Czy naprawdę ani przez moment nie obawiała się niebezpieczeństwa? Christopher St. John był uroczym, uwodzicielskim hulaką, więc wierzyła, że kilka godzin sam na sam z kimś takim nie stanowi dla niej zagrożenia. Co prawda nie miał pieniędzy, ale to akurat jej nie obchodziło, gdyż wiedziała, że odziedziczony przez nią majątek w zupełności wystarczy dla nich obojga. Choć od trzech lat była do wzięcia, na horyzoncie nie pojawił się ani jeden kandydat na męża, którego mogłaby potraktować poważnie. Dopiero Christopher zmienił jej życie. Miał idealne rysy, był wysoki, przystojny i wysportowany, a do tego ujmująco się uśmiechał.

Z rozbawieniem zbyła jego propozycję ucieczki i ślubu i zbyt późno zdała sobie sprawę z tego, że kryty powóz, którym miał ją odwieźć do domu, wcale nie zmierza tam, dokąd powinien. Christopher drzemał naprzeciwko niej, gdy Miranda poczuła, że droga staje się coraz bardziej wyboista. Ostrożnie uniosła zasłonkę, lecz zamiast znajomych świateł Londynu ujrzała mroczne przedmieścia.

Miranda nie wpadła w histerię. Zachowała spokój i nie kryjąc wściekłości, zażądała, by natychmiast odwiózł ją do domu. Christopher jednak pozostał głuchy na jej protesty. Powtarzał, że ją kocha, uwielbia i że nie wyobraża sobie życia bez niej.

I bez jej okazałego majątku, rzecz jasna.

- Nie wyjdę za ciebie - oznajmiła stanowczo. - Nawet jeśli zawleczesz mnie do Gretna Green i postawisz przed pastorem, i tak powiem „nie”.

- Po pierwsze, droga Mirando, w Szkocji wcale nie trzeba pastora, aby wstąpić w związek małżeński - wyjaśnił łagodnym tonem, który teraz wydał się jej irytujący, choć do niedawna ją urzekał. - Byle kto może tam udzielić ślubu. Po wtóre, powiesz „tak”, kiedy sobie uświadomisz, że nie masz innego wyjścia.

- Zawsze jest inne wyjście.

- Chyba że czyjaś reputacja legnie w gruzach - zauważył. - Przestań marudzić. Jesteś rozpieszczona i samowolna, a teraz za to zapłacisz. Nie masz powodów do narzekań, nie będę wymagającym mężem.

- W ogóle nie będziesz moim mężem - burknęła ponuro.

- Mylisz się, niestety.

Liczyła na to, że zabierze ją do jakiejś gospody, w której będzie mogła poprosić właściciela o pomoc. Niestety, dotarli do małego domu na kompletnym odludziu, a drzwi otworzył im posępny kamerdyner, który nawet nie spojrzał na Mirandę.

Sama jestem sobie winna, westchnęła w duchu. St. John miał słuszość co do jednego: była lekkomyślna i teraz musiała wypić piwo, którego nawarzyła.

St. John, jako człowiek dbający o szczegóły, postanowił przypieczętować jej kompromitację i w nocy pozbawił ją dziewictwa. W ten sposób chciał zagwarantować sobie dostatnie życie. Właściwie to nawet nie był gwałt. Kiedy stało się jasne, że jej los jest przesądzony, Miranda nie wrzeszczała ani nie stawiała oporu. Już po wszystkim położyła się na boku i podkuliła nogi, trzymając się za brzuch. Doszła do wniosku, że akt miłosny jest przeceniany. Dotąd Miranda nigdy nie widziała nagiego mężczyzny, jednak St. John nie zrobił na niej wrażenia. Jego męskość, z której był niezwykle dumny, zupełnie nie przypadła jej do gustu. Po bliższych oględzinach Miranda postanowiła, że w przyszłości nie będzie usiłowała zaznajomić się bliżej z innymi tego typu okazami.

Bolało, rzecz jasna. Uprzedzano ją wcześniej, że tak to bywa za pierwszym razem, ale St. John najwyraźniej wziął jej zobojętnienie za dobrą monetę, gdyż powtarzał swoje wyczyny jeszcze przez dwie kolejne noce. Za każdym razem Miranda cierpiała i krwawiła, a kiedy zasugerował, żeby przygotowała się na jego wizytę także czwartego wieczoru, chwyciła dzban na wodę i z całej siły trzasnęła go w głowę. St. John osunął się bez czucia na podłogę i znieruchomiał.

Mogła tylko żałować, że nie zrobiła tego wcześniej. Gdyby miała dość rozumu, aby już przy pierwszej nadarzającej się okazji uciec się do brutalnej przemocy, zapewne zachowałaby niewinność.

Przestąpiła ponad bezwładnym ciałem, niemal nie przejmując się, że być może właśnie zabiła człowieka, zeszła po schodach i skierowała się do stajni. Wynajęty powóz

został już zwrócony, ale w boksie zobaczyła zgrabnego kasztana, który należał do Christophera. W kilka minut osiodłała rumaka, dziękując Bogu, że jej ojciec uparł się zaznajomić dzieci z końmi i ich oporządzaniem. Jazda okrakiem okazała się wyjątkowo nieprzyjemna, zwłaszcza po ubolewaniu godnych amatorach pana St. Johna, lecz godzinę drogi od jego domu Miranda napotkała zbrojny oddział, który wyruszył na jej poszukiwania. W skład drużyny wchodziło trzech braci Mirandy oraz bratowa Annis.

- Nie zabijajcie go - poprosiła Miranda spokojnie, kiedy znalazła się w powozie.

- Niby dlaczego nie? - burknął jej najstarszy brat Benedick. - Ojciec życzyłby sobie tego. Chyba nie zakochałaś się w tym oprychu?

Grymas Mirandy wystarczył za odpowiedź na to niedorzeczne pytanie.

- Chcę jak najszybciej zapomnieć o tej historii - westchnęła.

- Miranda ma słuszość - wtrąciła Annis, tym samym zaskarbiając sobie dozą wdzięczność szwagierki. - Jeśli zrobimy z tego aferę, wybuchnie tym gorszy skandal, a wszystkim nam zależy na szybkim zatuszowaniu sprawy, zgadza się? Proponuję wybatożyć łajdaka i na tym poprzestać.

- Ale na pewno cię nie tknął? - dopytywał się Benedick. - Nie przymuszał cię do niczego?

Miranda nie chciała kłamać, tyle tylko, że jej brat wyprułby flaki z St. Johna, gdyby poznał prawdę, a morderstwo nie uchodziło płazem nawet arystokracji.

- Ależ skąd - zaprzeczyła natychmiast. - Chce mnie poślubić i boi się, że mogłabym go znienawidzić.

Benedick uwierzył w jej zapewnienia, więc wraz z Annis wyruszyła w drogę powrotną do Londynu. Tymczasem bracia Mirandy podążyli szukać zemsty.

- Nie jestem przekonana, czy uda się nam utrzymać tę sprawę w tajemnicy - oświadczyła Annis rzeczowo. - Sama wiesz, jak to jest z plotkami. Moim zdaniem pan St. John mógł rozmyślnie rozpuścić pewne pogłoski i dopiero potem zbiec z tobą. - W jej ciemnoniebieskich oczach Miranda dostrzegła współczucie. - Obawiam się, że zrujnował ci życie.

Miranda próbowała nie zwracać uwagi na mdłości, które ją ogarnęły.

- Mogło być gorzej - westchnęła.

Niestety, wyglądało na to, że gorzej być nie mogło. Na wieść o skandalu rodzice Mirandy pośpiesznie wrócili do kraju. Matka z miejsca przytuliła ją i nie robiła jej żadnych wyrzutów, ojciec z kolei ze wstrząsającymi szczegółami wyłuszczył misterny plan rozcłódkowania pana St. Johna i rzucenia jego szczątków zwierzętom na pożarcie.

Miranda odczekała stosowny czas i kiedy już upewniła się, że nie zaszła w ciążę, odetchnęła z ulgą. Rodzina mogła zachować błogą nieświadomość w sprawie utraconej niewinności. W ostatecznym rozrachunku miało to jednak znikome znaczenie. Nie była już mile widziana na salonach. Matki i córki wołały przechodzić na drugą stronę ulicy, byle tylko uniknąć rozmowy z Mirandą, a przymuszone do pogawędki, ucinają ją w pół słowa. Stała się pariasem, wyrzutkiem, dokładnie tak, jak to zapowiedział Christopher St. John.

Trudno uwierzyć, ale miał on czelność pojawić się w jej domu, aby zaproponować honorowe rozwiązanie. Przysięgał, że namiętność do Mirandy zamieszła mu w głowie, jest jednak gotów ożenić się z nią i w ten sposób zamknąć usta podłym plotkarzom. Kochali się przecież, a on ponad wszystko pragnął szczęścia najdroższej. Podkreślał, że małżeństwo jest jedynym sposobem położenia kresu skandalowi. Gdyby chciała, mogliby nawet zamieszkać z dala od siebie. Dodał, że zagwarantowałby jej hojną pensję z pieniędzy, które naturalnie znalazłyby się pod jego kontrolą.

Nie kto inny, tylko ojciec Mirandy, Adrian Rohan, markiz Haverstoke we własnej osobie, zrzucił natręta ze schodów przestronnego domu przy Clarges Street.

Miranda wyjechała na wieś, by spędzić tam kilka miesięcy, dzięki czemu wyższe sfery znalazły sobie inny, bardziej bulwersujący skandal. Ani przez chwilę nie wierzyła jednak, że jej grzechy zostaną pущzone w niepamięć. Reputacja legła w gruzach, niemniej po powrocie do Londynu Miranda przekonała się, że można sobie z tym poradzić. Ku swej nieopisanej radości odkryła, że o wiele ciekawiej żyje się damie skazanej na ostracyzm niż pannie na wydaniu. Nie musiała uśmiechać się głupawo ani flirtować z płytkimi młodzieńcami, ani też znajdować się pod nieustanną opieką przyzwoitki. Kupiła własny dom, do woli jeździła po parkach, ignorując krzywe spojrzenia i natrętnych jegomościów, chadzała do teatru i do biblioteki. Lubiła również

spędzać czas w towarzystwie kuzynki Louisy, lecz nie pozostawała obojętna na fakt, że starszawa dama jest prawie głucha, dramatycznie korpulentna i skrajnie leniwa.

Po raz pierwszy w życiu Miranda czuła się naprawdę wolna i ogromnie jej to odpowiadało. Mogła liczyć na lojalną rodzinę, miała bliską przyjaciółkę Jane, spotykała się z resztą rodziny Pagettów. Prawdę powiedziawszy, straciła bardzo niewiele, a zyskała wszystko. Pożałowania godny incydent z panem St. Johnem przysporzył jej najbliższym wielu żmartwień, ona sama jednak niespecjalnie żałowała tego, co ją dotknęło. Nim nastała wiosna, Miranda przyzwyczaiła się do zaistniałej sytuacji i za nic w świecie nie chciała jej zmienić.

Christopher St. John nie mógł powiedzieć tego samego o sobie.

Perspektywa wizyty w domu przy Cadogan Place niezmiennie przyprawiała go o ból brzucha. Nie chodziło o to, że budowla była ogromna, posępna i mroczna, a dodatkowo znajdowała się na obrzeżach lepszych dzielnic, w zasięgu działania kryminalistów, których to na pobliskich uliczkach i w podejrzanych zaułkach nie brakowało. St. John najbardziej obawiał się spotkania z właścicielem posesji, gdyż oczekiwał on od niego wyjaśnień w związku z niepowodzeniem opłaconej misji. Zleceniodawca St. Johna znany był jako Skorpion, pod którym to pseudonimem ukrywał się Lucien de Malheur, hrabia Rochdale.

Teraz Skorpion czekał na swojego gościa. Christopher pomyślał, że jak zwykle zawiesi na nim lodowate spojrzenie bezbarwnych oczu i z pogardą wykrzywi wargi. Wypiełgnowaną dłoń będzie mocno zaciskał na gałce laski, jakby chciał nią zatłuc gościa na śmierć.

St. John wzdrygnął się i przełknął ślinę. Po jego twarzy spływały kropelki lodowatej mżawki. Luty w mieście zawsze był przygnębiająco ponury. Gdyby to zależało od niego, najchętniej pozostałby na wsi, w towarzystwie lady Mirandy Rohan, która by rozgrzewała mu łożę. Wielka szkoda, że ta podła dziewczyna przyłożyła mu z całej siły i dała drapakę.

Ona i jej rodzina to wyjątkowo niesympatyczne towarzystwo, pomyślał, z roztargnieniem masując obolałe ramię. Miał pęknięte żebro, złamany nadgarstek, kilka

naderwanych ściegów, a także niezliczone zadrapania i siniaki na całym ciele. Nie było co liczyć na to, że w przyszłości, choćby i bliżej nieokreślonej, Rohanowie zmądrzeją i uda się dojść z nimi do porozumienia.

Uniósł rękę, aby zapukać do masywnych drzwi, jednak otworzyły się one, nim zdołał dotknąć kołatki. Na progu stał Leopold, kamerdyner hrabiego Rochdale, i w ponurym milczeniu patrzył z nieskrywaną dezaprobatą na niemile widzianego gościa.

Leopold pasował jak ulał do osobliwego gospodarstwa hrabiego Rochdale, gdyż na oko liczył sobie ze dwa metry, a do tego był chudy jak patyk i nosił się na czarno. Ktoś kiedyś przyrównał go do opryskliwej żyrafy w żałobie i St. John musiał przyznać, że to nader trafne skojarzenie. Kamerdyner mówił z zastanawiającym akcentem, którego nikt nie potrafił zidentyfikować. Rochdale przywiózł nietypowego sługę z jednej ze swych niezliczonych podróży.

- Jaśnie pan czeka - oznajmił Leopold grobowym głosem, a następnie przyjął od St. Johna mokre palto i kapelusz, które to przekazał czekającemu obok lokajowi, także w czerni.

St. John skrzywił się lekko, spoglądając na swój ciepły, elegancki płaszcz z porządnej wełny. Co prawda nie kupował wierzchniej odzieży u Westona, ale znalazł miejsce, gdzie szyto całkiem niezłe kopie tak fachowo, że drobne różnice dało się zauważyć dopiero po bliskich i uważnych oględzinach. Pozory były kluczową sprawą w jego życiu. Już dawno temu przekonał się, że trzeba wyglądać i zachowywać się zgodnie z wymogami wyższych sfer, gdyż z reguły wystarczało to, aby obracać się wśród arystokracji.

Leopold poprowadził go długimi, ciemnymi korytarzami do przygnębiającej biblioteki, w której St. John zwykle spotykał się z hrabią. Pomieszczenie było puste, naturalnie. Rochdale zawsze lubił wkraczać w imponującym stylu.

W kominku płonął ogień, zbyt mizerny, żeby rozgrzać przestronny pokój pełen książek. St. John nie miał zielonego pojęcia, po co komu tak nieprzebrane zasoby literatury. Księgozbiór ten musiał być nabytkiem hrabiego Luciena, gdyż jego poprzednik przepił niemal cały majątek w swym krótkim, choć niebywale barwnym życiu.

St. John usłyszał znajomy stukot kroków oraz laski hrabiego Rochdale, którą ten mocno uderzał o podłogę. Po chwili drzwi skrzypnęły i bibliotekę zalało światło.

- Pozostawiono cię w mroku, drogi Christopherze - odezwał się Rochdale od progu. - Cóż za zaniedbanie ze strony moich sług. A może są przewidujący? Jak rozumiem, nie przybyłeś tutaj po to, by świętować sukces naszego przedsięwzięcia?

Christopher St. John nerwowo przełknął ślinę.

- Robiłem, co się dało - odparł. - Wszystko przez tych przeklętych Rohanów. Każda inna rodzina błagałaby mnie na klęczkach, bym zechciał łaskawie ożenić się z tą dziewczyną, a ona byłaby zauroczona i wdzięczna.

Rochdale przysunął fotel do ognia i usiadł, ukrywając pobrużdżoną twarz w cieniu.

- Ostrzegałem cię, że Rohanowie różnią się od większości ludzi - westchnął. - Czy mam rozumieć, że siniaki i strupy na twojej twarzy to skutek interwencji braci dziewczyny?

- Jak również jej ojca. Można powiedzieć, że porachowali mi kości, a do tego część połamali.

- Nie musisz mi demonstrować, jak bardzo jesteś poszkodowany. Nie wątpię, że Rohanowie dopuścili się czynów, o których wspomniałeś. Możesz mówić o szczęściu, skoro nie nadziali cię na rożen, niczym gęś do pieczenia.

- Kiedy się dowiedzieli, że ją posiadam, było już za późno - skłamał St. John. - Ledwie zdążyliśmy wrócić do Londynu, byłem zmuszony odrzucić rękawicę młodszego z braci. Rzecz jasna, uporałbym się z nim bez trudu, bo to ledwie młodzian, ale uznałem, że z jego powodu nie warto umykać z kraju. Wasza lordowska mość wie, jakie sankcje grożą za pojedynki.

- Wiem - przytaknął hrabia. - Dziwi mnie, że nie wyzwiał cię żaden ze starszych Rohanów. Szczególnie skory do bitki wydaje się najstarszy z nich... Nosi imię Benedick, o ile mi wiadomo. Gdybyś położył go trupem, zapewne spojrziałbym na twoje niepowodzenie łaskawszym okiem.

- Obaj bawili podówczas w Szkocji, wraz z dziewczyną - wyjaśnił Christopher.

Rozmowa przebiegała znacznie lepiej, niż zakładał, biorąc pod uwagę klęskę jego planów związanych z Mirandą Rohan.

- Miałeś uwieść siostrę Rohanów, poślubić ją i zabić jej starszego brata, kiedy wyzwie cię na pojedynek. Innymi słowy, zawiodłeś mnie na wszystkich frontach, zgadza się?

- Udało mi się ją uwieść, naprawdę - zauważył niepewnie St. John. - Tyle tylko, że nie zgodziła się wyjść za mnie.

- A zatem spartaczyłeś zadanie. Zadałeś jej gwałt?

- Nie musiałem. Przestała stawiać opór, gdy tylko stało się jasne, że nie uniknie swego losu.

Rochdale tylko pokręcił głową.

- Wybrałem cię ze względu na twoje atrakcyjne oblicze, reputację świętego kochanka i biegłość w fechtunku - westchnął. - Niestety, rozczarowałeś mnie dotkliwie, Christopherze. Możesz odejść.

W pierwszej chwili St. John odetchnął z ulgą, lecz zaraz potem ogarnęła go trwoga. Czyżby Rochdale zamierzał... Nie, niemożliwe.

- Co z pieniędzmi? - spytał, z trudem opanowując drżenie głosu. - Wasza lordowska mość obiecał mi pięćset funtów za porwanie dziewczyny, a później miałem otrzymać jej posag. Nie dostałem ani pensa, więc śmiem twierdzić, że suma tysiąca funtów byłaby stosowną rekompensatą.

Gdy Rochdale zaśmiał się cicho, po plecach St. Johna przebiegły ciarki.

- Zapominasz, z kim mówisz - odparł. - Twoją nagrodą za spartaczoną robotę niech będzie świadomość, że nie każę wybebeszyć cię w ciemnym zaułku. Doskonale wiesz, że mógłbym to zrobić. Mam do dyspozycji wielu londyńskich kryminalistów, którzy tylko czekają na moje polecenia.

Na czole Christophera pojawiły się krople potu.

- Wasza lordowska mość, przynajmniej pięć setek - jęknął błagalnym tonem. - Muszę zapłacić za dom na wsi, za powóz i za mnóstwo innych rzeczy.

- Więc trzeba było lepiej się postarać - podkreślił hrabia głosem miękkiem jak jedwab. - Leopoldzie, odprowadź go do drzwi.

Kamerdyner, który już wcześniej bezszelestnie wszedł do pomieszczenia, stanął nieruchomo za plecami St. Johna. Wystarczył jeden rzut oka na sługę, by Christopher

zrozumiał, że został pokonany. Otworzył usta, chcąc zagrozić hrabiemu albo go oskarżyć, lecz zamknął je z powrotem na widok groźnego spojrzenia.

- Na twoim miejscu powściągnąłbym gniew - wycedził Rochdale. - Zamordowanie cię tutaj wiązałoby się z pewnymi niedogodnościami.

Christopher wzdrygnął się i posłusznie podążył za Leopoldem przez mroczny dom. Po chwili znalazł się już na zimnej, skąpanej w deszczu londyńskiej ulicy.

Jeśli chcesz, żeby coś zostało zrobione jak należy, zrób to sam. Wszyscy o tym wiedzieli, a Lucien de Malheur, hrabia Rochdale, utwierdził się w przekonaniu, że niepotrzebnie zaangażował w tę sprawę jakiegoś idiotę.

Miał jasno określone oczekiwania. Rohanowie odpowiadali za śmierć jego jedynej siostry, chciał zatem odpłacić im pięknym za nadobne i przy okazji zabić Benedicka Rohana, który bezpośrednio przyczynił się do dramatu Genevieve. Gdyby Benedick przeżył, Lucien i tak byłby usatysfakcjonowany, gdyż wróg musiałby żyć ze świadomością, że jego ukochana młodsza siostra wegetuje nieszczęśliwie u boku znanego łowcy posagów i kobieciarza.

St. John okazał się jednak nieudacznikiem. Sfuszerował sprawę i było mało prawdopodobne, by w obecnej sytuacji inny młodzieniec miał szansę uderzyć w konkury do Mirandy.

Wyglądało więc na to, że musiał wziąć sprawy we własne ręce. Nie zamierzał się śpieszyć, gdyż chciał starannie zaplanować zemstę i nie narzekał na brak czasu. Postanowił zaczekać, aż Rohanowie stracą czujność.

Jego ofiara nie mogła wiedzieć, że jest tylko pionkiem w grze.

Rozdział drugi

Dwa lata później

Lady Miranda Rohan stała w oknie przytulnego domu przy Half Moon Street, wyglądając na zalewane deszczem ulice. Nie mogła znaleźć sobie miejsca i ogromnie ją to irytowało, gdyż zawsze szczyliła się swoim opanowaniem. W zaawansowanym wieku dwudziestu trzech lat uważała się za nadal całkiem młodą, przedsiębiorczą kobietę. Udało się jej stawić czoło nawet ostracyzmowi towarzyskiemu i wyszła z tego starcia bez szwanku. Czowała się niezależna i szczęśliwa, a w dodatku mogła liczyć na wsparcie i życzliwość swojej licznej rodziny oraz najbliższych przyjaciół. Bojkot ze strony bywalców salonów okazał się dla niej nad wyraz korzystny. Nie musiała uczestniczyć w nudnych przyjęciach ani tańczyć z obleśnymi jegomościami, którzy pragnęli tylko napatrzeć się na nią i oszacować jej majątek.

Minęło już sporo czasu, odkąd wykluczono ją ze śmietanki towarzyskiej, więc mało kto interesował się jej występkiem. Co rusz wybuchały nowe, bardziej zajmujące skandale, a Miranda trzymała się z dala od krytykantów, którzy nieustannie powtarzali, że tylko zbiera plony tego, co zasiała przed dwoma laty. Zwykle nie przejmowała się konsekwencjami dawnych poczynań, była zbyt skupiona na obecnym życiu. Czytała wszystko, co wpadło jej w ręce, począwszy od rozpraw na temat hodowli zwierząt, a na peanach i wierszach antycznych poetów skończywszy. Fascynowała ją przyroda, i choć los nie obdarzył jej muzycznym talentem, ochoczo grała na fortepianie, śpiewając przy tym ile sił w płucach. Doskonale i z zapalem jeździła konno, a także powoziła. Uwielbiała psy i koty, troszczyła się o dzieci, a zdaniem swojej drogiej przyjaciółki i kuzynki Louisy, wyjątkowo chętnie zniżała się do ich poziomu. Ponadto śledziła wydarzenia polityczne i osiągnięcia naukowe, interesowały ją przedmioty ścisłe oraz sztuka.

Aż trudno uwierzyć, że w tej chwili była gotowa wyć z nudów. Przecież obiecała sobie, że nigdy nie będzie się nudzić!

- Ta zima trwa bez końca - zauważyła posepnie, wpatrując się w szare popołudnie.

Half Moon Street znajdowała się zaledwie dwie przecznice od posesji Rohanów, co tylko potęgowało kiepski nastrój Mirandy. Rodzinny dom świecił teraz pustkami, gdyż reszta jej bliskich wyjechała do Yorkshire, gdzie miał przyjść na świat nowy bratanek lub bratanica Mirandy.

- Potrwa tyle, ile zawsze - zapewniła ją łagodnie kuzynka Louisa, istota najbardziej powściągliwa pod słońcem i tym samym doskonały kompan dla takiego wyrzutka, jak Miranda.

Louisa była tak obfita, że chadzała wyłącznie na najmniej wyczerpujące przyjęcia, a jej spokojne, kojące usposobienie doskonale łagodziło rzadkie wybuchy Mirandy.

- Powinnam była pojechać do Yorkshire razem z rodziną - westchnęła Miranda ze smutkiem.

- Dlaczego więc zostałaś? Cóż, daleka podróż mogłaby sprowokować przyływ dramatycznych waporów u takiej kaleki, jak ja. Gdybyś jednak wybrała się z bliskimi, spokojnie odpoczęłabym w domu, a ty nie miotałabyś się z kąta w kąt niczym jeden z lwów na pokazie podczas jarmarku świętego Bartłomieja.

Miranda ugryzła się w język, nie chcąc mówić Louisie, że jej towarzystwo, choć przyjemne, bynajmniej nie jest koniecznością. Jakkolwiek patrzeć, Miranda miała splamioną reputację i nic nie mogło tego odmienić, nawet bliskość kuzynki w średnim wieku, cieszącej się nienagannym rodowodem i powszechną aprobatą.

Inna rzecz, że Mirandzie wcale nie zależało na zmianie. Po prostu nie mogła znaleźć sobie miejsca, co ją denerwowało. Nie sądziła, że będzie potrzebowała czyjś towarzystwa, a fakt, że nie musi już wabić potencjalnego męża, sprawiał jej dziwną przyjemność. Z czasem przekonała się jednak, czym jest prawdziwa izolacja, gdyż jej świat zawęził się do grona bliskiej, hałaśliwej rodziny, reszty Rohanów, przyjaciółki Jane i jej rodziców oraz opieszalej i spokojnej Louisy.

W tej chwili Rohanowie przebywali poza miastem. Żona jej brata Charlesa lada moment miała urodzić drugie dziecko, młoda żona Benedicka również była przy nadziei, a rodzice Mirandy puchli z dumy. Błagali, aby z nimi pojechała, lecz odmówiła, wymyślając wiarygodne wymówki, choć prawda była znacznie mniej skomplikowana. Kiedy lady Miranda Rohan pozostawała przy rodzinie, zaproszenia na przyjęcia i

spotkania towarzyskie były zaskakująco nieliczne. Towarzystwo już pogodziło się z faktem, że nieobliczalni Rohanowie palą się do łamania konwenansów, lecz młodym damom okazywano znacznie większą surowość. Mirandę zgodnie uznawano za wyrzutka, a Rohanowie, dumni i lojalni aż do przesady, nie zamierzali odciąć się od córki, bez względu na naciski salonów. W związku z tym Miranda mogła tylko powstrzymać się od towarzyszenia bliskim i tym samym pozwolić im cieszyć się życiem, bez wyrzutów sumienia.

Niestety, kuzynka Louisa nie mogła zastąpić żywiołowych Rohanów, zwłaszcza że miała zwyczaj zasypiać w najmniej spodziewanych momentach. Ta skłonność zwykle nie przysparzała nikomu problemów, lecz w marcu brakowało w mieście nawet tych nielicznych przedstawicieli wyższych sfer, którzy nie odcinali się od Mirandy, między innymi jej ukochanej przyjaciółki Jane.

- Moja droga, musisz wreszcie zapanować nad sobą. Wiercisz się i kręcisz w sposób doprawdy nieznośny - zauważyła Louisa i ziewnęła niedyskretnie. - Może przejdziesz się do biblioteki i sprawdzisz, czy nie mają tam nowych francuskich powieści? Wypożyczyłabyś sobie coś pikantnego, na poprawę humoru.

- Byłam tam już wczoraj. Wierz mi, przeczytałam wszystko, co godne uwagi, czy to pikantne, czy nie - wyjaśniła niepocieszona Miranda i tupnęła nogą. - Co się ze mną dzieje? Zachowuję się jak nieznośny bachor, który zgubił ulubioną zabawkę. Wybacz mi, Louiso.

Louisa ponownie ziewnęła za wachlarzem.

- A co byś powiedziała na spacer?

- Deszcz pada - oświadczyła Miranda grobowym głosem.

- Doprawdy? - wymamrotała sennie jej towarzyszka, nawet nie spojrzawszy w stronę okna. - Nie zauważyłam. Zatem wybierz się do teatru.

- Widziałam już wszystkie spektakle - prychnęła Miranda ze złością. - Zaraz pięknie! Och, sama nie wiem, co we mnie wstąpiło. Zwykle nie jestem tak podenerwowana.

- Zazwyczaj zachowujesz się tak dobrodusznie i poczciwie, że aż opadam z sił. Prawdę powiedziawszy, moje dziecko, męczysz mnie nawet teraz. Zaproponowałabym ci

ćwiczenia na fortepianie, ale zawsze grasz z przesadnym entuzjazmem, a ja muszę się zdrzemnąć. Trudno się sypia, gdy z całej siły walisz w klawisze. Wobec tego sugeruję, byś wybrała się na przejażdżkę dwukółką. Odnoszę wrażenie, że pogoda nieco się poprawia, a gdyby znowu zaczęło padać, stangret po prostu postawi budę.

Pomysł z miejsca przypadł Mirandzie do gustu.

- Chyba właśnie tak uczynię, tyle tylko, że zrezygnuję ze stangreta. Sama umiem powozić, a ponieważ nie jestem z cukru, deszcz mi nie zaszkodzi. Z pewnością się nie rozpuszczę.

- Byłoby lepiej, gdybyś tak bezustannie nie walczyła z konwenansami - westchnęła Louisa. - Socjeta ma długą pamięć, ale bez wątpienia znaleźliby się ludzie gotowi z czasem przymknąć oko na twoją... sytuację towarzyską. Musisz tylko stosownie się zachowywać.

Miranda już dawno temu przestała rozważać tę możliwość. Mogła pokutować do końca życia i z wdzięcznością przyjmować litościwie rzucane ochłapy akceptacji, albo też pogodzić się z nowym życiem na obrzeżach elit i nikogo za nic nie przeproszać. Wybór był prosty i dokonała go bez wahania.

- Nie - burknęła.

Louisa miała zbyt pogodne usposobienie, żeby się sprzeciwiać.

- Zatem miłej przejażdżki, moja droga, i postaraj się nie budzić mnie po powrocie - oznajmiła. - Sypiam tak fatalnie, że tylko krótkie drzemki pozwalają mi żyć.

Tak naprawdę, Louisa spała co najmniej dwanaście godzin każdej nocy, w czym pomagał jej pociąg do francuskiej brandy, którą dawał jej Benedick. Ponieważ wchodzenie po schodach na piętro domu, gdzie znajdowały się sypialnie, było dla niej nader wyczerpujące, pokonywała tę trasę tylko raz dziennie. Dodatkowe drzemki uciwała sobie w salonie.

Gdy Miranda przebrała się w spacerową suknię, stajenni zaprzęgli już konie. Przejażdżki dwukółką były jedną z największych przyjemności, na które mogła liczyć w odmienionym życiu. Uwielbiała powozić i chętnie sprawiłaby sobie faeton, ale oparła się pokusie, gdyż doszła do wniosku, że jej bliscy i tak mają przez nią wystarczająco wiele przykrości.

Nigdy nie wyjawiała braciom marzenia o faetonie. Była pewna, że Benedick bez wahania kupiłby jej najbardziej ekstrawagancki model, a to jeszcze bardziej skomplikowałoby rodzinną sytuację.

Ruszyła prosto do Hyde Parku, a powiewy zimnego, wilgotnego powietrza na twarzy sprawiały jej niezwykłą przyjemność. Miała zaróżowione policzki, kosmyki włosów wysunęły się jej spod czepka. Co prawda na salonach obowiązywała moda na śnieżnobiałą karnację, ale Mirandy nic to nie obchodziło. Zastanawiała się, czy nie pojechać na wieś, do rodzinnej posiadłości w Dorset, lecz to nie rozwiązałoby jej problemu, skoro rodzina wybrała się na północ kraju. Miranda nie miała z kim pogawędzić, pokłócić się ani pośmiać, i wyglądało na to, że tak właśnie będzie wyglądała reszta jej życia.

Przygryzła wargę, czując nagły przypływ melancholii. Z zasady nigdy nie uzalała się nad sobą, zdeterminowana, by czerpać wyłącznie korzyści z sytuacji, do której sama doprowadziła, tyle tylko, że po wielu ponurych, niekończących się dniach miała już wszystkiego dość.

Wilgotny wiatr rozwiewał jej włosy, więc uniosła dłoń w rękawiczce, żeby odgarnąć je z twarzy, a wtedy wszystko rozegrało się w mgnieniu oka. W jednej chwili powóz spokojnie toczył się drogą, w następnej gwałtownie się przechylał. Miranda z najwyższym trudem utrzymała wodze i tylko dzięki temu udało się jej zapanować nad spłoszonymi końmi. Od razu się domyśliła, że to jakiś problem z kołem. Gdy ściągnęła lejce, aby powstrzymać wystraszone zwierzęta i nie spaść na ziemię, nadszedł wielki czarny powóz. Zeskoczyło z niego dwóch lokajów, którzy rzucili się do jej przerażonych koni, aby je uspokoić.

Rozpadało się ponownie i Miranda mokła na deszczu. Powóz zatrzymał się tuż przed jej dwukółką, od razu dostrzegła nieznany herb na jego drzwiach. Była na siebie wściekła za swoją nieostrożność i głupotę. Jak mogła dopuścić do tego, żeby konie wpadły w panikę? Dwukółka przekrzywiła się pod dziwnym kątem, więc Miranda ostrożnie zeskoczyła, nim ktokolwiek zdążył ruszyć jej z pomocą, minęła złamane koło i podeszła do jednego z koni, żeby pogłaskać go po łbie i szepnąć doń kilka kojących słów.

Nieznajomy lokaj przekazał jej uzdę, a następnie uklonił się i wrócił do czarnego powozu. Tam rozłożył zainstalowane z boku schodki i otworzył drzwi, by zamienić kilka słów z osobą w środku. Na koniec wrócił do Mirandy.

- Jego lordowska mość zastanawia się, czy zechciałaby pani łaskawie wyrazić zgodę, aby udzielił pani pomocy - oznajmił lokaj uprzejmie.

Do stu czartów, pomyślała Miranda, którą bracia nauczyli kłać jak szewc.

- Dziękuję jego lordowskiej mości, ale najwyraźniej nie zauważył, że już udzielił mi pomocy - odparła.

- Drogie dziecko - dobiegł ją aksamitny, męski głos z ciemnego wnętrza powozu. - Młynie pani, więc proszę przynajmniej pozwolić, bym przewiózł panią do domu. Moi słudzy zatroszczą się o konie i powóz.

Miranda przygryzła wargę i rozejrzała się niepewnie. Wokoło nie było żywej duszy i z całą pewnością nie poradziłaby sobie samodzielnie. Poza tym miała do czynienia z arystokratą, który raczej nie był przerażająco niebezpieczny. Większości ze znanych jej, szlachetnie urodzonych mężczyzn, ze względu na zaawansowany wiek doskwierała podagra. Gdyby nieznajomy naraził jej godność na szwank, zawsze mogła go kopnąć, pogryźć albo wydrapać mu oczy. I pomyśleć, że dwa lata temu miała okazję wykorzystać te wszystkie umiejętności przeciwko Christopherowi St. Johnowi... Tyle tylko, że wówczas jeszcze nimi nie dysponowała. Dopiero po fakcie ojciec i trzej bracia nauczyli ją, jak się bronić przed natrętami.

- To bardzo miło ze strony jego lordowskiej mości. - Dała za wygraną i postanowiła oddać wodze jednemu z lokajów.

Drugi pomógł jej wejść do kabiny, a potem zamknął za nią drzwi. Tajemniczy wybawca pozostawał w cieniu, więc nie widziała jego twarzy. Usiadła na miękkich poduszkach i z zadowoleniem uświadomiła sobie, że u jej stóp leży grzejnik z gorącymi węglami. Nieznajomy bez słowa podał jej gruby, futrzany koc.

- Mam przyjemność z lady Mirandą Rohan, czyż nie? - spytał łagodnym głosem.

Miranda zamarła i nerwowo zerknęła na drzwi. W razie konieczności mogła je pchnąć i otworzyć na oścież, a potem salwować się ucieczką. Powóz jechał dość wolno,

więc nie powinna mieć trudności z wyskoczeniem. Wyglądało jednak na to, że tajemniczy wybawiciel umie czytać w jej myślach.

- Nie mam zamiaru pani skrzywdzić, lady Mirando, ani też obrazić - oznajmił. - Po prostu pragnę pomóc.

Nadal nie wiedziała, czy może obdarzyć go zaufaniem. Wyrzała przez okno.

- Dokąd pan mnie wiezie?

- Do pani domu przy Half Moon Street, rzecz jasna. Och, proszę nie patrzeć na mnie z ukosa, że znam pani godność i miejsce zamieszkania. Nie da się ukryć, że londyńskie wyższe sfery uwielbiają plotkować, co odczułem na własnej skórze. Wszyscy wiedzą o pani... hm, niepowtarzalnym stylu życia. - Nadal mówił irytująco spokojnym głosem.

- Oczywiście. - Miranda z pogardą wykrzywiła usta. - Można by pomyśleć, że arystokracja ma ciekawsze zajęcia niż zaprzatanie sobie głowy moją skromną osobą. Nie ma nic gorszego niż sytuacja, w której cały świat kogoś krytykuje, wymyśla bulwersujące historie na jego temat, i na dodatek w nie wierzy.

- Och, śmiem twierdzić, że istnieje mnóstwo o wiele gorszych rzeczy - odparł z ironią. - Niemniej rozumiem, co pani ma na myśli. Przez większość życia padałem ofiarą równie złośliwych plotek.

Miranda zamarła z dłonią na mokrych włosach, które usiłowała wcisnąć pod czepek. Była pewna, że wygląda jak wysmagany wiatrem i deszczem kocmołuch, ale liczyła na to, że tajemniczy arystokrata niezbyt dobrze ją widzi.

- Doprawdy?

- Najmocniej przepraszam za zaniedbanie. Zapomniałem się przedstawić. Jestem Lucien de Malheur. - Umilkł na moment. - Moje nazwisko zapewne obito się pani o uszy.

Miranda wcale się nie zdziwiła. A więc to był ten osławiony Skorpion, piąty hrabia Rochdale! Zafascynowana, usiłowała cokolwiek dostrzec w mroku.

- Nie myli się pan - powiedziała z typową dla siebie szczerością. - Choć wiodę niemal klasztorne życie, docierają do mnie pewne opowieści. W porównaniu z panem jestem niewinna jak święta Joanna d'Arc.

Rochdale zaśmiał się z cicha.

- Oboje wiemy, że plotka rzadko kiedy okazuje się prawdą - zauważył.

- Rzadko kiedy? - powtórzyła.

- Sporadycznie zdarza się, że element prawdy ubarwia daną historyjkę. Bez wątpienia słyszała pani o moich kontaktach ze światem przestępczym, a także o moim zdemoralizowaniu i podłości. Podobno doprowadzam młodych mężczyzn do finansowej ruiny i zadaję się z łajdakami. Ludzie twierdzą, że jestem zdeformowany do tego stopnia, że moje miejsce jest w cyrku Astleya, w gabinecie grozy.

W istocie, właśnie takie pogłoski krążyły na temat Skorpiona, niemniej Miranda nie zamierzała tego wyjawiać.

- A jaka jest prawda? - zapytała.

Nie musiała wyglądać przez okno, by się zorientować, gdzie jest, gdyż dobiegł ją charakterystyczny odgłos kół na kocich łbach wąskiej uliczki. Znajdowali się na Half Moon Street. Szkoda, że tak szybko, pomyślała z żalem. Od wielu tygodni, może miesięcy, nie przytrafiła się jej równie ciekawa przygoda.

Hrabia milczał, a Miranda odniosła wrażenie, że rozważa różne ewentualności w tej nowej, nieoczekiwanej sytuacji.

- Prawdę powiedziawszy, lady Mirando, jestem paskudny i niedołężny, mam chromą nogę i wolę nie narzucać swojej brzydoty przypadkowym, nieuprzedzonym osobom - powiedział w końcu.

Naturalnie, Miranda natychmiast zapragnęła go zobaczyć. Nie wiedziała dlaczego, lecz kusilo ją, by uważnie się przyjrzeć słynnemu hrabiemu, którego otaczała zła sława. Podejrzewała, że domyślił się tego i na wszelki wypadek postanowił uciąć dyskusję na swój temat.

Zajechali przed jej mały, elegancki dom.

- Już zostałam ostrzeżona - zauważyła z humorem. - Mogę zatem pana obejrzeć. Obiecuję, że nie będę wrzeszczeć i nie zemdleję.

Zaśmiał się z cicha.

- Niestety, lady Mirando, jeszcze nie znam pani dostatecznie dobrze. Nie mógłbym nadużyć pani zaufania, skoro dopiero co się poznaliśmy.

- Jeszcze? - powtórzyła czujnie, wychwyciwszy słowo klucz.

- Proszę się nie niepokoić - zaprotestował, ponownie zauważając jej wątpliwości. -

Chciałbym zostać pani przyjacielem.

- Przyjacielem, którego nie mogę zobaczyć?

- Dobiję z panią targu. Jest pani melomanką, czyż nie? Jeśli zechce pani uczestniczyć w wieczorku muzycznym, który odbędzie się w moim domu przy Cadogan Place, wówczas nie będę miał wyjścia i pokażę pani me nieszczęsne oblicze. Nie, proszę nie wyciągać pochopnych wniosków - dodał na widok jej miny. - Dwadzieścia cztery osoby, które zaprosiłem, z ochotą zgodziły się przyjść. Byłbym zaszczycony, gdyby postanowiła pani do nas dołączyć.

Pomyślała, że zapewne nie powinna się zgadzać, ale ryzyko wydawało się tak bardzo kuszące... Poza tym, co miała do stracenia?

- Właściwie zamierzałam wyjechać z miasta, wasza lordowska mość...

- Z pewnością uda się pani przełożyć wyjazd o kilka dni - przerwał jej. - Londyn opustoszał do tego stopnia, że musi pani umierać z nudów. Gwarantuję przednią rozrywkę, więc proszę się zgodzić.

- Będę musiała się zastanowić. - Pokusa stawała się nieodparta.

Miranda nie pamiętała, kiedy ostatnio uczestniczyła w rozmowie z kimś spoza swojego wąskiego kręgu rodziny i bliskich przyjaciół, poza tym czuła osobliwy pociąg do tajemniczego wyrzutka. Popęłiłaby głupstwo, ponownie pakując się w tarapaty, niemniej chciała wierzyć, że w odpowiednim momencie jej zdrowy rozsądek do tego nie dopuści.

Rochdale wziął jej długie milczenie za dobrą monetę.

- Przyślę po panią powóz, gdyż naprawa dwukółki z pewnością się przeciągnie.

Środa o dziewiątej wieczorem.

- Zastanowię się - oznajmiła ponownie.

Lokaj otworzył drzwi powozu, ale w szarym półmroku ujrzała tylko lśniące, czarne buty hrabiego.

Hrabia Rochdale przyjął jej brak zgody ze spokojem.

- Może pani zjawić się lub nie. Tak czy owak, moi ludzie jak najszybciej przypro-
wadzą pani konie oraz dwukółkę. Ogromnie cieszę się, że mogłem panią poznać, i jestem
zaszczycony, że miałem okazję udzielić jej pomocy.

Zdumiała się, gdy ucałował jej dłoń. Choć ledwie musnął ją wargami, po jej nagiej
skórze przebiegł elektryzujący dreszcz.

Co, u licha, zrobiła z rękawiczkami?

Pośpiesznie wysiadła z powozu, omal nie spadając z rozkładanych schodków.
Wydawało się jej, że za plecami słyszy dyskretny śmiech, ale doszła do wniosku, że
rozkojarzony umysł płata jej figla.

- *À bientôt** - odezwał się tajemniczy arystokrata i chwilę potem odjechał.

* *À bientôt* - Do zobaczenia, na razie!

Lucien de Malheur, hrabia Rochdale, rozparł się wygodnie na miękkiej kanapie w
kabinie powozu i zastukał długimi, białymi palcami w zdeformowaną nogę. Był w
refleksyjnym nastroju. Zawsze szczyił się tym, że umie dostosować się do każdej
sytuacji, a wystarczyło zaledwie dziesięć minut w towarzystwie Mirandy Rohan, żeby
spojrzał na pewne sprawy z zupełnie innej perspektywy.

Miranda była śliczna. Fakt ten raczej nie powinien go dziwić, w końcu wszyscy
doceniali jej urodę. Co prawda miała brązowe włosy, a obecnie największym
powodzeniem cieszył się blond, lecz jej oczy były po prostu nadzwyczajne, zwrócił też
uwagę na jej niski, melodyjny głos oraz delikatne usta.

Zdumiało go, że wydawała się pełna humoru, mimo dwóch lat spędzonych w
izolacji od świata, bez nadziei na jakąkolwiek zmianę w najbliższej przyszłości. W takiej
sytuacji spodziewał się, że Miranda będzie przygnębiona, a nawet załamana. Okazała się
jednak odporniejsza, niż zakładał, a tym samym jego wyzwanie stało się znacznie
bardziej interesujące. Rodzina Rohanów musiała spłacić zaległy dług. Problem w tym, że
nawet towarzyski dramat nie zakłócił spokoju tych ludzi.

Zamierzał popsuć im humor raz na zawsze.

Jej bliscy wreszcie wyjechali z miasta, dzięki czemu wszyscy Rohanowie znaleźli się w Yorkshire, kilka dni drogi od Londynu, a Miranda pozostała zupełnie sama, jeśli nie liczyć jej opasłej kuzynki.

Lucien bez trudu skłonił jednego z ludzi swojego przyjaciela, Jacoba Donnelly'ego, do sabotażu. Dwukółka została umyślnie uszkodzona i choć wiedział, że naraża dziewczynę na niebezpieczny wypadek, gotów był zaryzykować, gdyż dzięki temu miał szansę przybyć jej na ratunek, jak na dżentelmena przystało. Miranda ani na moment nie nabrała podejrzeń.

Lucien ogromnie się cieszył, że w końcu ruszył sprawę z miejsca. Jak dotąd, Rohanowie wyniośle i godnie stawiali czoło niesławie. Gdyby jemu powinęła się noga, również zachowywałby się w taki sposób. Na szczęście był zbyt sprytny, aby ktokolwiek przyłapał go na nielegalnych i niemoralnych wyczynach.

Benedick, brat lady Mirandy, nie miał pojęcia, że jego była narzeczona ma przyrodniego brata, który mieszka na jednej z tropikalnych wysp Jamajki, brata zdecydowanego się zemścić bez względu na cenę. Lucien uważał, że wyrówna rachunki, zajmując się siostrą Benedicka. W ten sposób mógł zachować symetrię, a był jej wielkim zwolennikiem.

Pomijając wszystko inne, lady Miranda wpadła mu w oko. Początkowo zakładał, że tylko spotka się z nią i dopiero potem podejmie stosowne decyzje, związane z wendetą. Wendeta, wspaniałe słowo. Z przyjemnością myślał o tym, jak stare włoskie rodziny wpadają w furie i wyrzynają się nawzajem z powodu rzeczywistej bądź wymyślonej zniewagi. Doskonale rozumiał tę wręcz samobójczą determinację.

Jeden rzut oka na urodziwe oblicze Mirandy wystarczył, aby Lucien pojął oczywistą prawdę. Byłby głupcem, pozwalając komuś innemu doprowadzić tę młodą damę do ruiny. Powinien był zająć się tą sprawą samodzielnie już za pierwszym razem, a nie wynajmować byle nieudacznika. Wtedy jednak nie miał świadomości, że wciągnięcie Mirandy Rohan w pułapkę może okazać się niebywale rozkoszne.

W połowie drogi do domu przy Cadogan Place wpadł na pewien pomysł i roześmiał się głośno. Już wiedział, jak pokonać Rohanów, w jaki sposób uniemożliwić

im uratowanie ich rozkosznej siostrzyczki. Tym razem nic nie poradzą na to, co ją spotka.

Postanowił się z nią ożenić.

Świadomość, że lady Miranda wpadła w sieci Skorpiona, kompletnie wytrąci ich z równowagi. Wystarczy, że się dowiedzą, z kim mają do czynienia. Chronili ją przed wszystkim, nawet po tym, jak pohańbiła się w bezmyślnie głupi sposób. Nie będą jednak mogli uchronić jej przed jej własnym, prawowitym mężem.

Im dłużej o tym myślał, tym bardziej go to cieszyło. Nie zamierzał krzywdzić dziewczyny. Kiedy nachodziła go chęć zadawania bólu, szedł na spotkanie swoich druhów z tajnej organizacji Niebiańskie Zastępy, aby wraz z nimi wesoło spędzić godzinę lub dwie. Miranda powinna wyjść z jego łoża złamana wyłącznie na duszy. Pragnął zmasać z jej twarzy ten wesoły śmiech i unieszczęśliwić wszystkich pozostałych Rohanów.

To rozwiązanie wydawało się niebywale praktyczne pod wieloma względami. Lucien już od kilku lat nosił się z zamiarem znalezienia sobie żony. Powoli dobiegał czterdziestki, więc zdecydowanie powinien się ożenić, a Miranda była idealną kandydatką. W krótkim czasie powinna powić kilkoro dzieci. Jeśli przeżyje porody, zamieszka w jego posiadłości w Krainie Jezior, możliwie daleko od rodziny. Pawlfrey House był zimnym, ponurym gmachem, wzniesionym głęboko w cienistej dolinie, jak wiele innych w tamtej okolicy. Dom wydawał się tak posepny, że żadne zabiegi renowacyjne nie miały szansy tego zmienić. Pomyślał, że jeśli Miranda urodzi jakieś bachory, będzie musiał wywieźć je stamtąd do jakiegoś cieplejszego kraju. Nie powinny wychowywać się w chłodzie i półmroku. Ona jednak zostanie w domu i już nigdy nie zobaczy bliskich. W ten sposób wyrównają się rodzinne rachunki, a Genevieve wreszcie będzie mogła spoczywać w pokoju. Zostanie pomszczona, on zaś spokojnie wyruszy w dalsze podróże. Nawet w najbardziej słonecznych rejonach tej nieszczęsnej wyspy było mu zbyt zimno.

Przypomniawszy sobie smak skóry lady Mirandy, kiedy ucałował jej dłoń, i zmrużył oczy na myśl, że wkrótce nacieszy się jej ciałem. Gdy jego prawdziwe zamiary wyjdą na jaw, będzie już za późno, by się sprzeciwiła.

Nie zamierzał silić się na nieudolne porwania i deklaracje miłości. Postanowił zaproponować jej związek będący czymś w rodzaju umowy handlowej. Rzecz jasna, nie mógł wyłożyć kawy na ławę już na samym początku ich znajomości, nie miał jednak czasu na zaloty, gdyż ten działał na jego niekorzyść. Gdyby Rohanowie zbyt wcześnie dowiedzieli się, kim jest adorator Mirandy, plan spaliłby na panewce. Staliby się czujni, a Lucien wolał nie robić niczego pochwopnie i nieudolnie.

Na razie dysponował wyraźną przewagą i wiedział, że już wkrótce Miranda będzie jadła mu z ręki. Z początku ogarnie ją niesmak na myśl o uprawianiu miłości z kimś takim, jak on, ale to bez znaczenia. Nauczy się lubić to, co on jej proponuje. Kiedy chciał, potrafił przecież być znakomitym kochankiem.

Gdy powóz zatrzymał się przed domem, rozpadało się na dobre, lecz mimo to Lucien się nie śpieszył. Wolał zmoknąć, niż niezdarnie wdrapywać się po schodach, poza tym zawsze wolał błyskawice niż mdłe, błękitne niebo.

Na szczęście zbliżała się wyjątkowo burzliwa pogoda.

Rozdział trzeci

Miranda z żalem pomyślała, że nie powinna nawet rozważać przyjęcia zaproszenia. Upewniwszy się, że konie wróciły do stajni całe i zdrowe, poszła do siebie i wzięła gorącą kąpiel, aby rozgrzać zmarznięte kości. Przez cały czas rozmyślała o osobliwym spotkaniu, które, nie wiedząc czemu, sprawiło, że zabrakło jej tchu.

To, co wiedziała o Lucienie de Malheurze, składało się niemal w całości z pogłosek, insynuacji i spekulacji. Choć nosił francuskie nazwisko, jego rodzina wywodziła się z angielskich Normanów, a jej historia sięgała czasów Wilhelma Zdobywcy. Nikt nie śmiał drwić z tego rodu, choć w ostatnich pokoleniach stracił on na znaczeniu. Szczęśliwie, Louisa ubóstwiała plotki oraz skandale i chętnie dzieliła się nimi z każdym, kto chciał posłuchać.

- Och, Malheurowie! - wykrzyknęła radośnie. - Czy napomknęłam już kiedyś, że swego czasu zakochałam się po uszy w stryju obecnego hrabiego? Nie miałam jednak szansy związać się z nim, niestety, choć nosił tak znamienity tytuł. Podówczas cała jego rodzina cierpiała biedę, większość posiadłości musieli sprzedać, żeby spłacić długi karciane, a ja nie miałam odpowiedniego posagu. I chyba wyszło mi to na dobre. Tych ludzi można z powodzeniem nazwać szaleńcami. Słyszałam na ich temat tak wstrząsające opowieści, że nawet nie zamierzam ich powtarzać. Nie powinnaś ich znać, droga Mirando, gdyż uważam cię za wielce niewinną istotę, choć dość burzliwa przeszłość niekoniecznie świadczy na twoją korzyść. Muszę przyznać, że była to wyjątkowo urodziwa rodzina - dodała i porozumiewawczo mrugnęła okiem do Mirandy. - Obecny hrabia nie jest ani trochę piękny, rzecz jasna, choć śmiem wątpić, by był tak straszny, jak go malują.

- Nigdy go nie widziałaś? - spytała Miranda.

- Ależ skąd! Dotąd nigdy nie zawitał do Londynu. Po utracie wszystkich pieniędzy Malheurowie zaszyli się na jednej z wysp Nowego Świata, pełnej niewolników i innych dzikusów. Obecny hrabia wychował się tam po śmierci ojca i przez długi czas nie przyjeżdżał do Anglii. Nawet teraz rzadko wychodzi z domu, więc aż dziw bierze, że go poznałaś.

Miranda poruszyła się niespokojnie.

- Nie chciałabyś zobaczyć go na własne oczy? - spytała z nadzieją w głosie. - Wrócimy do domu wcześniej, jeśli wieczorek nie przypadnie ci do gustu.

- Niestety, zdrowie mi nie pozwala - sapnęła Louisa. - Ty jednak możesz iść, naturalnie.

Miranda spojrzała na nią z powątpiewaniem. Nie były wtajemniczone w najświeższe plotki, niemniej niepokojące wieści o fatalnej reputacji Skorpiona docierały do nich regularnie. Inna sprawa, że bywalcy salonów celowali w kłamstwie, złośliwych niedopowiedzeniach, surowych osądach i brutalnej krytyce. Większość informacji Miranda uzyskiwała od rodziny, a na razie nikt z jej bliskich nie napomknął o tym człowieku, co oznaczało, że zapewne nie był on aż tak zły.

Po długim namyśle postanowiła przyjąć zaproszenie. Nie pamiętała, kiedy ostatnio znalazła się na proszonym wieczorku muzycznym i z powodzeniem mogła iść tam sama, gdyż doszła do wniosku, że jej reputacji i tak niewiele już zaszkodzi. Przyjaźń z Lucienem de Malheurem zapewne nie była dobrym pomysłem - skoro kogoś nazywano Skorpionem, raczej należało mieć się przed nim na baczności. Gdyby powszechnie uważano go za miłego i dobrotliwego jegomościa, nosiłby łagodniejsze miano, dajmy na to Baranek.

Gdy w środę wieczorem o wpół do dziesiątej rozległo się kołatanie do drzwi, Miranda była już przebrana i gotowa do wyjścia. Jej przyzwoita do przesady bratowa Annis zasugerowała kiedyś, by po skandalu Miranda nosiła się na wpół żałobnie. Jej zdaniem w nowej sytuacji najodpowiedniejsze były blade fiolety, gołębie szarości i poszarzałe brązy zamiast niewinnych pastelów.

- Moja córka nie nosi po nikim żałoby - prychnęła wtedy matka Mirandy, ona sama zaś niezwłocznie zaopatrzyła się w stroje w intensywnych, głębokich barwach.

Na dzisiejszą okazję wybrała zieloną suknię oraz szmaragdy. Właśnie patrzyła na swoje odbicie w lustrze, kiedy lokaj zapowiedział przybycie lorda i lady Calvertów.

- Moja droga lady Mirando, to prawdziwa przyjemność panią poznać! - zawołała lady Calvert, wkraczając w chmurze najdroższych, francuskich perfum. - Drogi Lucien

pomyślał, że poczuje się pani bardziej komfortowo, jeśli wstąpimy po panią i wspólnie pojedziemy na jego skromne przyjęcie. Rzecz jasna, nie mógł przybyć osobiście, gdyż pełni obowiązki gospodarza. Poza tym przepraszam za spóźnienie. Proszę sobie wyobrazić, że nie miałam co na siebie włożyć! Mimo to z pewnością spędzimy cudowny wieczór. Wystąpi signor Tebaldi z opery, zdecydowanie najlepszy tenor, jakiego Londyn miał od lat, a potem pan Kean odczyta nam wybrane utwory Szekspira. Czegóż takiego nie wolno przegapić! - Umilkła na chwilę, gdyż najwyraźniej zabrakło jej tchu. - Widzę jednak, że nie zamierza pani siedzieć w domu. Wygląda pani bosko, moja droga. Doprawdy, przy pani mój już nieco zwiędły urok zupełnie niknie.

Naturalnie, Miranda uprzejmie zaprzeczyła. W głębi duszy powątpiewała, by słowa jej rozmówcy były szczere, gdyż lady Calvert prezentowała się wprost olśniewająco. Miranda od razu ją rozpoznała, Eugenia Calvert dopuściła się rzeczy niewyobrażalnej - rzuciła pierwszego męża, aby uciec z sir Anthonym Calvertem. Tym czynem skazała się na ostracyzm towarzyski, podobnie jak Miranda, niemniej pozostała osobą elegancką i wytworną, jak na arystokratkę przystało.

Wkrótce Miranda siedziała w wygodnym powozie Calvertów. Oparła stopy na rozgrzanych ceglach, a na kolana zarzuciła grube futro. Lady Calvert zajęła miejsce obok niej i zasypała ją najświeższymi plotkami na temat osób z towarzystwa, głównie tych, które jej unikały. Sir Anthony z zachwytem wpatrywał się w żonę, od czasu do czasu ją komplementując. Miranda pomyślała z humorem, że to nie najgorszy mąż, w dodatku z wypchanym portfelem.

Dom hrabiego Rochdale znajdował się na obrzeżach modnej dzielnicy, w nieznanym Mirandzie rejonie miasta. Znowu zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie popełniła błędu, przyjmując zaproszenie.

Obmyślała wiarygodną wymówkę, żeby zrejterować, kiedy lady Calvert energicznie poprowadziła ją po szerokich schodach frontowych prosto do jasno oświetlonych drzwi. Miranda nie miała wyjścia, musiała przygotować się na spotkanie z człowiekiem, którego wielu uważało za potwora.

Nie zastała go jednak w holu. Wręczyła płaszcz pokojówce, rozglądając się ze zdumieniem. W wypadku tak małych przyjęć, gospodarz zazwyczaj osobiście witał

gości, a tymczasem pomieszczenie świeciło pustkami. Z pierwszego piętra, na które prowadziły marmurowe schody, dobiegała przyciszona muzyka.

- Przybyliśmy z lekkim opóźnieniem - wyjaśniła lady Calvert ze skruchą. - Pewnie uznał, że coś nam wypadło i nie ma co dłużej czekać.

Miranda uważała się za osobę zdecydowaną i gotową na wszystko. Nigdy nie okazywała strachu i szybko podejmowała decyzje. Tym razem jednak ogarnęły ją złe przeczucia, zupełnie jakby przekraczając próg domu tajemniczego hrabiego, nieodwracalnie odmieniła swoje życie.

- Nie chciałabym przeszkadzać... - Odwróciła się, żeby odebrać płaszcz i wyjść, ale pokojówka już znikła.

Lady Calvert wzięła Mirandę pod rękę i ruszyła po schodach, nieustannie trajkocząc. Miranda nawet nie próbowała jej przerwać, gdyż byłoby to niemożliwe, więc tylko uniosła głowę i odetchnęła. Jeszcze nigdy w życiu nie uchyliła się przed wyzwaniem, a zresztą było już za późno na ucieczkę.

Signor Tebaldi śpiewał, ile sił w płucach, więc nikt nie usłyszał spóźnialskich, kiedy wchodzili do dużego salonu. W powietrzu unosiła się woń świecowego wosku, perfum i egzotycznych kwiatów ze szklarni. Panował tu nieznośny upał. Tak jak zapowiedział Rochdale, koncertu wysłuchiwały dwa tuziny gości i tylko jedna osoba nie zwracała uwagi na występ artysty.

W głębi sali, w cieniu, siedział mężczyzna, który wpatrywał się z uwagą w Mirandę. Od razu przyszło jej do głowy, że to musi być Lucien de Malheur.

Lady Calvert oddaliła się, pozostawiając Mirandę samą, a signor Tebaldi rozpoczął kolejną, przydługą arię.

Gospodarz przez cały czas siedział bez ruchu i nie odrywał wzroku od Mirandy. Przyszło jej do głowy, że być może hrabia po prostu nie może chodzić, i bez namysłu ruszyła w jego stronę. Niewiele widziała w półmroku, zauważyła jednak, że hrabia siedział całkiem sam, co ją zdumiało. Mimo to szła dalej, kiedy nagle zastąpił jej drogę potężnie zbudowany mężczyzna. W ostatniej chwili udało się jej uniknąć zderzenia z jego szerokim torse.

Podniosła wzrok na przystojne oblicze, ciemne oczy i zwycięski uśmiech. Dżentelmen wydał się jej dziwnie znajomy i przez moment zastanawiała się, czy przypadkiem się nie pomyliła. Może to ten imponujący jegomość był Lucienem de Malheurem?

- Lady Miranda! - powiedział cicho i natychmiast zorientowała się, że to nie gospodarz. Skorpion przemawiał łagodnym, modulowanym głosem, który zupełnie nie przypominał jowialnego barytonu tego mężczyzny. - Minęły wieki od naszego ostatniego spotkania, ale powiedziano mi, że być może zaszczyci nas pani swoją obecnością, więc z nadzieją obserwowałem drzwi. Pochlebiam sobie, że nie zapomniała mnie pani.

- Ależ skąd - skłamała uprzejmie Miranda, a przystojny jegomość tylko się zaśmiał.

- W żadnym razie nie ośmieliłbym się kwestionować prawdomówności tak uroczej młodej damy, niemniej podejrzewam, że mnie pani nie pamięta - oświadczył pogodnie. - Nazywam się Gregory Pannelle i jestem przyjacielem pani brata Benedicka. Poznaliśmy się kilka lat temu.

- Oczywiście, że pana pamiętam.

Uśmiechnęła się ciepłej, choć nadal nie przypominała sobie tego człowieka. Była jednak pewna, że Benedick nie przedstawiłby jej żadnemu szemranemu typkowi, więc miała prawo się odprężyć.

Był naprawdę potężnie zbudowany i zasłaniał jej widok, więc musiała się wychylić, żeby rzucić okiem na miejsce w cieniu, które wcześniej zajmował gospodarz. Krzesło było puste.

- Zapewne nie wie pan, gdzie mogłabym znaleźć pana de Malheura? - zapytała. - Niestety, spóźniłyśmy się nieco, więc nie miałam okazji się z nim przywitać.

- Spóźniłyśmy? Czyżbym wkroczył na terytorium, zajmowane przez innego dżentelmena? Nie zauważyłem nikogo, gdy nadeszła pani niczym promienny anioł.

Miranda doszła do wniosku, że ten człowiek wcale jej się nie podoba. Dawniej zwykle starała się zachowywać pozory, ale już od dawna szkoda jej było czasu na flirty z bufonami.

- Żaden dżentelmen nie zajmuje mojego terytorium - oświadczyła chłodnym tonem.

- Czy mogę zatem zagospodarować sobie na nim działkę? - Pochylił się, a jego wargi znalazły się stanowczo zbyt blisko jej twarzy.

Mimo to Miranda tylko zamrugła niewinnie oczami.

- Proszę wybaczyć, ale muszę przywitać się z hrabią Rochdale. Może pogawędzimy później.

Panelle uchwycił jej nadgarstek wielgachną dłonią, a następnie przywarł ustami do delikatnej skóry rękawiczki, pozostawiając na niej wilgotny ślad. Potem wziął Mirandę pod rękę.

- Poczytam to za zaszczyt, jeśli będę mógł odprowadzić panią do niego - oznajmił.

- Nie wiem dlaczego, lecz pani życzenie jest dla mnie rozkazem. Zapraszam.

Nie puszczając jej, ruszył ku drugiemu końcowi sali. Miranda dostrzegła tam rząd przeszklonych drzwi, które zapewne prowadziły na rozległy balkon. Mogła iść z nim albo wszcząć publiczną awanturę, więc raczej nie miała wyboru.

- Czy hrabia prosił, aby pan przyprowadził mnie do niego?

- Oczywiście - potwierdził pan Panelle bez wahania. - Tutaj panuje piekielny upał, czyż nie? Hrabia będzie czekał na tarasie.

Miranda nie wierzyła mu ani na jotę. Był wielkim mężczyzną, ale w razie potrzeby zdołałaby mu uciec. Poza tym nie mogła wykluczyć, że jednak spełniał prośbę gospodarza.

Nocne powietrze było cudownie chłodne, więc z przyjemnością opuściła duszny salon i wyszła na skąpany w blasku księżyca, kompletnie pusty balkon.

- Jego lordowska mość najwyraźniej zmienił zdanie - zauważyła, rozglądając się z uwagą. - Powinniśmy wrócić...

Gregory Panelle chwycił Mirandę w ramiona, zaskakująco nieporadnie przytulił ją do swojego szerokiego torsu i pochylił głowę do pocałunku.

- Wiesz tak samo dobrze jak ja, że Luciena tutaj nie ma - szepnął. - A niech mnie, urocza z ciebie turkaweczka. Nigdy dotąd nie zwróciłem na to uwagi!

Usiłował przywrzeć wargami do ust Mirandy, ale w ostatniej chwili szarpnęła głową i mokry, śliski pocałunek wylądował na jej brodzie. Pannelle ścisnął ją mocno, więc zamarła w oczekiwaniu na odpowiedni moment.

- Dajże spokój, nie zgrywaj niewiniątka - wymamrotał, kładąc dłoń na jej piersi. - Oboje świetnie wiemy, że nie masz nic przeciwko temu. Jak będziesz milutka, to kto wie, może sprawię ci jakieś lokum i zadbam o twoje wygody.

- Już mam lokum - wycedziła lodowato. - A teraz zabieraj ode mnie te tłuste łapska, bo pożałujesz.

Pannelle popełnił kolejny błąd, gdyż zarechotał obraźliwie.

- Podobają mi się takie drapieżne kociątka. Zaufaj mi, nie chciałabyś mieć do czynienia z kimś takim jak Skorpion. To bardzo zły człowiek.

- A ty jesteś dobry? - spytała z ironią, wyczekując dogodnej okazji do ataku.

- Na pewno nie tak zły jak Lucien, poza tym o wiele przystojniejszy. Jego lordowska mość jest brzydki jak noc i wstępuje w niego diabeł, gdy ktoś wyprowadzi go z równowagi. Uwierz mi, duszko, to bezwzględny drań - dodał i uszczypnął ją w pierś tak mocno, że niemal krzyknęła z bólu.

- Mimo to postanowiłeś narazić się na jego gniew? Jak śmiesz tak traktować mojego gościa? - spytał ktoś jedwabiście miękkim głosem.

Teraz albo nigdy, pomyślała Miranda.

Musiała zareagować w sposób niekoniecznie przystający damie, niemniej nadzwyczaj skuteczny. Wymierzyła bardzo mocnego kopniaka kolaniem w krocze natręta. Przerażliwy wrzask pana Pannelle'a wydał się jej piękniejszą muzyką niż wyrafinowane pienia signora Tebaldiego. Pannelle odskoczył i osunął się na kamienny taras, wydając z siebie dziwaczny świst i zwijając się z bólu. Gdyby byli sami, poczęstowałyby go jeszcze jednym kopniakiem, jednak w zaistniałej sytuacji doszła do wniosku, że lepiej będzie się powstrzymać. Po chwili skierowała wzrok na mężczyznę, który wyłonił się z cienia i w blasku marcowego księżyca po raz pierwszy uważnie przyjrzała się Skorpionowi.

Był wysoki i szczupły, wręcz wychudzony. Blizny na jego twarzy nie wydawały się świeże, ale wyglądały okropnie i nie sposób było odgadnąć, skąd się wzięły. Coś

przeorało mu oblicze, pozostawiwszy głębokie bruzdy. Miranda dostrzegła też kilka głębszych i cieńszych szram, zadanych wyraźnie ostrzejszym narzędziem. De Malheur był ubrany z wyjątkowym smakiem w czarny, kosztowny frak i chodził o lasce ze złotą gałką.

- Proszę nasycić wzrok, lady Mirando - powiedział cicho. - Nie uchroniłem pani przed prostytutkami pokroju Pannelle'a, więc jestem pani dłużnikiem. Może chciałaby pani zobaczyć, jak chodzę? Pełnię mojej ohydy można dostrzec dopiero wtedy, gdy się poruszam.

Obrócił się niespiesznie, opierając się na lasce i wtedy zauważyła, że jedną nogę ma lekko przygiętą i wykręconą, jakby kiedyś została złamana i ktoś źle ją nastawił.

Długie, czarne włosy nosił związane wstążką na karku i nie osłaniał nimi wąskiego, inteligentnego oblicza o wysokich kościach policzkowych i nieco skośnych oczach. W srebrnym blasku księżyca nie widziała ich barwy, ale wydawały się nienaturalnie blade. Hrabia miał wąski i mocny nos, odrobinę skrzywiony. Trudno uwierzyć, ale usta de Malheura nie ucierpiały podczas dramatycznych zdarzeń, które doprowadziły do deformacji reszty twarzy. Jego górna warga była wąska, dolna pełna i zmysłowa.

Ciekawe, czy przyjemnie byłoby całować takie usta? - zastanowiła się Miranda, zaskakując samą siebie.

- Jak pani widzi, jestem odrażający - dodał tym samym, zmysłowym głosem. - Woląłem ostrzec panią na wstępie. Bez wątpienia wielu ludzi odradzało pani przyjęcie mojego zaproszenia i zniechęcało do przyjaźni ze mną.

- Bynajmniej - zaprzeczyła uprzejmie. - Nikt mnie nie zniechęcał.

Przez moment wydawał się zaskoczony.

- Coś podobnego - westchnął. - Włożyłem tyle wysiłku w psucie sobie reputacji, a teraz widzę, że moja ciężka praca poszła na marne.

- Szczerze mówiąc, raczej nie obracam się w towarzystwie, więc siłą rzeczy nikt nie mógł przestrzec mnie przed panem. - Przechyliła głowę. - Gdyby moi przyjaciele albo bliscy wiedzieli, że zawieram znajomość z osobą o pańskiej reputacji, niewątpliwie powstrzymaliby mnie, ale wszyscy bawią obecnie na wsi.

- Zatem mogę się tylko cieszyć z pani osamotnienia. Dzięki temu poznamy się lepiej i nikt nie będzie nam przeszkadzał. Kazałem służbie nakryć do stołu w moim gabinecie, licząc na to, że zechce pani zjeść ze mną kolację.

- A pańscy goście?

- Nie ulega wątpliwości, że signor Tebaldi będzie śpiewał tak długo, aż połowa gości zaśnie bądź urznie się w trupa. Potem pan Kean podejmie próbę obudzenia ich swoimi deklamacjami, więc nikt nie zauważy mojej nieobecności. Szczerze mówiąc, często nie pojawiaam się na własnych przyjęciach. Proszę to złożyć na karb mojego ekscentrycznego charakteru.

- Och, ogromnie chciałabym być tak wygodnie ekscentryczna - wyznała z nieoczekiwaną szczerością. - Wydaje się jednak, że taka oryginalność uchodzi na sucho jedynie mężczyznom.

- Chętnie udzielę pani kilku lekcji, moja droga Mirando. Proszę iść ze mną na kolację i nawet nie będziemy musieli myśleć o tych wszystkich ludziach.

Gdy się powiedziało A, trzeba powiedzieć B. Miranda opuściła wzrok na pana Pannelle'a, który ciągle wydawał z siebie świszczące dźwięki, wypuszczając raptownie powietrze między zębami.

- A co zrobimy z tym tutaj? - zapytała.

- Lokaje usuną go z mojego domu, chyba że ma pani chęć dać mu jeszcze do wiwatu. W mojej opinii jest w takim stanie, że nawet solidny kopniak w nerki nie zrobi na nim wrażenia.

Czyżby Skorpion umiał czytać w jej myślach?

- Chyba cierpi już w dostatecznym stopniu - zdecydowała w końcu, oparłszy się pokusie.

- Zaproponowałbym, żeby wsparła się pani na moim ramieniu, ale cóż, chodzę dość nieporadnie, więc nie czułaby się pani komfortowo. Na skraju tarasu stoi lokaj, który zaprowadzi panią do mojego gabinetu. Ja wydam służbie stosowne polecenia, żeby jak najszybciej pozbyć się tego osobnika.

Miranda spędziła pół ostatniej nocy na rozmyślaniach, a teraz nadszedł czas na podjęcie decyzji. Mogła asekurancko udać się do pełnego gości salonu, żeby wysłuchać popisów signora Tebaldiego, potem zaś wrócić do nudnego domu.

Rzecz w tym, że nigdy nie przepadała za tenorami.

Lucien de Malheur pochylił się nad zwiniętym w kłębek ciałem i końcem laski pogłaskał pobladałą, spoconą twarz mężczyzny.

- Dobra robota, Gregory - powiedział cicho. - Spisałeś się na medal. Przykro mi, że dziewczyna tak skutecznie broni swojego honoru, chociaż prawdę mówiąc, ja zapewne wyrządziłbym ci większą krzywdę. Poza tym cieszę się, że nie wyszedłem na bohatera. Jeszcze na to za wcześnie.

Gregory nie odpowiedział ani słowem, gdyż nie mógł. Nadal próbował złapać oddech.

- Nie martw się - pocieszył go Lucien. - Wiem, że masz dość rozumu, aby nikomu nie mówić o scenie, którą tutaj odegraliśmy. Jeśli coś ci się wymknie, już nigdy nie przemówisz ponownie - dodał aksamitnym głosem.

- Tej dziewczynie... trzeba dać nauczkę - wyrzucił Gregory. - Ktoś powinien spuścić jej manto.

- Wkrótce dostanie nauczkę, Gregory, obiecuję. Wydaje mi się jednak, że istnieją znacznie skuteczniejsze metody niż brutalna siła. A teraz wracaj do domu i przyłóż sobie okład z lodem, o ile takowy posiadasz. Za jakiś tydzień wszystkie twoje organy powinny odzyskać dawną sprawność.

Lucien podążył za Mirandą, słysząc za plecami popiskiwanie swojego wymęczonego druha.

Rozdział czwarty

W gabinecie szczęśliwie nie było słyhać słynnego fortissimo signora Tebaldiego. Miranda weszła do środka i odetchnęła z ulgą. W pomieszczeniu czekał stół z kolacją dla dwojga, w kominku strzelał ogień. Do tej pory nie miała powodów do obaw, jednak wciąż nie była pewna, czy słusznie postępuje. Już wychodząc na balkon, czuła na sobie uważne spojrzenia. Liczyła na to, że wyrzutek towarzyski pokroju hrabiego zaprasza mniej rozplotkowanych gości, wyglądało jednak na to, że wścibstwo dominuje także w kręgach osób wykluczonych z eleganckich salonów.

Pomyślała, że mimo wszystko niepotrzebnie się tu zjawiała. Byłoby najlepiej, gdyby gospodarz użyzył jej powozu, aby mogła wrócić do domu, a przynajmniej polecił lokajowi przywołanie dorożki.

Wkrótce usłyszała kroki Luciena, miarowy stukot jego laski, ciche szuranie nie całkiem sprawnej nogi. Właściwie powinna trząść się ze strachu, w końcu ludzie opowiadali niepokojące historie na temat tego człowieka. Nie bała się jednak ani trochę. Zamierzała zasiąść do stołu i bez zmrużenia oka spojrzeć w piękną, choć zniszczoną twarz hrabiego. Szczerze uważała jego oblicze za piękne i ciekawiło ją, skąd wzięły się na nim tak szpecące skazy.

Hrabia Rochdale minął próg z zaskakującą gracją, po czym usiadł w fotelu naprzeciwko Mirandy i spokojnie popatrzył jej w oczy.

- Spojrzenia większości kobiet oscylują w okolicach mojego ramienia, lady Mirando - zauważył. - Czyżby pasjonowały panią horrory?

Roześmiała się wbrew sobie, a on zrobił zdumioną minę.

- W pana wypadku nie ma mowy o horrorze - zapewniła go szczerze. - Spodziewałam się po panu raczej gotyckiego romantyzmu.

- Rozczarowałem panią zatem? Nie przestaje mnie pani zadziwiać. Czy zachowywałaby się pani inaczej na widok potwora rodem z powieści grozy?

- Zapewne okazałabym panu współczucie i zrozumienie. - Wzruszyła ramionami. - Rzecz w tym, że ma pan tylko kilka blizn i nie całkiem sprawną nogę, trudno więc mówić o koszmarze.

Opanował szybko początkowe zaskoczenie. Popatrzył na nią chłodno i napełnił dwa kieliszki winem.

- Skoro więc nie spełniłem pani wyobrażeń, nie mam co liczyć na jej współczucie i cierpliwość, czy tak? - zapytał.

- Przeciwnie, chętnie okażę panu mnóstwo ciepłych uczuć, o ile będą panu potrzebne. Wygląda jednak na to, że nie jest ich pan przesadnie spragniony.

- Nie sposób odmówić pani spostrzegawczości. Mam prawie wszystko, co niezbędne do życia, aczkolwiek brakuje mi czegoś, co jest nader istotne. Śmiem twierdzić, że przydałoby się to również pani. - Usiadł wygodniej. - Mam partnerów w interesach, a także wrogów, kochanki i znajomości. Nie mam za to przyjaciela.

Miranda drgnęła niepewnie, ale udało się jej zachować obojętną minę.

- Uważa pan, że to możliwe, byśmy zostali przyjaciółmi? Muszę przyznać, że od pewnego czasu nie narzekam na ich nadmiar. Tyle tylko, że nawet zwykła przyjaźń kobiety i mężczyzny bywa opacznie interpretowana. Czy towarzystwo zaaprobuje naszą bliskość?

- Wątpię, ale też nie sądzę, aby przejmowała się pani opinią salonów - odparł. - W istocie, oboje nie możemy pochwalić się nadmierną liczbą kandydatów na przyjaciół. W tych okolicach ze świecą by szukać ludzi tolerancyjnych, więc w zasadzie jesteśmy na siebie skazani.

Wpatrywała się w niego przez chwilę. Pod pewnymi względami kojarzył się jej z małym chłopcem, dumnym z własnej odmienności i zarazem niecierpiącym jej. Pod przeoraną bliznami twarzą dostrzegała jednak nieopisaną moc. Był męski i dominujący, a ona nauczyła się mieć na baczności przed takimi ludźmi.

Mimo to jego propozycja przyjaźni wydawała się całkiem szczerą, zupełnie jakby leżało mu na sercu szczęście dopiero co poznanej, młodej kobiety. Poza tym hrabia się nie mylił, rzeczywiście nie miała wielkiego wyboru.

- Byłabym zaszczycona, mając pana za przyjaciela. - Tym oświadczeniem zaskoczyła samą siebie.

Uśmiechnął się z aprobatą, a Miranda pomyślała, że gdyby nie blizny, byłby najprawdziwszym Adonisem, i odwzajemniła uśmiech.

Ku zdumieniu Mirandy, w towarzystwie hrabiego Rochdale czas mijał jak z bicza strzelił. W trakcie rozmowy uświadomiła sobie, że człowiek ten jest wymarzonym kompanem. Oboje w podobny sposób postrzegali rzeczywistość, a do tego okazał się niezwykle dowcipny. Miranda z radością sprowadzała go na ziemię, kiedy zachowywał się jak udręczony niegodziwiec.

- Dostrzegam w pani rys szekspirowskiej bohaterki - zauważył w pewnej chwili. - Mogłaby pani przebrać się w chłopięcy przydzwiek i pobiec do lasu niczym Rozalinda albo Viola, aby zadrwić z jakiegoś biednego młodzieńca, który jest na tyle głupi, by sądzić, że zakochał się w innym mężczyźnie.

- Może i tak. A pan, z pewnością, chciałby się uważać za umęczonego, posępnego Otella, lecz ja widzę w panu Kalibana.

Wpatrywał się w nią przez kilka sekund, ale ona odważnie odwzajemniła jego spojrzenie.

- Nie, moja pani - powiedział łagodnie. - To nie ta sztuka. Jestem Ryszardem Trzecim, co dowodzi, jaki ze mnie łotr.

Roześmiała się, gdyż nie przyszło jej do głowy nic, co mogłaby powiedzieć. Niewątpliwie żartował, ale patrząc w jego jasne oczy, wcale nie była tego całkiem pewna.

W drodze do domu przez cały czas rozmyślała o tej chwili. Wracła tym samym, komfortowym powozem, którym hrabia przywiózł ją po wypadku. Zapobiegliwie kazał postawić powóz pod boczne drzwi, dzięki czemu Miranda uniknęła ciekawskich spojrzeń gości. Gdy się zegnali, ujął jej dłoń i uścisnął. Spodziewała się, że ją ucałuje, lecz tylko popatrzył jej w oczy i cofnął się bez słowa, po czym zamknął drzwi powozu, który potoczył się wąską, brukowaną uliczką.

Miranda zacisnęła powieki.

Dobry Boże, co się z nią działo? Czy tak długo pozostawała w izolacji, że nawet taki potwór wzbudzał jej zainteresowanie? Inna sprawa, że Lucien wcale nie był potworem. Już po paru minutach przestała zwracać uwagę na blizny i widziała wyłącznie

jego twarz, piękne wyraziste kości, jasne, uważne oczy, zmysłowe usta. Do tego miał wspaniałe dłonie o długich palcach, które wydawały się zarazem mocne i delikatne.

Ten człowiek nie był ani Ryszardem Trzecim, ani Kalibanem, lecz raczej mrocznym, zaklętym księciem, ona zaś... Najwyraźniej oszalała.

Miranda parsknęła głośnym śmiechem. Widocznie wypła zbyt dużo wina, choć uczono ją, jak pić z umiarem. Stało się jasne, że uległa urokowi Luciena de Malheura, lecz nie dostrzegła w tym zauroczeniu niebezpieczeństwa. W końcu nikt nie mógł się domyślić, że zauroczył ją Skorpion, a już na pewno nie on sam. Od dawna nie oddawała się marzeniom na jawie i teraz znalazła całkowicie bezpieczny obiekt dla swoich fantazji. Mogła wyobrazić sobie, jak ratuje go z mroku, łagodzi jego gorycz i zapewnia mu szczęście.

Lucien de Malheur szedł korytarzami swojego miejskiego domu i uśmiechał się z zadowoleniem. Zadanie okazało się banalnie proste, Miranda wpadła mu w ręce praktycznie od razu. Wystarczyła tylko delikatna zachęta. Dziewczyna była osamotniona do tego stopnia, że uległa urokowi pierwszego z brzegu mężczyzny, który wiedział, jak ją podejść. Nie przeszkadzało jej nawet to, że jest paskudnie okaleczony.

Kaliban? Lucien zaśmiał się pod nosem. Bez wątplenia nie brakowało jej odwagi, skoro drwiła z jego melodramatyzmu. Sądził, że udając pokrzywdzonego przez los, wzbudzi jej współczucie, ona tymczasem zakpiła z niego, przejrzała go na wskroś. Mimowolnie uległ jej urokowi, dzięki czemu jego przedsięwzięcie mogło zyskać na atrakcyjności. Miranda Rohan patrzyła mu w twarz bez odrazy i bez litości. Już przed północą wyczuł jej zainteresowanie, a gdy odprowadzał ją do powozu, było dobrze po trzeciej.

Powinna go znudzić. Wyobrażał sobie, że Miranda okaże się istotą emocjonalną i nieśmiałą, a jemu przyjdzie cierpliwie przełamywać jej dziecięce zahamowania. Tymczasem była kobietą bezpośrednią i wyzywającą. Innymi słowy, doskonale nadawała się na żonę, której potrzebował - na krótko.

Jeszcze nie wszyscy goście opuścili jego dom. Lucien słynął z aprobaty dla niestosownych zachowań, więc pary ochoczo wyszukiwały sobie ciche zakątki, aby tam

oddawać się igraszkom. Z pokojów słychać było odgłosy namiętności, przez co także Lucien czuł narastające pobudzenie. Miranda Rohan miała aksamitną skórę koloru kremu z miodem, chętnie obejrzałby ją z bliska...

Tymczasem jednak poszedł prosto do prawdziwego gabinetu, przeznaczonego wyłącznie do pracy i do niczego więcej. Tak jak się spodziewał, zastał w nim gościa, który grzał się przy kominku, z nogami na mosiężnej kracie przed ogniem, i sącył francuską brandy.

Lucien nie zamierzał mu żałować pierwszorzędnego trunku, gdyż Jacob Donnelly sprawował niepodzielną kontrolę nad handlem przemycaną do Londynu brandy i hojnie zaopatrywał piwniczkę przyjaciela.

- Czemu zawdzięczam ten zaszczyt? - spytał Lucien, napełniając sobie kieliszek.

Lokaje wiedzieli, że powinni trzymać się z daleka od tego pokoju, a de Malheur przywykł do zajmowania się sobą.

Jacob podniósł na niego wzrok. Był niezwykle przystojnym, wysokim mężczyzną o długich nogach i obliczu atrakcyjnym zarówno dla pomywaczki i ładacznicy, jak i hrabiny. Innymi słowy, nie mógł bardziej różnić się od Luciena. Choć okaleczony arystokrata i przystojny król londyńskich złodziei wydawali się całkowicie niedobraną parą, ich współpraca układała się wręcz doskonale.

Donnelly potrząsnął gęstymi włosami.

- Ludzie na ulicy mówią to i owo - odezwał się niskim głosem, będącym osobliwą mieszanką języka irlandzkiego, ulicznej gwary i arystokratycznych wtretów, które obły mu się o uszy.

Jacob był doskonałym naśladowcą. Sam dbał o siebie, odkąd uciekł bogatym plantatorom wykorzystującym go do niewolniczej pracy. Miał wówczas zaledwie osiem lat i Lucien nie wątpił, że jego druh i partner w interesach przeżył piekło na ziemi.

- Jak to zwykle na ulicy - zauważył Lucien, podchodząc do ognia. Noc była chłodna, a jego chromą nogę przeszywały bolesne skurcze. - Czyżbyś wiedział coś, co mogłoby mnie zainteresować?

- Niewykluczone. Wygląda na to, że księżę Carrimore i jego śliczna młoda żona przyjeżdżają do miasta. Rzecz jasna, przywiozą brylanty, które tak uwielbia księżna.

Moim zdaniem należałoby ją uwolnić od części kolekcji... Szlachetne kamienie niepotrzebnie odwracają uwagę od naturalnej urody tak uroczej damy.

- Twoje słowa mają głęboki sens - przyznał Lucien z uśmiechem. - Staruszek jest tak zauroczony, że ochoczo podaruje jej nowe, a ona z lubością rzuci się w wir zakupów. Eugenia łatwo się nudzi, o czym wiem doskonale, i pewnie ma już dość swojej dotychczasowej kolekcji biżuterii. Czy jesteś zainteresowany całością jej zbiorów, czy tylko wybranymi okazami?

- Och, trzeba się zaopiekować całą zawartością jej skarbczyka - oświadczył Jacob leniwie. - Po co zawężać horyzonty?

- W istocie. Jeśli nie zmienili obyczajów, wkrótce wydadzą bal z okazji powrotu do Londynu. Kto ma się wcielić w rolę mojego lokaja na tę noc? Wiem, że Billy Banks jest twoim ulubionym kasiarzem i wybornie udaje znudzonego sługę, ale chyba zbyt często zlecaliśmy mu robotę. Nie znasz kogoś równie dobrego na jego miejsce?

- I owszem. Siebie.

Jacobowi udało się wprowadzić przyjaciela w zdumienie.

- Siebie? - powtórzył zaskoczony Lucien. - Czy na pewno to przemyślałeś? Generał nie staje w jednym szeregu z żołnierzami, gdyż musi wydawać rozkazy. Na pewno dysponujesz armią uzdolnionych złodziei. Któryś z nich mógłby się upodobnić do mojego sługi, zakraść się na piętro i otoczyć opieką brylanty lady Carrimore.

- Oczywiście, że mógłbym kogoś wysłać, ale chciałbym sprawdzić, czy nie straciłem dawnych umiejętności. Warto mieć jakiś fach w rękę, na wypadek katastrofy całej organizacji. Poza tym nie brak mi wrogów, gotowych w każdej chwili przejąć moją część Londynu, więc pragnę zademonstrować im, że nadal umiem wykonać prostą robotę. Kto wie, może potem przejdę na zasłużony odpoczynek. Od pewnego czasu ciągnie mnie w świat.

- Cóż za nedorzeczość - mruknął Lucien. - Przecież liczysz sobie dopiero trzydzieści parę lat. Jakże mógłbyś stracić umiejętności? Chyba niepotrzebnie ryzykujesz. Jeśli zostaniesz przyłapany na gorącym uczynku, całe twoje imperium legnie w gruzach, a ja stracę znaczny fragment dochodów. Nie są mi one niezbędne, rzecz jasna, ale jak zapewne wiesz, lubię to, co robię.

- Wiem o tym doskonale. Z niejednego pieca razem jedliśmy chleb i obaj lubimy wyzwania. Prawdę mówiąc, wcale nie potrzebujemy tych brylantów, a Carrimore pilnuje ich jak oka w głowie. Słyszałem, że jego służba czuwa przy skarbcu dzień i noc.

- Z pewnością uporałbyś się z tym zadaniem, stary druhu, ale po co ryzykować? - westchnął Lucien i zaśmiał się cicho. - Co za absurdalne pytanie. Obaj cenimy ryzyko. - Roześmiał się ponownie. - Jesteś nieco za wysoki jak na sługę.

- Wystarczy, że się pochylę.

Lucien usiadł naprzeciwko przyjaciela i wyciągnął chorą nogę.

- Nie wiem, czy mam na służbie kogoś o twoich gabarytach i z całą pewnością nie zamierzam ubierać mojego lokaja w niedopasowany frak - oznajmił.

- Znam ludzi, którzy uszyją stosowną liberię bez zadawania zbędnych pytań.

- Drogi chłopcze, czyżbyś sugerował, że ktoś miałby dość tupetu, aby zadawać mi pytania? - spytał Lucien z urazą w głosie.

- Nie, ale mogą szeptać za twoimi plecami. Moi ludzie nie poważąliby się na taki afront.

- Najwyraźniej trzymasz ich żelazną ręką. - Zmrużył oczy. - Skoro jesteś gotów zaryzykować, to zapewne ja również. Jeśli przyłapią cię na gorącym uczynku, zawsze mogę udawać, że nigdy cię nie widziałem.

- Jeżeli zrobi się gorąco, na pewno wezmę nogi za pas. Nie dam się zamknąć w więzieniu, nie cierpię ciasnych pomieszczeń.

- Trudno ci się dziwić. Zatem ustalone. Zawiadomię cię, kiedy tylko otrzymam zaproszenie. - Lucien umilkł na chwilę. - Masz jeszcze jakąś sprawę?

Donnelly opuścił nogi na podłogę.

- Doszły mnie słuchy, że zamierzasz się żenić - powiedział.

Lucien uniósł brwi, choć właściwie nie powinien się dziwić, że Jacob tak szybko dowiedział się o jego planach. Zawsze był doskonale poinformowany i jako król złodziei miał licznych informatorów. Tym razem wystarczyło, że Lucien zapytał kilka osób o jakieś drobiazgi związane ze ślubem i od razu rozeszły się plotki. Gdyby Jacob urodził się dzentelmenem, nie byłoby dla niego rzeczy niemożliwych.

- Czyżbyś pragnął życzyć mi wszystkiego najlepszego na nowej drodze życia? - wycedził. - Nie śpiesz się zbytnio. Potencjalna panna młoda jeszcze nie wie, co dla niej szykuję.

Jacob roześmiał się zdawkowo.

- Moim zdaniem to niedobry pomysł - oznajmił. - Wiem, na kogo polujesz i dlaczego, i uważam, że powinieneś zmienić plany. Pragnienie zemsty kłóci się z biznesem, a jako twój partner mam w tej sprawie coś do powiedzenia. Nie podoba mi się to, co zamierzasz. Zrobiłeś co należy, jeszcze ci mało? Zapomnij o tej dziewczynie.

- Jesteśmy partnerami w interesach, co nie znaczy, że masz prawo wtykać nos w moje prywatne sprawy. To, co robię ze swoim życiem, nie powinno cię zajmować - powiedział Lucien aksamitnym, ale stanowczym głosem. - Postanowiłem się ożenić i spłodzić dziedzica, a lady Miranda Rohan jest doskonałym materiałem na towarzyszkę życia.

- Nigdy dotąd nie rozważałeś możliwości ożenku. Co się zmieniło?

- Drogi chłopcze, czy naprawdę uważasz, że będę omawiał kwestie małżeńskie z osobami twojego pokroju?

Donnelly tylko zaśmiał się cicho.

- Tak właśnie uważam - oświadczył zuchwale. - Jestem jedynym człowiekiem, którego darzysz zaufaniem, przynajmniej umiarkowanym.

- Ufam ci w takim samym stopniu, jak ty mnie.

- A więc umiarkowanie - odparł Donnelly z szerokim uśmiechem. - Prawdę mówiąc, ja z kolei ufam ci w takim samym stopniu, jak komukolwiek innemu. Po prostu z natury jestem nieufny.

- I właśnie dlatego tak dobrze się rozumiemy. Nie przejmuj się lady Mirandą. Nie będzie miała powodów do smutku, przynajmniej na początku. Poza tym kto powiedział, że byłaby szczęśliwsza u boku innego mężczyzny?

- Za twoją sprawą nie będzie miała wyboru.

- Wynagrodzę jej to - powiedział Lucien z satysfakcją. - Zostanie hrabiną.

Donnelly pokręcił głową i wstał.

- Nie wydaje mi się, żeby zależało jej na tytułach. Na twoim miejscu dwa razy bym się zastanowił.

- Każdej kobiecie zależy na tego typu zaszczytach. Nie martw się o mnie. Któż z nas nie postępuje czasem wbrew rozsądkowi? Powinienem trzymać się z daleka od lady Mirandy, podobnie jak ty powinieneś zrezygnować z pielęgnowania złodziejskich umiejętności i zlecić pracę komuś innemu. Tyle tylko, że nie byłoby wówczas mowy o dobrej zabawie.

Donnelly słuchał z zainteresowaniem.

- Masz słuszość - zgodził się. - Ale dzięki mnie otrzymasz zacną porcję łupu, za to ja nie będę miał nic z twojego ożenku.

- Zyskasz wspólnika bieglejszego w radzeniu sobie z zemstą oraz interesami za jednym zamachem. A teraz idź już i daj mi pospać.

- Dopiero czwarta, wieczór ledwie się zaczął - zażartował Donnelly, kierując się do drzwi na balkon, żeby uniknąć spotkania z ciekawską służbą. - Nie daj się zamęczyć tej dziewczynie.

- Mam nadzieję, że to ja ją zamęcę, nie ona mnie. Zamierzam wywieźć ją jak najszybciej, żeby jej rodzina nie psuła nam miodowego miesiąca. Innymi słowy, przez kilka miesięcy tylko okazjonalnie zabawię w Londynie. Ufam, że nasz interes jakoś przetrwa beze mnie.

- A jakże, wasza lordowska mość - odparł Jacob z silnym, londyńskim akcentem. - Tylko uważaj, bo gdy wrócisz, może się okazać, że już cię nie potrzebujemy.

Lucien zmrużył oczy i uśmiechnął się z zaciśniętymi ustami. Wiedział, że ta mina budzi trwogę u jego służby i podwładnych, niemniej Donnelly wydawał się całkowicie niewzruszony.

- Nie licz na to, że zrezygnuję ze swoich inwestycji - wycedził Lucien.

- Zatem przyjmij ode mnie najlepsze życzenia. Kto wie, może w ramach prezentu ślubnego ofiaruję pannie młodej brylanty lady Carrimore.

- Sam podaruję mojej żonie brylanty, jeśli będzie ich potrzebowała.

- Więc wymyślę coś innego - zapowiedział Jacob i znikł w mroku.

Lucien pomyślał, że jego przyjaciel zachował sporo ze swojej dawnej, dziecięcej gracji. Znali się już od wielu lat. Młody Jacob trafił na statek, płynący ku wyspom tropikalnym, potem zaś znalazł pracę u dwóch bogatych plantatorów, którym po pewnym czasie uciekł i dotarł do ruin posiadłości La Briere, należącej do rodziny de Malheurów. Lucien mieszkał tam samotnie, gdyż tylko jemu udało się przetrwać epidemię cholery. Młodzi mężczyźni, a właściwie chłopcy, przywiązali się do siebie, a zbliżyło ich wspólne pragnienie powrotu do Europy.

Ostatecznie udało się im przepłynąć ocean i Jacob trafił do Londynu, gdzie w ciągu dekady przejął kontrolę nad połową półświatka złodziei i przemytników. Nie musiał już osobiście wykonywać brudnej roboty, miał od tego zastępy ochoczych podwładnych.

Z kolei Lucien dotarł do Włoch, gdzie zbił fortunę na grze w karty. Kiedy pierwszy raz pojawił się w Londynie, mógł się poszczycić majątkiem, o jakim jego przodkowie nawet nie śnili. Sukces zawdzięczał ręce do kart oraz skłonności do oszukiwania przy każdej okazji. Zażyłość ze starym przyjacielem Jacobem tylko powiększyła jego bogactwo.

Rzecz jasna, okłamał lady Mirandę. Uważnie obserwował swoich wrogów, ona zaś była jego wrogiem z racji urodzenia. Wiedział, że propozycja przyjaźni poruszy młodą damę do głębi, ale tak naprawdę wcale nie dostrzegał w niej bratniej duszy. W zupełności wystarczała mu przyjaźń z Jacobem. Jeśli jednak ktokolwiek miał ozdobić brylantami piękny, alabastrowy dekolt Mirandy Rohan, to tylko on, Skorpion.

Był pewien, że w ten sposób doprowadzi jej rodzinę do szału.

Rozdział piąty

Na srebrnej tacce leżał list w białej kopercie, na której widniało nazwisko Mirandy, nakreślone subtelnym charakterem pisma. Zaskoczona Miranda wbiła wzrok w przyniesioną przez kamerdynera przesyłkę. Jane, zajęta porządkowaniem wielobarwnych wstążek, zaniepokoiła się milczeniem przyjaciółki i podniosła na nią wzrok.

Przybycie Jane Pagett niemal wyrwało Mirandę z chandry, która nie minęła nawet po wizycie u Skorpiona. Jane zaręczyła się z panem George'em Bothwellem, jegomościem bez wątpienia zacnym i przyzwoitym, i przed ślubem przyjechała na krótko do stolicy, żeby zrobić niezbędne zakupy. Niestety, była w niemal równie podłym nastroju jak Miranda.

- To zaproszenie - zauważyła niepotrzebnie. - Nie sądziłam, że jeszcze kiedyś zostaniesz gdziekolwiek zaproszona. Czyżbyś wreszcie odpokutowała winy i mogła trafić z powrotem na salony?

- Śmiem wątpić - mruknęła Miranda.

Wcale nie miała ochoty otwierać przesyłki, której nadawcą był zapewne Lucien de Malheur. Minął już cały tydzień od jej wizyty w domu hrabiego, a rzekomy przyjaciel nie odezwał się ani słowem. Oczekiwała przynajmniej krótkiego listu, ewentualnie kwiatów w dowód pamięci, lecz do tej pory nie otrzymała zupełnie nic. Ostatecznie doszła do wniosku, że hrabia wcale nie bawił się równie dobrze, jak ona. Właściwie nie powinna się dziwić, ale i tak żałowała, że tak się dzieje. Od wielu tygodni nie zdarzyło się jej prowadzić równie inteligentnej rozmowy, a od ponad roku nie gawędziła z nikim spoza rodziny, nie licząc Jane.

Postukała palcami w kopertę. Jeśli w środku znajdował się list, którego oczekiwała, to nadszedł ze znacznym opóźnieniem, a poza tym pragnęła w samotności poznać jego zawartość. Sama nie była pewna, co czuje do Luciena, więc nie miała zamiaru rozmawiać o tym z kimkolwiek.

- Nie otworzysz? - pośpieszyła ją Jane i wstała z podłogi, porzucając wstążki.

Była wysoka i ciemnowłosa, podobna do swojej matki, lecz brakowało jej nadzwyczajnej urody hrabiny Montague, Evangeliny Pagett, jak również wyniosłej

elegancji jej męża, pana Pagetta. Wydawała się trochę za chuda i nieco bezbarwna, wielokrotnie jednak dowiodła, że jest najlepszą przyjaciółką na świecie.

- Później. - Miranda odłożyła list na tackę.

- Wykluczone. - Nim Miranda zdołała ją powstrzymać, Jane chwyciła kopertę. - Moje życie mnie ogłupia, więc pozwól mi przynajmniej cieszyć się twoim szczęściem.

Miranda zerwała się na równe nogi i sięgnęła po kopertę, którą Jane ze śmiechem uniosła nad głową.

- Wkrótce wyjdiesz za dobrego mężczyznę, który cię uwielbia, zamieszkas w ślicznym domu, urodzisz cudowne dzieci i... - Miranda spojrzała surowo na przyjaciółkę i opuściła rękę. - Dlaczego robisz taką minę? Tylko mi nie mów, że nie jesteś szczęśliwa.

Jane usiłowała uśmiechnąć się pogodnie, ale Miranda dostrzegła w jej oczach ból i momentalnie zapomniała o liście.

- Nic nie jest takie, jakie się wydaje na pierwszy rzut oka - zaczęła Jane ostrożnie. - Pan Bothwell uważa, że nadaję się na żonę i bez trudu urodzę mu dzieci, co jest dla niego bardzo istotne, gdyż pragnie dziedzica. Podoba mu się to, że jestem cicha i spokojna, ceni moje pochodzenie, dobre wychowanie i nienaganne prowadzenie się. Słowem, jego zdaniem jestem doskonałym materiałem na matkę.

- Materiałem na matkę? - powtórzyła Miranda z oburzeniem. - I ty przyjęłaś oświadczyzny tego aroganta?

- Mirando, mam już dwadzieścia trzy lata. Od pięciu lat uczestniczę w życiu towarzyskim stolicy i nikt mi się nie oświadczył, a pan Bothwell jest dżentelmenem o znaczących dochodach - wyjaśniła drżącym głosem Jane.

- Czy twoi rodzice przyzwolili na tak skandaliczny związek?

- Dajże spokój - zachnęła się Jane. - Zapewniłam ich, że kocham pana Bothwella do szaleństwa, więc się zgodzili. Przecież nie mogę mieszkać z nimi wiecznie i chcę mieć dzieci. Pragnę żyć własnym życiem, a pan Bothwell na pewno sprawdzi się jako mąż.

Miranda długo milczała, ale w końcu objęła Jane w pasie i oznajmiła:

- Kochana, powinnaś była mu odmówić. Mogłabyś zamieszkać ze mną. Stałybyśmy się starymi, zdziwaczałymi pannami, które znoszą do domu bezpańskie koty,

chodzą w niemodnych, ekscentrycznych sukniach i mówią rzeczy, których mówić się nie powinno. Bawiłybyśmy się przednio.

- Nie, wcale nie. - Jane pokręciła głową. - Nie przekonasz mnie, że jesteś szczęśliwsza ode mnie.

- Radzę sobie całkiem nieźle. Poza tym zasługuję na ostracyzm, uciekłam z mężczyzną, pamiętasz? A ty zasługujesz na kogoś, kto cię obdarzy szczerą miłością.

- Każda kobieta zasługuje na takiego męża, jednak nie zawsze dostajemy to, co nam się należy. - Jane wręczyła przyjaciółce kopertę. - Najlepiej zmieńmy temat. Może rzucimy okiem na twoje zaproszenie.

Miranda posłała jej jeszcze jedno zatroskane spojrzenie i opuściła wzrok na przesyłkę. Pismo wyraźnie wskazywało na kobietę, a zatem autorem nie był de Malheur. Mimo to Miranda poczuła ukłucie rozczarowania, kiedy ze środka wysunął się bilecik z zaproszeniem na maskaradę, organizowaną przez księcia i księżną Carrimore'ów z okazji ich piątej rocznicy ślubu. Pokazała zaproszenie Jane, a następnie rzuciła je niedbale na tackę i usiadła przy kominku.

- To bardzo miło z ich strony - westchnęła. - A raczej ze strony jego książęcej mości, który w dzieciństwie ogromnie podziwiał mojego dziadka skandalistę i zawsze był dla mnie miły, bez względu na okoliczności. Nigdzie nie pójdę, rzecz jasna.

- Przeciwnie, pójdziesz - obwieściła Jane stanowczo. - Ja również zostałam zaproszona. Wiesz doskonale, że nie mam szansy sprowadzić rodziców do miasta, a przecież nie udam się tam sama. Gdyby pan Bothwell bawił w mieście, nie przyjąłby zaproszenia, gdyż nie przepada za balami maskowymi. Jeżeli nie wybiorę się z tobą, już nigdy nie wezmę udziału w maskaradzie, a poza tym okropnie chciałabym zobaczyć brylanty lady Carrimore. Podobno jeden z nich jest wielkości gołębiego jaja.

- Carrimore'owie urządzą wiele przyjęć, które z pewnością nie będą tak szokujące dla twojego wrażliwego wybranka. Bothwell zabierze cię jeszcze na niejeden bal.

- Bothwell w ogóle nie przepada za Carrimore'ami. Uważa, że to nieodpowiednie towarzystwo i nie chce obracać się w ich kręgach.

- A co mówi o mnie?

- Nie ośmieliłby się krytykować ciebie - odparła Jane odrobinę zbyt pośpiesznie. Miranda wiedziała, co o tym myśleć. - Bardzo cię proszę, kochana, od wieków nie byłaś na żadnym przyjęciu. Jeśli ktoś powie złe słowo na twój temat, będzie miał do czynienia ze mną. Zachowujesz się tak, jakbyś dopuściła się najgorszej potworności. Jakbyś wzięła udział w orgii, zorganizowanej przez Niebiańskie Zastępy.

- Pod warunkiem, że Niebiańskie Zastępy organizują orgie - zauważyła Miranda. - Tak naprawdę nikt nie wie, czym zajmuje się ta organizacja.

- Orgie... - powtórzyła Jane głucho. - Byłabym rozczarowana, gdyby członków Zastępów interesowały bardziej umiarkowane rozrywki. Jakoś musieli zapracować na swoją koszmarną reputację, prawda? Ale nie odbiegajmy od tematu. Nie chodzi o Niebiańskie Zastępy, tylko o eleganckie przyjęcie, wydane przez księżęcą parę. Nie zapominaj, że większość gości zjawi się w maskach i w pelerynach. Nikt nie musi wiedzieć, kim jesteśmy. Przyjdziemy, pokręcimy się trochę i pośmiejemy z głupio wystrojonych gości, a potem wrócimy do domu, aby napić się szampana i dziękować Bogu, że nie żyjemy tak jak tamci ludzie. Pan Bothwell powiada, że brylanty są zbyt krzykliwe i ostentacyjne, dlatego chętniej widzi mnie w bardziej stonowanych kamieniach, takich jak gagaty.

- Chyba w pierwszej kolejności powoduje nim oszczędność - mruknęła Miranda.

Jane była jej powierniczką od dzieciństwa i przyjaźniły się szczerze, podobnie jak ich matki. Miranda uświadomiła sobie jednak, że ani słowem nie wspomniała Jane o swoim nocnym rendez-vous z Lucienem, właściwie nie wiadomo dlaczego. Ponownie się zawahała. Skoro Carrimore'owie do tego stopnia zniżyli loty, że chcieli ją widzieć na własnym przyjęciu, to z pewnością zaprosili też de Malheura. Najwyraźniej zapomniał o jej istnieniu, więc bal był doskonałą okazją do spotkania. Choć Miranda przywykła do ostracyzmu ze strony wyższych sfer, nie zamierzała akceptować obojętności takich wyrzutków towarzyskich, jak Skorpion.

- Zgoda, pójdę z tobą - postanowiła. - Pod warunkiem, że wyjdziemy przed planowanym zdjęciem masek. Goście wpadną w szal, jeśli się dowiedzą, że okazywali uprzejmość pospolitej ładacznicy.

- Dość! Nie jesteś ladaczną! Zachowujesz się dziwnie, Mirando. Wiesz, że czeka nas pyszna zabawa, jak za dawnych czasów. Nikt nas nie rozpozna, więc będziemy mogły zachowywać się całkowicie niestosownie.

- Sądzę, kochana, że większość ludzi nie spodziewa się po mnie niczego innego - zauważyła z ironią Miranda.

- Och, nie to miałam na myśli - zaprotestowała Jane. - Chodziło mi raczej o miejsca, do których nie powinnyśmy chodzić, i o ignorowanie ludzi, z którymi nie chcemy rozmawiać. Wkrótce utkwę w pułapce małżeństwa, a jest tyle ciekawych miejsc do obejrzenia, tyle fascynujących rzeczy, na które mam ochotę... Pozwól mi być sobą, Mirando!

- Powinnaś była zostać żeglarzem, kochana. - Miranda z przyjemnością zauważyła, że oczy Jane błyszczą. - Na kiedy jest planowany ten bal?

- Nie przeczytałaś? Przyjęcie odbędzie się za trzy dni. My dostaliśmy zaproszenie kilka tygodni temu, najwyraźniej twoje przyniesiono z opóźnieniem.

- Albo dopiero w ostatniej chwili postanowiono dopisać mnie do listy gości - powiedziała trzeźwo Miranda. Może ktoś namówił parę książęcą? Ktoś wpływowy i tajemniczy?

- Chętnie zdobędę dla nas peleryny i maski - zaoferowała Jane z zapalem.

Miranda wiedziała, że popełnia błąd, podobnie jak wtedy, gdy postanowiła iść na wieczorek muzyczny u de Malheura. Mimo to zamierzała wybrać się na maskaradę, nie zważając na opinie starych nudziar, które byłyby wstrząśnięte, rozpoznawszy ją pod maską.

- Ja chcę czerwoną - oświadczyła zdecydowanie, a z brązowych oczu Jane znikły resztki smutku.

Nadszedł wieczór balu u księcia i księżnej Carrimore'ów, a Miranda w skrytości ducha kipiała złością. Dlaczego tak bardzo przejmowała się osobnikiem pokroju Luciena de Malheura? Co prawda wyratował ją z opresji, zaprosił na wieczorek muzyczny, spędził z nią kilka godzin sam na sam, rozmawiał, oczarował ją swoim ironicznym

poczuciem humoru oraz ekscentrycznym urokiem, ale od tamtej nocy nie dał znaku życia.

W pewnej chwili przeszło jej przez myśl, że wyjechał z miasta, ale przypadkiem usłyszała rozmowę dwóch przysadzistych matron, które zawzięcie plotkowały o najnowszym skandalu. Podobno Lucien de Malheur pojawił się w operze i zadał z pewną tancerką, co mogło świadczyć o tym, że najzwyczajniej w świecie zapomniał o Mirandzie. Być może uznał ją za koszmarną nudziarę. Cóż, pomyślała, mówi się trudno, i doszła do wniosku, że tak naprawdę pragnie jedynie ciszy i spokoju w rodzinnym domu w Dorset, nieopodal wysokich urwisk. Wcale nie chodziło o to, że nosiła się z zamiarem ucieczki - przecież nie miała przed kim uciekać.

Jane nie posiadała się z entuzjazmu, gdy zjawiała się w jasnoblękitnej pelerynie, ze szkarłatną, zamówioną przez Mirandę w rękach. Na ulicy przed posiadłością Carrimore'ów roiło się od powozów, a kiedy wynajęta przez Jane dorożka zajechała pod drzwi, Miranda już żałowała swojej pochopnej decyzji. Było jednak za późno na rejteradę. Lokaje błyskawicznie rozłożyli schodki i otworzyli drzwi, więc Miranda nasunęła kaptur na głowę, poprawiła maskę i podążyła za przyjaciółką.

Wkrótce jej nastrój się poprawił, gdyż usłyszała muzykę, dobiegającą z sali balowej na drugim piętrze budynku. Od dawna nie tańczyła, a przecież uwielbiała taniec. Tego wieczoru nie musiała się zastanawiać, kto jest mile widziany na salonach, a kto nie, kto jest odpowiednim partnerem, a kogo lepiej unikać. Skoro już tu przybyła, mogła się bawić do utraty tchu, nie myśląc o codzienności.

Jej przyjaciółka czuła się jak ryba w wodzie, gdyż nareszcie nie musiała stosować się do licznych ograniczeń, narzuconych przez pana Bothwella. Gdyby Miranda była wówczas w pobliżu, z pewnością przekonałaby przyjaciółkę, że nie powinna przyjmować oświadczeń. Niestety, sprawa rozegrała się na salonach, na których Miranda nie była mile widziana. Sprawy zaszły za daleko, więc Jane nie mogła już się wycofać.

Wkrótce przyjaciółka zniknęła na parkiecie, porwana przez dostojnego młodzieńca w uniformie i masce, zasłaniającej połowę jego urodziwej twarzy. Miranda omal nie wybuchła śmiechem na widok zaskoczonej miny przyjaciółki, a zaraz potem naprawdę się rozbawiła, kiedy ukłonił się jej starszawy dżentelmen. Bez wahania dała się

zaprowadzić na parkiet i ruszyła do tańca, po raz pierwszy od lat. Gdy wirowała, kaptur zsunął się z jej głowy, ale nie miała nic przeciwko temu, gdyż skromnie uczesane, brązowe włosy nie wyróżniały się niczym na tle innych fryzur, maska zaś uniemożliwiała zidentyfikowanie jej oblicza. Mogła więc tańczyć, flirtować i śmiać się głośno, a i tak nikt nie wiedział, że jest gościem niemile widzianym i okrytym hańbą.

Na balu obowiązywała pełna swoboda, nie trzeba było umawiać tańców, więc Miranda zmieniała partnerów jak rękawiczki i tańczyła, póki całkiem nie opadła z sił. Wtedy ogłoszono kolację, więc goście parami ruszyli do suto zastawionych stołów, ale Miranda postanowiła dyskretnie się wycofać. Maska zasłaniała jej dwie trzecie twarzy, co uniemożliwiała jedzenie, a w dodatku jadalnia była skąpana w świetle.

Schroniła się w cieniu i ponownie nasunęła kaptur na głowę. Niemądrze zażyczyła sobie szkarłatną pelerynę, ale na szczęście pod względem krzykliwości stroju i tak nie dorównywała niektórym osobom na balu. Zerknęła na rząd wdów pod ścianą, zajętych obserwacją swoich podopiecznych. Właśnie te podstarzałe damy najbardziej pogardzały Mirandą, która teraz ze specyficzną przyjemnością dołączyła do ich gromadki. Wdowy niepewnie skinęły jej głowami, a ona odpowiedziała im tym samym i usiadła na krzeselku z prostym oparciem, wsłuchując się w plotkarskie pogawędki. Wiedziała, że nikt nie spróbuje jej zwabić do jadalni, a tak było bezpieczniej. Musiała tylko przestać myśleć o doskwierającym jej głodzie.

Wkrótce jednak starsze panie zaczęły ją irytować, gdyż doszukiwały się wad u każdego, kogo udało się im rozpoznać, więc wstała, aby ukryć się w jeszcze głębszym cieniu, jak najdalej od ludzi. W pomieszczeniu panował taki upał, że Miranda postanowiła wyjść na świeże, chłodne powietrze. Przed salą balową nie było tarasu, wycofała się zatem i w mrocznym zakątku natrafiła na uroczy stolik oraz krzesło. Przyszło jej do głowy, że Jane mogłaby wykraść z jadalni ciastko albo inną przekąskę, żeby poratować głodującą przyjaciółkę. Ponieważ jednak Jane gdzieś zniknęła, Miranda usiadła i zamarła w oczekiwaniu.

- Czyżby zmęczył panią taniec, lady Mirando? - spytał nagle aksamitny głos, który momentalnie rozpoznała.

Obecność Luciena de Malheura zaskoczyła ją do tego stopnia, że drgnęła i gwałtownie podniosła głowę. Dopiero po chwili pomyślała, że powinna po prostu go zignorować, lecz było już za późno.

- Witam, hrabio Rochdale - odparła z rezerwą. - Nie sądziłam, że zastanę tu pana.

- Doprawdy? Carrimore'owie słyną z gościnności. Nawet tak niekwestionowany łotr jak ja ma tutaj prawo wstępu.

- Podobnie jak niekwestionowana pariaska taka jak ja - dodała głosem przesiąkniętym fałszywą słodyczą. - Nie zatrzymuję waszej lordowskiej mości. Na pewno ma pan mnóstwo ważnych obowiązków towarzyskich.

Znieruchomiał, spoglądając na nią z góry.

- Czyżbym panią uraził? - zapytał. - Proszę mi powiedzieć, czym sobie zasłużyłem na pani gniew?

Żadną miarą nie mogła mu wyznać prawdy, gdyż tylko naraziłaby się na śmieszność.

- Absolutnie niczym - odparła lekko.

Jego uśmiezek ani trochę nie przypadł jej do gustu. Maską hrabiego nie zasłaniała zdecydowanej większości jego blizn, za to ubrany był nader elegancko, w czerń i srebro. Gałkę jego laski zdobił wielki rubin.

- Miło mi to słyszeć. Czy mogę do pani dołączyć?

- Czekam na kogoś.

- Doprawdy? - Jego ton wydał się jej raczej dziwny.

- Tak - potwierdziła stanowczo. - Zaraz przyjdzie osoba, która mi towarzyszy.

- Hm. - Niezrażony Lucien zajął krzesło naprzeciwko Mirandy. - Chyba pozwoli pani kalece odpocząć przez moment? Choć nie biorę udziału w żywiolowych tańcach, noga rozbolała mnie niepomierne.

- Trudno nazwać pana kaleką. - Nie miała ochoty uczestniczyć w jego gierkach.

Lucien puścił jej słowa mimo uszu.

- Proszę mi powiedzieć, drogie dziecko, czy czeka pani na mężczyznę, czy na kobietę? Kto przyprowadził panią na bal? Z pewnością nie przyszłaby pani sama.

- Otrzymałam zaproszenie, wasza lordowska mość - odparła.

- A jakże. Osobiście o to zadbałem.

Zaskoczonej Mirandzie na chwilę odebrało mowę. Co prawda podejrzewała, że tak właśnie było, nie sądziła jednak, że hrabia się do tego przyzna.

- Dlaczego? - zapytała w końcu.

- Wyjaśnię pani, kiedy uzyskam odpowiedź na swoje pytanie. Kto panią tutaj przyprowadził, kobieta czy mężczyzna?

- Skąd to zainteresowanie?

- Obawiam się, że jeżeli przysłała pani z mężczyzną, każę go zabić. - Wypowiedział te słowa lekkim tonem i uśmiechnął się pod nosem, więc Miranda nie rozumiała, czemu przeszył ją dreszcz.

- O ile mi wiadomo, korona nie aprobuje pojedynków - oznajmiła po chwili.

- Och, rzadko kiedy uczestniczę w pojedynkach, zbyt ciężko stąpam. W spornych wypadkach wolę opłacać siepaczy. Nie są tani, ale na szczęście łatwo ich znaleźć.

- Doprawdy? Gdybym podała panu nazwisko jakiegoś człowieka, dopilnowałby pan jego usunięcia?

- O ile mi wiadomo, Christopher St. John nie bawi już w Anglii. Jeśli wróci, z radością każę go ukatrupić.

Miranda zamarła. A zatem Lucien de Malheur znał szczegóły jej upadku i wiedział, kto był jego sprawcą.

- Szkoda, że wyjechał - powiedziała spokojnie. - Jego śmierć znakomicie poprawiłaby moją samoocenę.

- Kto panią przyprowadził? - powtórzył hrabia, nie przestając się uśmiechać.

Miranda miała ochotę skłamać, tylko po to, by zobaczyć, co z tego wyniknie.

- Przyszłam w towarzystwie mojej najlepszej przyjaciółki Jane - wyznała w końcu.

- Sądziłyśmy, że nikt nas nie rozpozna. Jane wkrótce wstąpi w niedobry związek małżeński, więc postanowiła nacieszyć się wolnością.

- Rozpoznałem panią w ułamku sekundy, lady Mirando. Niechże mi pani powie, czy przypadkiem nie wpadła pani w tarapaty w podobnych okolicznościach? Przecież pani również chciała nacieszyć się wieczorem nieszkodliwej zabawy.

Nie spuszczała z niego wzroku.

- Jak to możliwe, że jest pan tak wtajemniczony w szczegóły mojego upadku?

- Całe miasto zna szczegóły pani upadku, drogie dziecko - odparł. - Trudno się dziwić.

- Dżentelmen na pewno nie wspomniałby o tej historii - oznajmiła sztywno.

- Marny ze mnie dżentelmen - zripostował.

Miranda bynajmniej nie zamierzała z nim polemizować.

- Jeśli Jane wywoła skandal, a niedoszły mąż odwoła ślub, to tylko z korzyścią dla niej - oznajmiła. - Lepiej żyć w staropanieństwie, niż wiązać się z kimś, kogo się nie kocha.

- Jest pani taka młoda... - westchnął z rozczeniem. - Proszę mi podać godność tego człowieka, a zrobię z nim porządek.

- Dlaczego jest pan dzisiaj tak żądny krwi?

- Nie zamierzam go zabić, Mirando. - Zauważyła, że z przyjemnością wypowiedział jej imię. - Mogę jednak doprowadzić do odwołania ślubu.

- Jane wmawia sobie, że chce wyjść za mąż.

- A pani uważa, że źle wybrała. Ufam pani osądowi. Jak nazywa się narzeczony panny Jane?

Miranda nie wytrzymała i wybuchła śmiechem. Lucien de Malheur zachowywał się absurdalnie, ale był uroczy.

- George Bothwell, ale proszę nic nie robić - odparła. - Jane nie wybaczyłaby mi, gdybym zaprzepaściła jej nadzieje na przyszłość.

- Panna Jane nie musi o niczym wiedzieć. - Wstał i wsparł się na lasce. - Proszę iść ze mną, Mirando, rzucił pani okiem na nadzwyczajnie prostackie klejnoty księżnej pani. Poza tym powinna pani zaczerpnąć świeżego powietrza. Proszę przestać kryć się po kątach jak trędowata. Miło mi tutaj z panią, ale dlaczego nie tańczy pani jak jej przyjaciółka?

Ruchem głowy wskazał Jane, która wirowała w walcu, zbyt zajęta, aby zwracać uwagę na otoczenie. Miranda zastanawiała się, jak to możliwe, że Lucien rozpoznał jej przyjaciółkę, ale postanowiła nie pytać.

- Czyżby prosił mnie pan do tańca?

- Niezupełnie - zaprzeczył z krzywym uśmiechem. - To doświadczenie raczej nie byłoby dla pani przyjemne. Z pewnością jednak znajdzie pani wielu godnych uwagi kawalerów, którzy nie zwracają uwagi na uprzedzenia salonów. Albo, jeśli pani woli, chodźmy na spacer. Carrimore House to potężny gmach i warto go zwiedzić. Moglibyśmy znaleźć jakieś ustronne miejsce na pogawędkę.

- Przez ostatni tydzień niespecjalnie zależało panu na pogawędkach ze mną - powiedziała, zaskakując samą siebie.

Dlaczego nie ugryzła się w język?

- Stęskniła się pani za mną, Mirando? Uznałem, że nie powinienem być natrętny. Gdybym wiedział, że usycha pani z tęsknoty za moją skromną osobą, z pewnością odezwałbym się wcześniej.

- Wcale nie usychałam! - oburzyła się.

- Wiem, wiem, drogie dziecko. - Podsunął jej ramię. - Udajmy się zatem na przechadzkę.

Miranda wiedziała, że postępuje nieroztropnie, ale wstała i wzięła go pod rękę.

Rozdział szósty

Tymczasem Jane wcale nie bawiła się tak dobrze, jak mogłoby się na pozór wydawać. Szybko zaczęła żałować, że namówiła Mirandę na przyjscie na bal. Właściwie nie spodziewała się po nim szczególnych uciech, ale jej przyjaciółka wydawała się tak samotna, że trzeba było zapewnić jej rozrywkę.

Z początku wszystko układało się jak najlepiej. Miranda tańczyła, a choć Jane cierpiała z powodu dwóch lewych nóg swojego lekko wstawionego partnera, to jednak widząc radość na twarzy przyjaciółki, udawała, że bawi się pysznie. Niestety, kolejni tancerze również ciskali nią jak workiem ziemniaków. Prawdę powiedziawszy, bale były dla niej koszmarne wyczerpujące. Uważała się za osobę nieśmiałą, więc przeżywała piekielne męki, gdy prowadziła uprzejmą rozmowę z nieznanymi, jednocześnie przypominając sobie skomplikowane kroki tańca.

Sama była sobie winna, rzecz jasna. Miała fatalną skłonność do naprawiania niedobrych sytuacji, a w dodatku dręczyło ją sumienie, że tamtej pamiętnej nocy pozwoliła Mirandzie wyjść, zamiast pobiec z krzykiem po jej braci. Siedziała wtedy cicho, więc ponosiła częściową winę za tragedię przyjaciółki.

Miranda wyśmiałaby ją, gdyby wiedziała o jej wyrzutach sumienia. Nie, nie wyśmiałaby, poprawiła się Jane w myślach. Miranda nigdy nie drwiła z jej smutków. Była najlepszą, najukochańszą przyjaciółką na świecie i Jane pragnęła odwdziżyć się jej za wszystko, co od niej dostała.

Tyle tylko, że Miranda gdzieś przepadła.

Jane dopiero po pewnym czasie udało się zejść z parkietu. Dzięki masce, która zasłaniała jej banalną, zwyczajną twarz, nagle znalazła się w centrum uwagi niezliczonych dżentelmenów i była wyczerpana udawaniem kogoś, kim nie jest. Właściwie lubiła tańczyć, lecz z odpowiednim partnerem, a rzadko na takiego trafiała. Pan Bothwell był sztywny jak kij i nie cierpiał tańca, a jako kobieta zaręczona nie mogła pokazywać się na parkiecie z innymi mężczyznami. Ponieważ anonimowe tańce nie okazały się satysfakcjonujące, Jane była już gotowa wracać do domu i musiała tylko niepostrzeżenie znaleźć Mirandę. Aby uniknąć kolejnych propozycji, skierowała się na

tyły przestronnej sali. Założyła, że Carrimore House jest podobny do innych domów, w których się wychowała, więc znajdzie tam ukryte drzwi dla służby.

Wcisnęła się w kąt z tyłu sali i zamarła w oczekiwaniu. Po kilku minutach jej cierpliwość została nagrodzona, gdyż drzwi w ścianie się otworzyły. Jane bez zastanowienia rzuciła się do środka, niemal odpychając zdumionego lokaja, który chciał minąć próg, i znalazła się w jednym z korytarzy dla służby. Od razu dostrzegła nagie, brzydkie ściany oraz szarą podłogę, i wpadła w panikę. Musiała się stąd wydostać. Dopadła drzwi, ale zdążyły się zamknąć i teraz ani drgnęły, najwyraźniej zablokowane ukrytym mechanizmem. Jane rozejrzała się na boki, lecz nie miała pojęcia, którądy iść. Przyszło jej do głowy, że główne schody znajdują się z lewej strony, więc podążyła właśnie tam.

Wkrótce zrobiło się jej tak gorąco, że musiała zdjąć maskę i pelerynę, które przerzuciła przez ramię. Szła wąskim korytarzem, aż wreszcie dotarła do jego końca i w ścianie zauważyła ledwie widoczny zarys drzwi. Pchnęła je, a wtedy otworzyły się bezszelestnie i Jane ostrożnie weszła do ciemnego, pustego pokoju.

Przynajmniej wydawało się jej, że pomieszczenie jest puste. Po chwili usłyszała ciche skrobnięcie, a po drugiej stronie pokoju dostrzegła blade światło. Gdy jej oczy przywykły do półmroku, zauważyła zarys wielkiego łóża i zarumieniła się z zakłopotaniem. Chciała się wycofać, żeby nie naruszać prywatności osób, które zapewne korzystały z apartamentu, ale i te drzwi zamknęły się samoczynnie. Wymacała ich obrzeże i spróbowała je podważyć, ale udało się jej tylko wsunąć palce w szczelinę, gdy ktoś stanął tuż za nią.

Jane nie należała do dziewcząt, które wrzeszczą z byle powodu, ale zaskoczona, mimowolnie krzyknęła. Nieznajomy mężczyzna błyskawicznie odciągnął ją od drzwi i przycisnął wielką dłoń do jej ust.

- Co, do kata, robi w sypialni samotna panienska? - spytał niskim głosem, w którym usłyszała rozbawienie. Nie miał akcentu arystokraty, ale Jane była pewna, że służący nigdy nie odważyłby się jej tknąć. - Będiesz wrzeszczeć, jak zabiorę rękę?

Ostrożnie pokręciła głową, a on powoli cofnął dłoń.

- Grzeczna dziewczynka - mruknął z aprobatą.

Rzecz jasna, powinna była wrzasnąć, żeby wezwać pomoc, ale jej gardło ścisnęło się ze strachu, więc mogłaby co najwyżej pisnąć. Poza tym napastnik jej nie zagroził, a ona dała mu do zrozumienia, że będzie cicho. Gdyby narobiła hałasu, czułaby się tak, jakby złamała obietnicę.

- Szukałam kogoś - wyszeptała przez zaciśnięte gardło.

- Co za dureń kazał ci samotnie szukać sypialni? Ja przenigdy nie zostawiłbym cię samej i na pewno byś się nie zgubiła. Wskoczyłbym z tobą pod pierzynę, zanim ktokolwiek zauważyłby nasze zniknięcie.

Jane oblała się rumieńcem i przeszło jej przez myśl, że ten człowiek wygaduje straszne głupstwa. Na pewno nie robiłby tego, gdyby tylko ujrzał jej twarz. Mężczyźni niższego stanu nie mieli ochoty jej dotykać i ryzykować utratę pracy przez napastowanie damy z wyższych sfer. Po akcencie nieznanego poznała, że nie pochodzi z arystokracji, więc kim był?

- Szukałam przyjaciółki - wykrztusiła sztywno.

- Och, to fatalnie, panienko! - westchnął z uśmiechem. - Przykro myśleć, że marnujesz wdzięki na inną kobietę, skoro wokoło nie brakuje mężczyzn, gotowych wielbić ziemię, po której stąpasz.

Jane nieoczekiwanie wpadła w irytację, która wzięła górę nad jej wrodzoną nieśmiałością.

- W tym pokoju jest ciemno, łaskawy panie - wycodziła. - Gdyby mógł pan przyjrzeć mi się bliżej, od razu domyśliłby się pan, że nikt nie wielbi niczego, co ze mną związane.

Mężczyzna przez cały czas przyciskał ją do siebie, a jego ciało było przyjemnie ciepłe. Nagle Jane zauważyła, że jedno z wysokich okien, za którym znajdował się maleńki balkonik, jest uchylone.

- Ależ obejrzałem cię bardzo dokładnie - oznajmił nieznanomy. - Mam koci wzrok, widzę po ciemku.

Nie była pewna, jak na to zareagować, więc zmieniła temat.

- Właściwie co pan tutaj robi? - zapytała. - Czy na pewno ma pan cne zamiary?

- Niestety, nie - odparł niemal przeprasającym tonem. - Przyszedłem po brylanty lady Carrimore.

Wstrząśnięta Jane odetchnęła głęboko.

- Przecież ona ma je na sobie - wyjąkała.

- Och, to tylko drobna część jej kolekcji. Ma całe skrzynie biżuterii. A raczej miała, bo teraz jej piekielnie ciężkie klejnoty leżą w jedwabnym worku.

- Pan jest złodziejem! - wychrypiała. - To okropne!

- Niespecjalnie - zaprzeczył pogodnie. - Całkiem nieźle z tego żyję. I nie musisz uważać się nad biedną księżną. Jej mąż żyje z handlu niewolnikami, a te klejnoty nie należą do niej.

- Tylko do kogo? Zamierza pan odesłać je z powrotem do Afryki, wraz z porwanymi Murzynami?

- A skąd! - zachnął się. - Należą do mnie, tak samo jak przed kwadrans. Poszedłbym sobie już dawno temu, ale usłyszałem, jak skradasz się za ścianą i wolałem się upewnić, że nic mi nie grozi. I chyba jestem bezpieczny, dobrze myślę?

- Skąd ta pewność? - spytała Jane i ze zdumieniem poczuła, że mężczyzna obraca ją w ramionach i spogląda jej głęboko w oczy.

- Bo w głębi serca jesteś piratką, panienko, czuję to wyraźnie. Nie wydasz mnie, wiem o tym. - Jego wargi znajdowały się niebezpiecznie blisko jej ust. - Prawda?

- Właściwie... powinnam - wyjąkała.

Widziała tylko jego szeroki uśmiech i błyszczące oczy.

- Wiesz, że cię pocałuję, prawda? Nie powinienem, ale nie mogę się powstrzymać. A ty odwzajemnisz mi się tym samym...

Jego słowa wstrząsnęły nią bardziej niż świadomość, że spotkała złodzieja.

- W żadnym razie! - krzyknęła. - Mam narzeczonego, z którym wkrótce biorę ślub.

- Oby tylko twój wybranek cię docenił. To, co masz na palcu, trudno nazwać pierścieniem. Zaslugujesz na coś nieporównanie lepszego.

Natychmiast ukryła dłoń w fałdach sukni, aby złodziej nie patrzył na jej żałośnie skromny pierścienek.

- Mnie wystarcza w zupełności - powiedziała wyniośle.

- Nieprawda. Skąpy ten twój narzeczony, ale nic na to nie poradzę. Przygotuj się, panienko.

Po tych słowach pocałował ją w usta. Jane zamarła, gdyż zupełnie nie wiedziała, jak się zachować. Sytuacja była absurdalna i szokująca. Jane nie mogła wrzasnąć, a wolą nie wszczynać bijatyki. Nagle zorientowała się, że ta nieoczekiwana pieśczoła sprawia jej przyjemność, więc zamknęła oczy i poddała się woli nieznajomego. Kiedy w końcu odsunął głowę, oboje byli zadyszani.

- On nawet nie wie, jak cię całować - zauważył z nutą żalu i rozbawienia w głosie.

- Straszna szkoda, panienko.

Popatrzyła na niego w półmroku i powiedziała coś absolutnie niespodziewanego:

- Pocałuj mnie jeszcze raz.

Bez wahania spełnił jej prośbę. Przytulił ją mocno i podniósł z taką łatwością, jakby nic nie ważyła. Przeszło jej przez myśl, że niesie ją do łóżka, ale nie zaprotestowała. Przeszedł na drugi koniec pokoju, postawił ją na podłodze i przycisnął do ściany. Kiedy przywarł ustami do jej szyi, była pewna, że zamierza ją posiąść.

- Bywaj, panienko - wyszeptał niespodziewanie.

Po chwili znalazła się na korytarzu, zupełnie sama. Ukryte drzwi znikły na tle pokrytej adamaszkiem ściany.

Rozdygotana Jane zauważyła, że nieznajomy zarzucił na nią pelerynę, ale ciągle miała odsłoniętą twarz. Pośpiesznie wciągnęła kaptur, aby ukryć rozpalone oblicze. Po minucie lub dwóch ruszyła w stronę sali balowej, z której dobiegała głośna muzyka, a gdy napotkała kilkoro gości, usiadła na krześle przy oknie, żeby w spokoju dojść do siebie.

Miranda pomyślała, że popełnia błąd i że nie powinna nigdzie chodzić z tym człowiekiem. Gdy przemierzali korytarze, wyczuwała na sobie uważne spojrzenia mijanych osób, była jednak świadoma, że ich dezaprobata nie dotyczy jej, lecz Skorpiona.

- Dokąd idziemy? - spytała w pewnej chwili.

- Tam, gdzie można spokojnie porozmawiać. Mam pewne zadanie do wykonania i pomyślałem, że dotrzyma mi pani towarzystwa.

- Zadanie? - spytała z lekkim niepokojem, ale i ciekawością.

Jego słowa wydały się Mirandzie niedorzeczne. Jakie zadanie można mieć w trakcie balu maskowego? Poza tym ktoś taki jak Lucien de Malheur mógł zlecić każdą pracę swoim ludziom.

- Lepiej będzie, jeśli nie wtajemniczę pani w szczegóły. Musimy tylko zachować ostrożność na korytarzu i uważać na gości korzystających z sypialni.

- Dlaczego ludzie korzystają z sypialni, skoro bal jeszcze trwa?

- Drogie dziecko, jak może pani być upadłą kobietą, skoro jest pani tak niewinna? -

Uśmiechnął się. - Carrimore'owie są szalenie liberalnymi gospodarzami i trzymają sypialnie otwarte dla par, pragnących cudzołożyć.

Miranda postanowiła nie pokazywać po sobie, jak bardzo ją to zbulwersowało.

- Jak to? - zdumiała się. - Nie mogą iść do domu?

- Większość z nich ma żony i mężów, z którymi muszą mieszkać. Co nie znaczy, że chcą je bądź ich chędożyć.

Miranda wyrwała rękę z jego uścisku i cofnęła się o krok.

- Rozczarowuje mnie pan, wasza lordowska mość - powiedziała drżącym głosem. - Nie przypuszczałam, że ma pan równie niską opinię na mój temat, jak inni.

- Dlaczego tak pani mówi? Nigdy dotąd nie słyszała pani tego słowa? Ci ludzie właśnie tym się zajmują, a ubieranie ich procederu w ozdobne słówka świadczy o hipokryzji. Nie chciałem pani urazić.

- Kto tu jest hipokrytą? - burknęła, wpatrując się w niego z uwagą. - Takie słowo musi wywoływać silne reakcje, zwłaszcza u młodej damy z wyższych sfer. Co prawda, jak pan wie, nie jestem skromną dziewczyną na wydaniu, niemniej jeszcze nie tak dawno temu obracałam się w eleganckich kręgach i nie musiałam stykać się z rynsztokowym słownictwem. Czyżby nosił się pan z zamiarem uwiedzenia mnie? Och, przepraszam, wychędożenia?!

Nigdy dotąd nie wypowiedziała tego słowa na głos, więc niemal zaniemówiła ze wzburzenia. Była jednak zbyt wściekła, żeby zwracać na to uwagę. Jak mogła zaufać komuś takiemu, jak ten człowiek?

- Rozzłościłem panią - zauważył ze smutkiem. - Wcale nie miałem zamiaru. To tylko słowo, lady Mirando.

- Podobnie jak lafirynda, ladacznica, zdzira, wyrzutek. To też tylko słowa.

- Nie wspominając o słowie potwór - dodał. - Szubrawiec, łotr. Zapewniam panią, że sporo wiem o mocy słów. Nie podejrzewałem jednak, że jest pani przewrażliwiona.

- Wcale nie jestem przewrażliwiona - oświadczyła sztywno.

- Ależ i owszem. Przepraszam. Nie zamierzałem narazić na szwank naszej przyjaźni. - Wziął ją pod rękę i krzepiąco zacisnął palce na jej dłoni.

Czuła, że powinna się odsunąć, ale spoglądał na nią z góry zimnym, hipnotyzującym wzrokiem. Zależało jej na tym mężczyźnie i nie chciała go stracić. Przecież miała tak niewiele... Tyle tylko, że Lucien de Malheur naprawdę był niczym skorpion, gotowy zadać śmiertelny cios, kiedy jego wróg najmniej się tego spodziewa.

Nagle pogłaskał ją po policzku.

- Wybaczy mi pani, Mirando? - spytał łagodnie, a ona poczuła, że ponownie ulega jego urokowi.

Nic dziwnego, że nazywano go okaleczonym diabłem, Skorpionem, który hipnotyzuje ofiarę przed zadaniem śmiertelnego ukłucia. Żadne zabiegi Christophera St. Johna nie zdołały rozbudzić jej tak bardzo, jak jedno dotknięcie Skorpiona. Miała ochotę go pocałować.

- Oj, wybac, staruszk - odezwał się ktoś z końca korytarza.

Nieznajoma para znikła w oddali, chichocząc i wymieniając szeptem jakieś uwagi. Lucien odsunął się od Mirandy i nastrój przysł.

- Bez obaw - powiedział swoim cichym, uwodzicielskim głosem. - Nie rozpoznali pani. Teraz plotkują o mnie i o nieszczęsnej niebodze, którą zwabiłem w ustronne miejsce.

- A zwabił mnie pan?

- Skąd. Chciałem, żeby mi pani towarzyszyła podczas spotkania z przyjacielem, któremu pragnę pomóc. Nie ma mowy o żadnych sekretach. - Wskazał dwa krzesła we wnęce w ścianie. - Może usiadzimy? Stan zdrowia nie pozwala mi stać zbyt długo.

- Oczywiście - zgodziła się przejęta Miranda. - Nie pomyślałam o tym, przepraszam. Kiedy jestem z panem, zapominam o...

- O tym, że jestem potworem? - Wydawał się rozbawiony, choć usłyszała w jego głosie zaskoczenie. - Zatem jest pani absolutnym wyjątkiem. - Zaczekał, aż Miranda usiadzie i dopiero potem zajął miejsce naprzeciwko niej. - Za to ja muszę patrzeć na tę pani maskę i zastanawiać się, co pani sobie myśli.

Powiodła wzrokiem po pustym korytarzu, a potem rozwiązała tasiemkę i zdjęła maskę.

- Znacznie lepiej - oświadczył z aprobatą. - Jest pani śliczna, bez dwóch zdań.

- Nie sądziłam, że ma pan także wadę wzroku - odparła zuchwale. - Wyglądam zupełnie przeciętnie, o czym pan świetnie wie. Zwykle, brązowe włosy, banalny kształt twarzy, normalny wzrost, brązowe oczy jakich miliony.

Lucien słuchał jej z rozbawieniem.

- Podoba mi się to, że nie sposób pani onieśmielić, Mirando. Mam sokoli wzrok, a w półmroku widzę wręcz wybornie. Czyżby była pani aż tak spragniona komplementów, że chce je ze mnie na siłę wyciągać? Z pewnością jest pani nimi obsypywana.

- Bynajmniej - zaprzeczyła. - Ludzie uważają mnie za ucieleśnienie trywialności. Wyróżniam się tylko tym, że odebrano mi prawo wstępu na salony, ale to akurat trudno uznać za zaletę.

Obejrzał ją od stóp do głów tak uważnie, że przeszył ją dreszcz.

- Któregoś dnia opowiem pani, jak ją widzą mężczyźni - zapowiedział. - Wszystko w swoim czasie.

Rozchyliła wargi, żeby coś powiedzieć, gdy nagle usłyszała głuchy huk. Ktoś w sypialni uderzył czymś w ścianę.

- Cóż to było? - spytała zaskoczona.

- Jakaś nader niezdarna myszka - mruknął.

Na końcu korytarza pojawiła się inna wstawiona para. Gdy Lucien posłał nieznanym groźne spojrzenie, oboje zdrętwieli i pośpiesznie oddalili się w przeciwną stronę. Wszystko to stało się tak szybko, że Miranda nie zdążyła założyć maski. Miała tylko nadzieję, że zabrakło im czasu, by przyjrzeć się jej obliczu.

- Myszka? - powtórzyła z ironią.

Wyglądało na to, że Lucien czuwał na straży spokoju przyjaciela, który zażywał uciech cielesnych z cudzą żoną. Tyle tylko, że wcześniej twierdził, że nie miał przyjaciół, a raczej nie należał do osób gotowych robić przysługi przygodnym znajomym.

- Powolna, niezdarna myszka, która powinna się pośpieszyć - dodał ze znużeniem.

- A więc, może opowie mi pani o swojej rodzinie. Wiem, że ma pani braci. A siostry?

Miranda pokręciła głową.

- Tylko trzech braci - oparła. - Dziedzicem jest Benedick, najstarszy z nich. Ma żonę przy nadziei. Charles, mój środkowy brat, właśnie wrócił z Włoch, gdzie się ożenił. Najmłodszy Brandon jest cudowny, uwielbiam go. Obecnie przebywa w Yorkshire wraz z resztą rodziny, ale kiedy wróci, chętnie go panu przedstawię. Na pewno marzy o tym, aby pana poznać. Myślę, że pragnęłaby tego cała moja rodzina.

- Niewątpliwie - potwierdził z lodowatym uśmiechem.

Zza cienkiej ściany dobiegło głucho westchnienie, a potem szmer przyciszonej rozmowy.

- Ktoś tam dobrze się bawi - zauważyła pogodnie. - Czy dlatego stoimy na czatach?

Lucien zamrugął oczami.

- Dlaczego sądzi pani, że stoimy na czatach?

- Napomknął pan coś o przysłudze dla przyjaciela. Jak rozumiem, pilnujemy, żeby nikt nie zakłócił mu schadzki. Innymi słowy, w grę wchodzi wysoko postawiona persona, której kompromitacja mogłaby doprowadzić do obalenia rządu. Broniąc dostępu do przyjaciela, chroni pan królestwo. Czyż nie?

- Pani zdaniem zależy mi na dobru królestwa? - Był wyraźnie rozbawiony. - Niespecjalnie, ale to wytłumaczenie jest równie dobre, jak każde inne. Ludzie, przychodzący tu w poszukiwaniu pustej sypialni, zauważają nas i wycofują się skwapliwie. Dzięki temu życie jest prostsze, nieprawdaż? Ale po co o tym mówić, skoro

mamy ciekawsze tematy do rozmowy? Na przykład: czemu powitała mnie pani tak oschle? Czyżbym panią uraził?

- Prowadzi pan grę, a ja nie znam jej reguł - odparła po krótkim namyśle Miranda. - Powiem wprost: dziesięć dni temu spędziliśmy razem cudowny wieczór i sądziłam, że zostaliśmy dobrymi przyjaciółmi. Potem jednak nie odzywał się pan do mnie ani razu. Mogłam wyciągnąć tylko jeden wniosek: pan wcale nie podziela mojej chęci zacieśnienia przyjaźni. Teraz jednak ponownie z marszu wkracza pan w moje życie, jakby nigdy nic.

- Zapewniam panią, nigdy nie zdarza mi się maszerować - oświadczył chłodno. - Zatem irytuje panią, że nie zwracałem na panią dostatecznie dużo uwagi?

- Tak - potwierdziła, choć była świadoma, jak małostkowo brzmi to wyznanie.

Dlaczego nie skłamała, tak jak zrobiłby to każdy rozsądny człowiek na jej miejscu?

- Szczerłość to nader niepokojąca cecha. Nie jestem przyzwyczajony do obcowania ze szczerymi ludźmi.

- Przykro mi. Ma pan wielu znajomych, a ja tylko jedną przyjaciółkę. Przykładam wielką wagę do rozmów i...

- Dość! - przerwał jej ostro, a jego jedwabisty głos nagle stał się szorstki. - Nie starałem się pogłębić naszej znajomości z obawy przed ingerencją pani rodziny. Nie chciałbym budować przyjaźni, która mogłaby zakończyć się z dnia na dzień.

- Ale dlaczego moja rodzina miałaby sprzeciwiać się naszej przyjaźni? - zdumiała się Miranda.

- Obawiam się, że ludzie znają mnie z ciemnej strony mojej natury i wiedzą o moich niestosownych znajomościach - westchnął. - Większość rodzin odmawia mi wstępu do swoich domów.

- Bliscy nie dyktują mi, co mam robić. Żyję samodzielnie, więc nie będą mieli nic do powiedzenia, jeśli się zaprzyjaźnimy.

- Czy na pewno?

- Oczywiście - potwierdziła.

- Zatem zapraszam panią jutro na przejażdżkę. O szesnastej pokażemy się publicznie na Rotten Row, żeby stare plotkary miały o czym gadać.

- Nie widzę przeszkód.

W jego bladych oczach dostrzegła iskierkę triumfu, ale w tej samej chwili ktoś dwukrotnie stuknął w ścianę i hrabia wstał.

- A więc ustalone. Czy mogę odwieźć panią do domu?

Miranda pokręciła głową.

- Przyjechałam z przyjaciółką i muszę ją teraz odszukać.

- Ach, tak. Panna Pagett i jej żaloszny narzeczony. - Lucien wziął Mirandę pod rękę i oddalili się od tajemniczego pokoju. - Obawiam się, że ma pani niedobry wpływ na swoich przyjaciół, Mirando. Sprowadza pani pannę Pagett na złą drogę.

- Usiłowałam ją powstrzymać - wyznała, zaczerwieniona.

- Cóż, nie udało się. Pójdziemy ją odnaleźć? - zaproponował.

- Nie ma potrzeby - odparła Miranda, gdy wyłonili się zza rogu, i wyciągnęła przed siebie rękę.

W kącie siedziała Jane, bez maski, wyraźnie oszołomiona. Na widok przyjaciółki wstała z nieskrywaną ulgą.

- Proszę iść do niej. - Lucien oswobodził rękę Mirandy. - Pan Bothwell nie byłby zachwycony, gdyby jego przyszła żona zaznajomiła się ze Skorpionem. Przyjadę po panią jutro o czwartej. Proszę być gotowa.

Lucien znikł w tłumie, a Miranda podeszła do Jane i chwyciła jej drżące dłonie.

- Kochana, czy stało się coś złego? - zapytała z niepokojem w głosie. - Wydajesz się wytrącona z równowagi.

Jane zaśmiała się nerwowo.

- Nie uwierzysz, co mi się przytrafiło - westchnęła. - Opowiem ci wszystko w domu. Musimy wracać.

Miranda obejrzała się, ale Lucien de Malheur przepadł bez śladu.

Ponownie popatrzyła na przyjaciółkę, która wyglądała tak, jak powinna: była szczęśliwa, rozentuzjasmowana i... chyba kimś zauroczona.

Wtedy Miranda zrozumiała, że sprawy przybrały fatalny obrót.

Rozdział siódmy

- Co takiego zrobiłaś? - Miranda wpatrywała się w przyjaciółkę z osłupieniem.

Obie zdążyły już wrócić do przytulnego domu Mirandy, zdjęć peleryny i zrzucić pantofelki, a następnie zasiadły przy kominku w saloniku, w którym zwykle rezydowała kuzynka Louisa. Dzisiejszego wieczoru jednak dama udała się na spoczynek do własnej sypialni, więc dziewczęta zostały same.

- To nie ja! On mnie pocałował. - Jane pokraśniała z zakłopotania. - Muszę przyznać, że było to niezwykle przyjemne. Nigdy nie wspomniałaś, że podczas pocałunku mężczyźni używają języków.

- A używają? - spytała Miranda z powątpiewaniem. - Nie przypominam sobie, żeby St. John robił coś podobnego, ale bardzo się śpieszył i zachowywał dość konkretnie w trakcie tych okropieństw, które ze mną wyprawiał. Chcesz mi więc powiedzieć, że zostałaś gruntownie wycalowana przez złodzieja klejnotów i nawet nie spróbowałaś zawezwać pomocy?

- Obiecałam mu, że tego nie zrobię - wyjaśniła z bladym uśmiechem Jane. - Z całą pewnością nie był dżentelmenem, gdyż nie wysławiał się jak na arystokratę przystało. Był za to bardzo wysoki i niezwykle silny, choć całował mnie delikatnie i z wyczuciem - dodała rozmarzona, a Miranda ciężko westchnęła.

- Kochana, nie chcę, abyś wychodziła za sztywnego nudziarza, takiego jak Bothwell, ale nie możesz tak po prostu zakochać się w kryminaliście - powiedziała. - Chyba masz tego świadomość?

Wyraźnie przygnębiona Jane powoli skinęła głową.

- Ale ty uciekłaś z mężczyzną i w ten sposób odmieniłaś swój los - zauważyła.

- Niekoniecznie na lepsze. Ogromnie podoba mi się moje życie, nie przeczę, lecz nie życzyłabym ci takiego. Czy ten łotrzyk chciał, żebyś z nim umknęła?

- Ależ skąd - zaprzeczyła Jane. - Gdyby tego zażądał, odmówiłabym z pewnością. Ale spotkanie z nim było takie...

- Emocjonujące? - podsunęła Miranda, ale Jane pokręciła głową. - Przeróżające? Ciekawe? Kuszące?

- Rozkoszne - zdecydowała z nieśmiałym uśmiechem jej przyjaciółka i odgarnęła włosy z twarzy.

Miranda nagle zamarła.

- A cóż to takiego? - wykrztusiła.

- Co? - spytała zdezorientowana Jane.

- Na twoim palcu. To nie jest maleńki pierścioneczek od Bothwella.

Jane skierowała wzrok na lewą dłoń i podskoczyła, piszcząc ze zdumienia. Na swoim środkowym palcu ujrzała pierścień z bardzo dużym i bardzo pięknym brylantem. Nerwowo szarpnęła klejnot, usiłując go ściągnąć, ale ani drgnął.

- O, nie... - jęknęła.

- Gdzie jest pierścionek od Bothwella?

Jane uniosła obie dłonie, lecz skromny pierścionek znikł bez śladu.

- Wielkie nieba, co ja teraz zrobię, Mirando? - Wpadła w rozpacz. - Jakże mam mu wytłumaczyć brak pierścionka zaręczynowego?

- Przeszukaj kieszenie.

Jane pośpiesznie sięgnęła do kieszeni sukni i odetchnęła z ulgą.

- Jest tutaj - oznajmiła.

- Zatem teraz musisz jakoś ściągnąć ten drugi.

- A potem powinnam zwrócić go prawowitej właścicielce - dodała Jane, z całej siły szarpiąc za pierścień.

- Przestań - powstrzymała ją Miranda. - Palec ci spuchnie i będzie jeszcze gorzej. Użyjemy ciepłej wody i mydła, a wtedy ześlizgnie się bez trudu. Jak mniemam, jest własnością księżnej Carrimore?

- Bez wątpienia. Co innego zwabiłoby złodzieja kosztowności podczas balu? Musimy go oddać! - Jane zrobiła płaczliwą minę.

- Teraz będziesz pamiętać, że nie należy całować się ze złodziejami klejnotów - podkreśliła Miranda wesoło.

- Nie śmieć się! To poważny problem.

- Spotykasz rycerskiego złodzieja kosztowności, który cię całuje i niepostrzeżenie obdarowuje pierścieniem z brylantem. Ani się obejrzymy, a poprosi cię o rękę.

- Nie opowiadaj głupstw. - Jane przestała się przejmować pierścieniem. - Wycho-
dź za pana Bothwella.

- Oczywiście... niestety. Nie cieszysz się, że przynajmniej zakosztowałaś
prawdziwej przygody?

Jane bezwiednie przyłożyła dłoń do lekko nabrzmiąłych ust, a wtedy brylant na jej
placu załśnił w blasku świec. Miranda nagle poczuła ukłucie zazdrości. Jeszcze nikt nie
całował jej tak, jak tajemniczy włamywacz pocałował Jane.

- Wydaje mi się, że byłoby mi lżej, gdybym nie spotkała tego złodzieja -
westchnęła Jane ze smutkiem.

- Przynajmniej nikt nie wie o tym, co ci się przytrafiło. Nikt, z wyjątkiem mnie i
złodzieja, rzecz jasna, a on raczej nie zdradzi twojej tajemnicy. Zapomnisz o całej
sprawie, gdy tylko szczęśliwie wyjdiesz za mąż.

- Podobno nie chciałaś, żebym wiązała się z panem Bothwellem.

- W istocie, ale lepsze to niż ucieczka ze złodziejem klejnotów - odparła szczerze
Miranda. - I nie martw się o pierścień. Spytaam hrabiego Rochdale, co począć.

- Chyba nie powiesz mu, co się stało? - Jane niemal wpadła w panikę.

- W żadnym razie. Powiem mu, że znalazłam brylant przypadkiem. To bardzo
inteligentny człowiek, z pewnością znajdzie sposób na to, aby niepostrzeżenie zwrócić
pierścień. - W tej samej chwili przyszło jej do głowy, że hrabia być może wie całkiem
sporo zarówno o włamywaczu, jak i o brylantach Carrimore'ów.

Jane wbiła wzrok w kosztowny drobiazg.

- Tak chyba będzie najlepiej, prawda? - spytała z żalem.

- Tak, kochana - potwierdziła Miranda i objęła ją w talii. - Nie możesz go
zatrzymać, jakkolwiek ci się podoba. Teraz wyśpij się porządnie, a jutro wszystko
załatwimy.

Wiedziała jednak, że Jane jeszcze długo nie zaśnie. Będzie leżała w łóżku,
dotykając ust palcami i wspominając to, co powiedział i zrobił tajemniczy wielbiciel.
Wyglądało na to, że dla własnego bezpieczeństwa powinna jak najszybciej wyjść za tego
okropnego pana Bothwella.

Szkoda tylko, że perspektywa bezpieczeństwa nie wydawała się jej już tak atrakcyjna, jak jeszcze przed balem.

- Co zrobiłeś? - Lucien de Malheur spojrział z niedowierzaniem na swojego kompana.

- Pocałowałem młodą damę z dobrego domu, która napatoczyła się przypadkiem, kiedy wynosiłem brylanty księżnej. Nie mam pojęcia, jak się tam znalazła, ale pewnie zakradła się przejściem dla służby. W jednej chwili byłem sam w pokoju, a w następnej zjawiała się ona. Cóż miałem zrobić? Musiałem ją pocałować.

- Może lepiej było skrócić jej kark? - zasugerował Lucien z ironią.

- Wiesz, że nie zrobiłbym czegoś takiego niewinnej istocie, w dodatku nieśmiałej i uroczej. Widać było, że potrzebuje solidnego całusa.

- Masz szczęście, że nie zaczęła wrzeszczeć jak opętana - burknął hrabia kwaśno.

Za dużo rozmyślał o Mirandzie Rohan i przez to miał parszywy humor. Rozmowa o romantycznych wyczynach Jacoba nie poprawiła mu samopoczucia.

- Och, nie miała szans. Zadbalem o to - zapewnił go Jacob. - A nawet gdyby się rozwrzeszczała, to i tak zdołałbym wyskoczyć przez okno i uciec, nim ktokolwiek przybyłby jej z pomocą. Nie martw się, ani przez moment nic ci nie groziło.

- Nie martwię się. Po prostu uważam, że postępujesz nieco zbyt brawurowo. Masz pół tuzina ludzi, którzy mogli cię zastąpić tej nocy, a jednak wolałeś narażać siebie i mnie.

Jacob Donnelly wzruszył szerokimi ramionami.

- Bez obaw, więcej jej nie spotkam. Nawet nie wiem, jak się nazywa.

- Za to ja wiem, a właściwie się domyślam. To Jane Pagett, narzeczona jakiegoś tępego gamonia o nazwisku George Bothwell. Tak się składa, że jest najlepszą przyjaciółką Mirandy Rohan.

Jacob nie wydawał się przejęty.

- Szkoda, że nie możemy urządzić podwójnego ślubu - zauważył.

Lucien zaklął pod nosem.

- Ejże, Jacobie, przypomnij mi, ile teraz masz żon? - zapytał. - Pół tuzina?

- Oficjalnie ani jednej - oparł Jacob pogodnie. - Innymi słowy, cieszę się wolnością.

- I lepiej niech tak zostanie - wycedził Lucien lodowato. - Moje życie i tak jest skomplikowane.

- A jak twoje plany? Czy rozkochałeś w sobie wiadomą damę?

- Całkowicie. Jest znacznie bardziej wygadana, niż podejrzewałem, ale myślę, że to się obróci na moją korzyść. Muszę tylko przyśpieszyć bieg zdarzeń.

- Widziano cię z nią tej nocy. Słyszałem, jak służba rozmawiała na wasz temat. Wkrótce informacja dotrze do rodziny Mirandy i rozpęta się piekło.

- Wiem, co robię. Szkoda, że nie mogę powiedzieć tego samego o tobie.

- Chryste, Lucienie, to był tylko pocałunek!

- Obyś w przyszłości trzymał się od niej z daleka. Na pewno nie widziała twojej twarzy?

- Było ciemno, choć oko wykol. Ja ją widziałem, ona mnie nie. I jeszcze jedno... - Pokręcił głową i rozparł się w fotelu. - Smakowała niebiańsko.

Z perspektywy czasu Miranda doszła do wniosku, że następne dni były niemal zbyt cudowne. Już samo to powinno było ją zaniepokoić. W końcu przed laty przekonała się, że z dnia na dzień sytuacja może się stać wyjątkowo nieprzyjemna. Kto by pomyślał, że zauroczenie Christopherem St. Johnem doprowadzi ją do katastrofy?

Pogodziła się z faktem, że dokona żywota jako pohańbiona dama, opuszczona przez rzekomych przyjaciół, wegetująca samotnie bez miłości i małżeńskiego szczęścia. Nieoczekiwanie pojawił się jednak Lucien de Malheur. Nie był przesadnie przystojny ani ujmujący, niemniej całkowicie ją zauroczył swoim leniwym, łagodnym głosem oraz dowcipem zabarwionym wrogością wobec tych, którzy na nią zasłużyli.

Jechali razem i śmiali się wesoło, zupełnie obojętni na pełne dezaprobaty spojrzenia mijanych osób. Lucien wpadł do niej na podwieczorek, budząc fascynację Louisy i zdumienie Jane. Przekonał Mirandę, aby zwracała się do niego po imieniu i obsypywał ją komplementami, co wprawiało ją w głębokie zakłopotanie, że nie wiedziała, co powiedzieć. Zabrał ją do opery i pocałował w rękę, a Miranda zastanawiała

się, czy to możliwe, że jej serce jest jeszcze zdolne do miłości. Miała nadzieję, że nie, gdyż oznaczałoby to, iż ponownie ulokowała uczucia w niewłaściwym mężczyźnie.

Rozdział ósmy

Miranda smacznie spała, kiedy ktoś załomotał do drzwi jej sypialni. Gwałtownie wyrwana z głębokiego snu, usiadła na łóżku i podciągnęła kołdrę pod szyję.

Nie miała pojęcia, kto wdarł się do jej domu. Czyżby to byli śledczy, którzy wpadli na trop skradzionego pierścienia? Mijał już tydzień, a Jane nadal nie mogła ściągnąć go z palca...

- Siostro, otwórz drzwi! - wrzasnął z korytarza Brandon, młodszy brat Mirandy. - Przecież nie będę tu tkwił cały dzień!

Miranda nie miała nic przeciwko temu i najchętniej w ogóle nie otwierałaby bratu, ale robił za dużo hałasu. W takich warunkach nie miała szansy ponownie zasnąć, więc ciężko westchnęła, zwlokła się z łóżka i na bosaka poczłapała po zimnej podłodze. Otworzyła drzwi w chwili, gdy Brandon unosił pięść, by znów załomotać.

- Nie było zamknięte - wycedziła lodowato.

- Nie mam w zwyczaju bez zaproszenia tarabanić się do sypialni damy. Przecież mogłaś się ubierać - wyjaśnił i, naturalnie, bez zaproszenia wtarabanił się do jej sypialni.

- Przecież mogłam spać - burknęła.

- Wcale bym się nie zdziwił, skoro nigdy nie ma cię w domu... Do kroćset, ależ tu ziąb! Czemu nie każesz pokojówce napalić w kominku?

- Albowiem staram się oszczędnie gospodarować pieniędzmi - odparła oschle Miranda.

- Dlaczego? Rodzina ma mnóstwo...

- Naraziłam was wszystkich na dostatecznie dużo problemów - wyjaśniła niechętnie.

Żałowała, że nie włożyła kapci. Doszła do wniosku, że trudno zachowywać się z godnością, kiedy stopy zamieniają się w bryły lodu.

- Właśnie z tego powodu przychodzę, Mirando - zaczął. - Nie możesz...

- To ty nie możesz - przerwała mu. Było jasne, w jakim celu się zjawił. - Nie możesz tak stać i mnie strofować, gdy zamarzam. Idź na dół, zjedz obfite śniadanie, a ja dołączę do ciebie z Jane, kiedy tylko się ubierzemy.

- Jane? - Raptownie podniósł głowę. - Co ona tutaj robi? Myślałem, że szykuje się do ślubu z panem Starym Nudziarzem.

- Wcale nie jest stary, a poza tym nie nazywaj go nudziarzem. Jane właśnie szykuje się do ślubu. Ponieważ jej rodzice podróżują, ona bawi w Londynie, żeby wybrać tkaniny i dotrzymywać mi towarzystwa.

Brandon popatrzył na nią z powątpiewaniem. Był młody, miał zaledwie siedemnaście i pół roku, ale doskonale znał Mirandę.

- Sądziłem, że nie lubisz pana Nudziarza tak samo jak my wszyscy. Co sprawiło, że zmieniłaś zdanie?

Miranda wzięła go pod rękę i poprowadziła do otwartych drzwi.

- Daj mi trochę czasu - westchnęła. - Ubiorę się, a potem porozmawiamy, awanturniku.

- Zgoda. Ale nie myśl sobie, że ci to ujdzie płazem. Jestem tylko forpocztą, wkrótce czeka cię rozprawa z resztą rodziny. Niech no się dowiedzą, co ty wyprawiasz.

Nie musiała go pytać o szczegóły, od razu domyśliła się, co zaalarmowało jej bliskich. Lucien ją ostrzegał. Przyjaźń ze Skorpionem nie uchodziła nawet komuś takiemu, jak ona.

- Porozmawiamy o tym, kiedy się ubiorę. - Zatrzasnęła za nim drzwi i odwróciła się do lustra.

Nie całowała się wczoraj z kryminalistą, niemniej dostrzegła na swojej twarzy takie samo rozmarzenie, jakie po balu maskowym zauważyła na obliczu Jane. Była lekko zarumieniona, jej oczy lśniły.

Psiakość. Naturalnie, jej sytuacja wyglądała kompletnie inaczej. Lucien był jej przyjacielem, pierwszym od bardzo dawna, więc nie zamierzała rezygnować z niego bez walki. Brandon mógł sobie mówić, jak okropny jest Skorpion, ale Miranda i tak wiedziała swoje.

Zadzwoiła po pokojówkę Marthę, która pomogła jej ubrać się w szarą suknię oraz szare buty, a następnie mocno ściągnęła włosy Mirandy i upięła z tyłu głowy.

Gdy Miranda wchodziła do pokoju stołowego, jej serce waliło jak młotem, a ręce kleiły się od potu. Pomyślała ze złością, że takie zachowanie jest absurdalne, w końcu szła na spotkanie z ukochanym, młodszym bratem, a nie jakimś potworem.

Jane czekała już na miejscu, bez przekonania skubiąc jedzenie. Brandon, który siedział obok niej, raczył się wielką stertą jajek i śledzi. Miranda miała nadzieję, że obfity posiłek utemperował jego bojowy nastrój.

- Jesteś - odezwał się i odruchowo wstał, jak na kulturalnego, młodego człowieka przystało. - Coś cię zatrzymało?

Skinęła ręką, aby kontynuował posiłek, a sama podeszła do bufetu. Widok jedzenia przyprawił ją o mdłości, lecz z determinacją napełniła talerz i usiadła przy stole.

- Poczekaj chwilę, mój drogi. Muszę się pokrzepić, skoro zamierzasz mnie łąać. - Sięgnęła po kawałek suchego tostu, żeby zyskać na czasie.

- Ponad wszelką wątpliwość zamierzam cię łąać - potwierdził Brandon i odsunął talerz. Miranda utwierdziła się w przekonaniu, że sprawa jest poważna. Jej brat nigdy nie zrezygnowałby z posiłku bez nadzwyczajnego powodu. - Co ty wyprawiasz, na litość boską? Od jak dawna to ciągniesz? Jane twierdzi, że najmarniej od dwóch tygodni.

Jane zarumieniła się z zakłopotaniem, gdy Miranda posłała jej oskarżycielskie spojrzenie.

- Musiałam mu powiedzieć, kochana. Nawet sobie nie wyobrażasz, w jakie tarapaty się wpakowałam.

Miranda miała ochotę wypomnieć przyjaciółce jej ostatnią przygodę, ale oparła się pokusie.

- Dobrze - westchnęła zbolalym głosem i wypła łyk herbaty. - Dalej, mów, jaka jestem okropna.

- Nie jesteś okropna, Mirando - zaprzeczył Brandon z zapalem. - Jesteś po prostu nieroztropna i uparta. Nie wyobrażasz sobie, jakie będą konsekwencje twoich poczynań.

- Chyba masz świadomość, że wolałabym być okropna niż głupia?

- Nie wolałabyś. - Uśmiechnął się szeroko. - I wiem, że nie dopuściłabyś do tego, aby jakiś mężczyzna zrobił z ciebie idiotkę. Rzecz w tym, że nie wolno ci zbliżać się do Skorpiona, a ktoś powinien był poinformować cię o tym już dawno temu. Nasza rodzina ma fatalne doświadczenia z tym człowiekiem, choć niestety, nie znam szczegółów. Kiedy to się stało, nasi bliscy postanowili oszczędzić ci przykrych detali i sprawę wyciszono. Jane również o niczym nie wie.

- Kiedy to się stało? - powtórzyła oszołomiona Miranda. - O czym ty gadasz, u licha?

- Powtarzam: nie znam szczegółów. Wiem tylko tyle, że przez tego człowieka nasi bliscy mieli kłopoty. Uwierz mi na słowo.

- Wykluczone. Chcę wiedzieć, cóż to za tajemnicza sprawa łączy naszą rodzinę i Luciena.

- Luciena? - Brandon niemal wypluł herbatę na obrus. - Nazywasz go Lucieniem?

- To mój przyjaciel. - Miranda zmarszczyła czoło. - Jak to możliwe, że wiesz o tej sprawie, skoro jesteś sześć lat młodszy ode mnie?

- Jestem mężczyzną - oznajmił z dumą w głosie.

- Byłeś chłopcem.

- Nie zmieniaj tematu. Nie wolno ci zbliżać się do Luciena de Malheura, a jeśli przypadkiem spotkacie się w miejscu publicznym, masz go traktować jak powietrze.

- Ani myślę. - Odłożyła nietkniętą kromkę opieczzonego chleba. - Ludzie, których uważałam za lojalnych przyjaciół i znałam praktycznie od urodzenia, w jednej chwili odwrócili się do mnie plecami i potraktowali mnie jak powietrze. Nie mogłabym uczynić czegoś podobnego. Musiałabym mieć bardzo uzasadniony powód, a ty mi go jeszcze nie dałeś.

- On nie jest człowiekiem, tylko Skorpionem!

- Na litość boską, dlaczego wszyscy tak go nazywają? - wybuchła.

- Bo jest śmiertelnie niebezpieczny. Atakuje bez ostrzeżenia, a jego ukąszenie bywa śmiertelne - oświadczył Brandon pompatycznie.

- Ktoś tu naczytał się gotyckich powieści - prychnęła Miranda z lekceważeniem. - Jaką krzywdę wyrządził naszej rodzinie, że uważasz go za takie zagrożenie?

Brandon wpatrywał się w nią bez słowa.

- Powiedziałem ci już, że nie znam szczegółów - mruknął w końcu. - Wiem jednak, że podobno trzyma się blisko króla Donnelly'ego.

- Kim jest król Donnelly? - Miranda dosypała cukru do herbaty, żeby się pokrzepić.

- Jacob Donnelly to król londyńskiego półświatka. Kieruje armią złodziei, paserów, przemytników i kieszonkowców. Bez mrugnięcia okiem zleca morderstwa, a także uwodzi przyzwoite panny, z uśmiechem na ustach ściągając im drogocenne pierścionki z palca. Rochdale podobno współpracuje z tym kryminalistą i właśnie w taki sposób odbudował rodzinny majątek.

Jane zbladła jak kreda, ale Brandon nic nie zauważył, gdyż przez cały czas z uwagą wpatrywał się w siostrę. Miranda wstała, a w drodze do bufetu położyła dłoń na ramieniu przyjaciółki.

- Cóż, Lucien z pewnością nie wprowadziłby kogoś takiego na salony, prawda? - zapytała.

- Ten człowiek nie cofnie się przed niczym.

- Szczerze powiedziawszy, Brandonie, nic mnie to nie obchodzi. Mógłby kierować zza biurka rzeszą prostytutek i nie miałyby to dla mnie znaczenia. Uważam, że to miły i uroczy człowiek, który z pewnością nie życzy mi źle. Zamierzam nadal się z nim spotykać.

- Skoro tak, będę zmuszony wyzwać go na pojedynek.

Miranda mimowolnie parsknęła śmiechem, a Brandon spojrział na nią z urazą.

- Nie możesz - oznajmiła pośpiesznie, nie chcąc ranić brata. - Ma chorą nogę.

Brandon natychmiast skorzystał z okazji i udał, że się dąsa.

- Jest kaleką? Nikt mnie nie uprzedził.

- Raczej nie nazwałabym jego przypadłości kalectwem - oświadczyła Miranda i skierowała wzrok na Jane. - Czy wiesz, co łączy hrabiego z naszą rodziną?

- Ależ skąd. - Jane nerwowo darła chleb na drobne kawałki, które spadały na talerz niczym płatki śniegu. Na jej palcu nadal tkwił za ciasny pierścień z brylantem. - Gdybym

cokolwiek wiedziała, poinformowałabym cię już dawno temu. Mówię ci wszystko, gdyż ci ufam - dodała, spoglądając błagalnie na Mirandę.

- To prawda, w końcu jesteśmy przyjaciółkami od serca - zgodziła się Miranda i zerknęła na Brandona. - Zatem pozostaje tylko jedno wyjście. Będę musiała spytać go o to osobiście.

Brandon zakrztusił się kawą, ale Miranda nie zamierzała dłużej polemizować.

Wstała i skinęła głową na znak, że podjęła ostateczną decyzję.

- Nie wątpię, że robisz wiele hałasu o nic, a ja nie cierpię, kiedy ktoś traktuje ludzi tak, jak potraktowano mnie - oświadczyła. - Gdybyś przynajmniej wyłożył kawę na ławę i powiedział mi, co złego uczynił naszej rodzinie Lucien de Malheur, może byłabym skłonna cię posłuchać.

- Nie uczynił nic złego - odparł Brandon.

Miranda zamarła.

- Nie uczynił naszej rodzinie nic złego? - powtórzyła z niedowierzaniem.

- Zachodzi obawa, że mógł jednak to zrobić.

Nawet nie próbowała ukryć niesmaku.

- Miałam o tobie wyższe mniemanie, Brandonie - oświadczyła ostro i opuściła pokój.

Dzień był pochmurny i chłodny, ale Miranda kipiała wściekłością. Brakowało jej cierpliwości, żeby poczekać, aż stajenni osiodłają konia albo przyszykują powóz, więc, mocno poirytowana, włożyła jasnoszarą pelisę oraz czepek i już po chwili szybkim krokiem szła po Half Moon Street. Lokaj z trudem usiłował dotrzymać jej kroku.

Dom przy Cadogan Place znajdował się w znacznej odległości od domu Mirandy, ale podczas pobytu na wsi przywykła do codziennych długich spacerów. Poza tym potrzebowała ruchu, świeżego powietrza oraz czasu na odzyskanie spokoju.

To niedopuszczalne, aby rodzina tak brutalnie ingerowała w jej poczynania! Gdy wiodła życie w odosobnieniu, bliscy wspierali ją pod każdym względem, wystarczyło jednak, że znalazła sobie nowego przyjaciela i od razu wzięli ją na celownik.

Jakby tego było mało, Lucien nic nie zrobił jej rodzinie, zachodziła jedynie obawa, że mógł coś zrobić. Na tej samej zasadzie wyższe sfery obawiały się, że ona mogłaby zepsuć młode damy, które kiedyś były jej najdroższymi przyjaciółkami. Tylko państwo Pagettowie, czyli lord i lady Montague, nie oponowali przeciwko jej przyjaźni ze swoją córką.

Lady Montague nie kazałaby jej zerwać znajomości z Lucieniem z powodu jakiegoś niedorzecznego podejrzenia, pomyślała. Rodzice Mirandy również nie posunęliby się tak daleko, w to akurat nie wątpiła. Cała ta historia była wymysłem jej irytujących braci, którzy wszczęli niepotrzebny alarm. Miranda nie wątpiła, że Lucien nie zamierzał jej skrzywdzić.

Skorpion! Cóż za absurdalne określenie dla kogoś takiego, jak Lucien, człowiek nie bardziej jadowity niż polna mysz. No, może ujęła to zbyt łagodnie, ale na pewno nie był groźniejszy od lisa. Cała ta historia była niedorzeczna i okrutna, a ona nie zamierzała słuchać tych głupstw.

Energiczny spacer w chłodny poranek sprawił, że Miranda odzyskała rumieńce, co nie oznaczało, że jej emocje opadły. Po dotarciu do wielkiego, ciemnego domu przy Cadogan Place, nadal kipiała złością, a jej lokaj ocierał pot z czoła i z trudem chwycił powietrze.

- Musisz więcej ćwiczyć, Jennings - zauważyła, wchodząc po frontowych schodach, które prowadziły do błyszczących drzwi.

Zadyszany lokaj tylko pokiwał głową, kiedy Miranda stuknęła wielką mosiężną kołatką.

Po chwili na progu stanął wysoki, posępny i przeraźliwie chudy kamerdyner w kruczoczarnej liberii. Miranda nagle straciła pewność siebie. Było oczywiste dla wszystkich, że młode damy, nawet te, których reputacja legła w gruzach, nie powinny zjawiać się bez zapowiedzi w domu dżentelmena.

- Czy zastałam jego lordowską mość? - zapytała. - Proszę mu powiedzieć, że... że dama chce się z nim widzieć.

Poniewczasie przyszło jej do głowy, że powinna była osłonić twarz woalką. Była jednak zbyt wściekła, żeby trzeźwo myśleć.

Przez długą chwilę obawiała się, że służący każe jej czekać za drzwiami, ale wpuścił ją uprzejmie do środka.

- Mam na imię Leopold - przedstawił się. - Jestem kamerdynerem hrabiego Rochdale, lady Mirando. Wielmożny pan hrabia uprzedził mnie, że wkrótce przybędzie pani z wizytą. Proszę za mną, zaprowadzę panią do pokoju, w którym będzie pani mogła zaczekać, aż sprawdzę, czy jaśnie pan przyjmuje dzisiaj gości. Zwykle nie wstaje przed południem.

Miranda podążyła za służącym, zastanawiając się, dlaczego Lucien kazał mu spodziewać się jej odwiedzin. I jak to możliwe, że ten człowiek ją rozpoznał?

Pokój, w którym ją pozostawił kamerdyner, był ciemny i chłodny, z oknami zasłoniętymi ciężką, czarną tkaniną i z wystudzonym kominkiem. Kanapa okazała się twarda i niewygodna, a Miranda ucieszyła się, że na szczęście nikt nie kazał jej zdjąć płaszcza i rękawiczek. Bez wierzchniej odzieży trudno byłoby wytrzymać w tym pomieszczeniu, ciemnym i zimnym niczym loch.

Czekała bardzo długo, choć nie umiałaby określić dokładnie, ile czasu spędziła w tym okropnym pokoju, gdyż brakowało w nim zegara. W końcu nieco ochłonęła i doszła do wniosku, że przede wszystkim powinna poznać fakty. Kiedy się dowie, dlaczego jej rodzina uważa hrabiego za wroga, będzie mogła podjąć odpowiednią decyzję.

Jakkolwiek patrzeć, Rohanowie raczej nie byli modelową rodziną z wyższych sfer. Co prawda ich kochająca, ale surowa matka zadbała o to, aby jej synowie nie ulegli pokusie wstąpienia do zdeprawowanych na wskroś Niebiańskich Zastępów, niemniej pogodziła się z faktem, że od czasu do czasu wdają się w mniej lub bardziej niebezpieczne awantury. Poza tym Miranda знаła wstrząsającą prawdę - jej ukochany ojciec, a także dziadek należeli do aktywnych członków Zastępów. Ojciec wiedział o organizacji tyle, że dołożył wszelkich starań, aby jego potomkowie nie trafili w jej szeregi.

Miranda pamiętała jednak kilka skandali z udziałem braci. Benedick związał się swojego czasu z kobietą na tyle niezrównoważoną, że groziła mu pistoletem podczas balu, a potem zachowywała się nader osobliwie. Z pewnością trafiłaby do domu wariatów w Bedlam, gdyby wcześniej nie odebrała sobie życia.

Charles, sztywny Charles, miał kiedyś słabość do tancerek operowych, lecz ostatecznie zakochał się w Kitty Marsden, zaskakująco przyziemnej córce posiadacza ziemskiego.

Podsumowując, Rohanowie nie stanowili wzoru rozwagi i przyzwoitości. Dlaczego zatem tak histeryzowali w związku z tym, że zaprzyjaźniła się z mężczyzną o nie najlepszej reputacji? To nie miało sensu.

Miranda wstała i zaczęła nerwowo spacerować po ciasnym pokoju. Wyrzała przez okno z widokiem na stajnie, a potem odwróciła się i znowu kilka razy przeszła od ściany do ściany. Dlaczego musiała tak długo czekać w zimnym pokoju? Czyżby Leopold o niej zapomniał?

Już traciła nadzieję, kiedy drzwi się otworzyły i stanął w nich posepny kamerdyner.

- Wielmożny pan hrabia przyjmie panią teraz - zapowiedział ze źle skrywaną dezaprobatą i rozejrzał się po ciemnym i zimnym wnętrzu.

Miranda pomyślała, że zapewne nie przypadła mu do gustu. Podniosła się z kanapy, z trudem rozprostowując stawy, i z uśmiechem ulgi pierwsza wyszła z pomieszczenia.

Wcześniej nie miała pojęcia, jak wielki jest ten dom. Leopold długo prowadził ją ciemnymi korytarzami, aż wreszcie dotarli do nieznanego jej pokoju. Na szczęście było w nim cieplej, a w kominku płonął ogień, lecz meble oraz zasłony okazały się ciemne, ciężkie i niemal surowe, tak jak zapamiętała z poprzedniej wizyty.

Lucien de Malheur siedział za biurkiem i pisał. Gdy weszła, podniósł wzrok, ale w półmroku nie zauważyła jego miny. Widziała tylko twarz, okoloną grzywą długich, czarnych włosów. Lucien nie zadał sobie trudu, aby wstać.

- Chwała Bogu - powiedziała Miranda i podeszła prosto do ognia. - Zmarzłam na kość! Dlaczego nie palisz w salonach, w których muszą czekać goście?

Lucien uniósł brwi.

- Leopold pozostawił cię w nieogrzewanym pokoju.

To nie było pytanie, lecz i tak postanowiła odpowiedzieć.

- Owszem. Zapewne nie podejrzewał, że każesz mi tak długo czekać - dodała wymownie.

- Czyżbym słyszał przyganę w twoim głosie?

Przeszło jej przez myśl, że coś się zmieniło, i to na gorsze. Lucien mówił lekkim, nieco zaczepnym tonem, ale wydawał się nieprzyjemnie spięty. Postanowiła nie zwracać na to uwagi.

- A jakże. Prawie biegłam przez pół miasta, żeby koniecznie spotkać się z tobą, a ty godzinami trzymasz mnie w lodowni - oświadczyła z udawaną wesołością.

- Spędziłaś tam tylko jedną godzinę - sprostował bez cienia uśmiechu. - Sytuacja zmieniła się szybciej, niż zakładałem, więc trzeba było poczynić kilka przygotowań przed naszym spotkaniem.

Zachowywał się jak zupełnie obcy człowiek, nie jak przyjaciel. Dopiero teraz Miranda dostrzegła w nim prawdziwego Skorpiona, zimnego i śmiertelnie groźnego przeciwnika.

- Zrobiłam coś złego? - spytała cicho. - Czyżbym cię obraziła?

- Nie. Usiądź, Mirando. Musimy poczekać, aż uzyskam potwierdzenie pewnego drobiazgu. Potem porozmawiamy.

Odwróciła się powoli i spojrzała mu w oczy. Nadal siedział, choć dotąd zawsze wstawał, kiedy rozmawiali. Może doskwierał mu ból nogi...

Nie, pomyślała. Nie powinna się okłamywać i czekać cierpliwie, jak grzeczna dziewczynka.

- Nie sądzę - wycedziła. - Powinieneś natychmiast wyjaśnić mi, co się dzieje.

- Usiądź.

Miranda posłusznie usiadła. W jego głosie pobrzmiwał nieprzyjemny chłód, który sprawił, że ugięły się pod nią kolana, a serce gwałtownie przyśpieszyło.

- Zrobiłam z siebie idiotkę, czy tak? - spytała pozornie obojętnie.

- I to niejedynym razem, Mirando - odparł, nie odrywając wzroku od papieru, na którym coś notował. Dopiero po chwili spojrzał na nią bladymi, pustymi oczami. - Którą konkretnie sytuację masz na myśli?

- Nasza przyjaźń nie jest przypadkowa, prawda?

- Nasza przyjaźń... - powtórzył z ledwie słyszalną drwiną w głosie. - Nasza przyjaźń została zaplanowana.

- Skąd wiedziałaś, że jadąc powozem, będę miała wypadek? Może po prostu dopisało ci szczęście? - Ukryła dłonie w fałdach pelisy, aby nie wiedział, jak mocno je zaciska.

- Nigdy nie liczę na szczęście, moje dziecko. Jeden z moich ludzi celowo uszkodził twój powóz w taki sposób, żeby koło odpadło.

Miranda pomyślała, że to jakiś senny koszmar i że lada moment obudzi się we własnym łóżku. Niestety, wiedziała również, że tylko oszukuje samą siebie.

- Mogłam zginąć - zauważyła.

- Mało prawdopodobne - odparł bez emocji. - Wszyscy wiedzą, że świetnie powozisz. Założyłem, że nawet w trudnej sytuacji zachowasz kontrolę nad zaprzęgiem, a zależało mi na osiągnięciu celu, który sobie postawiłem.

- Można wiedzieć, o jakim celu mówisz?

Lucien odłożył pióro i rozparł się w fotelu.

- Zamierzam unieszczęśliwić twoją rodzinę - odparł ze wstrząsającą szczerością. - W szczególności starszego brata, ale najchętniej skażę na cierpienia wszystkich twoich najbliższych.

Miranda poczuła się tak, jakby Lucien zatopił w jej sercu sztylet. Przyjaciel, który nigdy nie zrobił jej nic złego, pragnął okrutnie skrzywdzić ją i jej rodzinę.

- Także mnie? - spytała głucho, a on spojrzał jej w oczy.

- Prawdę mówiąc, nie - oznajmił z dziwną miną. - Postanowiłem ożenić się z tobą.

Mirandzie zabrakło tchu, tak nią wstrząsał jego tupet.

- To raczej wykluczone - warknęła ze złością.

- Czyżby? Zapomniałaś, że zawsze dostaję to, czego chcę. To tylko kwestia czasu. Powiedzmy, że zamierzam wyrównać rachunki za to, co się stało z moją siostrą.

- Nie wiedziałam, że masz siostrę.

- Miałem. To była moja siostra przyrodnia i jedyna żyjąca krewna. Genevieve Compton. - Wypowiedział jej imię i nazwisko takim tonem, jakby Miranda powinna je skojarzyć, ale ona tylko pokręciła głową.

- Nigdy nie słyszałam o Genevieve Compton - powiedziała.

- Nie słyszałaś o narzeczonej swojego brata Benedicka? Rzecz jasna, byłaś wówczas dzieckiem, ale z pewnością dotarły do ciebie informacje o skandalu.

- Moja rodzina co rusz wplątuje się w mniejszy lub większy skandal. - Wzruszyła ramionami. - Rodzice robili, co mogli, żeby uchronić mnie przed bardziej bulwersującymi sprawami. Co dokładnie zrobił mój brat twojej siostrze?

- Zerwał zaręczyny, a ona odebrała sobie życie - wyjaśnił głuchym, obojętnym głosem. Zdumiona Miranda wpatrywała się w niego w milczeniu. Opowieści o narzeczonej, która postradała zmysły, nagle nabrały sensu. - Powiedział, że zamierza odwołać ślub, więc umówiła się na spotkanie z nim w obecności prawników, a gdy przybył, dobyła pistoletu i palnęła sobie w łeb na oczach wszystkich.

- Straszna historia - wyszeptała. - Ale przecież twoja siostra podobno była szalona i groziła mojemu bratu z tej samej broni.

- To nieistotne - Lucien odparł przez zęby. - Twój brat odebrał mi siostrę, więc postanowiłem odplacić mu pięknym za nadobne.

Nie poruszyła się, gdyż była pewna, że lada moment rzuci się na niego z pięściami. Nigdy w życiu nie była tak wściekła.

- Nie.

- Tak. - Jego uśmiech, który dotąd uważała za czarujący, nagle doprowadził ją do szału.

- Nie żyjemy w średniowiecznej Anglii, ty kłamliwy skunksie - wycedziła z irytacją. - Nie możesz ożenić się z kobietą, która ci odmawia.

- Nie odmówisz mi.

- Ciekawe, jaka siła zmusi mnie do ślubu z tobą? - prychnęła drwiąco.

- Jeśli nie wyrazisz zgody po dobroci, wyzwę na pojedynek twojego brata Brandona i położę go trupem - wyjaśnił zwięźle i treściwie.

Machinalnie opuściła wzrok na jego nogę.

- Przecież nie możesz...

- Zaaranżuję wszystko tak, że to twój brat rzuci mi wyzwanie, a ja będę mógł wybrać rodzaj broni. Jestem wyborowym strzelcem i bez najmniejszego trudu wpakuję mu kulę między oczy. - Wstał i obszedł biurko, prawie nie podpierając się laską. -

Doskonale wiesz, że mogę robić to, co mi się żywnie podoba. Daję ci szansę ocalenia brata, ale w razie potrzeby z radością pošlę go na tamten świat. Jestem gotów na wszystko, byle tylko odebrać rodzinie Rohanów ukochanego potomka. Najchętniej jednak zagarnąłbym ciebie, przez wzgląd na symetrię, a także fakt, że zadałbym twoim bliskim dożywotnie cierpienia. Kiedy za mnie wyjdiesz, już nigdy nie ujrzysz ich na oczy.

Mirandzie zbierało się na wymioty. Przeraziła ją świadomość, że któregoś chłodnego poranka jej ukochany, młodszy brat mógłby leżeć zimny i martwy, a to dlatego, że nie podjęła właściwej decyzji.

Przede wszystkim nie wolno jej było okazać słabości.

- Mam wrażenie, wasza lordowska mość, że szwankujesz na umyśle, podobnie jak niegdyś twoja siostra - powiedziała ze wstrząsającym brakiem taktu, choć ani trochę nie wierzyła w szaleństwo Luciena. Uważała, że był człowiekiem okrutnym i gotowym na wszystko, ale przy tym całkowicie racjonalnym. - Czemu, u licha, chcesz się obarczać kobietą, którą gardzisz?

- Och, bynajmniej nie gardzę tobą, moja droga - zapewnił ją ze śmiechem. - Uważam, że jesteś... urocza. W pierwotnym planie w ogóle nie brałem pod uwagę ślubu, lecz już po kilku minutach spędzonych w twoim rozkosznym towarzystwie doszedłem do wniosku, że właśnie tego mi trzeba. Chcę mieć potomka, więc prędzej czy później i tak musiałbym sprawić sobie połowicę, a jeśli ożenię się z tobą, to na zawsze. Już nigdy nie odzyskasz wolności. - Uśmiechnął się chytrze. - Poza tym, przy tobie nie będę musiał zaprzętać sobie głowy idiotycznymi konwencjami.

- Takimi, jak udawanie miłości?

- Właśnie. Dlatego zamierzam postawić twoją rodzinę przed faktem dokonanym. Z pewnością nie zechcą zabić szwagra w pojedynku, wybuchłby gigantyczny skandal. Pozostanie im tylko... tęsknota za ukochaną córką i siostrą.

- Nie.

Popatrzył na nią z czułością.

- Salony zdębieją - mruknął. - Kto by pomyślał, że zbrukanej gołąbeczce trafi się tak pożądana partia?

- Ty cyniczny draniu... - wyszeptała, słabnącym z wściekłości głosem.

- Dziękuję za komplement. Mam już w ręku specjalne zezwolenie na ślub. Będziemy musieli wyjechać odpowiednio daleko, żeby nie narazić się na spotkanie z twoją rodziną, kiedy już się dowie o ucieczce. Nie chcemy przecież burd w trakcie miesiąca miodowego.

- Nie wyjdę za ciebie.

Podszedł do niej i wtedy zauważyła, że jego kalectwo wcale nie jest tak poważne, jak jej się dotąd zdawało. Stał tuż obok i choć miała ochotę się odsunąć, mężnie wytrwała na miejscu. Nie poruszyła się nawet wtedy, gdy pogłaskał ją palcami po policzku. Zacisnęła tylko dłonie na siedzisku krzesła.

- Moja ty słodczy - wyszeptał. - Oczywiście, że wyjdiesz.

Zadrzała nie tylko dlatego, że jej dotykał, ale też dlatego, że przeszył ją przyjemny dreszcz.

- Nie zmusisz mnie - burknęła z uporem w głosie.

- Tak uważasz? Bez najmniejszych skrępowań naraziłem twoje życie w wypadku powozu. Zaufaj mi, nie od rzeczy nazywają mnie Skorpionem. Jestem bezduszny i śmiertelnie groźny. Nie bez przyczyny jestem niemile widziany na salonach. - Pochylił się i musnął wargami jej policzek. - Wybacz, moje słońce, że taki ze mnie brutal, i to na dodatek brzydki, ale zawsze możesz zamknąć oczy i udawać, że jestem kimś innym.

Miranda zamknęła oczy, bynajmniej nie z powodu blizn, gdyż dawno temu przestała zwracać na nie uwagę. Nie chciała patrzeć w jego fałszywe oblicze.

- Więc jak będzie, moja ptaszyno? - zapytał. - Wybierasz śmierć brata czy ślub ze mną? Obiecuję, że wkrótce mnie znudzisz i odtąd będziesz szczęśliwie mieszkała na wsi i pławała się w luksusach. W gruncie rzeczy, niewiele się zmieni w twoim życiu. Będziesz mogła robić to, na co przyjdzie ci ochota, nie zważając na opinię salonów. Tyle tylko, że znajdziesz się w odrobinę bardziej odizolowanym miejscu. Decyzja należy do ciebie.

Wygrał, tak jak przewidział. Miranda zbyt dobrze знаła Brandona. Nie ulegało wątpliwości, że z miejsca będzie dążył do konfrontacji, a wtedy Lucien ukatrupi go bez wahania.

- Tak - burknęła lodowatym tonem, a Lucien zaśmiał się.

- Uprzedzałem cię! - triumfował. - Może i wyglądam jak głupi Kaliban, ale moja dusza jest nieporównanie mroczniejsza. Po prostu nie chciałaś tego dostrzec. - Odsunął się. - Każę zaprzęgać.

- Co takiego? Nie mam odzieży na zmianę, a moja służba nie będzie wiedziała, gdzie znikłam...

- Leopold poinformuje twojego lokaja, że powinien wracać, ty zjawisz się później. Co do odzieży... Nie będziesz jej potrzebowała. Powinniśmy jak najszybciej wyruszyć, nie ma potrzeby zwlekać.

- Ale dokąd jedziemy?

Lucien pokręcił głową.

- Lepiej, abyś nie wiedziała - odparł. - Z pewnością jednak ucieszy cię informacja, że będziesz miała cały powóz tylko dla siebie, gdyż ja pojedę wierzchem. Gdybym jechał w twoim towarzystwie, podróż z pewnością byłaby dla mnie nazbyt... pobudzająca. Nie chciałbym przypominać ci o twojej ostatniej ucieczce.

- Wszystko jest dokładnie tak, jak podczas mojej ostatniej ucieczki - wycedziła. - Wtedy również porwano mnie wbrew mojej woli.

- Ale przynajmniej ja się z tobą ożenię - oznajmił łagodnie. - Czy tego chcesz, czy nie.

Ledwie dokończył zdanie, zniknął za drzwiami.

Rozdział dziewiąty

To nie był dobry dzień dla lady Jane Pagett. Od czasu balu u Carrimore'ów nie mogła dojść do siebie. Rankami z trudem zwlekała się z łóżka, gdyż mimo przestróg Mirandy pragnęła myśleć wyłącznie o wysokim mężczyźnie, który ją pocałował, i chciała czuć na sobie jego dotyk. Choć było to wielce niestosowne, głaskała się przez cienką koszulę nocną, udając, że pieszczą ją jego dłonie. Nie śpieszyła się do wspomnienia pana Bothwella i jego suchych, powściągliwych pocałunków. Przerzała ją wizja zamieszkania na północy kraju, a do tego od niedawna czuła, że jej przeznaczeniem jest życie wśród rozwiązłych piratów i przemytników.

Prawdę powiedziawszy, odkąd sięgała pamięcią, zawsze łaknęła przygód. Marzyła o podróżach do dziwnych i odległych krain, śniła o dzikiej i szalonej miłości, a tymczasem miała wyjść za pana Bothwella, gdyż nikt inny jej nie chciał. Była wysoka, chuda, banalna i nieśmiała i czekało ją zwyczajne życie ze zwyczajnym mężczyzną. I to wtedy, gdy odważyła się przeżyć wyjątkową przygodę! Pocałunek w mroku smakował jak całe bogactwo życia, które właśnie przechodziło jej koło nosa.

Jakby tego było mało, nie mogła ściągnąć z palca tego przekłętego pierścienia z brylantem. Żadne środki nie skutkowały: ani mydło, ani gęsi smalec, ani siła. Pierścień utknął na dobre, a Jane nie ośmieliłaby się wrócić do rodzinnego domu z tak jaskrawym dowodem własnej niegodziwości.

Wcześniej zebrała się na odwagę i poprosiła Mirandę, by ta zamieniła słowo z hrabią Rochdale, on jednak stanowczo zaprzeczył, jakoby cokolwiek wiedział o złodziejach biżuterii. Być może dałaby wiarę jego zapewnieniom, niemniej pamiętała, że ma do czynienia ze Skorpionem, złoczyńcą w każdym calu, odrobinę zbyt przerażającym jak na fantazje Jane, której zależało wyłącznie na tajemniczym włamywaczu.

Na domiar złego rozbolało ją gardło, więc postanowiła spędzić cały dzień w łóżku, pod opieką pokojówki Mirandy. Niestety, Brandon Rohan, narobił takiego hałasu, że nie miała wyboru, musiała wstać i iść do jadalni, żeby wysłuchać, jak opowiada o strasznej zbrodni, której Lucien de Malheur się... nie dopuścił. Osobiście nie podzielała jednak

obaw Brandona. Znała się na ludziach, a sądząc po tym, jak hrabia patrzył na Mirandę, jej przyjaciółce nic nie groziło.

Naturalnie kilka godzin później zważyła w swoją ocenę. Wściekła jak osa Miranda wyszła z domu, a wkrótce potem Brandon udał się do swojego klubu. Jane nie wiedziała, czy zamierzał wrócić, czy też raczej oddać się miastowym uciechom, jak na normalnego, zdrowego siedemnastolatka przystało.

I jeszcze ten piekielny pierścień! Jakżeby inaczej, Brandon musiał go zauważyć.

- Stary Nudziarz podarował ci brylant? - spytał i gwizdnął z aprobatą. - Może nie jest aż takim skąpiradłem i dusigroszem, jakby się zdawało.

Jane, rzecz jasna, przemilczała ten komentarz. Jakie było prawdopodobieństwo, że chłopak pokroju Brandona zapamięta pierścioneł na palcu przyjaciółki starszej siostry? Znikome, jednak pechowa Jane mogła się spodziewać wszystkiego najgorszego.

Robiło się późno, a Miranda nadal nie wracała, choć kilka godzin wcześniej zjawił się lokaj, który jej towarzyszył. Podobno Miranda miała zabawić jeszcze kilka godzin w domu hrabiego, a następnie powrócić jego powozem. Louisa rozłożyła się na kanapie, pogryzając świeże ciasteczka migdałowe, i nie wydawała się ani trochę przejęta nieobecnością Mirandy. Cóż, kiedy nikt nie zmuszał jej do wysiłku fizycznego, była najspokojniejszą istotą pod słońcem.

Minęła kolejna godzina, nim Jane zebrała się na odwagę i postanowiła wyruszyć na poszukiwania przyjaciółki. Planowała udać się do Cadogan Place z zachowaniem wszelkich zasad przyzwoitości, powozem, w towarzystwie Jenningsa, a może nawet pokojówki. Już miała kazać zaprzęgać, gdy wrócił Brandon. Nie było wyjścia, musiała wymknąć się po kryjomu bocznymi drzwiami do ogrodu, a potem przez furtkę na śliską od deszczu ulicę.

Nigdy dotąd nie przyszło jej łapać dorożki na ulicy, ale sztuka ta szczęśliwie nie okazała się zbyt trudna, tyle tylko, że dorożkarz nieco utyskiwał, „no bo kto to widział, coby taka miła panienczka sama do takiej dzielnicy jechała”. Nie odpowiedziała mu, gdyż nie przychodziło jej do głowy żadne wiarygodne wyjaśnienie. Na szczęście nadopiekuńczy dorożkarz umilkł i przez resztę podróży nie odezwał się do Jane ani słowem.

Gdy dotarła na miejsce, przede wszystkim rzucił się jej w oczy imponujący, czarny powóz i trzy pary zaprzęzonych do niego, karych rumaków. Kazała dorożkarzowi zatrzymać się na drugim końcu placu i stamtąd powoli wróciła pod budynek, na wszelki wypadek trzymając się w cieniu. W połowie drogi uznała, że właściwie lepiej będzie, jeśli przywoła dorożkę z powrotem, jednak ta znikła już we mgle.

Jane wyprostowała się i głęboko odetchnęła. Postanowiła być dzielna, gdyż przecież robiła to dla Mirandy, która z pewnością nie zawahałaby się przed niczym, by ratować najlepszą przyjaciółkę.

Zimne, wilgotne powietrze sprawiło, że dostała kataru i, pociągając nosem, sięgnęła do torebki po chustkę. Gardło bolało ją coraz bardziej, a w dodatku chyba miała gorączkę, gdyż robiło się jej na przemian gorąco i zimno. Przeszło jej przez myśl, że pewnie robi z siebie kretynkę ktoś to widział, aby chory człowiek wychodził z domu w taką pogodę.

Z bocznej uliczki, przylegającej do domu hrabiego, wyłoniło się dwóch lokajów. Obaj byli tak pochłonięci rozmową, że nie spostrzegli, jak Jane gwałtownie przywiera plecami do muru.

- Mógł nam zawczasu powiedzieć - narzekał pierwszy służący. - Po kiego grzyba jedzie w taką noc, skoro ma w domu ciepłe i wygodne łóżko, coby ją wygrzmocić?

- Nie pozwól, coby cię usłyszał, jak tak gadasz - uprzedził go drugi. - To nie byle dziewczka, powiadam ci. Lepiej trzymaj jadaczkę na kłódkę i rób, co do ciebie należy.

Pierwszy lokaj zaklął szpetnie, ale posłusznie podszedł z kompanem do trzech innych służących, którzy rozmawiali półgłosem przy pięknym, osiodłanym i gotowym do drogi rumaku. Wyglądało na to, że hrabia Rochdale wyrusza w podróż. Tylko gdzie, u licha, podziewała się Miranda?

Jane odetchnęła głęboko i ruszyła prosto do drzwi wejściowych, które w tej samej chwili się otworzyły. Na ten widok wpadła w panikę. Niewiele myśląc, rzuciła się do powozu, skuliła w kącie kabiny i okryła ciężkim futrem, które dostrzegła na kanapie. Pomyślała, że jeśli dopisze jej szczęście, nikt nie zwróci na nią uwagi.

Minęło kilka sekund, nim uświadomiła sobie, jakie popełnia szaleństwo. Hrabia zapewne odesłał Mirandę do domu, a teraz planował schadzki z kochanką, która za

moment odkryje w powozie obcą kobietę i Jane doświadczy monstualnego upokorzenia. Już chciała odrzucić futro i umknąć, kiedy usłyszała głos hrabiego, ciepły i troskliwy.

- Postaraj się przespać - powiedział, a po chwili ktoś wsiadł do kabiny. - Musisz nabrać sił przed kolejną kłótnią ze mną.

- Nie kłóczę się z tobą - odparła spokojnie Miranda, a Jane niemal zemdląła z ulgi. - Nie mam wyboru.

- To prawda, moje złotko - przyznał. - Podróż z pewnością przebiegnie bez zakłóceń. Nie przewiduję częstych przystanków.

Rozległo się szczęknięcie zamykanych drzwi i we wnętrzu powozu zapadł mrok.

Jane siedziała bez ruchu, powoli oddychając. Gdyby drgnęła, Miranda zapewne wydałaby z siebie mimowolny krzyk, a wtedy lokaje wywlekliby Jane na zewnątrz. W żadnym razie nie mogła dopuścić do tego, aby rozdzielono ją z przyjaciółką. Wreszcie powóz ruszył łagodnie, kierowany wprawną ręką doświadczonego stangreta. Jane uznała, że za moment powinna zdradzić swoją obecność, ale jej organizm przejął inicjatywę. Zanim zdołała się powstrzymać, kichnęła donośnie.

- Kto tu jest? - spytała ostro Miranda. - Natychmiast proszę się pokazać. Miałam nader ciężki dzień i nie uśmiechają mi się takie gierki.

Jane niepewnie odchyliła futro. Pomimo ciemności zauważyła zarys twarzy groźnie wyprostowanej Mirandy.

- To tylko ja - wyznała pogodnie, znowu kichnęła i przysunęła się do przyjaciółki. - Czy to znaczy, że zostałyśmy porwane?

Miranda nie wiedziała, czy powinna się śmiać, czy płakać, więc uczyniła jedno i drugie, jednocześnie rzucając się w objęcia Jane.

- Ty niemądra dziewczyno! - wykrzyknęła. - Narobiłam sobie kłopotów, ale nie chciałam rujnować życia także tobie.

- Jesteśmy przyjaciółkami od serca - przypomniała jej Jane. - Poza tym nie zauważyłam, żebyś miała zrujnowane życie.

Miranda pokręciła głową i usiadła wygodniej.

- Teraz już mam - westchnęła. - Dlaczego się tu zjawiłaś, na litość boską? Od razu widać, że powinnaś leżeć w łóżku, a nie uganiać się za mną. I czemu ukryłaś się w powozie?

- Miałam szczerzy zamiar zapukać do drzwi domu hrabiego i zażądać spotkania z tobą - wyjaśniła Jane lekko drżącym głosem. - Ale w ostatniej chwili wpadłam w panikę i wskoczyłam do powozu. Dobrze wiesz, jaki ze mnie tchórz. Zjawiłam się tutaj, bo niepokoiła mnie twoja nieobecność, więc postanowiłam się wymknąć i sprawdzić, co cię zatrzymało. Nie chciałam, żeby twój brat po powrocie z miasta dał mi do wiwatu. Sama wiesz, że szalałby niczym niedźwiedź ranny w łapę, gdyby cię nie zastał.

Miranda myślała gorączkowo. W żadnym razie nie chciała zmuszać Jane do wypijania piwa, którego sama sobie nawarzyła.

- Powinnaś jak najszybciej wrócić do domu - postanowiła i, nie czekając na odpowiedź Jane, załomotała w dach powozu.

- Tylko pod warunkiem, że wrócisz ze mną.

Miranda pokręciła głową.

- Obawiam się, że to wykluczone - powiedziała. - Uciekam, żeby wziąć ślub, kochana, a choć jesteś moją najcudowniejszą przyjaciółką, nie chciałabym spędzać miodowego miesiąca akurat z tobą.

Była pewna, że jej wyjaśnienie zabrzmiało wiarygodnie, jednak Jane spojrzała na nią z powątpiewaniem.

- Mirando, jesteś wspaniałą dziewczyną, ale kłamca z ciebie beznadziejny. Nawet nie próbuj mydlić mi oczu, zbyt dobrze cię znam. Co się dzieje? Mów natychmiast.

- Zakochałam się - oznajmiła Miranda, choć to wierutne kłamstwo z trudem przeszło jej przez gardło. - Chyba nie jesteś zdziwiona? Nie mogę przestać myśleć o Lucienie, odkąd uratował mnie po wypadku. - Ponownie zadudniła w dach, poirytowana brakiem reakcji woźnicy.

Wyglądało na to, że hrabia kazał mu ignorować protesty pasażerki.

- Słyszałam, że napomknął coś o klótniach - zauważyła Jane z powątpiewaniem.

Psiakość, pomyślała Miranda. Było jasne, że de Malheur jest całkowicie nieobliczalny, a do tego niebezpieczny. Skoro omal nie naraził nieznajomej kobiety na

śmierć w zaaranżowanym wypadku, skoro gotów był z zimną krwią zamordować jej młodszego brata, to również Jane nie mogła czuć się przy nim bezpieczna.

Najprostszym sposobem wybrnięcia z tej sytuacji wydawało się kłamstwo, więc Miranda postanowiła kłamać dalej.

- To oczywiste, że czasem się sprzeczymy - odparła krótko. - Nie ma się czym przejmować. Mało prawdopodobne, abym została porwana po raz drugi. Zaufaj mi, pragnę być z Lucieniem, lecz martwię się o ciebie. Gdy tylko zatrzymamy się na zmianę koni, dopilnuję, żebyś bezpiecznie wróciła do Londynu. Jesteś chora i nie powinnaś nigdzie jeździć, kochana. Co cię opętało, że wyruszyłaś mnie szukać?

- Naprawdę nie wiesz? - mruknęła Jane.

Miranda westchnęła z rezygnacją. Powinna była przewidzieć, że idąc na dno, pociągnie za sobą innych.

- Ja też cię kocham. Lucien zajmie się wszystkim, gdy przystaniemy, a tymczasem możemy pogawędzić. Spodziewam się, że przez dłuższy czas nie będzie mnie w Londynie, więc powinniśmy nacieszyć się swoim towarzystwem.

- Ależ, Mirando, mój ślub odbędzie się za trzy miesiące! - wykrzyknęła Jane. - To bardzo niewiele czasu, a ty masz być moją druhną, więc na pewno nie zabraknie nam okazji do spotkań.

- Pod warunkiem, że nie uciekniesz ze swoim bandziorkiem - mruknęła Miranda z humorem, a Jane zmarszczyła brwi.

- Nie wspominam już miło tego zajścia. Wstrząsające, że sprawiło mi przyjemność, prawda?

- Wstrząsające - zgodziła się Miranda. - Ale całkowicie zrozumiałe. Nie martw się, kochana, pan Bothwell nie musi o niczym wiedzieć.

Jane wzięła przyjaciółkę za rękę.

- Czy na pewno wiesz, co robisz, Mirando?

- Oczywiście - przytaknęła i krzepiąco uścisnęła jej dłoń.

Hrabia dopilnował, by jego zakładnicze niczego nie brakowało. Powóz był imponujący, świetnie amortyzowany, z gorącymi cegłami do ogrzewania stóp, a do tego pełen futer, poduszek oraz koszyków ze smakołykami i winem. Biedna Jane czuła się

jednak coraz gorzej, Miranda zaś prędzej zjadłaby węża, niż dotknęła specjalów dostarczonych przez Luciena. Wkrótce obie damy skuliły się pod futrami i zajęły rozmową, ale nie o chwili obecnej i przyszłości, lecz o przeszłości i spędzonym razem, szczęśliwym dzieciństwie. Jane zapadła w sen pierwsza, a Miranda powoli uwolniła się od furii, przynajmniej na tyle, by również zasnąć.

Przebudziła się gwałtownie, a gdy otworzyła oczy, oślepiło ją jaskrawe światło. Dopiero po kilku sekundach zdała sobie sprawę z tego, że powóz się zatrzymał, a w otwartych drzwiach stoi jakiś mężczyzna.

- Co my tu mamy? - spytał Lucien jedwabistym głosem. - Czyżbyśmy po drodze zabrali nieproszonego pasażera?

Miranda poczuła, jak jej rozbudzoną już przyjaciółkę ogarnia lęk, i natychmiast objęła ją ramieniem.

- Jak mniemam, rozpoznajesz moją drogą przyjaciółkę Jane, czyż nie? - Popatrzyła na niego.

- W istocie - przyznał z powagą, choć zorientowała się, że jest rozbawiony. - Nie spodziewałem się jednak, że zawrzemy znajomość w tak niecodziennych okolicznościach. Zamówiłem już pokój i posiłek na czas zmiany koni, więc proponuję kontynuować naszą przemiłą pogawędkę przy kominku.

Podał Mirandzie rękę, a ona chcąc nie chcąc, skorzystała z jego pomocy podczas opuszczania powozu. Po chwili wyciągnął dłoń także do Jane. Trzeba było przyznać, że rozgorączkowana dziewczyna z pewnością by się przewróciła, gdyby nie wsparcie Luciena. Miranda wiedziała, że jej przyjaciółka potrzebuje opieki, więc postanowiła przede wszystkim zająć się chorą, a dopiero potem znaleźć jakieś wyjście z tej koszmarnej sytuacji.

Musiał istnieć sposób na pokrzyżowanie planów Luciena. W pierwszej kolejności należało opóźnić ślub. W tym celu Miranda zamierzała symulować ból brzucha, potem zaś być może inne dolegliwości. Najważniejsze jednak było zapewnienie bezpieczeństwa Jane.

Gospoda okazała się mała, lecz przytulna i schludna, a w dodatku czekała na nich zarezerwowana, prywatna jadalnia. Miranda zaczęła rozglądać się z ciekawością, kiedy Lucien pomagał Jane usadowić się przy ogniu.

- Podejrzewam, że obie panie chciałyby odświeżyć się przed posiłkiem - powiedział, spoglądając na Mirandę. - Obawiam się jednak, że moja ciekawość jest zbyt silna, abym mógł dłużej czekać na wyjaśnienia. Co pani tutaj robi, panno Pagett?

- Jane nie wiedziała, że uciekamy, aby wziąć ślub - odezwała się Miranda natychmiast. - Postanowiła więc zatroszczyć się o moją reputację i towarzyszyć mi w podróży.

Lucien spoglądał na nią kpiąco.

- Niestety, wolę spędzić miesiąc miodowy we dwoje, tylko z tobą.

- Nie wątpię - odparła Miranda. - Z jakiegoś niezrozumiałego względu woźnica zignorował moje wysiłki, kiedy próbowałam przyciągnąć jego uwagę. W takiej sytuacji musimy - co za pech! - zawrócić i udać się z powrotem do Londynu.

- Musimy?

Jak mogła kiedykolwiek uważać jego uśmiech za czarujący? Z całą pewnością nie docierał do zimnych, bladych oczu Luciena.

- Jane? - zwróciła się Miranda do przyjaciółki. - Może pójdziesz na górę i położysz się, żebym mogła przeprowadzić rozmowę z moim przyszłym mężem?

- Ojej - westchnął Lucien, nawet nie próbując ukrywać rozbawienia. - Czyżby zanosilo się na naszą pierwszą poważną kłótnię, ukochana? Niech i tak będzie. Panno Pagett, proszę iść na górę i rozgościć się, abym mógł stoczyć potyczkę z narzeczoną.

Jane nawet nie drgnęła. Po raz pierwszy w życiu postanowiła wykazać się męstwem.

- Nie sądzę, aby...

- Idź, Jane - pośpieszyła ją Miranda bezceremonialnie. - Zostaw to mnie.

Lucien zaczekał, aż Jane opuści jadalnię, a następnie usiadł na zwolnionym przez młodą damę krześle. Miranda stała przy kominku, niemal gotując się ze złości, on jednak spokojnie splótł palce i wpatrywał się w nią z uwagą.

- Nie możesz tego zrobić - powiedziała.

- Nie bądź nużąca - zachnął się. - Mogę zrobić wszystko, na co mi przyjdzie ochota. Szkoda, że przyjaciółka dorównuje ci uporem, ale to nie moja sprawa.

- Jane nie jest uparta, to bardzo nieśmiała dziewczyna. Teraz jest przerażona, i tyle. Musisz odesłać ją do domu. Moja reputacja nie jest warta funta kłaków, ale Jane cieszy się powszechnym szacunkiem. Z jakiegoś niezrozumiałego dla mnie powodu postanowiłeś wyładować na mnie złość i frustrację. Rób, co chcesz, lecz Jane jest niewinna, a jej rodzina nigdy ci nie daruje tego, co uczynisz.

- Śmiem z przykrością zauważyć, że mylisz się pod kilkoma względami. Po pierwsze, nie czuję złości na ciebie. Jesteś tylko środkiem do osiągnięcia celu, zresztą nader rozkosznym. Co się tyczy panny Pagett - sprowadzę lekarza, nim wznowimy podróż, dzięki temu odzyskasz spokój. Potem skłonię ją do napisania listu, w którym wyjaśni bliskim, że postanowiła towarzyszyć ci w trakcie podróży poślubnej.

- Moja rodzina nigdy w to nie uwierzy.

- Wcale tego nie oczekuję. - Wzruszył ramionami. - Wątpię jednak, aby alarmowała krewnych panny Pagett. A teraz podejdź tu i usiądź.

- Nie zbliżę się do ciebie.

Nie wiedziała, jak to możliwe, że Lucien potrafi poruszać się tak szybko i zwinnie. Nie zauważyła nawet, aby miał przy sobie laskę. W jednej chwili był sztywny i opanowany, a w następnej zwawo przemierzył pokój, aby porwać ją w ramiona, przenieść z powrotem do krzesła i posadzić sobie na kolanach. Usiłowała się wyrwać, ale wtedy mocno zacisnął ręce na jej ramionach. Zamarła, aby uniknąć bólu, i tylko patrzyła na niego ze zdumieniem.

- Co cię tak dziwi, moja droga? - spytał, wyraźnie rozbawiony. - Nie pragnąłbym cię poślubić, gdybym cię nie pożądał.

W końcu doszła do siebie po początkowym szoku.

- Nie mam pojęcia, dlaczego wpadłam ci w oko - burknęła. - Nie jestem ani piękna, ani niewinna, a w dodatku doświadczony uwodziciel zapewnił mnie, że moje umiejętności w sypialni pozostawiają wiele do życzenia.

- Ktoś tutaj domaga się komplementów. - Lekko poluzował uścisk, a Miranda natychmiast zaczęła się zastanawiać, czy ma szansę wyrwać się i uciec. Problem w tym,

że nie mogła zostawić Jane, a w dodatku nie miała pojęcia, gdzie się znajdują i jak bardzo oddalili się od Londynu. - Niespecjalnie martwią mnie twoje niedociągnięcia w ars amandi - ciągnął. - Mam wprawę, której wystarczy dla nas obojga. Braki w wyglądzie nadrabiam umiejętnościami, więc w krótkim czasie sporo się nauczysz.

- A teraz kto domaga się komplementów? - odparowała.

- Nie bądź śmieszna - mruknął, lekko zaskoczony. - Śliczne z ciebie dziecko, a ja jestem paskudnym brutalem o parszywej duszy.

- Nie bądź śmieszny - przedrzeźniała go. - Twoja dusza nie jest przesadnie kryształowa, ale poza kilkoma nieistotnymi bliznami jesteś całkiem atrakcyjny.

Zrobił wielkie oczy, a potem wybuchnął śmiechem.

- Jesteś przeurocza - westchnął po chwili. - Z jednej strony obrażasz mnie, a z drugiej mi pochlebiasz, żebym cię uwolnił. Podoba mi się twój bojowy duch, więc postanowiłem dać ci szansę ucieczki. Proponuję zakład.

Czyżby mówił poważnie?

Miranda wstrzymała oddech.

- Zamieniam się w słuch.

- Rzecz jest prosta. Pocałuję cię, a jeśli pozostaniesz obojętna, wówczas odeślę do domu i ciebie, i twoją przyjaciółkę, a ponadto zostawię twoich braci w spokoju. Za to zrobię wszystko, żeby doprowadzić twoją rodzinę do ruiny finansowej. To będzie się wiązało z większym wysiłkiem, niemniej z pewnością sobie poradzę. I co powiesz?

- Brzmi zbyt obiecująco - oznajmiła, choć poczuła, że ucisk w jej gardle nieco zelżał. - Nie jestem pewna, czy dotrzymasz słowa.

- Kolejna obelga - westchnął z udawanym bólem. - Klnę się na duszę siostry, że wypuszczę cię natychmiast, jeżeli nie odwzajemnisz mojego pocałunku.

Postanowiła mu uwierzyć.

- Zgoda - powiedziała pośpiesznie, żeby nie zdążył zmienić zdania. - Przystaję na twoją propozycję, jakkolwiek nie rozumiem, czemu tak łatwo dajesz za wygraną.

- Wcale nie daję za wygraną. Jestem górą.

Dotknął palcem brody Mirandy i przyciągnął jej twarz do swojej. Popatrzyła w jego jasne oczy i ogarnęło ją zwątpienie.

Czy na pewno słusznie postąpiła?

Lucien pogłaskał ją kciukiem po policzku i rozchylił jej usta, a potem przywarł do nich w namiętnym pocałunku.

TLR

Rozdział dziesiąty

Mam zwycięstwo w kieszeni, pomyślała Miranda, gdy tylko zetknęli się ustami. Nigdy nie przepadała za całowaniem, chyba że chodziło o małe dzieci albo członków rodziny, więc siłą rzeczy musiała pokonać Luciena. Zamarła w oczekiwaniu, aż sprawa dobiegnie końca.

Spodziewała się brutalności i natrętnej siły. Nie przyszło jej nawet do głowy, że Lucien muśnie jej wargi tak lekko, jakby głaskał je piórkiem. Potem ujął ją za brodę i dotknął ustami jej policzka. Drgnęła, gdy jego ciepły oddech owiał jej ucho.

W następnej sekundzie przypomniała sobie, że siedzi mu na kolanach i jest uwięziona w jego ramionach. Nie była już dziewicą, więc doskonale wiedziała, co się dzieje pod jej pośladkami. Poczowała jego twardniejącą męskość, ale powiedziała sobie, że przecież nie ma w tym nic interesującego, ani tym bardziej przyjemnego. On jednak połaskotał ustami jej powieki, więc zamknęła oczy.

Po jej plecach przebiegł dreszcz i znowu drgnęła.

- Myślałam, że mnie tylko pocałujesz - powiedziała ze ściśniętym gardłem.

- Ciii - uciszył ją szeptem. - Nie ma pośpiechu. Jesteś trudną zdobyczą.

Kusiło ją, żeby go ugryźć, ale w ostatniej chwili się powstrzymała.

- Nie jestem żadną zdobyczą... - zaczęła, lecz zasłonił jej usta długimi palcami.

- Skoro uważasz się za całkowicie niewzruszoną, to powinnaś być cierpliwa.

Sięgnął dłonią do guzika przy wysokim kołnierzyku jej sukni i rozpiął go bez trudu, a potem następny i jeszcze jeden. Miranda ceniła sobie odzież, którą mogła wkładać i zdejmować samodzielnie, bez pomocy pokojówki, ale w rezultacie Lucien miał teraz ogromnie ułatwione zadanie.

- Nie uważam...

Tym razem uciszył ją miękkimi i wilgotnymi ustami. Gdyby należały do innego mężczyzny, zapewne byłoby jej nawet przyjemnie. Lucien nie kłamał. Naprawdę umiał całować, radził sobie znacznie lepiej niż Christopher St. John. Usiłowała usztywnić wargi, lecz wtedy ponownie chwycił ją za brodę.

- Nie oszukujemy - upomniał ją.

Zastanawiała się, czy zamierzał skorzystać z języka. Gdyby to uczynił, na pewno ogarnęłoby ją obrzydzenie, gdyż jeszcze nikt nie całował jej w taki sposób. Jane upierała się, że to zupełnie rozkoszne doświadczenie, ale Miranda śmiała wątpić w jej słowa. Nic, co związane z Lucieniem, nie mogło być przyjemne. Ani jego dłoń na jej rozpiętym dekolcie, ani na piersiach, odsłoniętych przy ciepłym kominku. Nie zamierzała delektować się jego palcami pod halką, kiedy pieścił jej piersi. W końcu jednak poruszyła się niespokojnie.

- Naprawdę nie powinnaś się wrywać, moja droga - szepnął. - Nie zabrałem pokojowca, a teraz znalazłem się na skraju wytrzymałości. Kto mi wypierze ubranie, kiedy doświadczę blamażu?

Dopiero po chwili pojęła sens jego słów i zamarła.

- Pocałuj mnie wreszcie i miejmy to już za sobą - mruknęła, choć nagle nabrała chęci, by przytulić się do niego i wsunąć palce w jego długie, ciemne włosy.

- Zatem rozchyl usta, słonko.

Jego język okazał się delikatny i zmysłowy. Miranda zapragnęła, by Lucien jej dotykał i głaskał ją wszędzie tam, gdzie zechce. Jane miała słuszność, głębokie pocałunki były intymne i podniecające. Nie chciała już myśleć, gdyż jej ciało trawił żywy, cudownie porywający ogień. Musiała jednak zwyciężyć w tej bitwie, a w tym celu powinna zachować chłodny spokój i dystans. Jak jednak mogła to osiągnąć, skoro płonęła od środka?

Nawet nie zauważyła, że podnosi ręce i zarzuca je na szyję Luciena, a potem wsuwa język między jego zęby.

Przegrała.

Położył dłonie na jej biodrach, uniósł ją i posadził okrakiem na swoich kolanach. Jej suknia uniosła się wysoko i zatrzymała na udach. Miranda jeszcze wyraźniej poczuła jego erekcję i cicho jęknęła, kiedy poruszył się i otarł o jej dessous, a potem wsunął dłoń pod suknię. Dopiero wtedy przypomniało się jej, że nie powinna na to pozwalać, więc chciała się odsunąć, ale on trzymał ją mocno. Już nie ponowiła próby ucieczki. Tak naprawdę pragnęła, by pieścił ją coraz mocniej i odważniej, a gdy dotknął ją kciukiem,

szarpnęła się, gdyż przetoczyła się przez nią fala rozkoszy. Po raz pierwszy w życiu Miranda chciała więcej.

Lucien nagle znieruchomiał. Przez długą chwilę patrzyli sobie w oczy, aż wreszcie cofnął dłoń i jakby nigdy nic, uniósł Mirandę i ponownie posadził ją sobie bokiem na kolanach.

- Zwyciężyłem - zakomunikował spokojnie. - Podobało ci się, nie zaprzeczaj. No i odwzajemniłaś pocałunek.

Wyśliznęła się z jego objęć, chwiejnym krokiem przemierzyła pokój i opadła na krzesło.

- Jesteś wstrętny - wyrzuciła z siebie. - I wcale nie odwzajemniłam pocałunku.

- Moja droga, wsunęłaś mi język między zęby - przypomniał jej znudzonym głosem. - Nikt cię do tego nie przymuszał. Byłaś podniecona i jeszcze minuta, a dałabyś mi się posiąść na tym krześle. Obiecuję, że wkrótce dokończę to, co tak owocnie rozpocząłem. W moim domu nie brak wygodnych krzeseł, na których można eksperymentować.

Miranda nie wiedziała, co powiedzieć. Poległa z kretesem, choć nadal nie mogła w to uwierzyć. Jej skóra tęskniła za jego dotykiem, wargi pragnęły jego pocałunków. Czyżby oszołomił ją medykamentami? A może postradała rozum?

Wszystko jedno, tak czy owak przegrała.

Dopiero teraz uświadomiła sobie, że ma rozpiętą suknię, i pośpiesznie zabrała się do zapinania guzików.

- Wielki to pech, że nie miałam na sobie nic, co byłoby trudniej rozpiąć - powiedziała lodowatym głosem.

- Moje złotko, mógłbym w mgnieniu oka wyłuskać cię z sukni balowej, gdybym miał takie życzenie. - Nalał sobie kieliszek wina. Miranda pomyślała, że gdyby nie wyraźne podniecenie Luciena, mogłaby uznać jego zachowanie za cyniczną grę i nic ponadto. - Wydaje mi się jednak, że zaczekamy ze skonsumowaniem naszej wielkiej namiętności aż do nocy poślubnej. Tymczasem musimy jakoś rozwiązać problem twojej przyjaciółki. Cóż, trójkąty nigdy nie wydawały mi się specjalnie pociągające. Sprawdzam się znacznie lepiej, gdy całą uwagę skupiam na jednej kobiecie.

Jak to możliwe, że ponownie udało mu się ją zaszokować?

- Jest chora. Odeślij ją do domu wraz z osobą towarzyszącą - zaproponowała. -
Tyle chyba możesz dla mnie zrobić?

- Ależ droga Mirando, czy kiedykolwiek wyraziłem pragnienie zrobienia dla ciebie czegokolwiek? - spytał łagodnie.

- Dzięki temu twoje życie stałoby się prostsze.

- A czy kiedykolwiek deklarowałem zainteresowanie prostym życiem? Gdybym preferował oczywiste rozwiązania, natychmiast po powrocie do Anglii zabiłbym twojego brata Benedicka. Miał szczęście, że bawiłem w tropikach, kiedy zmarła moja siostra. Tylko dzięki temu ochłonąłem po początkowej wściekłości i dałem sobie czas na obmyślenie planu.

Wpatrywała się w niego z nienawiścią.

- Nie broniłam się przed Christopherem St. Johnem - wycedziła. - Powinnam była przeciwstawić mu się i walczyć. Wiedziałam, że zaciągnie mnie do łóżka, i nie miałam szansy go powstrzymać, więc nie stawiałam oporu. Dostał za swoje dopiero później, kiedy nie mogłam dłużej tego znieść. Tym razem nie popełnię tego błędu. Nie oddam ci się i nie dam się zgwałcić.

- Przed kilkoma minutami dowiedziałem niezbitcie, że nie będę musiał posuwać się do gwałtu - zauważył łagodnym, niemal kojącym głosem. - Bez obaw, twoje niegdyś dziewicze ciało jest bezpieczne. Posiędę cię w sposób jak najbardziej zgodny z prawem. Dopiero co miałaś przedsmak tego, co cię czeka.

Chciało jej się płakać, ale zebrała się w sobie i tylko odetchnęła głęboko.

- Czy zamierzasz kontynuować podróż jeszcze tej nocy? - zapytała.

- Owszem. Dołączę do ciebie i do panny Pagett w powozie. Noga zaczyna mi doskwierać, a wolę w dobrym zdrowiu wstąpić na nową drogę życia. Bez obaw, moje złoto. Nie powiem pannie Pagett, że niemal doprowadziłem cię do szczytowania.

Miranda przypomniała sobie powiedzenie, że niemal każdy przedmiot nadaje się na broń. Szkoda tylko, że akurat nie miała pod ręką nic odpowiedniego.

Lucien wstał, a wtedy zauważyła, że nie sięgnął po laskę. Co prawda lekko utykał, ale i tak poruszał się z gracją.

- Jak bardzo uszkodzona jest twoja noga? - zainteresowała się. - Z pewnością nie jesteś tak niedołązny, jak udajesz.

- Przekonasz się, moja droga, że w moim wypadku rzeczywistość często odbiega od pozorów. W młodości złamałem nogę, a teraz kuleję, ponieważ została źle złożona. Staram się nie zaprzętać sobie głowy tą przypadłością.

- Więc dlaczego nie chcesz kontynuować podróży w siodle?

- Bo nie mam ochoty - odparł. - Pogódź się z rzeczywistością, Mirando. Przegrałaś zakład, a teraz tracisz czas na kłótnie ze mną.

- W mojej naturze nie leży poddawanie się bez walki - oświadczyła.

Lucien podszedł bliżej i spojrzał na nią z góry.

- Właśnie dlatego jesteś tak kusząca - mruknął.

Lucien wyszedł na zewnątrz, żeby odetchnąć rześkim, nocnym powietrzem. Miranda Rohan pobudzała go z niepokojącą siłą. Nadal drżały mu ręce, gdyż przed kilkoma minutami musiał się hamować z całych sił i niewiele brakowało, a przegrałby batalię z własną żądzą.

Może powinien był posiąść Mirandę? Christopher St. John przetarł mu szlak, więc sprawa była tym łatwiejsza. Mógłby zaspokoić swoje męskie pragnienia...

Psiakrew, musiał przestać o tym myśleć, choć trzeba przyznać, że było coś perwersyjnie przyjemnego w oczekiwaniu na ostateczną kapitulację Mirandy. Tego wieczoru zakosztował wdzięków tej młodej kobiety i miał chęć na więcej.

Stare porzekadło głosiło, że zemsta to danie, które najlepiej smakuje na zimno. Kto by pomyślał, że jego zemsta będzie tak rozkosznie gorąca?

Jane Pagett nieco komplikowała sytuację, ale Lucien dawał sobie radę z tysiącrotnie poważniejszymi utrudnieniami. W tej chwili padał z nóg i zamierzał zdrzemnąć się w powozie. Czekala ich jeszcze długa droga, aż do Krainy Jezior, gdzie w Ripton Waters stał jego dom. Zemsta miała się dopełnić właśnie tam, tymczasem jednak Lucien musiał wypocząć, żeby nabrać sił.

Miranda wsiadła z powrotem do powozu, w którym zobaczyła zwiniętą w kacie przyjaciółkę. Jane wyglądała jak kłębek nieszczęścia, miała czerwony nos i oczy i chyba

w końcu uświadomiła sobie, w jakim kiepskim jest stanie. Miranda nie wiedziała, jak podtrzymać ją na duchu, więc usiadła obok i wzięła przyjaciółkę za rękę. Jane uśmiechnęła się w podzięcie, ale nie zdążyła nic powiedzieć, gdyż do powozu wsiadł Lucien. Już po chwilę byli w drodze.

- Mirando, mój promyczku - przemówił w ciemności. - Usiądź obok mnie i zapewnij przyjaciółce nieco więcej przestrzeni.

- Bardzo mi tutaj dobrze, dziękuję - odparła.

- Ale mnie nie.

Miranda liczyła na to, że Jane nie zwróci uwagi na groźny ton Luciena. Woląла jak najdłużej kontynuować tę mistyfikację, a gdyby teraz odmówiła Skorpionowi, uznałby jej sprzeciw za wyzwanie. Dlatego westchnęła ostentacyjnie i wstała. W tej samej chwili powóz wjechał na kamień, a ona bezwładnie poleciała prosto na Luciena, który chwycił ją z uśmiechem.

- Uwielbiam to w tobie, moja droga. Raz jesteś niechętna, a kiedy indziej kipisz entuzjazmem. - Posadził Mirandę na miejscu obok siebie i objął. - Teraz lepiej - wyszeptał, a następnie lekko ugryzł ją w ucho.

Szarpnęła się nerwowo, dziękując w duchu Bogu, że Jane tego nie widziała.

- Panno Pagett, czy na pewno jest pani wygodnie? - spytał troskliwie Lucien i przykrył siebie oraz Mirandę dużym, grubym futrem.

- Tak, dziękuję - westchnęła Jane sennym głosem.

Widać było, że dręczą ją mdłości. Miranda miała nadzieję, że jej przyjaciółka zwymiotuje na eleganckie buty Luciena.

Jane pociągnęła nosem i zakasłała, ale powóz jechał tak miękko, że trudno byłoby w nim o dyskomfort. Miranda postanowiła więc sama sprowokować się do nudności i pomyślała o łapskach Christophera na swoim ciele, o jego członku i bolesnym stosunku. Przypomniała sobie, jak leżał na niej nagi, włochaty i spocony...

- Przestań się wiercić - mruknął Lucien do jej ucha. - Czeka nas długa droga, a ja chętnie spędziłbym ją w objęciach Morfeusza.

- Co z Jane? - spytała niespokojnie.

- Już śpi jak kamień. Widać, że jest przeziębiona, nic ponadto. Przesłałem jej bliskim wiadomość, że w twoim towarzystwie wybrała się z wizytą do przyjaciółki. To powinno ich uspokoić, przynajmniej na jakiś czas.

- Będą przerażeni - oznajmiła Miranda. - Razem z Jane zawsze pakowałam się w kłopoty.

- Zatem nie będą specjalnie zdumieni, kiedy prawda wyjdzie na jaw. - Przycisnął jej głowę do swojego ramienia. Nawet nie próbowała stawiać oporu, gdyż i tak zmusiłby ją do posłuszeństwa, poza tym było jej całkiem wygodnie. - Śpij, aniele. Dzięki temu nabierzesz sił, żeby pokłócić się ze mną jutro rano.

Nie mogła zlekceważyć tak mądrej rady.

TLR

Rozdział jedenasty

Rzecz jasna, nie obeszło się bez nocnych koszmarów. Z głową na ramieniu Luciena, Miranda śniła o Christopherze St. Johnie, o jego przystojnej twarzy z lekko cofniętą brodą i o jego brzydkich rękach. Gonił ją po lesie, a ona była kompletnie naga, jeśli nie liczyć długich do bioder, rozpuszczonych włosów. Usiłowała zbierać liście, żeby się osłonić, ale spadały z powrotem na ziemię, więc biegła dalej, ku tajemniczemu miejscu wybawienia w oddali. Christopher był coraz bliżej, czuła już paskudny smród jego ciała. W pewnej chwili chwycił ją za włosy i boleśnie szarpnął, lecz nagle zorientowała się, że jest wolna, gdyż ocalił ją ktoś o ciepłym, mocnym ciele, pachnącym skórą i przyprawami korzennymi. Podniosła wzrok i ujrzała okaleczoną twarz Luciena.

Wstrząśnięta, gwałtownie otworzyła oczy. Lucien spał, szczęśliwie nieświadomy jej snów. Obejmował ją, więc postanowiła ostrożnie się odsunąć, ale w tej samej chwili drgnął.

- Przestań - mruknął, a Miranda posłusznie zamarła.

- Muszę się przeciągnąć - szepnęła. - I chcę sprawdzić, co z Jane.

Cofnął rękę, ale było jasne, że zwraca jej wolność tylko na moment.

Wzrok Mirandy już wcześniej przywykł do półmroku, więc widziała, że Jane zwinęła się na kanapie naprzeciwko. Ostrożnie, żeby nie obudzić przyjaciółki, Miranda dotknęła jej czoła. Na szczęście było przyjemnie chłodne, zatem Jane nie miała gorączki.

Miranda odruchowo zerknęła ku drzwiom powozu. Nie mogła opuścić Jane, a poza tym jechali zbyt prędko, by zaryzykować skok, bez słowa więc wróciła na miejsce. Na razie musiała się pogodzić ze swoim losem.

- Jak myślisz, dlaczego zabrałem twoją przyjaciółkę, zamiast odesłać ją z powrotem do miasta? - spytał Lucien przyciszonym głosem, żeby nie obudzić Jane. - Z pewnością nie spróbujesz uciec, gdyż musiałabyś zostawić ją ze mną. Mam świadomość, że wasze rodziny są bardzo zżyte. Jeżeli umkniesz i pozostawisz Jane ze mną, zemszczę się na niej, a nie na tobie. Jakoś zadowolę się jej osobą.

- Dotknij jej, a odrąbię ci łapy - zapowiedziała Miranda groźnie.

- Dobrze wiesz, moja droga, że tak naprawdę chcę dotykać tylko ciebie. Po prostu uważam się za człowieka praktycznego i dążę do celu, wykorzystując wszelkie dostępne środki. Nawet nie podejrzewasz, jaki bywam bezlitosny. Lepiej mnie nie prowokuj, bo przekonasz się o tym na własnej, gładkiej skórze.

Miranda żałowała, że w półmroku nie mógł dostrzec nienawiści na jej twarzy. Przyszło jej do głowy, że musi jak najszybciej się uspokoić i na chłodno pomyśleć, co dalej robić. Gdyby teraz dała upust wściekłości, nie osiągnęłaby wiele, a pragnęła za wszelką cenę go pokonać.

Nie, pomyślała, była bez szans na pokonanie Skorpiona. Powinna raczej uniemożliwić mu zwycięstwo, to bardziej sensowny cel.

Tylko dlaczego w jej niemądrym śnie Lucien symbolizował bezpieczeństwo? Cóż to za bzdura? Dlaczego objęła go i pocałowała, skoro po doświadczeniach z Christopherem czuła awersję do aktu miłosnego? Widocznie Lucien był jeszcze bardziej przebiegły, niż zakładała. W rzeczy samej, nie przypominał skorpiona, a raczej węża, przebiegłego, bezwzględnego i zdradzieckiego...

- Jakież to słodkie myśli krążą po tej ślicznej główce? - mruknął łagodnie i przyciągnął ją do siebie. - Cieszysz się na noc poślubną?

Mimowolnie zadrżała, na co roześmiał się cicho.

- Myślałam o tym, że kojarzysz mi się bardziej z wężem w trawie niż ze skorpionem - oznajmiła.

- Zatem niewiele wiesz o skorpionach, moje złoto. Skorpiony są śmiertelnie niebezpieczne, a przy tym niesłychanie zwodnicze. Unikają światła słonecznego i w mgnieniu oka uśmiercają ofiarę za pomocą jadu.

- Dlaczego więc nazywają cię Skorpionem? Czyżbyś był trucicielem?

- Och, w razie konieczności nie cofnę się przed niczym. - Wzruszył ramionami. - W istocie jednak, moje przezwisko wywodzi się od skorpiona, którego przywiozłem jako maskotkę z Jamajki, kiedy w końcu powróciłem do Anglii. Mój towarzysz podróży zaczął wtedy pieszczotliwie nazywać mnie Skorpionem.

- Twój towarzysz był płci żeńskiej, bez wątpienia - burknęła kąśliwie.

- Skorpion był płci żeńskiej, a podróżowałem z przyjacielem.

- I gdzie jest teraz twoje zabójcze stworzonko? Zamierzasz napuścić je na mnie?

- Niestety, Desdemona już nie żyje. Zatrzymałem się w gospodzie na przedmieściach Paryża, a ona wymknęła się z pojemnika. Gospodarz wpadł w panikę i ją rozdeptał. - Lucien mówił spokojnie i bez emocji, ale Miranda nie dała się zwieść.

- Co się stało z gospodarzem?

- Spotkał go nieszczęśliwy wypadek. Nadział się na mój sztylet.

Wzdrygnęła się z przerażeniem. Lucien z pewnością zorientował się, jak bardzo jest wstrząśnięta, ale nie dał tego po sobie poznać. Było jasne, że próbuje ją zastraszyć, by łatwiej nią manipulować.

Miranda zrozumiała, że może się bronić tylko w jeden sposób. Nie wolno jej było płakać ani jęczeć, gdyż Lucienowi właśnie o to chodziło. Czowała, że powinna wszystko znosić z podniesionym czołem. W końcu udało się jej przetrwać ostracyzm towarzyski i wieść całkiem pogodne życie. Nie złamało jej także porwanie, gdyż była praktyczna, łatwo dostosowywała się do nowych okoliczności i nie traciła czasu na daremne utyskiwania.

Zerknęła na Jane. Zatem Lucien chciał w ten sposób powstrzymać ją przed ucieczką... Przychodził jej tylko jeden sposób uporania się z taką sytuacją.

- Trochę histeryzowałam, ale prawdę powiedziawszy, bardzo się cieszę, że zabrałeś Jane. Przy niej naprawdę czuję się o wiele znośniej - oznajmiła dziarsko, a Lucien zeszywniał.

- Trochę ci się dziwię, moja droga - powiedział. - Czyżby nie martwiło cię, że twoja najlepsza przyjaciółka umiera ze strachu i w dodatku przejmuje się tym, co pomyślą jej rodzice?

- Och, przecież nic jej nie grozi, dopóki jest ze mną - poinformowała go Miranda wręcz radosnym tonem. - A jej rodzice wiedzą, że umiem zadbać o jej bezpieczeństwo. Właściwie to bardzo miło z twojej strony, że Jane może jechać razem z nami. Nie wiem, po co się tak sprzeciwiałam.

- Nie zamierzałem sprawiać ci przyjemności. - Odetchnął głęboko, aby odzyskać panowanie nad sobą. - Niemniej cieszę się, że nieświadomie poprawiłem twoje samopoczucie. Niestety, panna Pagett nie będzie kontynuowała podróży. Zamierzam

odesłać ją z powrotem do Londynu, naturalnie, pod eskortą. Rozstanie się z nami w... Ale lepiej będzie, jeśli nie wyjawię, dokąd jedziemy. Nie chciałbym zepsuć niespodzianki.

Miranda ze smutną miną zwiesiła ramiona, udając przygnębienie z powodu rzekomej porażki. Udało się! Pierwsza próba przechytrzenia Luciena zakończyła się powodzeniem, dzięki czemu Jane bezpiecznie powróci do domu.

Teraz pozostało jej zadbać o siebie. Miranda doskonale wiedziała, jak tego dokonać. Przytuliła się do Luciena i wcisnęła twarz w jego eleganckie palto. Pachniał całkiem przyjemnie, skórą, wełną i korzeniami.

Bitwa trwała, a Miranda doszła do wniosku, że nie była zupełnie bezbronna.

Ciemność nocy ustępowała przed promieniami wschodzącego słońca, kiedy zatrzymali się na ponowną zmianę koni. Miranda wyjrzała przez okno, żeby sprawdzić, gdzie się znajdują, lecz nigdzie nie zauważyła tablicy z nazwą miejscowości. Niewątpliwie przebywali na wsi, do tego we wczesnoporannej mgle dostrzegła zarys gór.

Jane powoli otworzyła oczy i rozejrzała się z niepokojem.

- Wiesz może, co to za okolica? - spytała nerwowo przyjaciółkę. - Moi rodzice umrą ze strachu.

- Hrabia Rochdale przesłał im wiadomość. To wystarczy, aby uspokoić ich na pewien czas, a potem wrócisz do domu, cała i zdrowa. Mogą być niezadowoleni, rzecz jasna, ale sama wiesz najlepiej, że twoi rodzice nie bywają zbyt surowi.

- Tylko co powiedzą na widok mojej biżuterii? - Jane z westchnieniem ściągnęła rękawiczkę, żeby zademonstrować ekstrawagancki brylant na palcu.

- Nadal nie możesz go zdjąć? - zdumiała się Miranda.

Jane szarpnęła za pierścień, ale tkwił na miejscu, zupełnie jakby ktoś go przykleił.

- Miałam nadzieję, że dzień bez jedzenia załatwi sprawę, lecz pierścień chyba pozostanie ze mną na zawsze - jęknęła. - Jedyne wyjście to ucięcie palca.

- Nie mów tak nawet żartem! - oburzyła się Miranda. - Uważasz, że pan Bothwell wart jest samookaleczenia?

Jane nagle się rozpromieniła, całkiem jak za dawnych, dobrych czasów, które Miranda często z rozrzewnieniem wspominała.

- Moim zdaniem nie jest wart nawet małego palca u nogi, a co dopiero całej ręki, o którą mnie poprosił - mruknęła z rozbawieniem.

- Nie mówiąc już o reszcie twojego ciała, na którą ostrzy sobie zęby - dodała Miranda. - Cieszę się, że to ustaliłyśmy. Bałam się, że będę musiała cię porwać, abyś nie wyszła za tego obleśnego starucha.

- Wcale nie jest dużo starszy od nas - zauważyła Jane uczciwie.

- Staruch z niego, i tyle. Poza tym Brandon też ma o nim niskie mniemanie. Nazywa go Starym Nudziarzem.

- Póki co, obie jesteście zdane na Skorpiona - westchnęła Jane. - Osobliwy z niego człowiek, nieprawdaż? Martwiłabym się, gdyby nie było oczywiste, że jest w tobie zakochany.

Zakochany, pomyślała Miranda ze smutkiem. W rzeczywistości była tylko środkiem do osiągnięcia okrutnego celu i dopełnienia zemsty, ale miała nadzieję, że jej przyjaciółka niczego się nie domyśla.

- Obiecał, że odeśle cię do Londynu i zapewni ci eskortę - poinformowała Jane. - Nie wspomniał tylko, kiedy zamierza to uczynić. W każdym razie chcę cię zapewnić, że jestem wyjątkowo szczęśliwa - skłamała łamiącym się głosem.

- Masz prawo być zdenerwowana. - Jane popatrzyła na nią ze współczuciem. - Skwapliwie udajesz, że wiesz wszystko o sprawach damsko-męskich, ale przecież miałaś doświadczenie tylko z jednym mężczyzną, w dodatku niewartym funta kłaków. Dzięki Bogu, że St. John nie bywa już przyjmowany w dobrym towarzystwie. Nie wiem, co bym zrobiła, gdybym musiała stanąć z nim twarzą w twarz.

- Przynajmniej musi się ukrywać - zauważyła Miranda, zadowolona, że rozmowa zesłała na inny temat.

- I nikt nie mógłby mniej przypominać Christophera St. Johna niż twój przyszły mąż. - Jane bezwiednie bawiła się pierścieniem. - Na pewno czeka cię mnóstwo szczęścia w życiu.

- Można powiedzieć, że dobraliśmy się jak w korcu maku.

- Akurat - zaśmiała się Jane. - Pamiętaj, że znam cię jak własną kieszeń. Czekaj was niejedna awantura, ale na pewno...

Umilkła, gdyż nagle drzwi się otworzyły i do środka zajrzał Lucien.

- Panno Pagett - powiedział swoim urzekającym głosem. - W tym miejscu się rozstajemy.

- Już? - jęknęła mimowolnie Miranda, na co uśmiechnął się złośliwie.

- Niestety - potwierdził. - Znalazłem godną szacunku damę, która dotrzyma pani towarzystwa w moim lekkim powozie podróżnym, kierowanym przez bardzo dobrego woźnicę i zarazem pierwszorzędnego strzelca. Zapraszam, panno Pagett. - Jego wzrok padł na jej odsłoniętą dłoń. - Widzę, że ma pani zachwycający pierścień. Narzeczonego musi panią ogromnie kochać.

Jane pokraśniała, usiłując ukryć dłoń w fałdach sukni, ale Lucien wyciągnął rękę i pomógł jej wysiąść z powozu. Miranda podniosła się z miejsca, by podążyć za przyjaciółką, lecz Lucien zamknął drzwi.

- Ty zostajesz, kochanie - zapowiedział.

- Nie mogę. - Musiała powiedzieć Jane jeszcze tak dużo, powinna ją ostrzec, uprzedzić...

- Możesz.

- Muszę skorzystać z toalety - oznajmiła spokojnie.

Była gotowa sięgnąć po każdą broń, żeby pokonać Luciena.

- Powiem którejś z pokojówek, żeby przyniosła ci nocnik, najdroższa. Pozostań na swoim miejscu.

Najchętniej prychnęłaby na niego, ale tylko wychyliła się przez okno.

- Powiedz moim rodzicom, że ich kocham! - krzyknęła do Jane. - I przekaż im, że jestem niebiańsko szczęśliwa!

- Niebiańsko? - powtórzył Lucien z rozbawieniem. - Pochlebiasz mi, moja droga.

Zerknęła na niego, jednocześnie zaciskając pięści.

- Niebiańsko, mój kochany - potwierdziła lodowato i odsunęła się od okna, żeby nie wybuchnąć płaczem.

Jane piła herbatę w prywatnym saloniku gospody, dręczona dziwnym, nieuzasadnionym niepokojem. Wiedziała z niezachwianą pewnością, że woźnica i jej

nowa towarzyska podróży zjawia się lada moment, gdyż wszyscy bez wyjątku skrupulatnie wykonywali polecenia hrabiego Rochdale. Wracła do domu, więc powinna być zadowolona, prawda? Liczyła na to, że pan Bothwell w ogóle nie zauważy jej nieobecności.

Właściwie niespecjalnie przejmowała się jego opinią. Pragnęła jak najszybciej zerwać zaręczyny, gdyż nie mogła już znieść perspektywy ślubu z kimś pokroju pana Bothwella. Niestety, była aż nadto świadoma, że nigdy nie odważy się na ten krok. Na razie postanowiła skupić uwagę na Mirandzie i na jej przyszłym mężu. Sytuacja wyglądała niedobrze, choć Jane nie wiedziała, na czym dokładnie polega problem. Miranda z całą pewnością darzyła Luciena de Malheura uczuciem i choć ten związek nie wydawał się idealny, czekało ich interesujące życie, pełne przygód i emocji.

Tymczasem ona miała pana Bothwella.

Wydmuchała nos w wymiętą chusteczkę, którą następnie otarła oczy. Wkrótce czekała ją wyczerpująca podróż powrotna do domu. Jane w zasadzie lubiła jeździć, ale w zdecydowanie spokojniejszym tempie. Na wspomnienie odjeżdżającego powozu posmutniała, a po jej policzkach spłynęły łzy. Pomyślała, że Miranda będzie mężatką, kiedy ponownie się spotkają, a pan Bothwell być może zerwie zaręczyny na widok wielkiego brylantu na palcu narzeczonej. Niewykluczone, że Jane będzie skończona towarzyszka, a skoro dom Mirandy przy Half Moon Street straci lokatorkę, ona zajmie jej miejsce i zdziwaczeje.

Prawdę mówiąc, wcale nie chciała zdejmować pierścienia z palca. Gdyby pozbyła się brylantu, pan Bothwell miałby pełne prawo całować ją twardymi, suchymi wargami. Potem krytykowałby jej suknie i zachowanie, a gdy urodziłaby dzieci, zabierałby głos w sprawie ich wychowania, wygłaszając opinie absurdalne i całkowicie sprzeczne z jej przekonaniem.

Innymi słowy, stała przed koniecznością wyboru pomiędzy życiem wyrzutka społecznego i związaniem się z panem George'em Bothwellem. Nic dziwnego, że pierścień nie chciał się zsunąć.

Ponownie uniosła mokrą chustkę do oczu i wtedy ujrzała przez łzy, że ktoś podaje jej świeżą i suchą. Przyjęła ją z wdzięcznością, zerknęła na tajemniczego wybawcę i

zamarła. Stał przed nią jeden ze służących hrabiego, ubrany w charakterystyczną, czarną liberię. Jak na kogoś, kto pracuje z końmi, był bardzo wysoki. Większość ludzi wolała zatrudniać niskich, ale silnych stajennych, żeby nie obciążać koni. Ten mężczyzna musiał ważyć z dziewięćdziesiąt kilogramów.

Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, nieznajomy się cofnął, a jego miejsce zajęła pulchna dama w eleganckiej, czarnej sukni, z granatowym szalem na ramionach.

- Panno Pagett, nazywam się Grudge - przedstawiła się. - Hrabia Rochdale kazał, żebym pojechała z panią do domu. Obiecuję, że ja i Jacobs będziemy dobrymi kompanami w podróży.

Jane chciała przyrzeć się bliżej człowiekowi, który wręczył jej chustkę, ale on już gdzieś znikł.

- Kto to był? - spytała zaskoczona.

- Tamten jegomość? - Pani Grudge uśmiechnęła się wyrozumiale. - Och, to właśnie Jacobs, nasz woźnica. Nie lada przystojniak z niego, prawda? Szaleją za nim wszystkie pokojówki. Jego żona to córka kucharki, co nie przeszkadza mu rozglądać się na boki, że tak powiem.

- Aha - powiedziała Jane głucho.

Co się z nią działo? Jedno spojrzenie wystarczyło, żeby się poczuła tak, jakby rozpoznała tego mężczyznę. Dlaczego wzbudził jej zainteresowanie?

- Dopiero żeśmy przyjechali - kontynuowała pani Grudge. - Konie muszą odpocząć. Zamówiłam pani śniadanie, jak się patrzy. Podobno jakieś choróbko panią dopadło, więc lepiej nie będziemy się śpieszyli z powrotem.

- Chyba nie jesteśmy aż tak daleko od Londynu? - zaniepokoiła się Jane. - Jeśli to możliwe, pragnęłabym jak najszybciej znaleźć się w domu.

- Och, jesteśmy nieopodal Krainy Jezior. Będzie dobre dwa i pół dnia drogi od stolicy.

- Wszak powóz hrabiego pokonał tę trasę w jedną noc! - zaprotestowała.

- Jego lordowska mość zawsze gna na złamanie karku, a i konie ma przednie. My musimy być ostrożniejsi, ale bez obaw, Jacobs osobiście oddał list rodzicom pani i wcale nie byli zaniepokojeni. Nie musi pani się przejmować, jeśli spędzimy w drodze kilka dni.

Jane pomyślała, że to dobra okazja, aby przestać jeść i schudnąć. Dzięki temu miała szansę wreszcie pozbyć się pierścienia, a przecież właśnie na tym jej zależało. Prawda?

Nie, nieprawda, odpowiedziała sobie bez wahania. Zależało jej na tym, żeby najęść się jajek na bekonie, grzanek z masłem, gęstej śmietany i dżemu truskawkowego, popić to wszystko gorącą czekoladą i jeszcze przegryźć kilka ciastek na koniec. Poza tym nie śpieszyło się jej do spotkania z narzeczonym, który z pewnością nie będzie zadowolony z eskapady przyszłej żony. Rodzice ufali córce i wierzyli w jej inteligencję, tymczasem pan Bothwell najwyraźniej uważał ją za stworzenie obdarzone zaledwie połową mózgu, które należy prowadzić jak cielę, gdyż inaczej z pewnością się zgubi.

Ponownie szarpnęła za pierścień, który jednak nawet ani drgnął, za to kłykiec Jane nabrzmiał i przybrał intensywnie purpurową barwę.

- Och, jaka biżuteria! - wykrzyknęła pani Grudge. - Mogę rzucić okiem?

Pytanie było raczej impertynenckie jak na osobę, która pełniła funkcję niewiele ważniejszą od funkcji zwykłej służącej, niemniej zdesperowana Jane chętnie podarowałaby jej pierścień, byle tylko zdjąć go z palca.

- Nie chce zejść. Może wie pani, jak go ściągnąć?

- Kaczy smalec! - oznajmiła pani Grudge triumfalnie. - W trymiga przyniosę trochę z kuchni...

- Już próbowałam - powstrzymała ją Jane z rezygnacją. - Używałam też mydła, masła, gorących okładów, zimnych okładów, szarpałam, ciągnęłam i nic.

Pani Grudge zmarszczyła brwi.

- Jeszcze o tym pomyślimy, proszę pani. A teraz pora na śniadanie. Co mam zamówić? Kucharka właśnie upiekła babeczki, poza tym jest to, co zwykle: jaja na bekonie, befszytk, smażona kiełbasa i flaczki.

- Wystarczy mi suchy tost i herbata, dziękuję. - Jane postanowiła dzielnie ignorować napływające z kuchni aromaty.

- Nawet mysz nie najadłaby się taką krztyną! - zaproponowała pani Grudge.

- Mnie wystarczy - oznajmiła Jane, a jej oczy znowu zaszkliły się od łez, które wytarła chustką woźnicy.

Dopiero gdy pani Grudge wyszła, Jane uspokoiła się i spojrzała na skrawek materiału w dłoni. Tkanina była wysokiej jakości i z pewnością niewielu służących nosiło przy sobie równie kosztowne chustki. Jane spodziewała się, że w rogu zobaczy inicjały Luciena, ale znajdowały się tam litery JD. Jak to możliwe, skoro służący nazywał się Jacobs? Wyglądało na to, że chustka była skradziona.

Co za bezczelność, pomyślała z oburzeniem i dlaczego nabrała ostatnio skłonności do całkowicie nieodpowiednich mężczyzn? Najpierw zawrócił jej w głowie złodziej biżuterii, a teraz zainteresowała się uwodzicielem, zięciem kucharki...

Jane pokręciła głową i pomyślała, że powinna jak najszybciej wrócić do domu i zdjąć wreszcie ten nieszczęsny pierścień. Pan Bothwell był zacnym człowiekiem, a ona miała wielkie szczęście, że wpadła mu w oko. Może zarezerwował prawdziwe pocałunki na noc poślubną. Może wkrótce okaże się tak namiętny, że Jane momentalnie zapomni o tajemniczych rabusiach.

Kto wie, co przyniesie przyszłość, pomyślała z zadumą spoglądając w okno.

Rozdział dwunasty

Miranda obudziła się, kiedy było już zupełnie jasno. Lucien na szczęście nie dołączył do niej w powozie, jednak nie poprawiło jej to samopoczucia. Za oknem roztaczał się mroczny, górski krajobraz, którego nie rozpoznawała. Z pewnością nie dotarli do Szkocji, ale niewykluczone, że znajdowali się gdzieś w Yorkshire albo w ponurych górach Północnej Walii. Niewątpliwie kierowali się na północ, gdyż na południu rozciągało się wyłącznie morze. Niestety, Miranda nie miała szansy oszacować, jaki pokonali dystans.

Słońce tylko sporadycznie wychylało się zza ciemnych chmur, zupełnie jakby Skorpion zamówił paskudną pogodę. Jak bardzo niegodziwy był ten człowiek?

Właściwie powinna mieć pretensje wyłącznie do siebie. W końcu Brandon ostrzegał ją przed hrabią Rochdale, a ona nie dała wiary słowom brata. Skorpion groził, że zabije go z zimną krwią. Czy mogła zignorować to ostrzeżenie? Nic nie wskazywało na to, aby blefował. Naprawdę zamierzał pomścić śmierć siostry.

Jakie miał plany w związku z nią? Nie chciał jej zgwałcić, nie zamierzał jej zamordować ani zbić do nieprzytomności. Jego brutalne zamiary sprowadzały się do poślubienia jej. Trudno byłoby nazwać je niewiarygodnym okrucieństwem.

W żadnym wypadku nie był Ryszardem Trzecim, jakkolwiek pragnąłby się z nim porównywać. Za to niewątpliwie ocenił ją całkiem trafnie. W istocie, była kobietą gotową przebrać się w męski przyodziewek i wyruszyć do lasu, by poznać swoją przyszłość. Na pewno nie skuliłaby się bezradnie w kącie powozu i zalewała łzami rozpacz.

Inna sprawa, że teraz chciało się jej płakać z bólu. Rohanowie zwykle podróżowali w znacznie bardziej umiarkowanym tempie, z długimi przystankami na posiłki oraz spacerów, żeby rozprostować kości i zapobiec przykrym skurczom mięśni. Kiedy jeździła z bliskimi, zatrzymywali się na noc w gospodach albo u przyjaciół, nie chcąc narażać się na niebezpieczeństwa czyhające po zmroku. Teraz Miranda czuła się tak, jakby ktoś na wiele dni zamknął ją w skrzyni. Bolały ją wszystkie mięśnie i stawy.

Wkrótce ostatnie promienie słońca znikły i powóz otoczyła mgła, przez co posepny krajobraz robił jeszcze bardziej przygnębiające wrażenie. Na kanapie naprzeciwko Mirandy spoczywał koszyk z prowiantem, który dotąd uparcie ignorowała. W końcu jednak głód wziął górę nad siłą woli i zerknęła do środka. Okazało się, że Lucien pozostawił jej świeży chleb i ser, a także szarlotkę i butelkę wina.

Miranda szybko opróżniła koszyk, wypila nawet wino. Z reguły była bardziej wstrzemięzliwa i poniewczasie uświadomiła sobie, że zakreśliło się jej w głowie od nadmiaru alkoholu, ale jeśli dzięki temu miała lepiej spać...

Powóz wyhamował raptownie, a Miranda odetchnęła głęboko i zebrała się na odwagę. Tym razem postanowiła wysiąść, czy Lucienowi się to podobało, czy nie. Naturalnie, musiała tylko uważać, żeby się nie zataczać.

Kilka sekund później drzwi się otworzyły i Miranda zobaczyła swojego prześladowcę, który pomimo mżawki prezentował się schludnie.

- Dotarliśmy na miejsce - oznajmił. - Witaj w swoim nowym domu.

Wiedziała, że Lucien spodziewał się ujrzeć ją poirytowaną i zrozpaczoną i doszła do wniosku, że za nic nie da mu tej satysfakcji. Obdarzyła go zatem promiennym uśmiechem i podała mu rękę.

- To cudownie - odparła pogodnie. - Obawiam się, że skosztowałam nieco więcej wina, niż to było moim zamiarem. Po prostu nie sądziłam, iż jesteśmy tak blisko celu.

Korzystając ze wsparcia Luciena, ostrożnie zeszła po schodkach i podniosła wzrok na front budynku. Momentalnie pożałowała, że nie opróżniła jeszcze jednej butelki.

Dom był ogromny, ciemny i posepny. W żadnym z wychodzących na zarośnięty podjazd okien nie dostrzegła światła.

- Czy wolno mi wiedzieć, gdzie się znajdujemy?

- Ależ oczywiście, moje złoto - przytaknął. - Masz przed sobą Pawlfrey House, który od wielu pokoleń pozostaje własnością mojej rodziny. Cóż, jest to jedyny dom, który zachował się z dawnego majątku. Inne posesje trzeba było sprzedać, aby spłacić długi mojego dziadka i ojca, zapalonych hazardzistów. Najwyraźniej nikt nie był zainteresowany nabyciem tego gmachu, więc tylko dlatego nadal znajduje się w moim posiadaniu.

- Ciekawe, dlaczego nikomu nie wpadł w oko - mruknęła Miranda. Dom naprawdę wyglądał upiornie. Miała przed sobą stertę ciemnych, wilgotnych kamieni, którymi najwyraźniej nie byli zainteresowani nawet bankierzy ani wierzyciele. - A gdzie jesteśmy?

- W najodleglejszej części Krainy Jezior. Znajdujemy się w dolinie, otoczonej ze wszystkich stron górami, przez co dom jest wyjątkowo trudny do zlokalizowania.

- Wspaniała architektura! - wykrzyknęła z zachwytem. - I co za przestrzeń! Czuję, że będzie mi tutaj cudownie.

- Tak między nami, ile dokładnie wina wypijaś? - spytał Lucien, patrząc na nią podejrzliwie.

- Akurat tyle, ile trzeba - zaszcebiotała. - Będziemy tak stali i mokli, czy raczej wprowadzisz mnie do nowego domu?

W istocie, deszcz przybierał na sile. Miranda miała nadzieję, że wewnątrz ogromnego grobowca, który wznosił się przed nią, znajdowało się choć jedno ciepłe pomieszczenie.

- Oczywiście - potwierdził natychmiast. Wziął ją pod rękę i poprowadził ku schodom. - Uważaj na stopnie, niektóre kamienie są pokruszone.

Gdy drzwi frontowe się otworzyły, Miranda odetchnęła z ulgą. Na progu stała kobieta z kandelabrem w dłoni, a za jej plecami jaśniało światło.

- Witamy w domu, wasza lordowska mość. - Nieznajoma obrzuciła Mirandę niechętnym spojrzeniem.

- Dziękuję, pani Humber. Mirando, to pani Humber, nasza ochmistrzyń. Przywiozłem narzeczoną. Planujemy ślub, kiedy tylko zjawi się pastor.

Zerknął na Mirandę, którą przeszył dreszcz.

- Tak, oboje nie możemy się już doczekać - potwierdziła z udawanym entuzjazmem. - Kochanie, chętnie usiadłabym przed ciepłym kominkiem i wypija filiżankę herbaty.

Ruszyła do środka, ale Lucien chwycił ją za rękę i zatrzymał.

- Może to odrobinę przedwcześnie, niemniej powinniśmy przestrzegać dawnych obyczajów - zapowiedział, a następnie uniósł ją i przeniósł przez próg starej posiadłości,

do przestronnego i zimnego holu. - Moja noga wcale nie jest taka słaba, jakby się zdawało, najdroższa - dodał, widząc zdumienie na jej twarzy. - Przystosowałem się do związanych z nią ograniczeń.

- Nie da się ukryć - westchnęła.

W ramionach Luciena poczuła się tak, jak w gospodzie, kiedy siedziała mu na kolanach, delektując się jego siłą i ciepłem.

- Pani Humber, jak rozumiem, znajdzie się odpowiednio przygotowany pokój dla mojej wybranki - powiedział łagodnie.

Ochmistrzyni o surowym wyglądzie skinęła głową. Wyglądało na to, że i ona jest pod wrażeniem uroku Skorpiona. Większość kobiet ulegała jego czarowi, nawet Jane była gotowa okazywać mu ślepe posłuszeństwo.

- Kazałam napalić w zielonym salonie, a także w gabinecie jaśnie pana hrabiego - oznajmiła. - Ponadto sprowadziłam ze wsi dziewczęta, które wyczyściły i odkurzyły sypialnię waszej lordowskiej mości i brązowy pokój gościnny we wschodnim skrzydle.

Lucien skrzywił się z dezaprobatą.

- To oznacza, że będę musiał pokonać spory dystans, jeśli zechcę odwiedzić moją żonę w jej sypialni.

- Och, nie przejmuj się tym, najdroższy - pocieszyła go Miranda wesoło. - Po prostu uchylisz drzwi i głośno wrzaśniesz, a wtedy przybiegnę do ciebie czym prędzej. Gdzie ten zielony salon, u licha? Zmarzłam do szpiku kości.

Zdjęła pelisę i wręczyła ją ponurej pani Humber, podobnie jak rękawiczki i czepek. Ochmistrzyni nie odezwała się ani słowem, a Lucien patrzył na Mirandę jak na istotę nie z tego świata.

- Ja odprowadzę żonę, pani Humber - oznajmił. - A herbata to świetny pomysł. Wygląda na to, że dzisiaj wina już nie musimy podawać.

Miranda uśmiechnęła się do niego słodko, choć najchętniej kopnęłaby go w gołęń chromej nogi.

- Bardzo o mnie dbasz - powiedziała z zachwytem w głosie. - Jesteś taki troskliwy...

- A ty jesteś pod dobrą datą.

Wziął ją pod rękę i poprowadził przez mroczny hol do małego pokoju, w którym było tak ciepło, że zignorowała niedostatki wystroju. Bez wahania rozsiadła się w fotelu przed kominkiem, wyciągnęła zmarznięte dłonie do ognia i odetchnęła z ulgą.

Lucien stanął kilka kroków dalej i wpatrywał się w nią uważnie.

- Nie chcesz przysunąć się do ognia? - spytała. - Musisz być zmarznięty jak sople lodu.

- Nie przywiązuję większej wagi do pogody... Co ty wyprawiasz? - zdumiał się.

- Ściągam buty. Są mokre. - Zdjęła buciki i poruszyła palcami u stóp, grzejąc je przed ogniem. Zerknęła na Luciena, który nie mógł oderwać wzroku od jej bosych nóg w pończochach. - Nie rób takiej wstrząśniętej miny, przecież wkrótce staniemy na ślubnym kobiercu. Po gruntownym namyśle doszłam do wniosku, że ta sytuacja bardzo mi odpowiada. Nużyło mnie towarzystwo wciąż tych samych osób i straciłam nadzieję na małżeństwo. - Spojrzała na niego wymownie i dodała: - W szczególności na korzystne małżeństwo. Powinieneś wiedzieć, że jesteś atrakcyjną partią, pomimo swoich... defektów - dodała beztrąsko. - Nie brakuje ci gotówki, daleko ci do starości, choć trudno cię uznać za młodzieniaszkę, a w dodatku masz tytuł. Zastanawiam się tylko, czy będę hrabiną Rochdale, czy też pozostanę lady Mirandą. Wydaje mi się, że dziedziczny tytuł ma pierwszeństwo, ja zaś jestem córką markiza. Nigdy jednak nie zwracałam uwagi na te sprawy. Jestem przekonana, że bratowa rozwieje moje wątpliwości, doskonale orientuje się w takich detalach. Napiszę do niej...

- Wino sprawia, że stajesz się niesłychanie gadatliwa - zauważył i stanął tuż obok niej.

- Och, po prostu trochę się denerwuję. - Pomyślała, że mogłaby bez końca udawać radosną, rozszczębiotaną trzpiotkę, która poszukuje róż w stercie łajna. Pawlfrey House z całą pewnością był stertą łajna, cuchnącą pleśnią, próchnem i grubymi warstwami kurzu.

- Przecież jeszcze dzisiaj czeka mnie ślub. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym najpierw wziąć kąpiel i zmienić strój. Dla ciebie pragnę wyglądać jak najlepiej.

- Wątpię, abyśmy tak szybko znaleźli pastora, moje złoto - powiedział, patrząc na nią tak, jakby obserwował wściekłego psa, żeby w porę odeprzeć jego atak.

- Wielka szkoda. A tak bardzo cieszyłam się na noc poślubną. - Prowokacyjnie wydeła usta.

- To oczywiste - powiedział ze śmiechem, a Miranda natychmiast zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie przeholowała. - Skoro po winie stajesz się tak przyjazna, zapewnię ci regularne dostawy najlepszych trunków.

- Byłabym zachwycona!

- Na razie powiem pani Humber, żeby przygotowała kąpiel. - Lucien wstał. - Poza tym muszę dopilnować jeszcze kilku innych spraw.

- A co mam włożyć po kąpielu? Nie miałam okazji się spakować.

- Osobiście zadbałem o twoją garderobę. Znalazłem krawcową, u której obstalowujesz suknie. To madame Clotilde z St. James Street, czyż nie?

- Pomyślałeś o wszystkim! - zauważyła z doskonale udawanym entuzjazmem.

Uklonił się z ironią.

- Staram się, jak mogę - odparł. - Tymczasem pozostawiam cię pod troskliwą opieką pani Humber. To znakomita ochmistrzyni, pracuje w tym domu od zawsze. O ile wiem, łączy mnie z nią bardzo dalekie pokrewieństwo. Wszyscy bardzo ją lubimy, więc okazuj jej szacunek.

- Ależ oczywiście, najdroższy. Zawsze jestem miła i uprzejma dla służących.

- Pani Humber nie uważa się za służącą.

- Tak właśnie podejrzewałam. Ale jakkolwiek patrzeć, to twoja ochmistrzyni i tym samym należy zaliczyć ją do służby wyższego szczebla. A może jest twoją oblubienicą? - dodała złośliwie.

- Tylko i wyłącznie ochmistrzynią - oznajmił z uśmiechem. - Miej baczenie, droga Mirando, byś nie uczyniła z niej swojego wroga. Podobnie jak reszta mojej rodziny, pani Humber może być groźnym przeciwnikiem.

Nic nie muszę robić, bo pani Humber już mnie nie cierpi, pomyślała Miranda, nadal z idiotycznym uśmiechem na ustach. Doszła do wniosku, że jeszcze trochę, a rozbolą ją policzki, wokół oczu zaś porobią się jej zmarszczki. Idź wreszcie, ponagliła go w duchu. Potrzebuję chwili dla siebie.

Dzięki Bogu, uklonił się lekko i odszedł.

Lucien pomyślał, że jego starannie przemyślany plan nieoczekiwanie legł w gruzach, i pokuśtykał korytarzem do gabinetu. Przeniesienie Mirandy przez próg było szaleństwem, za które teraz płacił bólem nogi. Długotrwałe deszcze sprawiły, że stare rany ponownie dały o sobie znać, a Miranda i tak była zbyt pijana, aby cokolwiek zauważyć.

Zachowywała się nedorzecznie, piejąc z zachwytu nad tą ponurą stertą kamieni. Poza tym z całą pewnością nie polubiła Elsie Humber i było jasne, że obie panie skoczą sobie do oczu, gdy tylko zostawi się je same.

Szczerze wątpił, by tak bardzo cieszyła się ze ślubu, jak to demonstrowała, a już na pewno nie ciągnęło jej do nocy poślubnej. W jego ramionach denerwowała się jak spłoszona kotka. Ten dureń St. John musiał obchodzić się z nią wyjątkowo niedelikatnie.

Dlaczego nie tonęła we łzach? Czemu nie usiłowała zbiec? Zamiast rozpaczać, rozwaliła się przed kominkiem, zzuła buty i zażądała herbaty oraz kąpieli.

Lucien pokręcił głową i westchnął. Miranda najwyraźniej prowadziła dziwną grę, której zasad nie znał. Był jednak wytrawnym graczem i wiedział, jak się dostosować do nowej sytuacji. Może pomysł ze ślubem był chybiony? Miranda była już skończona towarzyszko, więc mógłby uczynić z niej kochankę, a Rohanowie też nie zdołaliby nic na to poradzić. Na pewno nie udałoby się im znaleźć drogi do tego odludnego miejsca.

Powiedziała, że jest zachwycona perspektywą ślubu. Skoro tak, to może należało ją rozczarować.

Ciekawe, ile wina będzie musiała wypić, żeby zachować ten irytujący szeroki uśmiech na twarzy.

Pannie Jane Pagett nic nie będzie groziło w powozie pocztowym, z Dużą Molly u boku, pomyślał Jacob, wspinając się na kozioł i biorąc do rąk wodze. Molly była dobrą, poczciwą istotą. Zaczynała na ulicy, ale po pewnym czasie udało się jej założyć własny, bardzo kosztowny burdel, którym kierowała żelazną ręką. Zawsze jednak pragnęła występować na scenie i Jacob wiedział, że bez wahania zgodzi się wcielić w rolę zacnej opiekunki.

Wbrew pozorom, Molly nadawała się na opiekunkę młodej damy. W swoim przybytku troskliwie zajmowała się dziewczętami, dbała o ich bezpieczeństwo i czystość, a w razie potrzeby wyrzucała dżentelmenów, którzy nie przestrzegali zasad albo skrzywdzili którąkolwiek z jej podopiecznych. Otrzymałszy wiadomość od Luciena, Jacob powinien był spełnić prośbę druha i przysłać Molly wraz z którymś ze swoich najlepszych ludzi, żeby panna Jane Pagett cała i zdrowa powróciła na łono rodziny. Nie mógł jednak oprzeć się pokusie i przyjechał osobiście, aby ujrzeć Jane w świetle dnia.

Nie obchodziło go nawet to, że z pewnością narazi się na gniew Luciena. Mimo przeziębienia, panna Jane wyglądała prześlicznie. Co z tego, że miała czerwony nos i opuchnięte oczy, skoro od dawna nie widział równie apetycznego kąska. Nie pojmował, dlaczego tak bardzo go zauroczyła. Wszak nie raz i nie dwa gościł w łóżku utytułowane damy, które zresztą nie były ani trochę lepsze od dziewczek Molly.

Jane nie była nikim nadzwyczajnym, dlaczego zatem wpadła mu w oko?

Nadal miała na ręce brylant, który podarował jej pod wpływem impulsu. Jacob doskonale wiedział, że pierścień jest na nią za ciasny, niemniej podczas pocałunku udało mu się niepostrzeżenie wsunąć go na jej palec. Musiał to zrobić, gdyż już wtedy doszedł do wniosku, że tak atrakcyjne dziewczę jak panna Jane nie powinno zadowalać się mizernym pierścioneczkiem.

Skorpion wpadł w istny szal, dowiedziawszy się o takim marnotrawstwie. Najwyraźniej nie rozumiał, że to biedne, smutne dziewczę bardziej potrzebuje brylantów niż szlachetnie urodzone ladacznice pokroju księżnej Carrimore. Poza tym, pierścionek bardzo ładnie wyglądał na dłoni Jane. Duży, spektakularny i rzucający się w oczy brylant pasował do jej delikatnych palców. Szkoda, że była zaręczona. Jacob z zasady nie wtrącał się w cudze życie tylko dlatego, że miał ochotę zaspokoić swoje potrzeby. Postanowił odtransportować ją nienaruszoną do rodzinnego domu w Londynie, a po drodze odebrać jej pierścień. Dzięki temu będzie mogła w krótkim czasie zapomnieć o lotrzyku, który całował ją w ciemnościach, przy okazji kradnąc brylanty.

Molly zapewne opowiadała jej przeróżne historie na jego temat. Roilo się w nich od kłamstw, rzecz jasna, ale nie miało to znaczenia. Jane nie rozpoznała go i nic dziwnego, skoro wcześniej spotkali się w kompletnych ciemnościach. Jacob miał

niezwykłe wyostrzony wzrok, więc widział ją wtedy doskonale, ona jednak nie mogła dostrzec jego oblicza.

W drodze powrotnej nie zamierzał zmieniać koni, więc siłą rzeczy musieli podróżować dłużej, co go cieszyło, gdyż miał chęć bliżej poznać pannę Pagett. Naturalnie, nie zamierzał jej tknąć, wolał nie zadawać się z młodą damą z wyższych sfer. Na wszelki wypadek nie rozdziewiczał grzecznych panienek, gdyż wiązałoby się to z niepotrzebnymi komplikacjami, a tych unikał jak ognia.

Nagle przyszło mu do głowy, że w tak zimną noc przydałoby się przynieść do powozu kilka gorących cegieł, dla ogrzania stóp podróżnych. Bez wahania zeskoczył z kozła, pobiegł do gospody, a po chwili wrócił z dwiema cegłami w wełnianych szalach, za które zapłacił jak za zboże.

Pośpiesznie otworzył drzwi i spojrzał prosto w oczy Jane Pagett. Momentalnie pochylił głowę i położył ciężki pakunek na podłodze.

- To dla ciepłoty - wykrztusił z silnym akcentem z Yorkshire, a potem wycofał się, zamknął drzwi i zaklął pod nosem.

Przyjrzała mu się dobrze, ale to nic nie oznaczało. Przecież nie mogła go pamiętać.

Wdrapał się na kozioł, chwycił wodze i potrząsnął nimi gwałtownie, a konie ruszyły z kopyta. Miał nadzieję, że w drodze odzyska spokój, który ponownie stracił w zetknięciu z panną Jane Pagett

Rozdział trzynasty

Pawlfrey House to istny koszmar, pomyślała Miranda, podążając za panią Humber po schodach, a potem długim korytarzem do pokoju. Krzepka ochmistrzyni zatrzymała się, odwróciła do Mirandy i wbiła w nią świdrujący, nieżyczliwy wzrok.

- Nie zatrudniamy tutaj wielu służących, lady Mirando - powiedziała wyniośle. - Przykazałam pokojówkom, by przyniosły gorącą wodę, ale potrzeby jego lordowskiej mości stawiamy na pierwszym miejscu. Hrabia Rochdale zawsze żąda gorącej kąpieli po podróży. Pani wanna będzie gotowa dopiero za jakiś czas.

Miranda obdarzyła ją przesadnie słodkim uśmiechem.

- W takim razie powinna pani wskazać mi drogę do pokoju jego lordowskiej mości, abym zażyła kąpieli w jego wannie.

Powiedziała to tylko po to, by wstrząsnąć ochmistrzynią i ujrzeć jej zszokowaną minę.

- Pani kąpiel każę przygotować w pierwszej kolejności - burknęła pani Humber i pchnęła drzwi do sypialni. - Proszę się rozgościć.

Miranda przez chwilę stała na progu, wsłuchując się w ciężkie kroki odchodzącej ochmistrzyni, a potem roześmiała się cicho. Mogła sobie wyobrazić, jaką minę zrobiłby Lucien, gdyby wszedł do swojego pokoju i ujrzał ją baraszkującą w wannie.

Nie, na razie nie była jeszcze przygotowana na taką konfrontację. Musiałaby stawić Lucienowi czoło w stroju Ewy, a ten moment należało odwlekać jak najdalej, najlepiej w nieskończoność. Czy zemsta na Rohanach warta była dzielenia życia z radosną idiotką? Miranda liczyła na to, że Lucien niekoniecznie tak uważa.

Żałowała, że musi przekroczyć próg swojego pokoju, ciemnego i ponurego, mimo ognia w kominku. Na domiar złego, pomieszczenie załatywało pleśnią i myszami. Miranda ciężko westchnęła. Należało jak najszybciej gruntownie wysprzątać cały dom, a do tego potrzebna była dodatkowa służba.

Podeszła do wysokich okien i energicznie rozsunęła wyblakłe zasłony, a wtedy opadła na nią chmura gęstego kurzu. Miranda rozkaszała się i kilka razy machnęła ręką, żeby odpędzić kłęby pyłu. Na szczęście wyglądało na to, że przynajmniej łóżko jest

czyste, a pościel świeża. Pani Humber spodziewała się zapewne, że Lucien zechce dzielić łożę ze swoją nową utrzymanką.

Pomimo ognia w pokoju panowały wilgoć i chłód. Przy kominku leżała sterta drewna, więc Miranda pochyliła się i rzuciła kilka szczap w płomienie. Żałowała, że nie ma pod ręką ani kawałka węgla, który palił się lepiej i dłużej. Po kilku minutach zrobiło się wyraźnie cieplej, więc przysunęła fotel do paleniska, żeby ogrzać dłonie i stopy.

Nadal miała przed oczami minę Luciena, który dosłownie zdębiał, gdy zdjęła buty. Opanował się prawie natychmiast, ale i tak omal nie wybuchła triumfalnym śmiechem.

Zapadł zmrok, gdy do pokoju weszło dwóch mocno zbudowanych mężczyzn z miedzianą wanną oraz służąca z wiadrem gorącej wody. Miranda pomyślała, że przyjdzie jej czekać na kąpiel do Gwiazdki, jeśli tylko jedna, drobna dziewczyna będzie donosiła po małym wiaderku wrzątku. Mimo to uśmiechnęła się i podziękowała. Tylko służąca zareagowała na jej uprzejmość i odwdzięczyła się nieśmiałym uśmiechem.

- Czy mam zaciągnąć zasłony, panienko?

Jeden z mężczyzn spojrział na nią z przyganą.

- Mów do niej „jaśnie pani”, durna kozo - burknął.

Dziewczyna poczerwieniała jak burak.

- Och, panienko... Znaczy się, jaśnie pani, ogromnie przepraszam. Ja to tylko pomoc kuchenna, nigdy nie kazano mi służyć najprawdziwszej damie.

- Mniejsza z tym. - Miranda pobłażliwie machnęła ręką. - Jak masz na imię?

- Bridget, jaśnie pani.

- A więc, Bridget, może pomożesz mi porządkować ubrania, a ci silni panowie przyniosą resztę wody, dobrze?

- Nie nasze to zajęcie - zaczął opryskliwy osiłek, ale umilkł i przełknął ślinę na widok groźnej miny Mirandy. - Tak jest, jaśnie pani - mruknął i wyszedł, kłaniając się nisko.

- Ferdy to nieokrzesaniec - zachichotała Bridget. - Jest bratankiem pani Humber i uważa, że tu rządzi, ale tak naprawdę zwykły z niego stajenny. Silny jest, to ochmistrzyni daje mu co cięższą robotę.

- W takim razie doskonale się nadaje do dźwigania wiader z wodą - oświadczyła Miranda.

- Mam zaciągnąć zasłony, jaśnie pani? Noc jest paskudna.

- Tak, ale bardzo ostrożnie. Są koszmarnie zakurzone, podczas odsłaniania okien prawie się udusiłam.

Bridget zrobiła przerażoną minę.

- Och, panienko... jaśnie pani, strasznie przepraszam! W ostatniej chwili powiedziano nam o przyjeździe jaśnie państwa, a pani Humber to trudna osoba. Nie lubi, jak jego lordowska mość zwozi tu kobiety.

Miranda doszła do wniosku, że nie powinna czuć się zbulwersowana tą informacją, więc przyjęła ją ze stoickim spokojem.

- Czy ochmistrzyni wyraża dezaprobatę z powodów natury moralnej? - zapytała. - Bo tak się składa, że pan hrabia zamierza mnie poślubić.

Bridget pokręciła głową, a wtedy Miranda dostrzegła na jej szyi siniaka, zapewne dzieło pani Humber albo jej pomagiera, Ferdy'ego.

- To nie tak. Po mojemu to ona ma na niego chrapkę.

- Pani Humber? - powtórzyła Miranda ze zdumieniem. - Przecież jest dwakroć starsza od niego, a poza tym to tylko ochmistrzyni, i w dodatku podobno z nim spokrewniona.

- Podobnież miłość jest ślepa, jaśnie pani.

Mirandę tak bardzo zdumiały podejrzenia Bridget, że postanowiła zmienić temat.

- Zatem jego lordowskiej mości zdarzało się już sprowadzać tutaj inne damy? - spytała, bawiąc się poluzowaną nitką przy swojej sfatygowanej sukni.

- Nie, jaśnie pani, nie damy. Wiadomo, jacy są dżentelmeni. - Bridget wzruszyła ramionami. - Lubią się zabawić.

- Wątpię, aby hrabia Rochdale wiedział, czym jest zabawa - zauważyła z ironią Miranda. - Cóż, chyba powinnam być zadowolona, że czasem sprowadzał sobie ładacznicę. Przynajmniej bywały tutaj kobiety.

- Ale tylko na krótko, panienko. Jego lordowska mość szybko się nudzi.

- I dobrze - podsumowała Miranda pogodnie.

Liczyła na to, że Lucien wkrótce znuży się także nią. Ponieważ z niezrozumiałych powodów podobało się jej, kiedy jej dotykał, postanowiła unikać kontaktu fizycznego z nim tak długo, aż w końcu zmęczą go nieustanne podchody. Prędzej czy później musiało do tego dojść.

- Słucham, jaśnie pani? - spytała Bridget, ostrożnie zaciągając zasłony, żeby nie stracić zbyt dużo kurzu.

- Tak tylko mówiłam do siebie.

Nie minęło pół godziny, a wanna była już pełna parującej wody. Bridget zajęła się dorzucaniem do ognia, a nawet zebrała się na odwagę, by kazać Ferdy'emu przynieść więcej drewna oraz tacę z kolacją.

Miranda jęknęła z rozkoszy, zanurzając się w gorącej kąpieli. Po dwóch dniach w drodze wreszcie mogła się wyszorować i odprężyć. Bridget starannie umyła jej długie włosy, a potem wyjęła z szafy piękną koszulę nocną oraz szlafrok. Po wyjściu z wanny Miranda okryła się wielkim, tureckim ręcznikiem i pytająco spojrzała na strój do snu.

- Nie będę jadła kolacji z jego lordowską mością? - zdziwiła się. Przecież nie było aż tak późno.

- Jego lordowska mość wyszedł, jaśnie pani, i nie wiadomo, kiedy wróci. Kazał nie czekać z kolacją, a tacę przesłać panience do pokoju.

- Chyba nie wybrał się na poszukiwania pastora? - Miranda zarzuciła na plecy koronkowy szal.

Ubrania okazały się naprawdę eleganckie. Lucien niewątpliwie cenil sobie kosztowną odzież.

- Ja to tam nie wiem, panienko. Jak wychodzi, to bywa, że i parę dni nie wraca.

- Miejmy nadzieję. - Owinęła się ciasniej szalem, który niespecjalnie chronił przed ciągnącym od grubych murów chłodem.

Nie miała jednak ochoty wchodzić do łóżka i czekać w nim na obmierzłego uwodziciela. Szczerze wątpiła, aby wstrzymał się z dopełnieniem zemsty aż do ślubu.

Dobrze przynajmniej, że na tacy znajdowała się rozsądna ilość jedzenia, co prawda mdławego i rozgotowanego, ale zawsze. To gospodarstwo wymagało gruntownych zmian. Gdyby tylko zdołała pozbyć się Luciena, z pewnością mogłaby doskonale się

bawić przy remoncie i dekorowaniu domu. Nawet burkliwy brat Mirandy, Charles, przyznał, że Bóg nie poskąpił jej talentu. Ten budynek kojarzył się z wielkim, brudnym, cuchnącym, zeżartym przez mole, pustym płótnem, a skoro musiała tutaj tkwić, to chciała znaleźć sobie jakieś zajęcie.

W końcu odprawiła Bridget na noc, podparła krzesłem klamkę u drzwi i wgramoliła się do wielkiego łóża. W dużej sypialni zrobiło się wreszcie ciepło, ale Miranda dopiero pod pierzyną zorientowała się, że nie ma nic ciekawego do roboty. Brakowało jej książek, nie było z kim rozmawiać, nie zauważyła też fortepianu. Jak można żyć bez fortepianu? Pomyślała, że nawet jeśli w tym piekielnym domu znajdzie się jakiś instrument, to i tak jest kompletnie rozstrojony. Ile tu było sypialni, ile salonów? Na pewno mieli też dużą salę bankietową, może i dodatkowy salonik...

Do licha, nie mogła tak leżeć i rozmyślać. Wyśliznęła się z łóżka, po czym włożyła przygotowane przez Bridget pantofle. Po krótkim wahaniu, zapaliła świecę od ognia w kominku, odsunęła krzesło i wyszła, żeby zwiedzić dom.

Dopiero na parterze uświadomiła sobie, że wędrując po budynku, naraża się na dodatkowe niebezpieczeństwo. Lucien mówił, że nie jest nią zainteresowany, gdyby jednak zmienił zdanie, znalazłaby się w jeszcze bardziej kłopotliwej sytuacji. Zamierzała natychmiast wrócić do sypialni, ale gmach był całkiem cichy i spokojny. Tylko ona kręciła się po pokojach.

Ona i myszy.

Na fortepian natrafiła w pokoju, który od razu nazwała w myślach muzycznym. Na ścianach zauważyła gipsowe putta z instrumentami, w kącie pokoju stała harfa. Miranda bez namysłu otrzepała stołek z kurzu, usiadła i zagrała jeden z krótkich utworów Mozarta, znany jej na pamięć. Ku jej zdumieniu okazało się, że fortepian jest niemal doskonale nastrojony. Innymi słowy, ktoś tutaj grywał, tylko kto?

Podczas zwiedzania doliczyła się trzech salonów o różnych rozmiarach, znalazła też pokój śniadaniowy i zakurzony gabinet zarządcy. Tu i tam dostrzegła na ścianach nadżarte przez mole łby jeleni, a także dawną broń. Gdyby kiedyś przyszło jej bronić czci, mogła spokojnie skorzystać z tych doskonale zachowanych eksponatów.

Gabinet Luciena wydawał się jedynym pokojem, w którym panowała względna czystość. Służba zadbała też o to, by w kominku nie wygasł ogień. Na jednym z foteli Miranda zauważyła gruby, wełniany koc i bez wahania po niego sięgnęła. Nareszcie mogła okryć ramiona czymś naprawdę ciepłym.

Na końcu pomieszczenia ujrzała podwójne drzwi, które otworzyła w przekonaniu, że trafiła do sali balowej. Okazało się jednak, że dotarła do największej biblioteki, jaką kiedykolwiek widziała. Szybko znalazła książkę, która przypadła jej do gustu, powieść francuskiego autora, pełną pasjonujących przygód i całkowicie pozbawioną walorów edukacyjnych. W pomieszczeniu znajdowało się aż sześć ław, częściowo ukrytych za zasłonami przy oknach, więc Miranda usiadła, postawiła świecznik na półce, i, otulona kocem, pogrążyła się w lekturze.

Lucien de Malheur wrócił do domu w wyjątkowo podłym nastroju. Kiedy wyobrażał sobie uwięzienie Mirandy, całkiem zapomniał o tym, że przede wszystkim sam będzie musiał jakoś wytrzymać w tym zimnym, odpychającym domu.

W tej okolicy zima i przedwiośnie były nad wyraz przykre. Intensywne opady śniegu niejednokrotnie odcinały dom od świata, a lodowały deszcz niekiedy zacinął z taką mocą, że człowiek przemarzał na wskroś. Cóż, Pawlfrey House wzniesiono dla prestiżu, nie dla komfortu.

Nie było to najlepsze miejsce dla panny młodej, ale też nie zależało mu na jej wygodach, wręcz przeciwnie. Lucien zamierzał zrobić z niej użytek w łóżku i gdy będzie miał już z głowy ten skądinąd miły obowiązek, zostawić ją i wyjechać. Miranda pozostanie sama jak palec w tym odludnym, wilgotnym i zimnym otoczeniu, a jej rodzinę trafi szlag. Ta świadomość w zupełności wystarczała, by robiło mu się cieplej na sercu.

Wrócił do domu dobrze po północy, nawet pani Humber udała się już na spoczynek. Lucien sam otworzył drzwi, gdyż nie miał ochoty budzić służby, po czym udał się na piętro, prosto do swojej nowej maskotki.

Nie zastał jej w pokoju. Zdumiony, przetrząsnął całe pomieszczenie, a nawet zajrzał pod łóżko i do szafy, na wypadek gdyby się tam ukryła, ale nigdzie jej nie znalazł.

Rzecz jasna, mógł wszcząć alarm i zebrać drużynę poszukiwawczą, ale czułby się wtedy jak kompletny idiota. Jeśli Miranda wymknęła się na lodowaty, zimowy deszcz, to tylko ze szkodą dla siebie. Poza tym równie dobrze mógł zaczekać z poszukiwaniami aż do rana. Jeżeli nadal przebywała w budynku, na pewno znajdzie ją później.

Najpierw jednak zamierzał zapanować nad trawiącym go od środka gniewem. Miał mieszane uczucia w związku z wykorzystaniem jej w łóżku, gdyż jeszcze nie zdecydował, co jest gorsze: zrobienie tego przed ślubem czy po ceremonii. Potrzebował ciepłego domu, ciepłego łóżka i ciepłej, chętnej kobiety. W Pawlfrey House brakowało jednego, drugiego i trzeciego.

Skierował się prosto do gabinetu, aby wychylić kieliszek brandy. Usiadł za biurkiem, powtarzając sobie, że jest jedynie poirytowany, a nie zaniepokojony, kiedy nagle zauważył, że drzwi do biblioteki są lekko uchylone. Wstał i poszedł je domknąć, lecz w kącie pomieszczenia dostrzegł słabe światło.

Więc to tak, pomyślał i cicho przemierzył pokój, po czym zatrzymał się przy lady Mirandzie Rohan.

Spała snem sprawiedliwego. Dopiero teraz zauważył, że jej włosy są wyjątkowo długie - gdyby rozpleść luźny warkocz, z pewnością sięgnęłyby poniżej bioder. Z niewiadomego powodu przeszył go przyjemny dreszcz. Na jej kolanach spoczywała popularna francuska powieść, ale nawet niesłychane dokonania głównej bohaterki, Mme Lapine, nie wystarczyły, by powstrzymać Mirandę przed zaśnięciem. Owinęła się ciasno najlepszym kocem Luciena i drzemała tak błogo, że nie miał serca jej obudzić.

We śnie wyglądała wyjątkowo niewinnie, choć wiedział przecież, że już dawno temu rozstała się z cnotą. Sam do tego doprowadził swoimi knowaniami. Pierwszy plan spełził na niczym, za sprawą głupoty i braku kompetencji jednego człowieka, ale tym razem Skorpion nie zamierzał popełnić błędu.

Odruchowo wyciągnął rękę i dotknął włosów Mirandy. Nie poruszyła się, kiedy odgarniał kosmyki z jej delikatnego, gładkiego policzka. Lucien nieoczekiwanie się uśmiechnął i doszedł do wniosku, że jutro zrobi to, na co dzisiaj było już zbyt późno. Na razie mogła spać spokojnie.

Gdy zdmuchnął świecę, Miranda cicho westchnęła. Momentalnie zapragnął chwycić ją w ramiona i przenieść do łóżka, ale powstrzymał się resztkami sił i zaciągnął zasłonę. Pomyślał, że promienie porannego słońca obudzą ją w jej przytulnym gniazdku.

A wtedy bitwa rozpocznie się na nowo.

TLR

Rozdział czternasty

Okna biblioteki wychodziły na wschód, więc Miranda obudziła się bladym świtem i raptownie usiadła na ławie. Spała jak kamień, nic jej się nie śniło i czuła się całkiem wypoczęta. Zostawiła jednak zapaloną świecę i przez nieostrożność mogła doprowadzić do pożaru. Właściwie nie miałyby nic przeciwko zrównaniu tego domu z ziemią, najpierw jednak wolałyby z niego uciec.

Sięgnęła na półkę i wtedy zauważyła, że świeca jest wypalona tylko do połowy. A zatem ktoś ją zdmuchnął.

Ta świadomość wytrąciła Mirandę z równowagi. Lucien na pewno nie zgasił płomienia, gdyż wolałby ją obudzić, drażnić się z nią, a może nawet posunąć się do nieprzyzwoitości. Czyżby więc pani Humber? Miranda wzdrygnęła się z niechęcią. Może jednak zgasiła świecę sama, ale była zbyt senna, żeby to pamiętać. Poza tym w domu panowały silne przeciągi, które bez trudu poradziłyby sobie z wątłym płomykiem.

Rozsunęła zasłony, wstrzymując oddech, żeby nie nawdychać się kurzu. Nie przypominała sobie, aby je zaciągnęła. Dziwne. Czy to Bridget znalazła tu swoją nową panią?

Miranda wstała i podeszła do podwójnych drzwi. Nawet nie przyszło jej do głowy, że w gabinecie mogłaby kogoś zastać, dlatego zamarła na widok pochylonej głowy Luciena, który pisał coś przy biurku.

- Nie miałem pojęcia, że jesteś tak zapaloną czytelniczką, moje złoto - powiedział i leniwie podniósł wzrok. - Takie spacerunki po ciemnym domu są niebezpieczne. Na wszelki wypadek będę odtąd zamykał bibliotekę na klucz, żebyś nie musiała walczyć z pokusą.

Dopiero po kilku sekundach przypominała sobie, że nie powinna go bić.

- Och, to doskonały pomysł, najdroższy! - wykrzyknęła z promiennym uśmiechem.
- Z niczym nie nadażam, kiedy mam książki pod ręką. Koniecznie zamknij bibliotekę.

- To na nic. - Popatrzył na nią z ironią.

Weszła do gabinetu i usiadła na krześle po przeciwnej stronie biurka.

- Cóż takiego jest na nic, najdroższy?

- Twój radosny entuzjazm. Udawaj, ile chcesz, i tak nic ci z tego nie przyjdzie. Za to ja zyskam potulną kochankę, co znacznie ułatwi mi zadanie.

- Mam być kochanką? - spytała słodko. - Sądziłam, że bierzemy ślub.

- Przyszło mi do głowy, że najprościej będzie zrobić z ciebie utrzymankę. Więzy małżeńskie piekielnie trudno zerwać i chyba nie jesteś warta takiego poświęcenia.

- Cudownie! Od twojej służby wiem, że łatwo się nudzisz, więc znalazłbyś się w kłopotliwej sytuacji, gdybyś miał mnie dosyć, ale nie mógł publicznie adorować innych kobiet.

- Nie mam w zwyczaju publicznie adorować kobiet. Same do mnie ciągną, podobnie jak ty.

- Życie w grzechu całkowicie mi odpowiada - zaćwierkała. - Nadal wierzę w prawdziwą miłość i w szczęśliwe zakończenia. Po rozstaniu z tobą mogłabym zamieszkać w Paryżu, o ile te przekłete wojny dobiegną wreszcie końca.

- Czy to znaczy, że mnie nie kochasz, mój aniele? - Zmrużył oczy.

- A chciałeś tego, najdroższy? - spytała, przechyliwszy głowę. - Na pewno rozkocham się w tobie, o ile wyrazisz takie życzenie. Czy przypadkiem nie oczekiwałeś, bym była niechętna?

- Marnie ci idzie stawianie mi oporu.

- Wiem - westchnęła. - Niestety, okropnie łatwo dostosowuję się do nowych sytuacji. Przy Christopherze St. Johnie nie uroniłam ani jednej łzy. Powiedziałam mu, co o nim myślę, a kiedy zabrał mnie do łóżka, starałam się dobrze bawić.

- Doprawdy? - zainteresował się.

- Niestety, cała sprawa okazała się niehigieniczna, bolesna i właściwie trochę śmieszna. Te dziwaczne męskie końcówki są tak małe i niedorzeczne...

- Małe? - powtórzył z osłupieniem.

Miranda przypomniała sobie pobyt w gospodzie, kiedy siedziała na kolanach Luciena. To, co wtedy pod sobą czuła, z pewnością nie było małe. Postanowiła zmienić temat.

- Gdy się zorientowałam, że Christopher zamierza przeciągać tę nudną zabawę w nieskończoność, rąbnęłam go dzbanem w głowę i tyle mnie widział - ciągnęła. - Żałuję,

że nie przyszło mi to do głowy już wcześniej. Jak więc widzisz, po początkowym oporze bez trudu godzę się z tym, na co nie mam wpływu. Ktoś mógłby uznać, że ostracyzm towarzyski to koniec świata, a ja byłam szczęśliwa w swoim małym domu, gdyż robiłam, co chciałam. Bale, przyjęcia, kluby i mężowie - nic a nic mnie to wszystko nie obchodziło. Nikt nie może mi rozkazywać, choć rodzina często usiłuje narzucić mi swoją wolę. Czuję się rozkosznie wolna, a w razie potrzeby po prostu powrócę na Half Moon Street. - Uśmiechnęła się beztrąsko.

- A co z miłością? Nie kochałaś Christophera St. Johna?

- Ani trochę - wyznała szczerze. - Wcale nie planowaliśmy ucieczki. Sądziłam, że jedziemy na kilkugodzinną maskaradę w Vauxhall, a Christopher był przystojnym i troskliwym łotrzykiem. Która dziewczyna mogłaby się oprzeć łotrzykowi?

- Sugerujesz, że kobiety kochają drani? - spytał ze zdumieniem.

- Nie sposób odmówić im uroku. - Wzruszyła ramionami. - Każda z nas wierzy, że sprowadzi takiego gagatka na dobrą drogę. Nic dziwnego, że kobiety ciągną do ciebie stadami. Raczej nie chodzi im o twój urok osobisty ani o nienaganne maniery. - Zatrzepotała rękami.

- A ty, Mirando? Czy przepadasz za łotrami?

- Wszak jesteś łotrem. Nie chciałbyś, bym kochała cię do szaleństwa?

- W razie czego dam ci znać - zdecydował po namyśle.

- Doskonale. - Wstała z krzesła. - Idę obejrzyć moją nową garderobę. Dobrze wiesz, najdroższy, że kobiety przepadają za fatalaszkami. Wczoraj wieczorem rzuciłam na nie okiem i już wiem, że trudno mi będzie zdecydować, co na siebie włożyć.

- Ważne, byś nie miała na sobie nic, gdy odwiedzę cię nocą.

Miranda zamarła przy drzwiach i zrobiła lekko zatroskaną minę.

- Obawiam się, że będę musiała coś włożyć - westchnęła. - Właśnie się zaczęły moje comiesięczne przypadłości i narobiłabym potwornego bałaganu, gdybym... Najdroższy, czy coś ci jest?

- Ani trochę - wykrztusił. - A jak długo trwają twoje... comiesięczne przypadłości?

- Och, raptem tydzień, góra dziesięć dni - wyjaśniła wesoło. - Są niebywale obfite, ale zapewne nie masz nic przeciwko temu. Światowy z ciebie człowiek i niewątpliwie miałeś już do czynienia z kobiecymi przypadłościami. - Pfuj, pomyślała.

- Nie, nie mam nic przeciwko temu, ale rozumiem, że wolałabyś zaczekać - mruknął.

- Jak sobie życzysz, najdroższy.

- Przestań wreszcie zwracać się tak do mnie! - wrzasnęła Lucien, ostatecznie wytracony z równowagi.

- Najdroższy? - zdziwiła się. - Jak zatem mam do ciebie mówić?

- Najlepiej po imieniu.

Zwracała się tak do niego, kiedy mu ufała. Niestety, w myślach nadal był dla niej Lucieniem.

- Zamierzałam zwracać się do ciebie oficjalnie i publicznie nazywać cię mężem, ale to nie ma sensu, jeśli nie weźmiemy ślubu. Pomyśl jednak że jeśli dostatecznie długo nazywa się kogoś najdroższym, to w końcu zaczyna się w to wierzyć. Nie chciałbyś, abym cię adorowała?

- Odniosłem wrażenie, że już mnie uwielbiasz. - Uniósł brwi.

Punkt dla niego, pomyślała.

- Naturalnie, że cię uwielbiam - przytaknęła skwapliwie. - Czy spotkamy się na lunchu?

Wpatrywał się w nią przez chwilę, jakby rozważał jej propozycję.

- Niewykluczone, że będę miał inne sprawy na głowie - odparł. - Poza tym bardzo trudno jest mi przebywać przy tobie, gdy nie mogę cię dotykać. Jeszcze trochę i popadnę w irytację, a nie chciałbym cię urazić.

Miranda niemal się zakrztusiła, zdumiona czułością w jego głosie.

- Natura jest taka niekomfortowa - westchnęła z udawanym żalem.

- Pewne niedogodności można obejść... korzystając z ust.

A niech go diabli porwą, pomyślała, czerwieniąc się jak burak. Doskonale wiedziała, co ma na myśli. Drugiej nocy Christopher usiłował zmusić ją do tych czynności.

- Wielbię cię i ubóstwiam, najdroższy, ale jeśli myślisz, że zrobisz mi coś takiego, to się grubo mylisz. - Okrasiała swoje słowa szerokim uśmiechem.

- Źle mnie zrozumiałaś, moje złoto. Ty mi to zrobisz, a w dodatku okażesz zapał oraz entuzjazm. Chcesz się założyć?

Co za drań, zakłęła w myślach.

- Myślę, że nie powinnam się zakładać z moim... kochankiem.

- Jeszcze nie podjąłem ostatecznej decyzji. - Wzruszył ramionami. - Może jednak zdecyduję się na małżeństwo. Muszę tylko zorientować się, na czym bardziej ci zależy.

- A potem postąpić na odwrót - odpowiedziała.

- Właśnie tak - przytaknął.

Ani myślała zwracać się do niego po imieniu.

- Najdroższy, naprawdę jesteś niebywale przewrotny. Postaram się utrzymać cię w niepewności.

Lucien wstał i skierował się do drzwi. Zauważyła, że kuleje bardziej niż zwykle, a w dodatku korzysta z laski. Mimo to położył dłoń na ramieniu Mirandy i obrócił ją twarzą do siebie. Nawet nie próbowała stawiać oporu, kiedy ujął palcami jej brodę.

- Moje złoto - mruknął. - Mam przemożne wrażenie, że nie znudzę się tobą nigdy, więc równie dobrze możemy wziąć ślub.

- Co za uroczę oświadczyny - zauważyła sztywno.

- Czy je przyjmujesz?

- A czy mam wybór, najdroższy? - spytała przez lekko zaciśnięte zęby.

- Żadnego. - Pocałował ją w usta, jednocześnie głaszcząc palcami jej szyję. Miranda miała ochotę rozchylić wargi, ale powstrzymała się. Po chwili Lucien odsunął się i spojrzał na nią zagadkowo. - Powiadasz, że tydzień do dziesięciu dni?

- Niestety.

- Zatem wygląda na to, że będę musiał poszukać sobie innego zajęcia.

Panna Jane Pagett pachnie fiołkami, pomyślał Jacob i ciężko westchnął, gdyż z tą wonią wiązały się jego wyjątkowo przyjemne wspomnienia. Mimowolnie powrócił myślami do pewnego słonecznego popołudnia na Jamajce, kiedy leżał z dziewczyną na

łące pełnej dzikich fiołków. Teraz nawet nie pamiętał swojej kochanki, ale spokój i błogość tamtego bezchmurnego popołudnia zapadły mu w pamięć.

Za każdym razem, gdy się zatrzymywali, aby dać wypocząć koniom, panna Jane mijiała go, a on upajał się jej zapachem. Teraz znajdowali się w gospodzie i panna Jane poszła do swojego schludnego pokoiku, by się odświeżyć i przespać. Skorpion kazał przygotować czystą odzież dla przyjaciółki swojej narzeczonej, a Jacob przywiózł ze sobą cały kufer bagaży. Nie pasowały najgorzej, choć zakładał, że będzie miała nieco szersze biodra i nieco mniejszy biust. Tak czy owak, była stanowczo zbyt kusząca i przez to nie mógł się teraz uspokoić. Na dodatek doskonale słyszał, jak się krzątała w pomieszczeniu nad jadalnią.

Na wszelki wypadek pojechali bardzo okreźną trasą, gdyż Jacob nie miał ochoty ryzykować spotkania z armią poszukiwaczy. Trudno się zatem było dziwić, że gospoda, w której się zatrzymali, świeciła pustkami. Mimo to Dużej Molly udało się tu znaleźć zalotnika i teraz wesoło zabawiała się z nim w łóżku.

Jacob, gdyby tylko chciał, również mógłby się rozerwać. Karczmareczka była atrakcyjną, pulchną blondynką o ładnej buzi i przyjaznym uśmiechu. Wiedział, że bez wahania dałaby mu to, czego teraz najbardziej potrzebował. Kto wie, może nawet mógłby ją skłonić, żeby wśliznęła się do pokoju panny Jane i ukradła jakiś pachnący fiołkami drobiazg, na przykład chustkę.

Tyle tylko, że nie zamierzał zadowolić się żadną Nancy ani Betty, czy jak tam miała na imię dziewczyna za barem. Pragnął panny Jane. Chciał sprawdzić, czy jej pocałunek smakuje tak samo dobrze, jak to zapamiętał.

Długo siedział w jadalni i sącył piwo. Wiedział, że nie wolno mu przesadzać z trunkami, gdyż następnego dnia głowa pęknie mu z bólu. A może właśnie powinien pić na umór, dzięki czemu nie rozmyślałby tyle o swojej pasażerce?

Problem w tym, że im więcej pił, tym bardziej zbierało mu się na amory. Jeszcze kilka głębszych i był gotów iść na górę, przedstawić się pannie Jane Pagett, a potem rzucić się na nią w wiadomym celu.

Karczmareczka w końcu posnuła się samotnie do łóżka. Jacob miał posłanie w stajni, czyste i ciepłe, ale nie wybierał się na spoczynek. Postanowił spędzić noc pod pokojem Jane.

Najwyraźniej lubił się katować.

Ogień w kominku przygasł, lecz Jacob nie dołożył drewna. Rozparł się na krześle, wyciągnął długie nogi i pograżył się w rozmyślaniach o życiu.

Właśnie w takiej pozycji zastała go Jane, gdy zegar na półpiętrze wybił drugą.

Rozdział piętnasty

Miranda spędziła w swoim pokoju zaledwie kilka minut, kiedy zjawiała się nieco zdenerwowana Bridget.

- Najmocniej przepraszam, że nie przyszła wcześniej, jaśnie pani - powiedziała, pomagając Mirandzie zdjąć nocną koszulę. - Pani Humber ciągle wynajdywała mi jakieś rzeczy do roboty, a potem zapomniała przyszykować jaśnie pani tacę ze śniadaniem i jeszcze jaśnie pan mnie zatrzymał, jak tutaj szłam, więc nie dziwota, że to tak długo trwało. - Poruszyła się niespokojnie. - Za dużo mówię, tak? Pani Humber powiada, że porządna pokojówka nigdy nie odzywa się pierwsza i nigdy nie powtarza nowin. Pani Humber powiada, że prędzej jej kaktus wyrośnie, niż ja zostanę pokojówką przy prawdziwej damie.

- Poradzisz sobie - zapewniła ją Miranda kojącym głosem, choć czuła, że coś się w niej gotuje. - O czym chciał rozmawiać z tobą pan hrabia?

Bridget zaczerwieniła się po czubki uszu, a Miranda poczuła, że nie jest dobrze. Powinna była się domyślić, że Lucien nie uwierzy jej na słowo.

- No więc... jaśnie pan chciał się upewnić, że jaśnie pani jest tu wygodnie i że nic jej nie brak...

- Na przykład czego? - drażyła Miranda, gdy Bridget mocno wiązała jej gorset.

- Chciał się upewnić, że jaśnie pani nic nie brak - wymamrotała Bridget ponownie.

- Już to mówiłaś. O co dokładnie pytał cię pan hrabia? - Miranda odwróciła się i złapała Bridget za rękę, spoglądając jej głęboko w oczy.

- Chciał się upewnić, że przyniosę jaśnie pani ściereczki na krew - wykrztusiła dziewczyna ze wstydem. - Nie wiedziałam, gdzie oczy podziąć! Żeby dżentelmen o takie rzeczy pytał? Ale nie mogłam nie odpowiedzieć, więc powiedziałam, że jak pytałam wczoraj, to jaśnie pani powiedziała, że właśnie skończyła, więc nic jej nie będzie trzeba przez najmarniej trzy tygodnie, a może i więcej, bo nie ma pewności, a on tylko pokiwał głową i powiedział: „Tak myślałem”, a ja pomyślałam, że powiedziała coś nie tak, ale przecież to był jaśnie pan, więc...

- Nie zaprzataj sobie tym głowy, Bridget - uspokoiła ją Miranda.

Dlaczego nie przewidziała, że Lucien ją sprawdzi? Teraz musiała wymyślić jakieś nowe wytłumaczenie, podobnie jak Szeherezada, która w ten sposób bez końca odwlekała swoją egzekucję. Podsunięcie krzesła pod klamkę miało szansę się sprawdzić przynajmniej na jedną noc. Przecież Lucien nie posunie się do tego, by łomotaniem w drzwi postawić na nogi cały dom. W ostateczności gotowa była po prostu leżeć plackiem i znosić jego umizgi, recytując w myślach wiersze albo licząc do stu po łacinie. Mogła robić cokolwiek, byle nie zastanawiać się nad tym, co się dzieje z jej ciałem.

Prawdę powiedziawszy, byłby to wyborny sposób na uniknięcie pobudzenia, wywoływanego przez jego pocałunki. Tak, łacina to świetna metoda na zwalczanie pożądania.

Musiała przyznać, że sprowadził dla niej wyjątkowo piękną i świetnie dopasowaną odzież. Od jak dawna to planował, co uczynił, skoro zdołał zgromadzić całą garderobę, uszytą przez osobistą krawcową Mirandy? Z pewnością od wielu dni. Postanowiła, że po powrocie do domu poszuka sobie innej krawcowej, takiej, która bez jej zgody nie będzie przyjmować zamówień od obcych dżentelmenów.

Zaczęła się zastanawiać, jak przyzwoita, młoda dama powinna postąpić w takich okolicznościach. Co prawda nigdy nie była szczególnie przyzwoita, ale przynajmniej się starała. Niewinna panna z pewnością nie nosiłaby rzeczy, za które zapłacił dżentelmen spoza rodziny, więc i ona powinna nosić swoją dotychczasową suknię, po uprzednim oczyszczeniu jej przez Bridget. Tym samym jednak musiałaby przez pewien czas chodzić w cienkiej koszuli nocnej, również nie swojej, więc marzyłaby nieustannie, a na to w ogóle nie miała ochoty. Po namyśle doszła do wniosku, że już za późno na unoszenie się

honorem, a głupotą byłaby rezygnacja z pięknych sukien. Na czas pobytu w domu Luciena mogła nosić kupione przez niego rzeczy.

Przebiegły Skorpion, dodała w myślach. Szkoda, że nie mogła go rozdeptać tak, jak właściciel gospody we Francji rozdeptał jego ulubione zwierzątko. Czy na pewno Lucien trzymał to paskudne stworzenie jako narzędzie zbrodni? Szczerze w to wątpiła, skoro nawet nadał mu kobiece imię.

Lucien wzbraniał się przed okazywaniem prawdziwych emocji, wrażliwości, współczucia, a przecież z pewnością opłakiwał tego nieszczęsnego skorpiona.

Na widok tacy ze śniadaniem Miranda poczuła, że jest strasznie głodna, więc szybko zjadła cały posiłek, na który składały się owoce, grzanka i ciepławe jajka. Bridget nie miała pojęcia o układaniu włosów dam, więc Miranda pokazała jej, jak zapleść warkocze, a następnie zwinąć je w kok na karku.

Gdy była już gotowa, postanowiła stawić czoło pani Humber, którą zastała w kuchni. Miranda chciała wmaszerować do środka, ale tylko zamarła w progu.

Wielka sala kuchenna cuchnęła gnijącym mięsem, zapleśniałą kapustą oraz substancjami, których Miranda wolała nie identyfikować. Pani Humber, usadowiona na końcu długiego, zniszczonego stołu, popijała herbatę z filiżanki. Obok ochmistrzyni rozsiadła się niższa kobieta o jeszcze mniej przyjaznym wyglądzie, w fartuchu upstrzonym ohydnyimi plamami we wszystkich kształtach i kolorach. Miranda domyśliła się, że to kucharka.

Kobiety przy stole jednocześnie podniosły na nią wzrok, ale Miranda nie odezwała się ani słowem. Przez moment stała w miejscu, wymownie tupiąc nogą, aż w końcu ochmistrzyni i kucharka podniosły się niechętnie, demonstrując ostentacyjną arogancję.

Miranda uśmiechnęła się uprzejmie.

- Dzień dobry, pani Humber - powiedziała. - Chcę, żeby oprowadziła mnie pani po domu, jeśli łaska. Ciekawi mnie, w jakim stanie są pokoje.

- Niestety, jestem zajęta - odparła pani Humber.

Miranda spojrzała na filiżankę z herbatą.

- Nie wątpię, że wygospodaruje pani chwilę - podkreśliła z naciskiem. - Na przykład teraz.

- Teraz nie mogę, bo mam...

- Teraz będzie dla mnie najdogodniej - wycedziła Miranda. Pani Humber zatopiła w niej złowrogie spojrzenie, ale przestała wymyślać wymówki, więc Miranda przeniosła wzrok na jej towarzyszkę. - Pani z pewnością jest kucharką. Kiedy wrócę, chętnie zapoznam się z jadłospisem na najbliższe dni. Niewykluczone, że wprowadzę do niego poprawki. Od razu uprzedzam, że w szczególności nie przepadam za burakami i nie toleruję na stole małego ptactwa.

- Jaśnie pan nigdy nie wtrącał się do moich jadłospisów - burknęła kucharka wrogo.

- I słusznie, gdyż pilnowanie jadłospisów to obowiązek pani domu, prawda? I proszę natychmiast zmienić fartuch, ten pamięta lepsze czasy.

Miranda pomyślała, że kucharka zapewne nie cierpi jej jeszcze bardziej niż ochmistrzyni, ale musiała się podporządkować, gdyż alternatywą był jawny bunt. Mimo to kucharka podjęła jeszcze jedną próbę sprzeciwu.

- Porozmawiam o tym z jaśnie panem - zapowiedziała obrażonym głosem.

- Nie wątpię, że jego lordowska mość każe pani niezwłocznie zdjąć brudny fartuch. Jeśli chce pani zaprzętać mu głowę takimi drobiazgami, bardzo proszę. Z doświadczenia wiem jednak, że łatwo wpada w złość, ale kto wie, może zainteresują go pani wynurzenia. Proszę spróbować szczęścia i koniecznie opowiedzieć mi potem, co pani wskórała.

Kucharka i ochmistrzyni wyglądały tak, jakby lada moment miały wybuchnąć z wściekłości i nienawiści.

- Chodźmy więc - warknęła pani Humber. - Nie będę tu sterczeć do nocy.

Miranda przygotowała się na najgorsze, jednak w ostatecznym rozrachunku była przyjemnie zaskoczona. Budynek okazał się bardzo stary, wzniesiono go w drugiej połowie szesnastego wieku, ale zasadniczo trzymał się całkiem dobrze. Dach był nienaruszony i tylko w kilku miejscach pojawił się problem wilgoci. W pierwszej kolejności należało przeprowadzić gruntowne porządki, gdyż większość pomieszczeń nie była sprzątana i odkurzana od dziesięcioleci. Pani Humber dbała jedynie o pokoje, z których korzystał Lucien. Pozostałe zamknęła na klucz i skazała na zapomnienie.

Miranda naliczyła siedemnaście sypialni. Jej pokój był dość mały w porównaniu z innymi. Co najmniej jedna sypialnia okazała się czystsza, więc na pewno korzystały z niej dawne utrzymanki Luciena.

Pani Humber zatrzymała się przy drzwiach pokoju Luciena.

- To nie jest pokój, do którego mogę panią wprowadzić - oświadczyła.

- Dlaczego? Czyżby w środku znajdowało się składowisko szkieletów i pomordowanych żon?

Pani Humber nie wydawała się szczególnie rozbawiona.

- To apartament hrabiego Rochdale - odparła z godnością.

- Tak samo brudny, jak reszta domu? Liczyłam na to, że jego lordowska mość będzie oczekiwał czystości przynajmniej u siebie.

- Sprzątam jego pomieszczenia.

- Zatem czego się pani obawia? O ile wiem, jego lordowska mość wybrał się na przejażdżkę, więc nie wpadniemy na niego.

- Jeśli pani chce, proszę wejść. Nie mogę pani zatrzymać. - Pani Humber zniżyła głos. - Ja tam wchodzę tylko wtedy, gdy jaśnie pan tego oczekuje.

- Nie jestem lękliwa - oznajmiła Miranda i pchnęła drzwi do komnaty Sinobrodego.

W istocie, pokój był tak ciemny i ponury, że mogłyby spoczywać w nim całe zastępy pomordowanych żon. Wymagał tylko pobieżnego odkurzenia, ale ciemna boazeria na ścianach nosiła wyraźne ślady działalności korników, brązowe zasłony zaś robiły przygnębiające wrażenie. Najważniejszym meblem w pokoju było wielkie, ciężkie łóże z przytłaczającym baldachimem i grubą pościelą. Nic dziwnego, że Lucien miał mroczną duszę, skoro mieszkał w tak ponurych wnętrzach. Jego londyński dom też nie prezentował się przesadnie pogodnie.

Ku zdumieniu Mirandy, pani Humber cierpliwie czekała na nią za drzwiami.

- I co, jaśnie pani? - spytała lodowatym tonem.

- Ostrożnie szacując, potrzebujemy co najmniej dwunastu kobiet do pracy: czterech pokojówek, tyłuż dziewcząt do sprzątanía wspólnych sal i jeszcze czterech do prania i zmywania. Bridget napomknęła, że każe pani robić jej jedno i drugie. Może to i dobry

pomysł, kiedy nikogo nie ma w domu. Ponieważ jednak będą pojawiać się w nim ludzie, potrzeba znacznie więcej rąk do pracy.

- A co z Bridget? - zainteresowała się ochmistrzyni. - Brudas z niej i niezdara, ale jest mi niezbędna.

- Zamierzam wyuczyć Bridget na moją osobistą pokojówkę.

- Ta dziewczyna jest leniwa i nie wie, co to szacunek - prychnęła pani Humber. - Miałam ją odprawić.

- Zatem nie będzie jej pani brakowało. Dwanaście służących, proszę pani, a do tego jeszcze ze czterech lokajów do ciężkiej pracy.

- Mój Ferdy doskonale poradzi sobie ze wszystkim.

Miranda niemal się wzdrygnęła na wspomnienie nieprzyjemnego sługi.

- Radził sobie, kiedy dom świecił pustkami - zauważyła.

- Nie sądzę, aby jaśnie pan zamierzał sprowadzić tutaj kogokolwiek poza panią.

- Tak dobrze zna pani plany hrabiego Rochdale?

Pani Humber spuściła z tonu. Wiedziała stanowczo zbyt dużo, a to oznaczało, że niewątpliwie ma zwyczaj podsłuchiwać przez dziurkę od klucza.

- Jak się nazywa kucharka? - zainteresowała się Miranda.

- Carver.

Miranda skinęła głową i skierowała się z powrotem do kuchni, która wyglądała teraz odrobinę czyszej. Ktoś pozmywał naczynia, pani Carver zaś przepasała się nowym fartuchem i ukryła rozwiane siwe włosy pod gustownym czepkiem.

- Pani Carver, dostanie pani co najmniej dwie dziewczyny do pomocy - oznajmiła Miranda. - A do tego jeszcze dwie do pralni, które będzie pani mogła kierować do innych zajęć, w zależności od potrzeb. Ponadto zatrudnimy pokojówki do serwowania posiłków i obsługi hrabiego oraz gości. Jakie ma pani plany na dzisiejszą kolację?

Pani Carver kipiała złością, ale zabrakło jej odwagi, by otwarcie przeciwstawić się Mirandzie.

- Rosół jagnięcy z ziemniakami, a potem pieczony bażant nadziewany grzybami, pstrąg złowiony w wodach jaśnie pana hrabiego oraz delikatna wołowina ze szparagami. Ciasto cytrynowe na deser.

- Brzmi bosko. Mam nadzieję, że poradzi sobie pani ze wszystkim bez pomocy Bridget, bo jest mi potrzebna. Jeśli będzie pani musiała iść na kompromis, to lepiej zmniejszyć liczbę dań, niż obniżać ich jakość.

Pani Carver wpatrywała się w nią spode łba.

- Przyjmuję polecenia tylko od jaśnie pana - wycedziła.

- Oczywiście. - Miranda ani myślała wdawać się w sprzeczki. - Niech pani koniecznie powtórzy mi, jak zareagował.

Co za przebiegła zmija, pomyślał chłodno Lucien. Trajkotała o kobiecych sprawach tak swobodnie, jakby dyskutowała o ogrodnictwie, i nawet się nie zarumieniła.

Coraz bardziej ją podziwiał, choć przyznawał to z niechęcią. Bardzo lubił z nią rozmawiać i flirtować tak subtelnie, że nawet tego nie zauważała. Była pewna, że tylko prowadzi uprzejmą pogawędkę, a tymczasem co rusz wpadała w jego sidła.

Uwielbiał również jej gładką, jasną skórę i gęste, brązowe włosy. Lubiał, kiedy spoglądała na niego ciemnymi, inteligentnymi oczami i koniec końców, ani trochę nie żałował, że St. John potraktował ją tak obcesowo. To dobrze, że nie była już dziewicą. Lucien uważał deflorację za żmudny i nużący proces, który nigdy nie był wart zachodu. Podobało mu się, że Miranda nie przepadała za zbliżeniami z mężczyzną. Zamierzał odmienić ją pod tym względem, wtajemniczyć w zupełnie nieznane doświadczenia i zapewnić jej nowe doznania. Nie miał wątpliwości, że ją rozbudzi i nakłoni do czynności, o których dotąd nie miała pojęcia.

Trochę jednak niepokoił się o Jacoba Donnelly'ego, Jane Pagett i o brylanty Carrimore'ów. Nie od rzeczy byłoby zdjąć tak widowiskowy pierścień z palca dziewczyny, zanim ktoś go zauważy i rozpozna. Potem wystarczyło wyłuskać brylant z oprawy i na wszelki wypadek zmienić szlif przed sprzedażą. Do tej pory był niczym bomba, gotowa lada moment eksplodować. Jacob lubił igrać z ogniem, ale Lucien nie podzielał jego zamiłowania do ryzyka.

Należało dopilnować, aby panna Pagett powróciła na łono rodziny, gdyż wtedy i tylko wtedy Jacob mógł zlecić kradzież pierścienia, z którym rozstał się tak pochopnie.

On tymczasem zamierzał delectować się powolnym upadkiem Mirandy. Postanowił wdrożyć swój plan w życie jeszcze tego wieczoru i wyjechać, żeby Miranda miała okazję drzeć koty z panią Humber. Do jego powrotu powinna zmięknąć, gdyż Pawlfrey House był tak przygnębiającym miejscem, że nawet najradośniejsze osoby traciły tu chęć do życia.

Kazał osiodłać konia i nie zważając na gęstą mgłę, wybrał się na popołudniową przejażdżkę. Cieszyła go paskudna pogoda i brak słońca. Pomyślał, że Miranda wkrótce nauczy się żyć jak kret.

Jego plan był prosty. W nocy Lucien zamierzał przystąpić do podporządkowywania sobie lady Mirandy Rohan, a jutro zniknąć.

TLR

Rozdział szesnasty

Jane nie była pewna, dlaczego w środku nocy postanowiła opuścić pokój i zejść na parter pustej gospody. Nie mogła spać, ale przez większość podróży spała tak długo, że dodatkowy odpoczynek wcale nie był jej potrzebny. Po co jednak wyszła na przechadzkę? Miała wrażenie, że kusi ją jakaś tajemnica, która ma wiele wspólnego z wysokim woźnicą, przed którym przestrzegala ją pani Grudge.

Narzuciła luźną suknię na koszulę nocną i ostrożnie wykradła się na schody. Szła na palcach, żeby nie obudzić nikogo, w tym swojej towarzyszki podróży. Jej pokój w gospodzie był mały, a łóżko niewygodne, więc skoro nie mogła spać, postanowiła usiąść w fotelu, aby w ten sposób osłabić dokuczliwy ból w krzyżu.

Parter w gospodzie Pod Krzyżem i Koroną składał się z sali frontowej dla pospólstwa, prywatnego salonu do wynajęcia oraz jadalni. W pierwszych dwóch pomieszczeniach wygasł już ogień, ale w jadalni dostrzegła ciepłą poświatę żaru i bez wahania podążyła ku niej, niczym ćma do świecy.

Przed kominkiem stał fotel. Doskonale, ucieszyła się Jane, ale kiedy podeszła bliżej zamarła. Wyciągnęła szyję i dostrzegła długie nogi, oparte na mosiężnej barierce. Chciała się wycofać, żeby nie zbudzić nieznajomego, ale było już za późno. Wyraźnie zaspany mężczyzna zerwał się z fotela i zorientowała się, że był nim woźnica Jacobs.

Tym razem przyjrzała się jego obliczu i pojęła, czemu robił furorę wśród kobiet. Był niewiarygodnie przystojny, miał piękne złociste włosy, intensywnie błękitne oczy i usta grzechu warte. Nosił ciemną liberię de Malheura, a gdy pochylił się nad Jane, dostrzegła w jego źrenicach niepokojący błysk. Obrzucił ją uważnym spojrzeniem, począwszy od rozpuszczonych, nieuczesanych włosów, przez luźną suknię, a skończywszy na bosych stopach w kapciach. Jane wstrzymała oddech, świadoma, jak bardzo nieprzyzwoite są te oględziny. Powinna była odwrócić się na pięcie i umknąć na górę, ale stała jak zahipnotyzowana.

- Najmocniej przepraszam - szepnęła nerwowo. Usiłowała zachowywać się tak, jakby środek nocy był dla niej najlepszą porą na pogawędki z nieznajomymi, a

tymczasem przypominała sobie tylko jedno takie zdarzenie w całym swoim życiu. - Nie zamierzałam pana budzić. Sądziłam, że śpi pan w stajni.

Uśmiechnął się leniwie.

- To by się zgadzało, panienko - powiedział. - Podobno wyrzucili mi tam posłanie, ale we stajni zimno, a pewnie i robale. W dodatku przyszłoby mi spać na waleta z jakim stajennym, no to chyba lepiej zdrzemnąć się w fotelu przy ogniu, nie? Jak dla mnie to nie lada rarytas, po takiej długiej jeździe w deszczu.

- Rzeczywiście, przez cały czas tkwi pan na koźle, a pogoda pod psem - przyznała, momentalnie zdjęta poczuciem winy. Woźnica musiał przemoknąć do nitki. - W takiej zimnicy łatwo o chorobę. Czy wysuszył pan ubranie? Takie przesiadywanie w mokrej odzieży to murowane zapalenie płuc. Chyba dostał pan coś ciepłego do picia?

- Panienka życzy sobie, żebym ściągnął przyodziewek? - Uśmiechnął się szelmowsko. - Nie powiem, chętnie wyskoczę z tego i owego, żeby sprawdzić, czy łachy nie są aby mokre, ale co też ja będę porabiać, jak przyjdzie mi czekać na ich obeschnięcie...

Jane cofnęła się o krok, wyraźnie zgorszona.

- Pani Grudge przestrzegała mnie przed panem - wycedziła. - Podobno nie można panu ufać.

Woźnica nie wydawał się szczególnie przejęty.

- Taka ona? Kto by pomyślał... - Odrobinę przysunął się do Jane. - Bez obaw, panienko, ja to bym muchy nie skrzywdził. Nie ma co się lękać, ja tylko pożartować lubię.

Jane coraz wyraźniej czuła, że gdzieś już widziała tego człowieka. Miał twarz, która każdej dziewczynie mocno zapadłaby w pamięć, a w szczególności młodej i nieśmiałej, romantycznej i spragnionej miłości kobiecie u progu nieszczęśliwego, nudnego małżeństwa.

- Czy ja pana skądś znam? - spytała zaintrygowana, zapominając o zdrowym rozsądku. - Odnoszę wrażenie, że już się spotkaliśmy.

Przez moment wpatrywał się w nią z zadumą, ale wkrótce zrobił obojętną minę, zupełnie jakby na powrót przywdział maskę.

- Takiej ładnej panienki to ja bym nie zapomniał - zauważył z aprobatą w głosie. Irytacja Jane okazała się silniejsza niż zakłopotanie.

- Niech pan sobie daruje te nieszczerze komplementy - burknęła. - Może pracodawcy oczekują od pana pochlebstw, a może robi to pan z potrzeby serca. Ja jednak wiem, że z całą pewnością nie jestem ładna i nigdy nie byłam, więc bardzo proszę darować sobie te gładkie słówka.

- Powinna pani czasem przejrzeć się w zwierciadle - powiedział zupełnie innym głosem. Dziwna gwara i służalczy ton gdzieś zniknęły. Spojrzała na niego podejrzliwie, a wtedy natychmiast powrócił do poprzedniej roli. - Za pozwoleniem panienki - ciągnął z dziwnym akcentem, po części typowym dla Yorkshire, po części irlandzkim, ale okraszonym nutą londyńskiego. - I cóż to ja mógłbym zrobić dla panienki tą cudną nocką?

Bez zastanowienia wyciągnęła do niego rękę z pierścieniem.

- Ma pan pojęcie, jak mogłabym ściągnąć to z palca? - zapytała.

Przez kilka długich sekund wpatrywał się w brylant, ale nie dostrzegła w jego spojrzeniu chciwości.

- Niby skąd miałbym to wiedzieć, panienko? - Wzruszył ramionami. - Niechże panienka spyta panią Grudge.

- Już to zrobiłam. Zasugerowała smar do osi. Pan, jako woźnica, mógłby dostarczyć mi takiego mazidła.

- Święci pańscy, panienko, toż jest środek nocy i zimno jak u czarownicy za pazuchą, że tak powiem. Przyniosę ździebko z rana, przed wyjazdem. A dlaczegoż to panienka nie chce takiej ładniutkiej migotki?

- Bo jest kradziona - wyznała Jane. - Mój narzeczony mógłby mieć pretensje.

- Tak to bywa - zgodził się. - Panienka to w łóżku wypoczywać powinna, za pozwoleniem. Jutro czeka nas kawał drogi do zjechania, a poza tym panience nie godzi się spotykać nocą z takimi jak ja.

- Za bardzo zeszywniałam, żeby spać - westchnęła.

- Tak jak i ja - oświadczył, nieoczekiwanie rozbawiony.

Biedaczysko, pomyślała. Spędził cały dzień na deszczu, więc nie miała sumienia kazać mu wyjść.

- Może przysunie mi pan drugi fotel i razem posiedzimy przed kominkiem? - zaproponowała dzielnie, ale on nawet nie drgnął i tylko na nią patrzył. Poniewczasie dotarło do niej, że popełniła błąd, a wtedy na jej policzkach wykwitły rumieńce. Przecież rozmawiała z kobieciarzem, a jej słowa zabrzmiały jak zaproszenie do romansu. - Chciałam powiedzieć... - zająknęła się. - Chodzi o to...

- Bez obaw, panienko. - Uśmiechnął się łagodnie. - Wiem, co panienka chciała mi powiedzieć. Właśnie żem szedł poszukać sobie jakiego łóżka nad stajnią. Niechże panienka usiądzie w tym fotelu, wygodny jest jak mało który. Jutro będzie panienka miała najlepszy smar, jaki znajdę.

- Doskonała myśl. - Jane odetchnęła z ulgą i usadowiła się w jeszcze ciepłym fotelu.

Musiała udawać, że to osobliwe, nocne spotkanie jest czymś absolutnie zwyczajnym, więc popatrzyła na jego przystojne oblicze i nagle to do niej dotarło.

To niemożliwe, powiedziała sobie. Całkowicie wykluczone.

- Dobrej nocy, panienko. - Skinął głową i powoli wycofał się z jadalni.

Psiakość, niewiele brakowało, pomyślał Jacob, wychodząc na deszczową noc. A może go rozpoznała? Może domyśliła się, że jest tajemniczym włamywaczem, który pocałował ją na balu u Carrimore'ów?

Kiedy teraz z nią flirtował, mówił z lekko irlandzkim akcentem. W przyszłości powinien jednak bardziej uważać, gdyż akcent ten był zbyt podobny do tego, którym się posługiwał, gdy spotkał Jane podczas kradzieży biżuterii.

Dlaczego nie wyszedł, kiedy zjawiła się w pokoju? Powinien był zniknąć, ale tak cudownie pachniała fiołkami... Nie trzeba było robić durnych uwag o sztywnieniu, przecież to biedne, kruche jagniątko nie miało pojęcia, o czym mowa. Uśmiechnęła się do niego. Do licha, byłoby lepiej, gdyby nie uśmiechała się w taki sposób, gdyż niewiele brakowało, a chwyciłby ją w ramiona i ponownie obsypał pocałunkami. Marzył o tym od tygodnia.

Oczami duszy widział, jak Jane siedzi w fotelu, opierając stopy o mosiężną barierkę. Miała długie nogi oraz szczupłe kostki, tak piękne, że najchętniej ukląkłby przed nią i przywarł do nich ustami.

Na szczęście zdołał się opanować i wyszedł na zimną, deszczową noc. Nie zdziwiłoby go, gdyby krople wody syczały w zetknięciu z jego rozpalonym ciałem.

Ta dziewczyna nie była przeznaczona dla kogoś jego pokroju. Musiał dostarczyć ją bezpiecznie do domu, ściągnąć z jej palca ten przeklęty pierścień, a potem wymazać ją z pamięci raz na zawsze. Powinna ruszyć naprzód ze swoim życiem i związać się z tym szacownym narzeczoną.

Pytanie tylko, czy miał dość siły, aby z niej zrezygnować.

Dzień w Pawlfrey House był ponury i dżdżysty, a Lucien przepadł gdzieś bez wieści. Po przygnębiającym obchodzie domu Miranda zaszyła się w maleńkim saloniku nieopodal biblioteki. Pomieszczenie pomalowano kiedyś na pastelowe barwy, które z czasem wyblakły, ale wytworne meble nadal prezentowały się całkiem gustownie. Wyglądało na to, że dawniej był to pokój wypoczynkowy jakiejś damy. Miranda sięgnęła po chustkę, i wytarła grubą warstwę kurzu z krzesła i biurka. Następnie przycięła końcówkę pióra, zanurzyła je w atramencie, który jeszcze nie zasechł, i przystąpiła do spisywania listy zadań.

Niektóre pomieszczenia wymagały większego nakładu pracy. Część zasłon trzeba było solidnie wytrześć, żeby usunąć z nich gęste pokłady duszącego kurzu. Większość pościeli zżarły mole, niemniej kilka kompletów przetrwało w całkiem dobrym stanie. Podczas spaceru po budynku Miranda zorientowała się, że w paru pokojach trzeba przeprowadzić gruntowny remont. Na ścianach niektórych sypialni rozpanoszył się grzyb, a drewniane elementy wypaczyły się pod wpływem wilgoci, konieczna więc była wizyta stolarza i malarzy. W niemal każdym pomieszczeniu stały zepsute meble, które należało wynieść i naprawić albo wyrzucić. W wielu oknach brakowało szyb, podłogi lepły się od brudu. Do przeprowadzenia wszystkich tych robót potrzebna była armia służących, gotowych do ciężkiej, nużącej pracy.

Lucien nie wrócił na lunch. Miranda powiedziała sobie, że to dobra wiadomość, po czym poprosiła o przyniesienie tacy do swojego nowego saloniku, gdzie kontynuowała papierkową robotę. Doszła do wniosku, że zacznie od swojego pokoju i pozbędzie się zakurzonych zasłon, wyblakłych i przygnębiających. Wolała uniknąć zamawiania nowych w Londynie, gdyż proces ten ciągnąłby się miesiącami, dlatego postanowiła skontaktować się z lokalną krawcową. Perspektywa spędzania wielu nocy w sypialni bez zasłon zupełnie nie przypadła jej do gustu, czułaby się tak, jakby ktoś uważnie przyglądał się jej we śnie.

Palenisko w jej sypialni należało wyszorować i odświeżyć, a kilkudziesięcioma kominami w całym domu musiał się zająć kominiarz. Dywan nosił wyraźne ślady zużycia i Miranda przeczuwała, że któregoś dnia zahaczy o niego nogą i wyłoży się jak długa.

Lucien nie dotarł także na kolację, ale właściwie nie miała nic przeciwko temu. Wyprostowała się i przeciągnęła, żeby rozluźnić zeszywniałe ramiona. Chyba zbyt długo tkwiła w zamkniętych pomieszczeniach, najpierw w powozie, potem w domu, więc postanowiła wybrać się z rana na długi spacer, bez względu na pogodę. Nie była przecież kruchym kwiatkiem, który należało trzymać pod szkłem. Dorastanie z trójką braci solidnie ją zahartowało.

Bridget zrobiła, co mogła, żeby sypialnia prezentowała się w miarę znośnie. Chcąc usunąć kurz, otworzyła okna i wytrzepała zasłony, a potem wyskrobała pokłady brudu z kominka. Dzięki temu pokój wyglądał niemal przytulnie, gdy Miranda w końcu dała za wygraną i poszła na górę. Minęła już dziesiąta, a książka z biblioteki przestała ją interesować. Było oczywiste, że ten bezduszny uwodziciel Lucien wcale nie zamierzał wrócić na noc.

Kotary wokół łóżka trafiły do prania, a całe pomieszczenie pachniało świeżością. Aby udowodnić sobie oraz pokojówce, że nie ma żadnych zmartwień na głowie, Miranda nuciła cicho, kiedy Bridget pomagała jej zdjąć suknię i włożyć koszulę nocną. Skoro Lucien postanowił włóczyć się gdzieś po nocy, jego sprawa. Jeśli o nią chodzi, mógł sobie pojechać na drugi koniec świata.

Gdy Bridget pożegnała się i wyszła, Miranda wyskoczyła z pościeli, wzięła krzesło o wysokim, prostym oparciu i podsunęła je pod kłamkę. Tak naprawdę nie było takiej potrzeby, gdyż w drzwiach znajdował się bardzo dobrej jakości zamek, a po scenie w gospodzie Lucien nie okazywał Mirandzie szczególnego zainteresowania. Jeśli wynikało ono jedynie z pragnienia zemsty, najwyraźniej musiał najpierw rozbudzić w sobie żądzę. Istniała nadzieja, że nigdy nie zdoła wprowadzić się w odpowiedni nastrój.

Deszcz ustał po północy. Mirandę zbudziła cisza, zakłócana jedynie sykiem ognia w kominku. Spojrzała na pozbawione zasłon okna i zobaczyła księżyc, który wychylił się zza sunących po niebie chmur. Po szybach spływały strużki wody.

Mirandzie rzadko zbierało się na płacz, więc teraz nie zamierzała chlipać. Przyszło jej jednak do głowy, że jeszcze nigdy w życiu nie była równie samotna. Trafiła na kompletne odludzie, a przyjaciele i bliscy nie mieli pojęcia, gdzie jej szukać. Jutro zamierzała zmierzyć się z nowymi wyzwaniem, w tej chwili jednak pograżyła się w rozpacz.

- Naprawdę myślisz, że krzesło jest dla mnie przeszkodą nie do pokonania?

Podskoczyła nerwowo i gwałtownie przycisnęła dłoń do walącego jak młotem serca, po czym odwróciła się z irytacją do Luciena de Malheura.

- Przez ciebie omal nie dostałam apopleksji! - wybuchła. - Nie powinienes tak się czaić i straszyć ludzi!

- Wcale się nie czaiłem - zaprotestował. - Stoję tutaj od pięciu minut i słucham, jak chrapiasz.

- Nie chrapię!

Wzruszył ramionami.

- Wobec tego mruyczysz. Mam nadzieję, że jakoś uda mi się zasnąć, pomimo twojego... mruczenia.

- Na pewno będziesz spał jak zabity, gdyż położysz się w innej sypialni - burknęła i ponieważ przypomniała sobie, że obrała inną strategię. Z najwyższym trudem zmusiła się od uśmiechu. - Chyba że zmieniłeś zdanie w sprawie naszego ślubu, najdroższy.

Odniosła nieprzyjemne wrażenie, że przejrzał ją na wylot, ale zachowywał się całkiem uprzejmie.

- A co byś wolała, moje złoto? – Uniósł brwi. - Życie w grzechu czy w świętym związku małżeńskim?

Doskonale wiedziała, że cokolwiek wybierze, Lucien zadecyduje odwrotnie. Już raz doświadczyła potajemnej ucieczki wbrew własnej woli. Druga nie mogła szczególnie pogorszyć jej sytuacji.

- Chyba nade wszystko pragnęłabym wyjść za mąż - obwieściła ociekającym fałszywą słodyczą głosem. - Co oczywiste, nie sprawimy sobie wielkiego wesela. W miejscowym kościele będziemy tylko we dwoje, ale każda dziewczyna marzy o ślubie. Nie zapominajmy również o tym, że dzięki małżeństwu z tobą zostanę hrabiną. To po prostu cudowne!

- Zatem ślub - zadecydował po chwili namysłu i roześmiał się głośno. - Nie rób takiej przygnębionej miny, moje złoto. Uroczystość istotnie będzie wyjątkowo skromna, ale potem obiecuję ci gigantyczne wesele z mnóstwem gości.

- Na pewno? - spytała z powątpiewaniem.

- Zaufaj mi - oznajmił aksamitnym głosem. - A teraz posuń się i nie zawracaj mi głowy bajeczkami o swoich comiesięcznych przypadłościach. Tak, to godne podziwu, do jakich metod jesteś gotowa się uciekać, aby mną manipulować.

Miranda nawet nie drgnęła.

- Niby dlaczego? - zapytała. - Nie wolisz poczekać do nocy poślubnej?

- Może. Na tym etapie jeszcze nie wiem, czy chcę tylko poznać przedsmak tego, co będzie moje, czy też od razu sięgnąć po całość. Zamierzam się przekonać, czy nadal jestem zainteresowany.

- Jak tego dokonasz?

- Wszystko zależy od twoich reakcji, które mogą mnie znudzić albo zainspirować. Pamiętaj, że mogę doprowadzić sprawę do końca bez względu na to, czy znajduję cię atrakcyjną, czy też nie. Mam ochotę sprawdzić, czy nadal czujesz do mnie pociąg tak jak na początku.

Prychnęła pogardliwym śmiechem.

- Masz o sobie wysokie mniemanie - zakpiła. - Dlaczego zakładasz, że mógłbyś mnie pociągać?

- Chodzi ci o to, że mam twarz w szramach i kuleję? - spytał z rozbawieniem, a ona poczerwieniała.

- Wybacz, ani przez moment nie miałam tego na myśli. Właściwie nawet nie zauważam twoich... przypadłości.

- To wzruszające, mój aniele - mruknął z kamienną miną. - Gdybym był głupcem, z pewnością uwierzyłbym ci bez wahania.

- Kim jak kim, ale głupcem na pewno nie jesteś - zapewniła go, stopniowo dochodząc do siebie. - Czego właściwie chciałeś? Jeszcze jednego buziaka?

- Bynajmniej, moje złoto - zaprzeczył swobodnie. - Chcę znaleźć się między twoimi nogami.

Następnie chwycił pierzynę i gwałtownie szarpnął, odsłaniając ciało Mirandy odziane jedynie w zwiewną koszulę nocną.

Rozdział siedemnasty

Lucien de Malheur nie krył rozbawienia. Lady Miranda Rohan patrzyła na niego tak, jakby oznajmił, że za moment wyrosną mu skrzydła i wzbije się w przestworza. Czy naprawdę sądziła, że zostawi ją samą w jej panińskim, choć niedziewiczym łożu? Nie wiedział, czy za moment spotka się z jej wybuchem złości, czy też z potokami łez.

Ku jego chwilowej konsternacji, Miranda roześmiała się perliście.

- Och, najdroższy, przez moment byłam szczerze przejęta. Na szczęście nie mówisz poważnie.

Szarpnęła pierzynę, żeby ponownie się nią okryć, ale Lucien był nieporównanie silniejszy i nie zamierzał dawać za wygraną.

- Ależ oczywiście, moja droga, że mówię poważnie. Czyżbyś zmarzła? Chętnie dorzucę dREW do ognia.

- Po co? - zdziwiła się, gdyż płomień wydawał się całkiem spore.

- Bo za minutę będziesz naga, jak cię Pan Bóg stworzył.

Nerwowo przełknęła ślinę, po czym zdobyła się na jeszcze jeden olśniewający uśmiech.

- Jesteś niebywale dosadny, najdroższy, ale jakoś ci nie wierzę.

Lucien odsunął się od niej. Czuł przykre rwanie w chorej nodze i nie miał ochoty silić się na udawanie dobrego samopoczucia. Miranda pomyślała, że z pewnością ma jej za złe nietaktowne słowa, ale naprawdę nie zauważała blizn ani kalectwa Luciena. Gdy na niego patrzyła, widziała jego twarz, nie bruzdy.

Lucien jednak od zawsze był boleśnie świadomy swojej ułomności i nigdy nie przepadał za zwierciadłami. Nie miał najmniejszej ochoty, by cokolwiek przypominało mu o głębokich śladach na skórze, pozostawionych na zawsze przez bat z kolcami, którym okładała go szalona kobieta. Jego plecy wyglądały jeszcze straszniej, wręcz potwornie. Nawet Jacob Donnelly był wstrząśnięty, gdy je ujrzał za pierwszym razem, a przecież stykał się już z wyjątkowymi okropnościami.

Wstał z łóżka, żeby dorzucić dREW do ognia, ale kątem oka przez cały czas obserwował Mirandę, chcąc w razie potrzeby uniemożliwić jej ucieczkę. W domu

pracowało zbyt mało służby i Lucien miał tego świadomość, ale przywykł do samodzielności. Pani Humber zdążyła już poskarżyć się na jego przyszłą żonę, która zażądała zatrudnienia dodatkowego personelu. Ochmistrzyńni oznajmiła, że nie sposób teraz znaleźć rąk do pracy, lecz było to kłamstwo, o czym doskonale wiedział. Z jego doświadczenia wynikało, że większość kobiet kłamie, nie wyłączając tej, która leżała tuż obok i wodziła za nim wzrokiem.

- Może na początek pozbedziemy się tej niesłychanie powabnej koszuli nocnej? - zasugerował i ponownie podszedł do łóżka. - Nie powinniśmy mieć przed sobą żadnych tajemnic. Przecież staniemy na ślubnym kobiercu, otrzymasz tytuł i wstąpisz w związek małżeński, całkiem dla ciebie korzystny, biorąc pod uwagę, że sama zrujnowałaś sobie reputację. W takiej sytuacji mam prawo sprawdzić, co dostanę w zamian.

- Niestety, mój panie, nic godnego uwagi - westchnęła Miranda z nieskrywaną kpina w radosnym głosie. - Jestem najprzeciętniejszą istotą na ziemi. Niektórzy powiedzieliby nawet, że jestem pulchna, choć byłoby to nieuprzejme z ich strony.

- W żadnym razie nie chciałbym okazać ci nieuprzejmości - mruknął i popatrzył na nią z ciekawością. Wyglądało na to, że Miranda ani myśli zdejmować koszuli. - Opowiedz mi o sobie coś jeszcze.

Usiadł u stóp łóżka, a ona nerwowo cofnęła nogi i roześmiała się z pozorną swobodą.

- Nie jestem zbyt wysoka ani zbyt niska. Po prostu przeciętna. Mam za mały biust, za szerokie biodra, za to doskonale zęby oraz skórę. Moje włosy są banalnie brązowe, lecz niezwykle gęste i długie.

- Nigdy dotąd nie widziałem cię z rozpuszczonymi włosami. Czy mogłabyś rozplątać warkocze?

Miranda żartobliwie pogroziła mu palcem. Najwyraźniej nie miała pojęcia, że w tej bitwie jest skazana na porażkę.

- Gdybym rozpuściła włosy, w krótkim czasie zmieniłyby się w bezładną plątaninę i musiałabym poświęcić większość dnia na ich rozsypywanie - odparła. - Nie są aż tak piękne, po prostu długie.

- Na tyle długie, że mogłabyś okryć się nimi jak lady Godiva? - zainteresował się.

- Nie mam pojęcia, ale nigdy nie miałam ochoty jeździć konno w stroju Ewy.

- Fatalnie - westchnął Lucien. - Ta wizja wydaje mi się nader stymulująca.

Spiorunowała go wzrokiem, lecz po chwili ponownie uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- Podsumowując, najdroższy, nie mam pojęcia, dlaczego pragniesz zadawać się ze mną. Doskonale wiem, że gościłeś w swoim łóżu niejedną słynną piękność. Czy trafnie zgaduję, że uprawiasz miłość w kompletnych ciemnościach? - Zrobiła naiwną minę. - Christopher St. John zawsze wygaszał wszystkie światła.

Lucien nie mógł się powstrzymać i parsknął śmiechem.

- Nie, moje złoto, nie uprawiam miłości w mroku. Lubię widzieć to, co mi sprawia przyjemność. Jeśli kobiety mają zastrzeżenia do mojego wyglądu, to szybko zapominają o obiekcjach.

- Widzisz? - zatriumfowała. - Zdawałeś się nie wierzyć mi, gdy powiedziałam, że nie pamiętam o twoich bliznach. Przechadzasz się dumnie jak lord Byron, posepny i fascynujący, a do tego romantyczny, więc nic dziwnego, że kobiety padają do twoich stóp jak... cokolwiek, co mogłoby paść ci do stóp. Poza tym Byron też kulał.

Lucien wpatrywał się w nią z niekłamana zgrozą.

- Romantyczny? - powtórzył z niesmakiem. - Posepny? Jak ten cymbał Byron? Moja droga Mirando, masz język jak bat z kolcami.

Celowo użył tego porównania, zupełnie jakby dłużył w chorym zębie, aby sprawdzić, czy ciągle go boli.

Bolało.

Tym razem uśmiech Mirandy był całkiem szczery.

- Skoro nie chcesz być tajemniczym, romantycznym bohaterem, powinieneś przytyć, rozmawiać wyłącznie o pieniądzach i głośno bekać. Poza tym nosisz wręcz teatralnie dramatyczne stroje. Do twarzy byłoby ci w pstrokatej odzieży, a nie w pogrzebowej czerni, którą kłujesz wszystkich w oczy. I warto byłoby przyciąć włosy, są niemodnie długie. Fryzura à la Brutus nadałaby ci znacznie pospolitszy wygląd.

- Dzięki włosom nie widać szram - zauważył.

- Przecież już ustaliliśmy, że nikt, kto z tobą przebywa, nie dostrzega blizn. Wabisz kobiety niczym wielki, tłusty, włochaty i czarny pająk. Jakkolwiek walczą, i tak nie mają szans, są zupełnie bezradne.

- Jakoś nie mogę sobie wyobrazić pająka wabiącego kobiety - wyznał Lucien z rozbawieniem. - I nie zauważyłem, byś była bezradna. Rozepnij górny guzik, jeśli łaska.

- Nie ma mowy o żadnej łasce - obruszyła się. - W tym pokoju jest zimno, a my dopiero planujemy ślub.

- Górny guzik, proszę. Inaczej sam go rozepnę.

Sięgnęła do wysokiej stójki u swojej koszuli nocnej, zapinanej na długi rząd małych i delikatnych guzików z macicy perłowej. Lucien pomyślał, że będzie się delectował powolnym odsłanianiem ciała Mirandy, a jeśli napotka jej opór, po prostu szarpnie koszulę i wtedy guziki pofruną na wszystkie strony.

Po chwili pierwszy guzik był już rozpięty, a oczom Luciena ukazał się dołek u nasady szyi Mirandy. Przeszło mu przez myśl, że to niebywale erotyczne miejsce.

- Czy nie jest aby za późno na wizyty towarzyskie? - spytała, zaciskając dłonie na udach.

- To nie jest wizyta towarzyska, tylko małżeńska. Następny guzik.

- Nie ma mowy.

- Następny guzik! - powtórzył z naciskiem.

Spojrzała na niego z ukosa, ale znowu uśmiechnęła się promiennie i wykonała polecenie. Lucien ujrzał cudowne zagłębienie w miejscu, gdzie stykały się obojczyki.

- Jak mniemam, raczej nie jesteś gwałcicielem - powiedziała spokojnie.

- Słusznie mniemasz.

- Zatem bez względu na to, ile guzików rozepnę, to i tak nie będziesz natarczywy?

- Nie będę - przytaknął. - Możesz rozebrać się do naga i płaszać po sypialni jak nimfa wodna, a ja i tak cię nie tknę, chyba że mnie o to poprosisz.

- Czuję się bezpieczniej, gdyby nie zakład, który zawarliśmy w powozie - wyznała Miranda po chwili namysłu. - Jesteś mistrzem w manipulowaniu kobietami.

- W istocie, opanowałem tę sztukę. - Założył nogę na nogę. - Rzuć mi poduszkę, moje złoto, nim rozepniesz następny guzik. Chcę wygodnie się usadowić.

Miała ochotę powiedzieć mu, że wszystkie poduszki są jej absolutnie niezbędne, lecz tym samym dałaby mu pretekst do położenia się przy niej, a na tym bynajmniej jej nie zależało. Dlatego wysunęła spod pleców miękką poduszkę, cisnęła nią w Luciena, a potem zabrała się do rozpinania trzeciego guzika.

Lucien odgarnął długie, czarne włosy - bajroniczne, jakby powiedziała Miranda - i obserwował ją z uwagą. To miłosne preludium podobało mu się najbardziej. Rozkoszował się narastającym napięciem, które w pewnym momencie musiało go przytłoczyć i zmusić do zbliżenia z miękkim ciałem Mirandy. Tylko jej stopy nadal skrywały się pod pierzyną. Lucien miał ochotę zerwać z łóżka kołdrę, a następnie zacisnąć dłonie na łydkach Mirandy i rozchylić jej szczupłe nogi. Mimo to nawet nie drgnął, jakby postanowił ćwiczyć silną wolę.

- I jeszcze jeden - rozkazał łagodnie.

Chciał ujrzeć jej dekolt i osobiście sprawdzić, czy w istocie ma za małe piersi. Do tej pory odnosił wrażenie, że są idealne, odpowiednio duże i kształtne, jakby stworzone do pieszczot.

- Nie patrz tak na mnie - poprosiła, zapominając o zamaskowaniu niepokoju w głosie.

- Czyli jak, moje złoto?

- Jak drapieżnik.

Wystarczyło jednak kilka sekund, aby wzięła się w garść i cicho zachichotała. W innych okolicznościach jej śmiech wzbudziłby irytację Lucien, ale zbyt dobrze znał Mirandę. Wyczuwał ukryte pod pozorną beztroską zdenerwowanie i wiedział, że to nieporadna próba stawienia oporu. Ciekawiło go, jak długo uda się jej odwlekać nieuchronne. Czy zamierzała uśmiechać się i trajkotać nawet wtedy, gdy ją posiadzie?

- Kto by pomyślał - zaszczebiotała. - Chyba zaczęłam bujać w obłokach! To na pewno wpływ naszej niesłychanie gotyckiej posiadłości, wasza lordowska mość.

- Masz rozpiąć kolejny guzik i powinnaś zwracać się do mnie po imieniu, tak jak wcześniej.

Popatrzyła mu w oczy i zatrzepotała rzęsami.

- Obawiam się, że wtedy byłeś kimś zupełnie innym, najdroższy. Nie jesteś mężczyzną, za którego cię wzięłam.

- Zawsze mogę cię wyręczyć, jeśli nie będziesz chciała zrobić tego sama - dodał, jakby jej nie słyszał.

Miranda posłusznie rozpięła guzik. Poły jej koszuli nocnej były teraz częściowo rozsunięte, aż do rowka między piersiami, które w istocie okazały się nieduże, za to wyjątkowo apetyczne.

- Rozchyl koszulę - polecił jej.

Wpatrywała się w niego bez ruchu.

- Zamierzasz spać ze mną tej nocy, prawda?

- Powiedziałem już, że owszem, ale nie ma mowy o gwałcie - odparł.

Ku jego zdumieniu, Miranda westchnęła ciężko i pokiwała głową.

- Dobrze, skoro nalegasz - powiedziała znużonym głosem. - Naprawdę uważam, że powinniśmy poczekać aż do ślubu, ale jeśli tak ci spieszo, nie będę oponować. - Rozchyliła koszulę, prezentując gładki dekolt.

- Nie zamierzasz stawiać oporu? - zdumiał się.

- Byłaby to niepotrzebna strata czasu. Jestem realistką, więc dlaczego miałabym dodatkowo obrzydzać sobie coś, co i tak uważam za nieprzyjemne?

- O ile się orientuję, uprawianie ze mną miłości raczej nie jest przykrym doświadczeniem - zauważył.

- Cóż, kobiety raczej nie powiedziałyby ci prawdy w oczy, prawda? - prychnęła z lekceważeniem.

Była taka świeża i niewinna, choć straciła już dziewictwo. Dzięki temu nie musiał borykać się z krwią, bólem i łzami. Lucien tylko raz w życiu posiadał dziewicę. On sam również robił to wówczas pierwszy raz, i poprzysiągł sobie, że nigdy więcej nie zada się z nienaruszoną kobietą. Podobało mu się jednak, że za chwilę będzie miał okazję doświadczyć dziewczęcia niemal całkowicie nieświadomego istoty związku kobiety i mężczyzny.

- Droga Mirando, istnieją rozmaite sposoby sygnalizowania swoich odczuć.

Nie wydawała się przekonana, ale położyła się na poduszkach. Z włosami splecionymi w długie, brązowe warkocze wyglądała niedorzecznie młodo.

- Skoro tak mówisz - westchnęła. - Czy na pewno nie zdołam nakłonić cię do zmiany opinii?

- Na pewno. - Zaczął przysuwać się do niej niczym głodna, drapieżna bestia, do której Miranda wcześniej go przyrównała.

Miranda pomyślała, że mogłaby roztrzaskać dzban na jego głowie, ale akurat zabrakło jej takowego pod ręką. Gdyby wstała i oznajmiła, że musi udać się za potrzebą, Lucien pewnie chciałby jej towarzyszyć. Już wcześniej przekonywała go, groziła, usiłowała zauroczyć, nic jednak nie wskórała.

Wcześniej szczerze liczyła na to, że zdoła uniknąć powtarzania tych wszystkich niemiłych czynności, lecz teraz powoli traciła nadzieję. Nie spodziewała się jednak specjalnego dramatu, ani tym bardziej katastrofy. Nie miała do stracenia - ani cnoty, ani dobrej reputacji. Lucien mógł zrobić z nią, co mu się podobało, gdyż jej sytuacja i tak nie mogła się pogorszyć. Pomyślała, że w najgorszym razie zareaguje na jego dotyk i pocałunki, o ile zamierzał ją całować.

Miranda odkryła, że uwielbia się całować. Czy tego chciała, czy nie, jej ciało pragnęło dotyku dłoni oraz ust Luciena. Innymi słowy, groziło jej tym większe upokorzenie i ból. Jego z pewnością to nie obchodziło, za bardzo się skupił na osiągnięciu celu.

Zbliżał się ku niej jak drapieżnik, a ona obserwowała go spod zmrużonych powiek.

- Czy byłbyś łaskaw zdmuchnąć świecę? - spytała uprzejmie. - W ciemnościach czułabym się bardziej komfortowo.

- Nie wątpię. Mogłabyś wtedy wyobrażać sobie, że jestem kimś innym. - Kiedy pochylał się nad nią, czuła się mała i bezbronna, co ani trochę jej nie podobało. - Powiedz mi, moje złoto, czy w ostatnich latach ktoś wpadł ci w oko? Dajmy na to, jakiś krzepki młodzieniaszek, za którego chętnie wyszłabyś za mąż, gdybyś nie popadła w niełaskę towarzyską?

Zastanawiała się, jak by zareagował, gdyby znał prawdę.

- Tylko ty, najdroższy - wyznała z komiczną słodyczą w głosie.

Liczyła na to, że w ten sposób zamaskuje szczerość, gdyż w gruncie rzeczy był jedynym mężczyzną, którego mogłaby pokochać.

Miał piękne wargi. Niektóre blizny sięgały kącika ust, ale Mirandzie zupełnie to nie przeszkadzało. Bez zastanowienia dotknęła ich opuszkami palców, bardzo delikatnie, jakby bojąc się, że zada mu ból.

- Co ci się stało? - spytała łagodnie.

Lucien zmierzył ją lodowatym wzrokiem.

- Czyżbyś zamierzała odciągnąć moją uwagę od tego, co chcę zrobić? - wycedził. - Obawiam się, że nie pójdzie ci tak łatwo. To robota kobiety z batem.

Przesunęła dłonią po szramach, docierających do skroni i do brwi.

- Ale dlaczego? - Zapragnęła dotykać go tak długo, aż ukoji jego ból. - Czemu ktoś chciałby tak nieludzko cię skrzywdzić?

Lucien wykrzywił usta w cynicznym uśmiechu.

- Gdybyś mogła, nie postąpiłabyś identycznie?

Miranda uniosła drugą rękę i objęła jego twarz, kciukami głaszcząc usta.

- Nie - odparła szczerze. - Momentami bywam gotowa cię zabić, ale nigdy nie pragnęłabym cię skrzywdzić.

- Masz świadomość, że to absurd? - Mówił niskim, hipnotyzującym głosem, a jego wargi prawie muskały jej usta.

- Tak - szepnęła i pocałowała go bez wahania.

Drgnął i przez moment obawiała się, że coś popsuła albo że Lucien nie przepada za pocałunkami. Postanowiła się odsunąć, ale on objął ją mocno i odwzajemnił pocałunek, mocno i stanowczo, zupełnie jakby mu na niej zależało. Jakby ją kochał.

Przycisnął ją do poduszek, ani na moment nie odrywając od niej ust. Zamknęła oczy i delectowała się jego smakiem, jednak Lucien nagle uniósł głowę. Gdy patrzył na Mirandę, jego oczy lśniły w blasku świec, a długie włosy osunęły się na twarz, zasłaniając blizny. Chciała odgarnąć ciemne kosmyki, lecz Lucien uwięził jej ręce pod ciężarem własnego ciała i obsypał pocałunkami jej miękką skórę. Pieścił ustami zagłębienie u podstawy szyi Mirandy, a potem położył się obok niej i obrócił ją ku sobie.

Dopiero wtedy zauważyła, że rozpiął pozostałe guziki, a koszula nocna zsunęła się jej z ramion, odsłaniając piersi. Chciała je zakryć, lecz Lucien ją powstrzymał.

- Nie wstydź się, moja Mirando - wyszeptał. - Zawsze wiedzieliśmy, że prędzej czy później do tego dojdzie.

Nie odpowiedziała, gdyż nie mogła. Nie była w stanie dłużej udawać pogody ducha i beztroskiej radości. Łzy same napłynęły jej do oczu, do tego czuła dziwny ucisk w gardle.

Dość, ofuknęła się w duchu.

Nie płakała z powodu Christophera St. Johna i tym bardziej nie powinna mazać się przez Luciena.

Miał słuszość. Wszystko prowadziło do tej chwili, począwszy od momentu, w którym ujrzała go po raz pierwszy, a nawet wcześniej, gdy usłyszała jego głos. Już wtedy ją zafascynował i czuła, że jej życie odmieni się za sprawą tego człowieka. Teraz zamierzał ją osiąść, zagarnąć, a potem pozostawić, zgodnie z zapowiedzią. To jednak nie miało znaczenia. Nie lubiła obcowania z mężczyzną, dlaczego zatem pragnęła czuć na sobie jego ciężar? Chciała, aby ją objął, przygniótł swoim ciałem i wziął to, na co miał ochotę. Była gotowa oddać mu wszystko, całą siebie, choć przecież powinna poderżnąć mu gardło.

Jej odczucia kłóciły się z przemyśleniami, ale nie miała szansy zastanawiać się dłużej, gdyż Lucien położył dłoń na jej piersi i pogłaskał ją delikatnie, a potem pochylił się i sięgnął do niej ustami. Miranda wyprężyła się i z trudem stłumiła krzyk rozkoszy. Wyczuwając jej podniecenie, Lucien podniósł się i spojrzał na nią gorącym wzrokiem.

- Poproś - zażądał.

Mocno zacisnęła usta i przygryzła dolną wargę. Nie zamierzała dawać mu tej satysfakcji. Było nie do pomyślenia, by w tak krótkim czasie mógł nagiąć ją do własnej woli. Odczekał chwilę, a potem znowu się pochylił i musnął jej pierś.

- Wystarczy, że powiesz „poproszę”, Mirando. Nie musisz robić nic więcej. - Połaskotał ją językiem i położył dłoń na jej brzuchu, a ona mimowolnie jęknęła. Miał długie, ciepłe palce i tak wspaniale drażnił nimi jej piersi...

- Proszę... - westchnęła i w tej samej chwili usłyszała śmiech Luciena.

To jednak nie miało znaczenia, gdyż zajął się jej drugą piersią. Wyprężyła grzbiet jak kotka, a on pieścił ją mocno, lecz z wycuciem. Gdy jego palce przesunęły się odrobinę w dół, nagle szarpnęła się i eksplodowała rozkoszą. Szczytowała, czując, że Lucien zdiera z niej koszulę, ale nic jej to nie obchodziło. Po kilku długich sekundach zamarła i skierowała na niego rozkojarzone spojrzenie.

- Kto by pomyślał, moje złoto, że jesteś takim wulkanem - mruknął z aprobatą. - Ciekawe, co przypadłoby ci do gustu na drugie danie? Mam w zanadrzu sporo ciekawych pomysłów.

Zamrugła oczami, gdyż Lucien powoli rozwiązał długi, jedwabny fular, popatrzył na niego z zainteresowaniem i uśmiechnął się półgębkiem.

- Zostawimy to na później - zdecydował po namyśle i odłożył fular. W półmroku blizny na jego twarzy były prawie niewidoczne, lecz Miranda przywykła do nich do tego stopnia, że pragnęła je oglądać. W końcu były częścią Luciena. - Masz nadzwyczajne piersi i mógłbym zajmować się nimi przez okrągłą noc, ale obawiam się, że musimy przejść do następnego etapu. Wierz mi, z trudem panuję nad sobą. Może pragnienie rewanzu jest afrodyzjakiem?

Miranda gwałtownie otworzyła oczy. Zupełnie zapomniała, że powoduje nim wyłącznie chęć zemsty. Spięła się, jakby groziło jej niebezpieczeństwo.

- To nie tak, moje złoto - zaproponował łagodnym tonem. - Rozewrzyj nogi, bo cię zmuszę.

- Powiedziałeś, że nie będziesz mnie przymuszał - wykrztusiła z wysiłkiem.

- Trochę nakłamałem. W tej chwili jestem gotów na wszystko, byle tylko cię osiąść.

- Posuniesz się do gwałtu?

- Kto mówi o gwałcie? - spytał retorycznie. - Dopiero co szczytowałaś tylko dlatego, że zająłem się twoim biustem. To nie będzie żaden gwałt. - Ponownie dotknął jej brzucha i przesunął dłoń niżej. Miranda wbrew sobie zadrżała z pożądania. - Czy mam rację, moje złoto?

W odpowiedzi rozchyliła nogi i zamknęła oczy, żeby nie widzieć jego triumfalnego uśmiechu.

Rozdział osiemnasty

Lucien doskonale wiedział, co powinien zrobić. Miranda leżała przed nim z rozchyłonymi nogami i była gotowa, wręcz chętna, na wszystko. Przed chwilą dostarczył jej niebiańskiej rozkoszy, choć nie spodziewał się z jej strony tak silnej reakcji.

Dlatego teraz powinien odejść. Powinien wstać z łóżka i wymaszerować z sypialni. Miał po temu tysiące powodów, między innymi ten, że ogromnie pożądał Mirandy. Nie mógł się łudzić - gdyby teraz ją posiadał, zapragnąłby więcej. Rzecz jasna, z czasem znudziłby się nią, podobnie jak nudził się wszystkim, ale do tego momentu władałaby nim żądza, co mu zupełnie nie odpowiadało.

Gdyby zaś wyszedł, pozostawiłby Mirandę na skraju całkowitej kapitulacji erotycznej. Frustracja z pewnością ogromnie by nią wstrząsnęła. Była gotowa oddać się mu w całości, a on mógł ją odrzucić, aby zaznała bólu, który doprowadził jego przyrodnią siostrę do samobójstwa. Najprościej byłoby teraz odejść...

Otworzyła oczy i zerknęła na niego tak, jakby umiała czytać w myślach. Zbyt dobrze go znała i między innymi dlatego był nią tak zauroczony. Potrafiła przewidywać jego decyzje i na dodatek je uprzedzać.

Uśmiechnęła się lekko, ani trochę nie wstydząc się swojej nagości.

- Czyżbyś zmienił zdanie? - spytała pogodnym głosem. - Wielka szkoda. W takim razie poprosiłabym o pierzynę, gdyż nieco marzną.

Musiał przyznać, że błyskawicznie doszła do siebie po niewątpliwie pierwszym szczytowaniu w życiu. Nagle zrozumiał, że nie wystarczy mu siły, aby wyjść.

Bez słowa położył się na niej, a ona odruchowo usiłowała usiąść i zrzucić go z siebie. Dopiero po chwili przypomniała sobie, że nie powinna tego robić, i zamarła na miękkiej pościeli, niczym dziewica złożona potworowi w ofierze.

- Nie zrobię ci krzywdy - wyszeptał. - Twoje ciało samo dopasuje się do mnie.

Pokręciła głową, nie dając mu wiary, ale i tak ją pocałował, mocno i głęboko.

- Nie ruszaj się - wyszeptał, oderwawszy od niej wargi.

Obawiał się, że spróbuje go z siebie zrzucić, a był bliski eksplozji, choć nawet nie zaczęli się kochać. Na tym etapie nie myślał już logicznie, był zbyt oszołomiony jej

zapachem i smakiem. Musiał tylko zaczekać, aż Miranda się odpręży, dopuści go do siebie...

Miał wrażenie, że minęła wieczność, ale powoli, stopniowo, jej przyspieszony, nerwowy oddech stał się miarowy. Westchnęła głęboko, a wtedy Lucien oparł jej nogi na swoich biodrach.

- Tak będzie mniej bolało - mruknął jej do ucha, a ona posłusznie skinęła głową.

Zasłaniała oczy, więc odsunął jej dłonie, przełożył je nad jej głowę i zacisnął na nich palce. Zbliżył usta do jej łona i złożył na nim rozkoszny pocałunek. Pieścił ją ustami, smakując i poznając centymetr po centymetrze. Miranda oddychała coraz szybciej i szybciej, aż zaszczytowała po raz kolejny. Widząc jej wijące się nagie ciało, uznał, że już dłużej nie jest w stanie się powstrzymać. Położył się ponownie na niej i delikatnym ruchem połączył się z nią.

Jej cichy, bolesny jęk niemal skłonił go do wycofania się. Niemal. Wahał się jednak tylko przez moment. Wysunął się z niej częściowo i pchnął ponownie, powoli, żeby nie zrobić jej krzywdy.

Była cudowna. Doskonała. Czy wypowiedział te słowa głośno, czy tylko je pomyślał? To nie miało znaczenia. Upoiła go jej wrażliwa skóra, niepowtarzalna woń ciała, łagodna wilgoć oddechu, który owiewał jego policzek. Starał się ją zadowolić tak, jak wcześniej zaspokajał inne kobiety, a ona oddychała głęboko, z satysfakcją. Czuł, że docenia jego wysiłki i jest coraz bliższa kolejnej fali rozkoszy. Stare łóżko trzęsło się pod nimi. Lucien puścił dłonie Mirandy, a ona zsynchronizowała się z jego rytmem. Wystarczyło kilka minut, by wspięła się na sam szczyt i zadrzała, przeszywana dreszczem ekstazy. Lucien momentalnie do niej dołączył, wypełniając ją z rozkoszą tak silną, jak żadna inna, której dotąd doświadczał.

Opierał ciężar ciała na łokciach i usiłował uspokoić oddech, kiedy jej ciałem wstrząsały dreszcze. Minęła długa chwila, nim zdołał się skoncentrować i odzyskać jasność umysłu. Kiedy to wreszcie nastąpiło i opuścił wzrok na jej twarz, niemal przygryzł wargę z przejęcia.

Miranda milczała z zamkniętymi oczami, a po jej policzkach spływały łzy, wielkie jak groch. Nie wiedział, czy doprowadził ją do płaczu swoją niedelikatnością, czy też tak

mocno przeżywała wyjątkowo silne uniesienia. Na dodatek oddychała pośpiesznie i płytko, a jej serce mocno biło pod jasną skórą.

Chciał się odsunąć, ale wtedy objęła rękami jego szyję i przyciągnęła go do siebie stanowczym ruchem. Lucien przetoczył się wraz z nią na bok. Miranda wcisnęła twarz w jego ramię, a jej ciałem wstrząsnęły ciche spazmy. Przytulił ją mocno, żałując, że nie miał czasu zdjąć ubrania. Wziął ją tak, jak się bierze byle ulicznicę, a przecież zasługiwała na znacznie więcej. Pogłaskał ją po zmierzwionych warkoczach. Chciała ukryć się przed nim, zasłonić twarz wilgotną od łez. Nie mógł jej tego zabronić, na jej miejscu też pragnąłby się schować.

Zamknął oczy i wbrew sobie zasnął, a kiedy się obudził, było już jasno. Leżał w łóżku sam, nadal ubrany od stóp do głów. Od razu się zorientował, że Miranda gdzieś znikła.

- Piekło i szatani - zaklął głośno i usiadł na zmiętej pościeli.

Czyżby postanowiła uciec? Tylko tego brakowało, żeby utonęła w jeziorze. Zmiał w ustach jeszcze jedno przekleństwo.

Nadal pragnął Mirandy. Spędził noc w jej ramionach i teraz czuł na skórze jej woń, słodką i zmysłową.

Kiedy po chwili doszedł do wniosku, że pewnie zaszyła się gdzieś w domu i zalewała łzami, zapiął spodnie i wyruszył na jej poszukiwania. Nie przejmował się tym, że ktoś mógł go zobaczyć, w końcu kochał się z narzeczoną, a ludzie na wsi swobodniej podchodzili do takich spraw. Miranda i tak dostanie swoją noc poślubną, choć może nie taką, o jakiej marzyła.

Z niezrozumiałych powodów Lucien miał podły humor. Uprawianie miłości z Mirandą okazało się bardziej wyczerpujące, niż zakładał, niemniej warto było się wysilić. Cóż więc takiego pogorszyło mu samopoczucie? Realizował zamiary zgodnie z planem, choć bez pośpiechu. Zyskał zaufanie Mirandy, porwał ją i uwiódł. Pozostało mu tylko ożenić się z nią i uwięzić ją w tym zimnym, starym gmaszysku. Jej rodzina nic nie zdoła na to poradzić.

Przemierzał korytarze w kiepskim nastroju. Planował z samego rana powrócić do Londynu, a zamiast tego tracił czas na poszukiwania Mirandy, która bez wątpienia ukryła się gdzieś, by rozpaczać.

Z końca korytarza dobiegła go muzyka. Ktoś grał na pianinie, niespecjalnie dobrze, za to entuzjastycznie. Lucien wzdrygnął się, słysząc fałszywą nutę, ale osoba katująca instrument najwyraźniej wcale się nie przejęła. Lucien natychmiast podążył do pokoju muzycznego i gwałtownie otworzył drzwi.

Przy fortepianie siedziała jego narzeczona w różowej sukni. Brązowe włosy okalały twarz Mirandy i spływały na plecy, a na jej szyi zauważył nieduży czerwony ślad, wspomnienie po upojnej nocy.

Gdy skierowała na niego wzrok, w jej oczach nie dostrzegł nawet śladu łez.

- Było absolutnie cudownie, najdroższy - powitała go z promiennym uśmiechem. - Kiedy możemy to powtórzyć?

Lucien stał bez ruchu, wpatrując się w nią z uwagą. Na policzkach Mirandy wykwitły rumieńce, dzięki czemu wyglądała jeszcze ładniej niż zazwyczaj, a jej usta były lekko nabrzmięte od pocałunków. Myślał jednak wyłącznie o małym śladzie na jej szyi, i nie wiedzieć czemu, świadomość, że to jego dzieło, niesłychanie go pobudziła. Czy naprawdę do tego stopnia stracił panowanie nad sobą, że pokąsał Mirandę? Zachował się jak zwierzę, w sposób całkowicie nietypowy dla siebie.

Najchętniej podszedłby teraz do Mirandy, posadził ją na fortepianie, zadarł jej suknię i powtórzył to co minionej nocy. Pohamował się jednak i tylko uśmiechnął.

- Ogromnie się cieszę, że jesteś zadowolona, moje złoto - oświadczył. - Obawiam się jednak, że z repetà będziemy musieli poczekać do mojego powrotu z Londynu.

Wydeła usta, demonstrując rozczarowanie.

- Czy naprawdę musisz jechać? - westchnęła.

- Niestety, to nieuniknione. Zamierzam wydać nadzwyczajne przyjęcie, więc muszę wszystko ustalić osobiście.

- Przyjęcie? - Uniosła brwi. - Tutaj?

- Nie tym razem. Moim znajomym nie przeszkadzają kurz i zgnilizna, podejrzewam wręcz, że lubią tak zaniedbane otoczenie. Teraz jednak nie wcielę się w

rolę gospodarza. Obiecałem dopilnować, żeby uroczystość przebiegła zgodnie z planem. Chodzi o nasz ślub, moje złoto.

- Pobierzemy się na przyjęciu? - Zamrugła oczami. - To chyba nielegalne? A kim będą nasi mili goście, najdroższy? Złodziejami biżuterii?

- Między innymi. Na tego typu zabawach towarzyskich spotyka się osoby różnego autoramentu, począwszy od księżąt z rodziny królewskiej, na anarchistach skończywszy. Sądzę, że czeka cię pyszna zabawa. Co do prawnej strony ślubu... Zajmiemy się nią później.

- Rozumiem - powiedziała z pozorną obojętnością. - Czy termin tej wiekopomnej imprezy został już ustalony?

- Przyszły piątek, moje złoto. Nie zobaczymy się do tego czasu, gdyż przy tobie tracę koncentrację. Pod moją nieobecność możesz robić, co tylko zechcesz. Dom należy do ciebie, moje pieniądze także. Będziesz musiała znaleźć sobie jakieś zajęcie.

Miranda wstała, a wtedy dostrzegł na jej szyi jeszcze jedną pamiątkę po jego pocałunku. Nagle przyszło mu do głowy, że mógłby pozostać w domu przez najbliższe kilka godzin, aby ponownie zażyć z nią rozkoszy. Ciekawiło go, ile takich śladów pozostawił na tym jasnym, cudownym ciele.

- Rozłąka z tobą, najdroższy, będzie dla mnie niesłychanie bolesnym doświadczeniem, niemniej mam nadzieję, że jakoś się pozbięram - wycedziła.

Lucien pomyślał, że oto ponownie objawiła się jego przeurocza Miranda, która słodkim uśmiechem maskowała zjadliwy sarkazm.

- Nie wątpię - mruknął obojętnie. - Moimi finansami zajmuje się Robert Johnson, on pokryje wszelkie twoje wydatki.

- Mogę się okazać nadzwyczaj kosztowna w utrzymaniu, najdroższy - zauważyła.

- Mam tego świadomość, ale też nie brakuje mi pieniędzy. - Przechylił głowę, nie odrywając wzroku od Mirandy. - A teraz podejdź no tutaj, moje złoto, dasz narzeczonemu całusa na pożegnanie.

To nie była tylko sugestia, a ona wiedziała o tym doskonale. Podeszła do niego z udawanym zapałem i spojrzała mu w oczy.

- Czy mam cię pocałować, najdroższy, czy też ty pocałujesz mnie? - spytała zalotnie.

Lucien nie był jednak zainteresowany prowadzeniem tego typu gier, więc najzwyczajniej w świecie przyciągnął ją i pocałował namiętnie i długo. Po kilku sekundach zorientował się ze zdumieniem, że objęła go w pasie i przytrzymała, odwzajemniając pocałunek, ale gdy ją puścił, cofnęła się z zakłopotaniem.

- Do widzenia, Lucien.

Lucien? Ponownie zwróciła się do niego po imieniu. A może to było tylko przejęzyczenie?

- Do widzenia, Mirando - odparł łagodnie. - Cieszę się, że ostatniej nocy doceniłaś moje skromne wysiłki. - Przelotnie musnął wargami jej czoło i wyszedł.

Skromne wysiłki, pomyślała Miranda, gdy zamykał za sobą drzwi. Gdyby Lucien nie starał się traktować jej jak najlepiej, z pewnością nie przetrwałaby tej nocy w tak dobrym stanie.

Nie skrzywdził jej, a jeśli już, to tylko trochę, i była na to przygotowana. Okazał się znacznie większy od Christophera, do tego stopnia, że podejrzewała go o jakiś defekt. W całym swoim życiu miała do czynienia tylko z dwoma mężczyznami i założyła, że Christopher jest typowym przedstawicielem swojego gatunku.

Powróciła do fortepianu i usiadła z westchnieniem. Nie wiedziała, co się z nią dzieje, w jej głowie kłębiły się tysiące pytań. Dlaczego odwzajemniła pocałunek Luciena? Czy naprawdę nie chciała, żeby wyjechał? Co on z nią zrobił?

Na dodatek sama pozwalała mu dotykać się w sposób tak bardzo intymny. Czyżby opętał ją diabeł? Przy Lucienie czuła się spełniona, zupełnie jakby odnalazła swoją drugą połowę. W nocy ona była naga, on zaś całkowicie ubrany, jeśli nie liczyć rozpiętych spodni. Czy następnym razem też ogarnie ją tak niebezpieczne pobudzenie?

Powinna się cieszyć, że Lucien wyjeżdża, gdyż dzięki temu zyskała czas na odzyskanie panowania nad sobą i zrozumienie, co się dzieje. Nie mogła dopuścić do tego, aby dysponował niepodzielną władzą nad jej ciałem.

Nagle poczuła złość na siebie. Skoro miała zostać żoną tego człowieka, spędzenie z nim nocy było jej małżeńskim obowiązkiem. Tylko kompletna idiotka nie skorzystałaby

z okazji do czerpania przyjemności. Należało się jej kilka chwil rozkoszy po przykrych doświadczeniach z Christopherem St. Johnem, pomyślała i od razu pokręciła głową, nie mogąc poznać samej siebie.

Rozdział dziewiętnasty

Panna Jane Pagett wyszła z gospody i od razu zwróciła uwagę na Jacoba, który siedział już na koźle małego powozu, czekając, aż stajenny z gospody pomoże obu paniom zająć miejsca.

Przynajmniej nie pada i jest cieplej, pomyślała Jane, ale nie mogła zachwycać się ładną pogodą, gdyż nadal martwiła się tym, co po jej powrocie powiedzą jej bliscy oraz pan Bothwell. Dobrze przynajmniej, że podróżowała w towarzystwie pogodnej i przyjaznej pani Grudge, która odgrywała rolę przyzwoitki.

Inna rzecz, że przyzwoitka wcale nie była jej potrzebna. W końcu Jane nie zrobiła nic niestosownego czy naganego - ot, po prostu wybrała się w podróż z najbliższą przyjaciółką, aby uczestniczyć w jej ślubie. Uroczystość co prawda jeszcze się nie odbyła, ale nikt nie musiał o tym wiedzieć. Co było złego w przejażdżce z Mirandą, która przecież potrzebowała duchowego wsparcia? Nawet wymagający pan Bothwell nie mógł mieć zastrzeżeń.

- Czemu pani taka wymęczona? - spytała pani Grudge przyjaźnie. - Niedośpana czy co?

- Źle spałam - wyjaśniła Jane. - Chyba za dużo czasu spędziłam w powozie. Obudziłam się o drugiej i przewracałam z boku na bok, aż w końcu zeszałam do jadalni, żeby odpocząć przed kominkiem.

Pani Grudge wpatrywała się w nią z niepokojem.

- No proszę. A nie spotkała pani naszego woźnicy? Jakem go ostatnio widziała, siedział właśnie w jadalni przed kominkiem. Po mojemu to mógł sobie przygruchać jakieś towarzystwo na nockę.

Jane nie wiedziała, czy bronić Jacoba, czy nie, ale pani Grudge wydawała się tak poruszona, że lepiej było nie wspominać o rozmowie z woźnicą. W nocy Jane drzemała

w fotelu przez godzinę lub dwie, a potem powędrowała z powrotem do łóżka, kiedy go-
gospoda zaczęła się budzić do życia. Wtedy to uświadomiła sobie, że jej podejrzenia są
absurdalne. Jacobs skojarzył się jej z tajemniczym złodziejem tylko dlatego, że obaj
wiedzieli, jak schlebiać kobietom i je uwodzić.

Prawdę powiedziawszy, nikt jej nie schlebiał i nie adorował podczas przyjęć, na
których bywała. Nawet pan Bothwell ją zignorował i poczynił ustalenia z jej ojcem, a
dopiero potem raczył wtajemniczyć ją w swoje plany.

Simon Pagett, jako człowiek oświecony, pozostawił ostateczną decyzję córce. Pan
Bothwell uznał ten gest za niesmaczny, niemniej nie dość obraźliwy, aby wycofać
propozycję. Koniec końców, Jane przyjęła oświadczyzny, gdyż miała już dwadzieścia trzy
lata i nie interesował się nią absolutnie nikt. Kiedy jej ojciec odziedziczył posiadłość po
swoim stryjecznym bracie, lordzie Montague, wydatki rodziny znacznie wzrosły, choć
matka Jane dysponowała pokaźnym majątkiem z pierwszego, nieudanego małżeństwa.
Nikt nie przepadał za panem Bothwellem, ale Jane oświadczyła, że go kocha, więc po
wielu dyskusjach bliscy dali jej spokój. Chciała mieć własny dom, a w nim dzieci oraz
męża. Pan Bothwell był wysoki i przystojny, choć nieco surowy. Dlatego musiała
skłamać, nie mogła zaprzepaścić być może jedynej okazji.

Aż trudno uwierzyć, że kilkudniowy wyjazd tyle zmienił. Do niedawna nie
podejrzewała, że spotka mężczyznę, który będzie ją całował z taką namiętnością, i że
potem inny zechce z nią flirtować. Rzecz jasna, ten drugi z braku laku flirtowałby nawet
z dziuplą w uschniętym drzewie, a pierwszy był notorycznym kryminalistą, niemniej
obaj zwrócili uwagę właśnie na nią.

Opuściła wzrok na pierścień z oszałamiająco pięknym brylantem. Jej matka miała
cenną biżuterię, doskonale podkreślającą jej nieprzeciętną urodę, ale Jane dostrzegła w
swoim pierścieniu coś absolutnie wyjątkowego. Może po prostu podświadomie uważała
go za swoją własność, choć pierścień do niej nie należał.

- Na pewno chce pani ściągnąć ten pierścień, panno Jane? - spytała pani Grudge ze
źle skrywaną zazdrością. Trudno było ją winić, przecież każda kobieta chciałaby mieć
taki drobiazg. - Mus, że ma ze dwa karaty.

Pani Grudge z pewnością była bardzo piękna w młodości, a i teraz, w swoim skromnym ubraniu, prezentowała się nader atrakcyjnie. Jane nie pojmowała, skąd tak prosta kobieta może cokolwiek wiedzieć o brylantach, ale doszła do wniosku, że pewnie w młodości pani Grudge miała z nimi jakąś styczność. Nie nosiła żadnej biżuterii, choć Jane prawie mogłaby wyobrazić ją sobie całą w imponujących rubinach.

Jane zachichotała, rozbawiona własnymi wyobrażeniami, i ponownie zerknęła na pierścień.

- Tak, chcę go ściągnąć - potwierdziła. - Mam swoje powody.

- Pani narzeczony pewnikiem kocha panią na zabój, że dał taki pierścień. Takiego kawalera to ja bym nie odrzucała bez dobrego powodu.

To samo powiedział Brandon. Dlaczego ludzie łączą siłę miłości z wartością klejnotów? Gdyby tak było naprawdę, tajemniczy włamywacz musiałby ją kochać całym sercem, a przecież nawet nie znał jej imienia.

Poza tym, skąd pani Grudge wiedziała o jej wątpliwościach, związanych z panem Bothwellem? Jane wcale nie zamierzała wyjaśniać jej, że brylant to dar kogoś innego. Złożyła dłonie, by zasłonić pierścień. Było oczywiste, że prędzej czy później będzie zmuszona go zwrócić, a prawdę powiedziawszy, już nie potrzebowała smaru do kół. Pierścień zsunął się bez trudu, kiedy rano myła ręce.

- Jak pani myśli, kiedy dotrzemy do Londynu?

- Tak po mojemu, to czeka nas jeszcze jedna noc w drodze i już - zapewniła ją pani Grudge łagodnie. - Ale teraz to poszukamy czegoś wygodniejszego. Jacobs trzyma się bocznych dróg, ale powiem mu, żeby znalazł jakąś gospodę stosowniejszą dla wysoko urodzonych.

Jane przyszło do głowy, że w elegantszym przybytku z pewnością nie natknie się na przystojnego woźnicę.

- Och, ale ja lubię małe gospody - oświadczyła.

Miała nadzieję na jeszcze jedną noc wolności, zanim przyjdzie jej stanąć przed panem Bothwellem i podjąć ostateczną decyzję.

Pragnęła przygody i niewątpliwie jej życzenie się spełniło. Pocałunki w środku nocy, potajemna ucieczka, zabójczo przystojny woźnica - wszystko to sprawiło, że jej

starannie zaplanowana przyszłość straciła na znaczeniu. Jane coraz mniej się tym przejmowała.

- Powiem Jacobsowi, jak przystaniemy na lunch. - Pani Grudge zamknęła oczy. - Sama miałam długą noc. Przewracałam się z boku na bok i z brzucha na plecy. - Uśmiechnęła się na wspomnienie.

- Więc może powinniśmy się pośpieszyć? - zasugerowała Jane, ogarnięta poczuciem winy.

Nie mogła zachowywać się jak tchórz. Należało jak najszybciej stawić czoło panu Bothwellowi.

- E tam, nie ma po co gnać na złamanie karku, panno Jane. Mnie to się nawet podoba na wsi. Jutro dojedziemy wcześniej, cali i zdrowi, i nikomu krzywda się nie stanie. Chyba może tak być?

Powinni szybko wrócić do domu, a Jane musiała pozbyć się pierścienia z brylantem i zostać potulną żoną pana Bothwella.

Tak właśnie zamierzała postąpić, ale dopiero jutro. Pragnęła na jeszcze jedną noc uwolnić niesforne, złaknione wrażeń dziecko, które więziła w swoim przeciętnym ciele. Potem mogła ponownie stać się grzeczną, młodą damą, jak na dobrze ułożoną dziewczynę z dobrego domu przystało.

Jeszcze jedna noc, pomyślał Jacob. Świat przestępców rządził się swoimi prawami. Wystarczyła chwila słabości, żeby pojawiła się wataha chętnych do obalenia dotychczasowego przywódcy. Jacob zrobił swoje u Carrimore'ów, aby dowieść, że jest lepszy od wszystkich swoich kamratów. Strzelał celnie, świetnie posługiwał się nożem, ale najchętniej walczył na pięści. Nie gustował w zabijaniu, choć momentami było to nieuniknione. On jednak należał do tych, którzy do ostateczności posuwają się tylko w razie konieczności.

Miał tylko nadzieję, że Marley nie postanowił zająć jego pozycji. Czuł poza tym, że Skorpion nie był zachwycony, iż panna Jane wpadła mu w oko. Skoro chciał mieć ten przeklęty pierścień z powrotem, jakoś trzeba go było odzyskać. Tyle tylko, że ani

Jacobowi, ani jego druhowi wcale nie zależało na brylancie. Lucien po prostu lubił starannie kończyć to, co rozpoczął.

Jacob nie miał pojęcia, czy ktoś taki jak Lucien de Malheur jest zdolny do miłości, ale przy swojej niechętej narzeczonej zachowywał się nad wyraz osobliwie. Obaj znali się przez pół życia i w tym czasie Skorpion nigdy nie był tak poirytowany, zdekoncentrowany i niespokojny jak obecnie.

Jeśli to nie miłość, to co? - pomyślał Jacob z szerokim uśmiechem.

Następnego dnia pojawiła się cała armia służących, które Miranda natychmiast skierowała do pracy. Nie oszczędziła nawet pani Humber i Bridget. Sama zawiązała szal na głowie, zakasała rękawy i włożyła fartuch. Zamierzała odkurzać, tak jak jej podwładne, gdyż była świadoma, że w tak zaniedbanym domu liczy się każda para rąk do pracy.

Przez pięć dni wszyscy w domu zamiatali, szorowali i wycierali kurze. Każdego wieczoru Miranda padała na łóżko, zbyt zmęczona, aby zadzwonić po wannę, poza tym nie miała serca zmuszać przepracowanej służby do dźwigania dla niej kubłów z gorącą wodą. Piątego dnia, kiedy wszystko lśniło wreszcie czystością i pachniało olejkiem cytrynowym, Miranda ze śmiechem zatańczyła w wielkim holu frontowym o ścianach obwieszonych średniowiecznym uzbrojeniem.

Pani Humber z ponurą miną obserwowała te taneczne wyczyny. Źle znosiła zamieszanie związane z gruntownymi porządkami, ale po paru niepewnych próbach zastraszenia Mirandy dała za wygraną i zaczęła posłusznie wykonywać jej polecenia.

- Jego lordowska mość nawet tego nie zauważy - burknęła z niezadowoleniem. - Cała ta robota była psu na buty.

- Wystarczy, że ja zauważam - oświadczyła Miranda spokojnie. - Teraz trzeba będzie sprowadzić malarzy.

- Malarzy? Jaśnie pani życzy sobie portret? - Ton ochmistrzyni jasno sugerował, że to strata czasu.

- Bynajmniej, chcę odmalować sypialnię hrabiego Rochdale. Jest w niej zdecydowanie zbyt ciemno i ponuro, aż dziw bierze, że cokolwiek tam widzi. Ponadto potrzebujemy nowych zasłon. Gdzie mieści się najbliższy skład z tkaninami?

- Pan hrabia życzy sobie, by w jego sypialni było ciemno.

- Pan hrabia życzy sobie, żeby jego całe życie było mroczne. To się jednak zmieni, bo oświadczył mi się na własną zgubę - wyjaśniła Miranda słodkim głosem, który zwykle rezerwowała dla Luciena. Słowo „oświadczyły” było lekkim nadużyciem, ale obcowanie z panią Humber przypominało nieustanny bój, więc Miranda sięgała po wszystkie środki. - Mam nadzieję, że przed jego powrotem wszystko będzie gotowe, więc nie wolno nam tracić czasu.

Pani Humber wpatrywała się w nią z uwagą.

- Wielkim błędem byłoby ingerowanie w stan pokojów jego lordowskiej mości - wycedziła. - Wspomniałam już, że nawet nie powinnyśmy ich sprzątać. Pan hrabia wydał jasne polecenie, aby bez jego wyraźnej zgody nikt nie wchodził do pewnych pomieszczeń.

- Cóż, pozwoliłam sobie zignorować ten zakaz i zajrzałam do środka, spodziewając się ujrzeć zwłoki siedmiu młodych żon, lecz ku swojemu rozczarowaniu nie zauważyłam nawet jednego trupa. Proszę zatem, by znalazła pani malarzy i ściągnęła ich tutaj rano - oznajmiła stanowczo Miranda.

- A na jaki kolor życzy sobie pani pomalować ściany pokoju jego lordowskiej mości?

Miranda zastanowiła się przez chwilę, a potem uśmiech rozjaśnił jej twarz.

- Na różowy - odparła.

Jacob oparł się o ladę, powoli sącząc piwo i rozmyślając o kobiecie, na którą nie mógł nawet popatrzeć. Gospoda była nieduża, ale czysta, a prowadziła ją dobroduszną jejmość wraz z poczciwym mężem. W przybytku znajdowała się prywatna salka dla szlachetnie urodzonych i właśnie w niej, za zamkniętymi drzwiami, przebywała obecnie panna Jane.

Może to i dobrze, westchnął w duchu. Zbyt długo pozostawał bez kobiety. Ostatni raz zabawił się podczas balu u Carrimore'ów, a przecież nie był stworzony do celibatu. Dlaczego wczoraj wieczorem nie skorzystał z okazji i nie poharcował z chętną karczmareczką? To by załatwiło sprawę.

Cóż, okazał się jednak skończonym idiotą, nie użył życia i teraz cierpiał w towarzystwie czterdziestoletniej, wąsatej karczmarki. Nie, zdecydował, wszystko ma swoje granice. Tego wieczoru przyjdzie mu się zadowolić własną, wierną dłonią.

Cóż, takie życie.

Duża Molly pewnie ochoczo zajęłaby się jego potrzebami, ale już dawno temu przestali ze sobą sypiać. Teraz łączyła ich przyjaźń, której Jacob nie chciał wystawiać na próbę.

Prawdę powiedziawszy, wcale nie marzyła mu się Duża Molly ani pulchna karczmareczka z poprzedniej gospody. Nie tęsknił też za lady Blanche Carlisle, z którą regularnie sypiał pod nieobecność jej męża. Nie pragnął słodko uśmiechniętej Gracie, która żelazną ręką trzymała Gildię Żebaczę. Wszyscy chcieli mieć Gracie, a ona szczerze szafowała wdziękami, lecz szczególnie lubiła Jacoba. Rzecz jasna, skwapliwie korzystał z jej przychylności.

Tyle tylko, że od ponad tygodnia nie tknął żadnej z nich. Psiamać, kobieta to kobieta, przynajmniej jeśli chodzi o łóżko. Mógł posiąść i Blanche, i Gracie, a jeśli pragnął innej, powinien zwyczajnie zamknąć oczy i udawać, że wacha fiołki.

Odepchnął się od lady, ulewając nieco piwa. Wiedział, że dość już wypił. Na szczęście, jutro przed południem dotrą do Londynu i już nigdy więcej nie zobaczy lady Jane Pagett, która poślubi nobliwego narzeczonego, urodzi dzieci i w spokoju dożyje swoich dni.

Jacob pomyślał, że udając pijanego, mógłby wedrzeć się do prywatnego saloniku i zdać się na życzliwość panny Jane. Kto wie, może byłaby gotowa go zaprosić, przemówić do niego tym swoim łagodnym, czarującym głosem, o którym nie przestawał rozmyślać...

Mógłby to zrobić... Ale mógłby też iść prosto do stajni i zapomnieć o pięknej panie Jane. Tym razem nie miał co liczyć na to, że wyjdzie na spacer w środku nocy. Z pewnością obawiała się spotkania z rozochoconym woźnicą.

Tak naprawdę, Jacobowi ani trochę nie śpieszyło się do Londynu. Miał serdecznie dość miasta, jego zapachów i wszechobecnego dymu oraz hałasu. Lubił podróżować, odkąd po raz pierwszy uciekł swemu panu, który spuścił mu manto za to, że ośmielił się urosnąć i nie mieścił się już w kominach, więc nie nadawał się do roboty. Jacob chętnie odszukałby tego starego drania i powspominał z nim dawne lata.

Teraz jednak marzył o słońcu i o świeżym powietrzu. Między innymi dlatego nie zaprotestował, kiedy Duża Molly oznajmiła, że spędzą w drodze jeszcze jedną noc. Nie miał ochoty wracać do Londynu i gotów był skierować swój powóz wszędzie tam, gdzie sobie tego zażyczy panna Pagett.

Szczylił się tym, że jest człowiekiem praktycznym i pragmatycznym. W młodości życie wybiło mu z głowy romantyczne uniesienia. Tyle tylko, że w oczach panny Jane dostrzegał coś niepowtarzalnego...

Dopił piwo i nieco zbyt gwałtownie odstawił kufel. Jak zwykle odchodził od lady ostatni. O tej porze panna Jane z pewnością już spała, wyraził w duchu nadzieję. Postanowił więc, że uda się do prywatnej jadalni. Jeśli nie zastanie jej tam, co wydawało się prawie pewne, wtedy pójdzie spać do stajni, sam jak palec. Jeżeli zaś spotka pannę Jane, zostanie z nią i trochę poplirtuje. Niech los zadecyduje, jak będzie wyglądał jego wieczór.

Do prywatnej jadalni wchodziło się po schodkach, na których Jacob potknął się i omal nie upadł. Zaklął pod nosem i sięgnął do żeliwnej klamki.

Pokój świecił pustkami, w kominku żarzyły się resztki drow. Noc była pogodna, na niebie jaśniał księżyc, którego blask zalewał opustoszałe pomieszczenie. Jacob zamknął drzwi i oparł się o ścianę. Może i dobrze się stało, powiedział sobie, ale w następnej sekundzie jego wzrok padł na schody.

Gospoda mieściła się w bardzo małym budynku i znajdowała się w niej tylko jedna wygodna sypialnia dla lepszych gości. Służba, łącznie z Dużą Molly, znalazła zakwaterowanie na tyłach kuchni.

Kiedy tu zajeżdżali, Jacob liczył na to, że pokój będzie już zajęty, co zmusi ich do kontynuowania podróży, a jego uwolni od pokusy. Chyba jednak wszystko sprzysięgło się przeciwko niemu, gdyż przybytek był całkiem pusty, jeśli nie liczyć właściciela, jego żony oraz karczmarki. Wszyscy oni teraz spali i tylko on, niegodziwy król złodziei, kręcił się po gospodzie i szukał...

Ale czego, wołał się nie zastanawiać. Z trudem zbierał myśli, mimo to skierował się prosto do schodów na piętro.

Czy panna Jane leżała już w łóżku? Czy drzwi do jej pokoju były zamknięte na klucz? W publicznie dostępnej gospodzie każda roztropna niewiasta solidnie zaryglowałaby wejście, lecz Jacob wcale nie był przekonany, czy Jane istotnie jest roztropna. Przecież nie protestowała, kiedy ją całował. A potem poprosiła, by dołączył do niej przy kominku, choć przecież rozsądek powinien jej nakazać, aby trzymała się z daleka od takich niebezpiecznych typków.

Inna rzecz, że za każdym razem był dla niej kim innym. Może więc mylił się co do niej? A jeśli w rzeczywistości w tej pięknej piersi biło serce rozpustnicy?

Skąd, wszak nie wiedziała, jak się całować z mężczyzną, przypomniał sobie. Poznał to po przyśpieszonym biciu jej serca i drzeniu ciała. Z pewnością odwzajemniłaby pocałunek, gdyby tylko potrafiła to zrobić. Była niewinna, bez wątplenia.

Spojrzał w górę schodów. Przy podeście znajdowało się okno, a blask księżyca zdawał się wskazywać mu drogę. Czyżby to był jakiś znak?

Ruszył na górę, zastanawiając się, co dalej. Czy powinien wyważyć drzwi, jeśli będą zaryglowane? A jeśli zapuka i ona każe mu odejść, czy powinien jej posłuchać? A gdyby wrzeszczała, czy miał zasłonić jej usta i czy to by się jej spodobało?

Dotarł na samą górę, gdzie znajdowały się tylko jedne drzwi, prowadzące do jej pokoju. Może uśmiechnęłaby się i zaprosiła go do środka, gdyby je otworzył? Chyba nie byłaby wystraszona?

Nagle Jacob zamarł. Ta dziewczyna już jutro zniknie z jego życia na zawsze. Tej nocy miał ostatnią szansę zrobić to, co mu chodziło po głowie.

Oparł czoło o ciepłe drewniane drzwi i zamknął oczy. Wydało mu się, że ze środka dobiega delikatna woń fiołków, ale to musiała być tylko jego wyobraźnia, która od pewnego czasu stawiała się jego największym wrogiem.

Wyszeptał imię Jane tak cicho niczym szelest liści na wietrze, a potem zaśmiał się bezgłośnie, rozbawiony własną głupotą. Zachowywał się tak, jakby spadł z księżyca.

Oderwał się od drzwi. Postanowił, że po powrocie do Londynu odstawi pannę Jane pod jej dom, a sam natychmiast pojedzie do Gildii Żebraczej, przyprze Gracie do najbliższego stołu i zrobi z nią to, co należy. Potem zaś odszuka lady Blanche i powtórzy z nią to samo. Na koniec spróbuje przekonać obie, aby zabawili się we troje. W tej chwili był tak wygłodniały, że najchętniej posiadłby pół tuzina chętnych kobiet.

Odwrócił się w milczeniu i odetchnął głęboko, choć sam nie wiedział, czy czuje ulgę, czy też żal. Potem tylko pokręcił głową i zszedł po schodach.

Jane bez ruchu leżała w łóżku, wstrzymując oddech. Wyraźnie usłyszała stukot kroków, powolnych i lekko chwiejnych. Ktoś szedł po schodach, a ona doskonale wiedziała, kto to taki. Pani Grudge z dezaprobatą wyjaśniła jej wcześniej, że woźnica wypił odrobinę za dużo, a następnie przeprosiła ją i poszła się nim zająć. Jane zjadła więc kolację w samotności, licząc na to, że może ktoś do niej dołączy. Zostawiła nawet lekko uchylone drzwi, lecz nikt się nie zjawił.

Kiedy w gospodzie zapanowała cisza, Jane zamknęła drzwi i poszła się na piętro, żeby stoczyć codzienną bitwę z suknią i bielizną. Od urodzenia zawsze miała do pomocy pokojówkę i teraz bardziej niż kiedykolwiek doceniała wartość pracowitej służby.

Tak swoją drogą, ciekawe, co sądziły o jej nagłym zniknięciu pokojówki, które zostały w domu? Wcześniej nie zastanawiała się nad tym ani przez moment.

Wkrótce powinna się o tym przekonać. Wyglądało na to, że już jutro powróci do normalnego życia, a kobieciarz Jacobs odejdzie w niepamięć.

Nagle parsknęła przyciszonym śmiechem. Przyszło jej do głowy, że gdyby dała się uwieść Jacobsowi, to przynajmniej miałyby pod ręką kogoś, kto bez wysiłku ściągnąłby z niej to przekłete ubranie.

A może po prostu powaliliby ją na łóżko i podciągnął suknię? Zamrugła oczami i doszła do wniosku, że chyba jednak lepiej będzie, jeśli sama zadba o siebie. Po długich

zmaganiach uporała się z rzędami maleńkich guziczków na rękawach i plecach, a także z tasiemkami gorsetu. Proszę, kochanek niepotrzebny, pomyślała znużona.

Tak chętnie włożyłaby czystą odzież, położyła się we własnym łóżku i zdała się na troskę pokojówki oraz rodziny...

W pewnej chwili z pomieszczenia na dole dobiegł ją jakiś hałas. Domyśliła się, że to Jacobs, i wymamrotała łagodne przekleństwo. Gdyby pozostała w jadalni odrobinę dłużej, mogłaby spotkać się z nim i porozmawiać. Nieszkodliwie, rzecz jasna. Nie potrafiła jednak wyjaśnić samej sobie, dlaczego miała ochotę widzieć intrygującego woźnicę.

Długimi godzinami przewracała się z boku na bok. Udało się jej nawet zasnąć, ale obudziła się szybko, wstrząśnięta własnym snem. Widziała w nim tajemniczego złodzieja klejnotów, który pocałował ją ponownie, a potem wziął na ręce i przeniósł do światła. Gdy popatrzyła na jego przystojną twarz, ujrzała Jacobsa.

Absurd. Gdyby ten mężczyzna był dostatecznie inteligentny i wygadany, aby zostać złodziejem biżuterii, na pewno nie powoziłby zaprzęgiem. Złodziej już dawno o niej zapomniał, była dla niego nikim.

I właśnie tak się czuła. Odnosiła wrażenie, że jest niechcianą, nieporadną istotą, na którą nikt nie zwraca uwagi. Inna rzecz, że matka i ojciec nigdy jej tego nie dawali do zrozumienia. Kochali ją całym sercem, a jej starszy brat troszczył się o nią ze wszystkich sił. Wiedziała jednak, jak patrzą na siebie jej rodzice, i czuła, że nadal łączy ich głęboka namiętność, której ona nigdy nie miała zaznać.

Gdy usłyszała stukot kroków na schodach, jej serce na moment zamarło. Na piętrze znajdował się tylko jej pokój, a w nim ona, ubrana w koszulę nocną od pani Grudge. Ciężkie kroki stawały się coraz głośniejsze, więc uniosła dłoń do gardła, jakby w ten sposób mogła zapanować nad obezwładniającym strachem.

Nie zamknęła drzwi na klucz, choć tkwił w zamku, gotowy do użycia. A przecież słyszała dramatyczne opowieści o bandytach, zakradających się do odosobnionych gospód, aby podrzynać gardła śpiącym gościom.

Tyle tylko, że rozpoznawała te kroki. To mógł być wyłącznie Jacobs. Ale dlaczego podejrzewała, że ktoś taki jak ona mógł wpaść w oko przystojnemu woźnicy?

Przypomniała sobie, że był znacznie niżej urodzony. Osoby o jej pozycji nie rozmawiały ze służącymi, nawet na nich nie patrzyły. Tyle tylko, że jej rodzice byli pod tym względem nietypowo tolerancyjni, i w Montague House traktowali swoją liczną służbę łagodnie oraz z szacunkiem. Także Rohanowie nie byli specjalnie wyniośli, co jednak nie oznaczało, że ktokolwiek z nich dopuszczałby myśl o wskoczeniu do łóżka z woźnicą, choćby i najprzystojniejszym. Pewnych rzeczy po prostu się nie robiło.

Woźnica dotarł na szczyt schodów, a Jane zasłoniła usta, żeby stłumić cichy pisk entuzjazmu. Wiedziała, że Jacobs zatrzymał się tuż przed drzwiami, i wstrzymała oddech w oczekiwaniu na to, aż poruszy się klamka.

Usłyszała lekkie stuknięcie i rozchyliła wargi, żeby przywołać gościa, ale resztki zdrowego rozsądku nakazały jej milczenie. Klamka pozostała nieruchoma. Wiedziała, że Jacobs nie wejdzie bez pukania, gdyż nie będzie chciał jej przestraszyć. Przecież nie wiedział, że go oczekiwała. W sytuacji takiej jak ta większość kobiet zaczęłaby przeraźliwie wrzeszczeć, stawiając na nogi cały dom.

Nie zamierzała krzyczeć. Zamknęła oczy, wyczuwając jego obecność po drugiej stronie drzwi, i czekała z bijącym sercem.

Minęło kilka długich sekund i usłyszała, jak Jacobs się odwraca i idzie z powrotem na dół, pozostawiając ją samą.

Była cała i zdrowa, nic jej nie groziło.

Dlaczego zatem zalała się łzami?

Rozdział dwudziesty

Słońce wyszło szóstego dnia pobytu Mirandy w Pawlfrey House. Przez chwilę z osłupieniem wpatrywała się w okno, gdyż jaskrawe promienie przemieniły krople wody na szybach w brylanty i zrobiło się nieoczekiwanie ciepło.

Miranda postanowiła natychmiast iść na spacer. Najchętniej włożyłaby swoją starą pelisę, ale Lucien z typowym dla siebie brakiem taktu kazał spalić całą odzież, w której tu przybyła, zupełnie jakby Miranda padła ofiarą zarazy. W takiej sytuacji nie było wyboru, musiała sięgnąć po nową, z futrzanym wykończeniem i niezrównanie uroczym czepkiem do kompletu.

Nie spodziewała się tego, co poczuła po wyjściu przed dom.

Było ciepło, zbyt ciepło na pelisę, więc rozpięła ją i przewiesiła przez rękę. Ziemia ciągle była wilgotna, ale Miranda minęła płataninę otaczających stary budynek zarośli i pierwszy raz dostrzegła intensywnie błękitne niebo. Poczowała się wtedy tak, jakby na nowo mogła oddychać.

Przed domem rozpościerał się rozległy, przerośnięty trawnik, wokół którego zbudowano drogę dojazdową. Miranda ze zdumieniem dostrzegła w oddali duże, spokojne jezioro, a za nim wysokie góry. Właściwie nie powinna być zaskoczona, przecież znajdowali się w Krainie Jezior. Wyglądało jednak na to, że Lucien dysponuje własnym zbiornikiem wodnym. Właściwie nie powinna się dziwić, w końcu był bogatszy niż Bóg, jak sam to ujął, w typowy dla siebie, obrazoburczy sposób. Pole prowadzące do jeziora było porośnięte niezliczonymi żonkilami, a ich znajomy zapach unosił się w powietrzu. Wszystko lśniło w słońcu. Odwróciwszy się ku Pawlfrey House, Miranda zauważyła, że budynek jest jeszcze większy, niż początkowo zakładała. Z zadowoleniem popatrzyła na dach, który prezentował się całkiem nieźle i był w bardzo dobrym stanie, podobnie jako okna. Zapuszczony ogród przed domem wyglądał dość przygnębiająco, niemniej odpowiednio liczna grupa ogrodników powinna w krótkim czasie uporać się z wszelkimi problemami.

Miranda pomyślała ze stoickim spokojem, że pani Humber pewnie zacznie wrzeszczeć. Sprzeciwiała się już zatrudnieniu pokojówek i twierdziła, że w okolicy jest

krucho z siłą roboczą. Zmieniła jednak zdanie, dowiedziawszy się, że w takim razie będzie musiała samodzielnie wykonać całą pracę. Momentalnie znalazło się jedenaście pracowitych, młodych dziewcząt.

Mój dom, pomyślała Miranda. Mogła w nim być szczęśliwa, co z pewnością doprowadziłoby Luciena do szału. Pragnęła, aby był z nią teraz, chciała z nim kruszyć kopie, przekomarzać się i sypiać.

Zresztą gdyby trzymał się na dystans, byłoby nawet lepiej. Jego bliskość w nocy wytrącała ją z równowagi i mąciła jej w głowie. Miała wtedy ochotę jednocześnie śmiać się i płakać, tańczyć i wrzeszczeć. Dlaczego pragnęła jego pocałunków, jego dotyku i smaku ust? Na samą myśl o jego pieścizotach przeszywały ją rozkoszne dreszcze.

Miranda westchnęła i pokręciła głową, usiłując skupić uwagę na czymś innym. Gdzieś w pobliżu musiał się znajdować ogród różany, który z pewnością wymagał troski.

Zeszła nad przejrzyste jezioro, by tam rozkoszować się ciepłymi promieniami słońca. Gdy zauważyła na brzegu starą przystań z długim, drewnianym pomostem, natychmiast skierowała się w jej stronę, po drodze rzucając pelisę na duży głaz. Wysoko w powietrzu fruwały hałaśliwe ptaki, zapewne kosy albo gawrony.

Miranda uśmiechnęła się do nich i weszła na pomost.

Poddane długotrwałemu działaniu wody drewno okazało się śliskie, a w dodatku brakowało balustrady, ale z brzegu Miranda nie widziała konturów jeziora, a chciała sprawdzić, czy nie dostrzeże jakichś sąsiedzkich zabudowań, do których mogłaby uciec.

Ostrożnie kroczyła po drewnianym pomoście, gdy nagle rozległ się głos, którego tak się obawiała i za którym tęskniła.

- Co ty wyprawiasz, do licha ciężkiego?

Drgnęła wystraszona i odwróciła się gwałtownie, przez co natychmiast straciła równowagę. Zachwiała się i runęła na kolana, niemal wpadając do lodowatej wody. Była tak wystraszona, że nie mogła się uspokoić.

- Wystraszyłeś mnie prawie na śmierć! - zawołała. - Musisz się tak skradać?

- A ty musisz narażać życie, spacerując po śliskim, zbutwiałym pomoście? - wrzasnął. - Natychmiast wracaj na brzeg! Albo lepiej nie, zostań tam, gdzie jesteś. Sprowadzę kogoś z łodzią, żeby cię stamtąd zabrał.

- Wygląda na to, że woda sięga mi ledwie do pasa, więc poza nieprzyjemną kąpielą nic mi tutaj nie grozi.

- Tam, gdzie jesteś, woda ma dobrze ponad dwa metry głębokości i lepiej tego nie sprawdzaj, bo zakreści ci się w głowie - dodał ostrzegawczo.

- Nie jestem taka strachliwa - odparła i wychyliła się za krawędź pomostu, żeby popatrzeć w przejrzystą toń. Momentalnie cofnęła się z niepokojem. - Masz rację, tu jest bardzo głęboko.

- Pewnie, że mam rację! - zirytował się. - Dlaczego miałbym kłamać?

- Zazwyczaj mnie okłamujesz i na dodatek jesteś w tym arcymistrzem. Mam wszelkie powody, by wątpić w twoją prawdomówność. - Nagle przyszło jej do głowy, że nie powinna okazywać zniecierpliwienia, więc roześmiała się perliście. - Ach, co ja wygaduję! Ale ze mnie głuptaska. Witaj w domu, najdroższy... Jak mam ciebie nazywać? Moim kochankiem? Przyszłym mężem? Skoro mnie więzisz, czy to znaczy, że jesteś moim strażnikiem? A ja twoim zwierzątkiem?

Uśmiechnął się drwiąco.

- To brzmi adekwatnie.

- Co za *esprit*. - Wstała i niepewnym krokiem ruszyła do brzegu.

- Zostań tam, gdzie jesteś! - krzyknął groźnie.

- Wiem, że dostałbyś rozstroju nerwowego, gdybym teraz wpadła w odmęty i utonęła, ale na pewno nie będę czekała, aż ściągniesz tu kogoś z łodzią. Zostawiłam na łodzi pelisę, a od strony jeziora wieje przenikliwy wiatr. Jestem gotowa przejść na ląd, aby należycie powitać mojego ukochanego... strażnika.

- Idę po ciebie.

Uniosła brwi.

- Dlaczego? - zapytała. - Przegniłe drewno prędzej się załamie pod dwójką ludzi niż pod jedną osobą.

- Bardziej się boję tego, że się poślizniesz. - Wspiął się po schodkach, głośno stukając laską o drewno.

- Ale jeśli spróbujesz mnie złapać, oboje wpadniemy do wody - zauważyła.

- Umiesz pływać?

- Nie.

- Za to ja tak. Jeżeli skąpiemy się razem, zapewne uda mi się uratować nas oboje. Woda co prawda jest głęboka, ale znajdujesz się blisko brzegu, więc jakoś sobie poradzę. Najwyżej oboje zmarzniemy.

- A jeśli nie będziesz dawał sobie rady ze mną?

- Wtedy uratuję siebie, a tobie pozwolę utonąć - oświadczył ze złowieszczym uśmiechem.

Szedł pomostem powoli i miarowo, prawie nie kulejąc.

- Jesteś ubrany na czarno, jak do pogrzebu, więc całkiem stosownie. Ale niewykluczone, że w krytycznej chwili cię odepchnę i sam utoniesz.

- Podobno nie umiesz pływać.

- Będę musiała naprawić ten błąd latem, kiedy woda się ociepli - powiedziała stanowczym tonem i ruszyła do Luciena.

Po dwóch lub trzech krokach nastąpiła na deskę, którą wcześniej ominęła. Rozległ się złowróżbny trzask, drewno pękło, a Miranda straciła równowagę i zachwiała się nad krawędzią pomostu. Lucien bez wahania rzucił się jej na pomoc i w ostatniej chwili chwycił ją, gwałtownie ciągnąc ku sobie. Odruchowo puścił przy tym laskę, która stoczyła się do wody.

Miranda podniosła wzrok na Luciena. Z trudem chwyciła powietrze.

- Dziękuję ci - szepnęła szczerze. - Nie sądzę, aby kąpiel w takich warunkach przypadła mi do gustu.

Nie poruszył się. Przez cały czas trzymał ją w objęciach i patrzył na nią jasnymi oczami. Dopiero po dłuższej chwili puścił Mirandę i rozejrzał się wokoło.

- Psiamać, moją najlepszą laskę czarci wzięli. - Elegancka, mahoniowa laska ze złotą gałką unosiła się na wodzie w odległości paru metrów od pomostu.

- Możemy przysłać tu któregoś z lokajów, żeby wyłowił zgubę - zaproponowała.

Lucien skrzywił się lekko.

- I chyba tak zrobimy - westchnął. - Tymczasem musimy jakoś uporać się z innym problemem. Ratując cię przed skutkami twojego szaleństwa, zbyt mocno oparłem ciężar

ciała na chorej nodze. Wątpię, abym o własnych siłach dotarł do domu. - Popatrzył na nią wymownie. - Obawiam się, że będę zmuszony skorzystać z twojego wsparcia.

Miranda pomyślała, że to osobliwy moment. Wokoło niej rozpościerała się woda, zarazem piękna i śmiertelnie groźna, a przed sobą miała mężczyznę, którego nienawidziła i jednocześnie pragnęła.

- Oczywiście - przytaknęła. - Połóż mi rękę na ramieniu i jakoś sobie poradzimy.

- Przede wszystkim musimy zejść z pomostu. Nie chcę, żebyś się przeze mnie utopiła.

Uśmiechnęła się prowokacyjnie.

- Naprawdę? Ale dlaczego? Czyżbyś szaleńczo się we mnie zakochał i całkiem zapomniał o swojej bezcennej zemście?

- Nigdy nie zapominam o zemście - odparł chłodno.

- Oczywiście. - Położyła jego rękę na swoich ramionach, a kiedy usiłował się odsunąć, lekko stuknęła go łokciem w brzuch. - Lepiej uważaj, bo oboje nas czeka kąpiel. Powoli.

Lucien wiedział, że to nie pora na kłótnie. Dał się poprowadzić do brzegu i mimo bólu zszedł po schodach z charakterystyczną dla siebie gracją. Spacer do domu okazał się bardziej kłopotliwy, gdyż Lucien wyraźnie opadł z sił. Miranda wyraźnie czuła bicie jego serca. Uniosła głowę, ale on odwrócił wzrok. Nie widziała większości blizn na jego twarzy, gdyż znajdowała się po tej mniej poranionej stronie, i na moment zamarła ze zdumienia.

- Co się stało? - spytał, kiedy zmyliła krok.

- Jesteś piękny - wyznała otwarcie i z sekundowym opóźnieniem uświadomiła sobie, co mówi. - Ach, jako narzeczona... Bo chyba mam prawo za taką się uważać? Jako narzeczona powinnam tak myśleć. Przykro mi, że jesteś w minorowym nastroju, najdroższy. Czyżbyś źle się bawił w mieście?

- Noga mnie rwie jak sto diabłów - burknął i w tej samej chwili przyszło mu do głowy, że przyznał się Mirandzie do słabości, co było jeszcze gorsze niż przyjmowanie od niej pomocy. Znowu uśmiechnął się z ironią. - Ale w mieście bawiłem się niezgorzej, więc nie narzekam. Jutro wyjeżdżamy na przyjęcie w domu mojego przyjaciela. Jego

posiadłość mieści się nieopodal Morecambe, więc dotrzemy na miejsce w kilka godzin. Zawrzemy tam związek małżeński i gwarantuję, że czeka cię istna orgia rozkoszy.

- To cudownie. - Do licha, pomyślała. Lucien miał w zwyczaju starannie dobierać słowa, więc zapowiedź orgii brzmiała złowrogo. - Z przyjemnością poznam twoich przyjaciół.

- Z pewnością zgodzą się ze mną, że chodząca słodycz z ciebie.

- Uważasz mnie za słodką, Lucienie?

W odpowiedzi tylko uśmiechnął się bez wesołości.

Służba dostrzegła ich z oddali i wkrótce zjawili się lokaje oraz Bridget, która z miejsca zauważyła na sukni swojej pani ślady po upadku na pomoście. Lucien odszedł, a Miranda wraz z pokojówką powędrowała do domu, usiłując otrząsnąć się z czarnych myśli.

W holu powitała ją pani Humber.

- Hrabia Rochdale już wrócił - oświadczyła. - Żeby nie było wątpliwości.

- Tak, zauważyłam - powiedziała Miranda zwięźle. - Dołączył do mnie nad jeziorem. - Nie zamierzała wdawać się w szczegółowe opisy tego niezbyt radosnego spotkania. - Jak pani myśli, pani Humber, czy pan hrabia będzie zadowolony, gdy się dowie, jakim tonem zwraca się pani do mnie?

Bridget omal nie parsknęła śmiechem, ale na szczęście dla niej pani Humber była zbyt wściekła, aby zwrócić uwagę na jej reakcję.

- Nie wiem, o czym jaśnie pani mówi - odparła sztywno.

- Teraz lepiej - mruknęła Miranda. - Chodźmy, Bridget.

Lucien poszedł prosto do gabinetu, podpierając się przyniesioną przez jednego z pokojowców laską. Starannie zamknął za sobą drzwi, a następnie roztrzaskał wazon z chińskiej porcelany, stojący na półce nad kominkiem. Potem zrobił to samo z delikatnym, srebrnym świecznikiem i z kryształowym zegarem na biurku. Na koniec opadł na fotel i zaklął siarczyście.

W pomieszczeniu unosił się smród stęchlizny. Lucien przykazał służbie, aby nikt tutaj nie wchodził, nawet jego ciekawska narzeczona, ale pozostawił otwarte drzwi do

biblioteki. Nie był przygotowany na to, że Miranda tak szybko oszaleje z nudów. Zamierzał rozegrać jeszcze jeden akt dramatu.

Gdyby siedział dostatecznie blisko okna, wybiłby łaską szybę, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza. Nienawidził swojej nogi, gdyż nie cierpiał słabości. Akceptował szramy na twarzy, wręcz je polubił, ale nie akceptował chromej nogi. Miranda miała szczęście, że nie utopił jej w przypiływie złego humoru.

W następnej chwili Lucien roześmiał się, uświadomiwszy sobie, jak bardzo jest niemądry. Zachowywał się niczym poirytowany chłopiec i powinien jak najszybciej ochłonać. Nie znosił słabości, a złość była jej przejawem.

Przekłeta, głupia kobieta! Co ona sobie myślała, samotnie spacerując po śliskim, zbutwiałym pomoście? Przecież lodowata woda mogła ją pochłonać w mgnieniu oka i nikt nie wiedziałby, co się stało.

Na samą myśl o tym poczuł wzburzenie, które z trudem opanował. Powiedział sobie, że los Mirandy jest mu obojętny, ale jej przypadkowe utonięcie złagodziłoby ból rodziny. Bliscy opłakaliby ją i żyli dalej ze świadomością, że spoczywa w pokoju.

Zadał sobie wiele trudu, żeby zemsta była odpowiednio dotkliwa i nie chciał skracać cierpienia wrogom. Powinni żyć ze świadomością, że Miranda jest uwięziona i zdana na jego łaskę oraz niełaskę. Musieli wiedzieć, jak źle ją traktuje, aby latami martwili się o nią i zastanawiali nad jej losem.

Tylko w ten sposób mógł wyrównać rachunki po śmierci Genevieve, śmierci spowodowanej przez jednego z Rohanów. Fatalny stan psychiczny siostry i jej matki był bez znaczenia. Lucien nie miał innych krewnych, a Genevieve zmarła z winy Benedicka Rohana.

Ta rodzina zasługiwała na najokrutniejszą karę. Postanowił, że kiedy będzie już usatysfakcjonowany, zostawi Mirandę w spokoju, żeby dożyła swoich dni w tym ponurym, starym gmaszysku.

Tyle tylko że budynek wcale nie wydawał się już ponury. Po powrocie Lucien nie przyglądał się zbytnio wnętrzą, ale miał wrażenie jasności, której wcześniej tutaj nie dostrzegał. Do diaska, co ta dziewczyna nawyprawiała? Jak tak dalej pójdzie, wkrótce wszędzie poustawia wazon z kwiatami. Zatrząsł się z obrzydzeniem na samą myśl.

Spędził w gabinecie całe popołudnie, burcząc na każdego, kto zapukał do drzwi, aby zamienić z nim słowo. Odpędził w ten sposób nawet własnego pokojowca. Nie prowadził żadnych interesów w Pawlfrey House ani nie podlegali mu żadni dzierżawcy, niemniej miał tu grupę służących, których opłacał. Z dnia na dzień okazało się, że ich liczba pokaźnie wzrosła, podobnie jak wydatki na żywność, utrzymanie domu, liberie i środki czyszczące. Zarządca uznał za stosowne informować go o tym wszystkim, co było niebywale nużące. Pieniądze nie stanowiły problemu. Jak szczerze wyznał Mirandzie, miał ich więcej niż Bóg i sam nie wiedział, na co je wydawać. Nie podobało mu się tylko przeznaczanie ich na coś, co nie było mu do niczego potrzebne, a mroczne, ponure wnętrza Pawlfrey House doskonale odzwierciedlały stan jego mrocznej, ponurej duszy. Nie minął jeszcze tydzień od przyjazdu Mirandy, więc Lucien powątpiewał, by w tak krótkim czasie mogła wiele zdziałać po latach zaniedbań.

Rozejrzał się podejrzliwie. Zwykle pozwalał Essie Humber odkurzać i sprzątać gabinet, ale tym razem pokój wyglądał nietypowo jasno. Możliwe, że przyczyną było wyłącznie jaskrawo świecące słońce, ale gdy zerknął za ciężką zasłonę, ujrzał bardzo czystą szybę.

Powiedział Mirandzie, że może robić z domem wszystko, na co ma ochotę, ale zabronił jej wchodzić do gabinetu. Wydawało mu się wówczas, że wystraszona, zapłakana dziewczyna i tak nie ruszy się z łóżka. Najwyraźniej jej nie docenił. Dobrze, że tak wcześnie wrócił, bo w następnej kolejności pewnie zamierzała stawić czoło zarośniętemu ogrodowi, a gęste chaszczki wokół domu bardzo mu odpowiadały.

Pracował spokojnie, nie zaprzatając sobie głowy uroczystością, która miała się odbyć za dwa dni, o północy. Pozwolił innym dopracować szczegóły, oświadczywszy, że nie interesuje go forma, jaką przybierze upokorzenie panny młodej. Liczyło się tylko to, aby Rohanowie cierpieli na wieść o ślubie. Kiedy wstał, żeby przebrać się do kolacji, kolano nie dokuczało mu już tak mocno. Mógł sprawnie spacerować o lasce, a jego narzeczona nie musiała wiedzieć, jak bardzo doskwiera mu ból.

Wszedł na pierwsze piętro i udał się do skrzydła, w którym mieściły się jego pokoje, z dala od apartamentu przyszłej żony. Z perspektywy czasu nie miał pewności, czy ten pomysł był sensowny. Postanowił zastanowić się nad jej przeniesieniem.

Lucien zbliżał się do drzwi swoich pokojów, gdy na korytarzu spotkał pokojowca.

- Jaśnie panie hrabio - wykrztusił zdenerwowany i pobladły sługa. - Właśnie chciałem powiadomić jaśnie pana...

- To może poczekać - burknął Lucien opryskliwie. - Jak mniemam, moja kąpiel jest już gotowa?

- Jaśnie panie... Nie miałem pewności...

- Nie miałeś pewności, czy chcę wziąć kąpiel? Od jak dawna mi służysz? Po całodziennych podróży zawsze biorę kąpiel. Zajmij się tym natychmiast.

- Oczywiście, jaśnie panie. Kąpiel będzie gotowa z minimalnym opóźnieniem...

Lucien znieruchomiał z dłonią na klamce.

- Niby dlaczego w ogóle ma być jakieś opóźnienie? - wysyczał groźnie. - Moich poleceń się nie ignoruje, o czym z pewnością wiesz.

Pokojowiec zadrżał ze strachu.

- Jaśnie pani także kazała przyszykować jej kąpiel, więc lokaje znoszą wodę dla niej - wyjaśnił przez zaciśnięte gardło.

- Doprawdy? - Lucien zdecydował, że pozwoli sobie na wspaniałomyślność. Służący już wiedział, że jego pan czeka, więc z pewnością popędzi innych lokajów i zwłoka będzie znikoma. - Powiedz im, aby się pośpieszyli.

Następnie otworzył drzwi i wszedł do środka.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Jacob Donnelly wiedział, jak pić z umiarem, i następnego dnia obudził się tylko z lekkim bólem głowy. W nocy, kiedy odszedł od drzwi panny Jane, na parterze uraczył się jeszcze jedną szklaneczką whisky i dopiero wtedy udał się na spoczynek.

Ranek nadszedł odrobinę zbyt szybko, ale Jacob już o świcie był na nogach, aby sprawdzić, czy konie są nakarmione i gotowe do drogi, a powóz wyprowadzony na dziedziniec. Uznał, że im szybciej pozbędzie się panny Jane Pagett, tym lepiej.

Właśnie tak chciał o niej myśleć. Dopóki traktował ją jak obcą osobę, dopóty miał prawo czuć się bezpiecznie. Przez ostatnie dni stała się mu niebezpiecznie bliska, więc musiał nabrać do niej zdrowego dystansu. Nadszedł czas, aby pilnował własnych spraw, a nie cudzych, więc gdy tylko ujrzał Dużą Molly, natychmiast powiedział jej, żeby popędziła swoją podopieczną.

Wkrótce panna Jane wyszła na zewnątrz, dojadając grzanekę. Jacob wiedział, że powinien mieć wyrzuty sumienia, gdyż po drodze do Londynu nie planował już dodatkowych postojów, ale nie chciał dłużej zwlekać.

Stajenny przytrzymał konia w zaprzęgu, a Duża Molly pierwsza wdrapała się do powozu. Choć Jane była wysoka, zawsze wsiadała przy pomocy lokaja, więc gdy się zawahała, Jacob stanął za nią, chwycił ją dłońmi w talii, uniósł i pchnął ku wnętrzu kabiny.

Zaskoczona, usiłowała się odwrócić i w rezultacie niespecjalnie elegancko klapnęła na miękką kanapę.

- Panienka wybaczy - powiedział i skinął głową. - Nie chciałem panienki wystraszyć.

Wpatrywała się w niego tak, jakby ujrzała ducha. Zbladła i nie mogła wykrztusić ani słowa, więc pani Grudge okryła ją kocem, choć zapowiadał się ciepły dzień.

- Już dobrze - pocieszyła osłupiałą dziewczynę. - Ten młodzian to naprawdę niechcący pannę Jane wystraszył.

Jane odzyskała głos, kiedy Jacob zamknął drzwi.

- Nie wystraszył mnie - odparła chrypliwie.

Jacob rozmyślał o jej zachowaniu, gdy wskakiwał na kozła i dawał stajennemu znak, by ten puścił konie. Jane popatrzyła na niego tak, jakby go rozpoznała, ale to przecież było niemożliwe. Czy po dotyku jego rąk mogła się zorientować, kim był? Na litość boską, przecież miała na sobie ze czterdzieści warstw odzieży, a on nosił skórzane rękawice. W żadnym razie nie zdołałaby go zidentyfikować.

A jednak popatrzyła tak, jakby nagle domyśliła się prawdy.

Duża Molly miała głowę na karku i na pewno zajęła czymś towarzyszkę, aby ta nie nabrała niestosownych podejrzeń. Poza tym wkrótce dotrą do domu panny Jane i wreszcie się od niej uwolni, pomyślał z ulgą.

Ktoś taki jak ona nie był pisany człowiekowi jego pokroju. Jacob wiedział o tym doskonale od samego początku, ale łatwo o tym zapominał, kiedy patrzył się w jej cudowne oczy i wdychał oszałamiającą woń fiołków.

Pokręcił głową i pośpieszył konie.

Roztrzęsiona Jane niespokojnie poruszyła się na kanapie. Pani Grudge okryła ją kocem, choć to wcale nie było konieczne, a gdy powóz nagle drgnął i ruszył w drogę. Jane wyjrzała przez okno.

Dobry woźnica ruszyłby znacznie płynniej i łagodniej, pomyślała. Nie miała już najmniejszych wątpliwości, że odbywa podróż w towarzystwie złodzieja klejnotów.

Podświadomie podejrzewała to od początku, jednak postanowiła nie dawać wiary przeczuciom. Tak czy owak, teraz zyskała niezachwianą pewność. Znała tego człowieka, nie wątpiła w to ani trochę.

Pani Grudge najwyraźniej postanowiła skierować jej uwagę na inne tory, gdyż zaczęła snuć długą i ożywioną opowieść o kobieciarzu Jacobsie i jego rozlicznych przygodach w gospodarstwie Skorpiona. Historie te okazały się całkiem zabawne i zajmujące, więc Jane śmiała się we właściwych momentach, nie wierząc jednak w ani jedno słowo rozmówczyni.

Jacobs, o ile to było jego prawdziwe nazwisko, na pewno nie był niczym sługą. Jane podejrzewała, że również pani Grudge nie jest służącą, skoro tak sprawnie wymyśla przeróżne opowiastki. Jeśli potrafiła łączyć jak z nut, to bez wątpienia wykorzystywała tę

umiejętność przy każdej sposobności. Jane trzymała ręce pod miękkim, wełnianym kocem, obracając na palcu pierścień. Co w takiej sytuacji zrobiłaby Miranda? Czy pogрузyłaby się w milczeniu i siedziała ze zwieszoną głową, oczekując, aż jej życie powróci do normalnego rytmu? A może raczej stawiałaby czoło rzekomemu woźnicy, wyjawiałaby mu, że wie, kim on jest naprawdę, i sprawdziła, jak zareaguje? Niewykluczone, że nawet pocałowałaby go, aby zbadać, czy nadal jest silny i władczy.

Jane z rozkoszą pocałowałaby go raz jeszcze. Tamta noc w ciemnej sypialni wydawała się niesłychanie odległa, a mimo to Jane nie mogła o niej zapomnieć. Podejrzewała, że gdyby teraz pocałował ją ponownie, dowiódłby tylko tego, iż jest bardzo złym człowiekiem, który lubi się dobrze zabawić.

Ona jednak nie zamierzała go całować. Nie była Mirandą, tylko zwykłą Jane. Postanowiła, że kiedy dotrze pod dom rodziców, wejdzie do środka, nie oglądając się za siebie, i wkrótce zapomni o tajemniczym włamywaczu.

Ściągnęła pierścień z palca i położyła go na otwartej dłoni. Mogła go wyrzucić na ulicę, ale byłoby to fatalne marnotrawstwo. Jakkolwiek patrzeć, włamywacz musiał się bardzo napracować, żeby go ukraść.

Dlaczego zatem tak łatwo się go pozbył? Czemu podczas pocałunku wsunął jej brylant na palec? Wyciągnęła z torebki chustkę i dyskretnie owinęła nią klejnot. Miała przy tym nadzieję, że pani Grudge nic nie zauważyła.

Rzekoma przyzwoitka była dla niej miła, nawet jeśli kłamała. Jane mogła ofiarować jej pierścień, aby sama zdecydowała, czy zwrócić go złodziejowi. Zapewne tak by się nie stało, ale to już nie było zmartwienie Jane, która musiała wkrótce stawić czoło panu Bothwellowi. Na szczęście istniał cień szansy, że nie miał pojęcia o jej potajemnej wyprawie. Nie była tylko pewna, czy właśnie na tym jej zależy.

Wzdrygnęła się z niechęcią. Prawdę mówiąc, ani trochę nie uśmiechała się jej perspektywa spotkania z narzeczoną. Gdyby postanowił zerwać zaręczyny, odetchnęłaby z ulgą, czuła jednak, że w żadnym razie by tego nie zrobił. Był przewrażliwiony na punkcie własnej reputacji i uważał, że prawdziwy dżentelmen nie odtrąca damy.

Dostrzegając w nim szansę na samodzielne życie, choć wcale nie miała ochoty wiązać się z człowiekiem jego pokroju. Gdyby jednak okazał się wyrozumiały i wspaniałomyślny, pozostałoby jej tylko pokornie pogodzić się z losem.

Ostatniej nocy marnie spała, więc podczas jazdy kilkakrotnie się zdrzemnęła. Gdy w pewnej chwili obudziło ją lekkie szarpnięcie, wyjrzała przez okno i zauważyła, że są już na miejscu. Powóz zatrzymał się przed drzwiami londyńskiego domu jej rodziców.

Zobaczyła, że drzwi się otwierają, i pomyślała z zadowoleniem, że rodzice z pewnością bawią w mieście. Innymi słowy, mogła rzucić się matce w ramiona i zapomnieć o wszelkich zmartwieniach. Pewnie tylko się niepokoiłi, miała nadzieję, że nie żywią do niej urazy.

Powóz zakołysał się, gdy woźnica zeskoczył na ziemię. Ku konsternacji Jane, uprzedził jej lokaja i pierwszy otworzył drzwi pojazdu, jednocześnie rozkładając schodki.

- Panno Pagett.

Mówił równie zmysłowym głosem jak wtedy, w ciemnym pokoju, w środku nocy. Nie słyszała już akcentu z Yorkshire. Czyżby go tylko udawał?

Nie zadała sobie trudu, żeby ponownie włożyć rękawiczki, a w przyływie brawury i złości wyciągnęła lewą rękę, aby musiał na nią spojrzeć. Z pewnością ujrzał mizerny pierścionek zaręczynowy od pana Bothwella i zauważył brak ogromnego brylantu.

Woźnica zacisnął palce na dłoni Jane i pomógł jej zejść na wybrukowaną kocimi łbami ulicę. Kiedy pośliznęła się na jednym z kamieni, tracąc równowagę, natychmiast chwycił ją za łokieć i podtrzymał bez najmniejszego wysiłku.

Wtedy Jane ponownie zadała sobie pytanie, co w takiej sytuacji zrobiłaby Miranda, i nieoczekiwanie dla siebie wyprostowała się, a następnie popatrzyła mu prosto w oczy.

- Byłeś bardzo uprzejmy, Jacobsie - oznajmiła sztywno. - Choć twoje umiejętności woźnicy pozostawiają trochę do życzenia. A to za fatygę. - Wręczyła mu owinięty w chustkę pierścień.

Uśmiechnął się do niej szeroko i wsunął podarunek do kieszeni, nawet na niego nie patrząc. Czyżby odgadł, co skrywa zawiniątko? To nie miało znaczenia, kiedy spojrzy do

środku, będzie już za późno. Tak czy siak, nie poruszył go widok pierścionka zaręczynowego na jej palcu i brak brylantu.

Nie zamierzała jednak udawać przed sobą, że się myliła. Rozpoznała go bez najmniejszych wątpliwości, zupełnie jakby za pierwszym razem widziała go w środku dnia.

Ruszyła w górę schodów prowadzących do domu, ale uśmiech na jej twarzy znikł równie szybko, jak się pojawił, gdyż na progu nie czekali na nią rodzice, gotowi przyjąć ją z otwartymi ramionami.

Stał tam jej przysły małż, wyraźnie zdenerwowany.

Zawahała się. Jacobs zerknął na drzwi, a potem znowu na nią.

- Nie daj po sobie poznać, że się boisz, skarbie - wyszeptał tak cicho, że ledwie go usłyszała, a potem ją puścił i odszedł do powozu.

- Czy nikt nie pomoże mi wyjść z tej pułapki? - spytała pani Grudge donośnie. - Mam tkwić tutaj cały dzień?

- Najmocniej szanowną panią proszę o wybaczenie - odparł Jacobs głosem prostego sługi. - Żem pomagał jaśnie panience.

Ale Jane już nie oglądała się za siebie i ledwie docierały do niej hałasy krzątania. Wdrapała się po schodach niczym Maria Antonina na gilotynę, wyprostowana, ze smutnym uśmiechem na ustach.

- Panie Bothwell, jak miło, że wita mnie pan w domu - powiedziała z napięciem.

- Do środka, panno Pagett - rozkazał grzmiącym głosem. - Natychmiast.

Służący przypatrywali się im z zainteresowaniem, a Jane czuła, że Jacobs ma niezłą rozrywkę, obserwując zastraszoną dziewczynę i jej agresywnego narzeczonego. Modliła się tylko, by nie zabawiał przyjaciół opowieścią o nocnym pocałunku i o tym, jak drżała w jego objęciach.

Podążyła za panem Bothwellem do domu, w pełni świadoma, że celowo nie okazywał jej uprzejmości i nie puszczał jej przodem. Musiał być naprawdę zły, skoro demonstrował taką wściekłość na oczach służby.

- Do frontowego salonu. - Pan Bothwell zacisnął bardzo duże, idealnie białe zęby.

Tym razem puścił Jane przodem, a gdy tylko dotarła do środka pomieszczenia, zaczęła tyradę. Usiadła na pobliskim krześle.

- Molly, nie powinnaś z nią iść? - spytał Jacob, gdy rzekoma pani Grudge opuszczała powóz. - Jakkolwiek patrzeć, jesteś jej przyzwoitką, a narzeczony panny Jane wyglądał tak, jakby chciał urwać jej głowę.

- Niestety, mój drogi, nie da rady - westchnęła Molly. - Znam tego dżentelmena. To jeden z moich klientów i ma kilka parszywych nawyków. Raz albo dwa musiałam go przywołać do porządku i na pewno mnie pamięta. Oby tylko ta dziewczuszka nie wyszła za niego, bo to wstrętny drań, i tyle. No, ale zrobiłeś swoje, Jacobie, więc na co czekasz?

- Rozpoznała mnie - westchnął.

- Nie gadaj głupstw - ofuknęła go Molly. - Nawet jeśli na moment naszły ją podejrzenia, to naopowiadałam jej tyle historyjek i tak namieszałam w głowie, że teraz na pewno nie wierzy w to, co sobie pomyślała.

- Zorientowała się - upierał się.

Wyjął zawiniątko, które otrzymał od Jane, i rozchylił chustkę, doskonale wiedząc, co ujrzy. Włożył pierścień do kieszeni i powąchał chustkę. Oczywiście, pachniała fiołkami.

Zerknął na drzwi do domu, które teraz były zamknięte na cztery spusty.

- Mam tutaj jeszcze jedną sprawę do załatwienia - postanowił nieoczekiwanie.

- Jacobie...

- Czy przywołać dla ciebie dorożkę, Molly? - przerwał jej. - Kto wie, czy nie skończę dziś w więzieniu, więc nie proponuję, byś na mnie czekała.

Popatrzyła na niego z napięciem, ale w końcu uśmiechnęła się i pokręciła głową.

- Głupiś, Jacobie. Któż by pomyślał, że król Donnelly padnie ofiarą miłości? Gdybyś nie był taki uroczy, przewróciłby mi się żołądek. - Molly przeciągnęła się z westchnieniem. - Pójdę pieszo. Droga nie jest długa, a mnie piekielnie boli zadek po tej całej podróży. Cokolwiek by mówić, dziewczyna miała rację, żaden woźnica z ciebie.

- Bóg raczy wiedzieć, kim jestem - mruknął Jacob. - Nie pożyczylabyś mi swojego kufra? - Ruchem głowy wskazał niedużą skrzynię, przypasaną do tyłu czarnego powozu.

- A dostanę go z powrotem? Zawsze możesz ofiarować mi ten pierścień, jeśli chcesz mieć kufer na zawsze.

- Pierścień mi się przyda, a kufer ci zwrócę w najbliższym czasie.

- Więc go bierz, mój Romeo - zaśmiała się Duża Molly. - Pędź ratować damę w opałach.

Jacob bez większego trudu dźwignął kufer i zarzucił go sobie na ramię.

- Chyba pomieszały ci się opowieści - mruknął.

- Ty umiesz czytać, nie ja. - Molly wydeła usta. - Odezwij się szybko, bym wiedziała, co z tobą.

- Pewnie i tak się dowiesz, czy ci dam znać, czy nie - mruknął pod nosem i wszedł po schodach.

Służący nie chcieli go wpuścić, rzecz jasna, a już na pewno nie frontowymi drzwiami. Jeden z nich usiłował zabrać kufer, ale dał za wygraną, gdyż Jacob znacznie górował nad nimi wzrostem.

- Gdzie twoja pani? - zagrmiał Jacob. - Obiecałem, że przekażę jej bagaż do rąk własnych.

- Z tego, co widzę, nie jest to kufer panny Pagett - oświadczył wyniośle majordomus.

Jacob podszedł do niego bliżej, słusznie uznając go za przełożonego służących.

- Obiecałem pani Pagett, że osobiście dostarczę jej kufer - podkreślił z irlandzkim akcentem i groźnie zmarszczył brwi. - Chcesz mnie zatrzymać, człowieku?

Majordomus pośpiesznie zszedł mu z drogi, a Jacob ruszył w głąb domu, pachnącego pszczelim woskiem, olejkiem cytrynowym i wielopokoleniową fortuną. Odetchnął głęboko i poszedł w stronę pokoju, z którego dobiegał podniesiony głos narzeczonego Jane.

Pomimo ciężkiego kufra na ramieniu, Jacob sprawnie wbiegł po schodach i skierował się prosto do małego salonu, zatrzymując się na jego progu.

Jane ze zwieszoną głową siedziała na krześle, a przed nią stał narzeczonego i wrzeszczał ile sił w płucach.

- Nie wierzę, że postradała pani całą przyzwoitość i najzwyczajniej wyjechała bez uprzedzenia! Jakby tego było mało, poprosiła pani najgorszego hultaja w Londynie o przekazanie rodzicom wiadomości! To niewiarygodne, że postanowiła pani towarzyszyć komuś tak niegodnemu, jak lady Miranda! Sądziłem, że ma pani więcej rozumu i zechce dyskretniej utrzymywać relacje z tą bezmyślną lafiryndą! Tymczasem pani ochoczo pognęła z nią na koniec świata, informując rodziców, że towarzyszy jej, gdyż lady Miranda zamierza wyjść za człowieka, którego nazwiska nawet nie wypowiem, aby nie skalać sobie ust! Gdzie tu roztropność? To żałosne, że nie dostrzega pani swojego fatalnego zachowania!

- Najmocniej przepraszam... - wykrztusiła Jane łamiącym się głosem.

Jacob był tak wściekły, że przed oczami latały mu czerwone plamy.

- Milczeć! - ryknął pan Bothwell. - Ma pani pojęcie, z jakimi ludźmi spędziła ostatnie dni? Ten... osobnik jest członkiem Niebiańskich Zastępów, a wie pani chyba, co to za ludzie? To sataniści! Czyciele diabła! Składają mu w ofierze dzieci i dopuszczają się najgorszych bezceństw, a ten szatan wcielony zamierza urządzić... - Ściszył głos z odrazą. - ...orgię, aby uczcić ślub z tą ladacznicą! Bóg jeden wie, jaki los ją czeka, ale ona tylko zbiera żniwo własnego postępowania. Kto by pomyślał, że zechce pani ją naśladować! Jak mogłem być tak ślepy, że związałem się z kimś, kto nie ma pojęcia o przyzwoitości! Niestety, nie mogę teraz wycofać oświadczeń, niemniej porozmawiam z pani ojcem. Bez wątpienia ustalimy wspólnie, jak ukroćić pani wybryki w taki sposób, by nie ucierpiała na tym moja nieskazitelna reputacja. Obawiam się, że pani reputacja jest już skalana ponad miarę, niestety, a ja...

- Za pozwoleniem - odezwał się Jacob i wmaszerował do salonu, ostatecznie tracąc cierpliwość. - Gdzie mogę to postawić, proszę jaśnie panienki?

Jane podniosła wzrok i nagle się rozpromieniła. W tej samej chwili Jacob wiedział już na pewno, kogo pragnie i czego potrzebuje.

- Jak śmiesz przerywać lepszym od siebie? - krzyknął na niego Bothwell, najwyraźniej gotowy zastraszać i terroryzować wszystkich, którzy jego zdaniem nie ośmieliliby się stawić mu czoło. - Precz stąd, bo każę cię wyrzucić na pysk! - Ponownie

odwrócił się do Jane. - A co do pani, proszę mi natychmiast oddać pierścionek. Jest pani zwykłą...

- Za pozwoleniem - powtórzył Jacob i obrócił się na pięcie, idealnie kalkulując swój ruch w taki sposób, aby kufrem na ramieniu gruchnąć Bothwella w głowę i go ogłuszyć.

Bothwell jak kłoda padł na podłogę.

Jacob ostrożnie postawił kufer i pochylił się nad bezwładnym ciałem, aby niezbyt delikatnie trącić je nogą.

- Szkoda - oznajmił Jacob swoim normalnym głosem. - Wcale nie chciałem pozbawiać go przytomności.

- Nie chciałeś? - Jane zerwała się z krzesła.

- Nie. - Uśmiechnął się szeroko. - Liczyłem na to, że zdążę rąbnąć go jeszcze kilka razy, nim padnie. Wiesz, dziewczyno, wydaje mi się, że zwróciłaś pierścionek niewłaściwemu kawalerowi.

Wydawała się nieco zdezorientowana, ale ściągnęła z palca marny, tani pierścionek zaręczynowy i cisnęła go na pozbawione czucia ciało. Jacob zauważył obojętnie, że z głowy Bothwella nie sączy się krew. Uczestniczył w wielu bójkach i doskonale wiedział, kiedy ktoś jest poważnie ranny. Wcale nie miał ochoty stawać przed sądem za zamordowanie dżentelmena.

- Zuch dziewczyna. A teraz powiedz mi, dokąd miałabyś ochotę się udać?

Jane otarła łzy z twarzy.

- Do Mirandy - chlipnęła.

Nie na taką odpowiedź liczył, ale mogło być gorzej.

- To się da zrobić. - Podał jej rękę, ale Jane stała nieruchomo.

- Najpierw mi powiedz, kim jesteś i jak się nazywasz - zażądała.

Jacob pomyślał, że w końcu nadeszła chwila próby. Panna Jane wcale nie musiała zaakceptować faktów.

- Wiesz, kim jestem: złodziejem - odparł. - Nazywam się Jacob Donnelly, a w niektórych częściach Londynu nazywają mnie królem Donnellym, bo wiodę prym w świecie złodziei.

Jane nawet nie drgnęła.

- A kim jest pani Grudge?

Jacob postanowił wyjawić jej całą prawdę. W tym momencie kłamstwo nie miało sensu.

- Tak naprawdę to Duża Molly, właścicielka burdelu przy Brunton Street. Od czasu do czasu lubi przeżyć przygodę i jest niespełnioną aktorką, więc zgodziła się nam pomóc. Ma słabość do Skorpiona.

Jane tylko skinęła głową. Wyglądało na to, że przyjęła te nowiny nadzwyczaj spokojnie.

- Zawieziesz mnie do Mirandy? - zapytała.

- I owszem - przytaknął. - Najpierw jednak muszę zająć się interesami, jeśli pozwolisz. Potem pojedziemy, o ile lubisz podróżować.

- Uwielbiam podróże - oświadczyła stanowczo. - Na co czekamy?

Rozdział dwudziesty drugi

Miranda zanurzyła się w gorącej wodzie i z zamkniętymi oczami odetchnęła głęboko, delektując się wonią płatków róż, które dosypała do kąpieli. Zamierzała jutro kontynuować zwiedzanie okolic i tym razem skupić się na ogrodzie za budynkiem. Nastala wiosna, wszędzie kwitły żonkile, a z wilgotnej ziemi lada moment powinny się wyłonić młode pędy róż. Nie mogła się doczekać.

Zamknęła oczy i zagłębiła się po szyję. Gdyby bardzo się postarała, może udałoby się jej zapomnieć, że Lucien wrócił. Nawet nie próbował jej pocałować czy choćby dotknąć. Posiadł ją jeden jedyny raz i zapewne zamierzał na tym poprzestać.

Nie powinna tęsknić za tamtą sytuacją. Przez większość czasu nie wracała do niej myślami, ale po jego powrocie było coraz trudniej. Niespodziewanie zapragnęła znowu go mieć tylko dla siebie.

Nagle w oddali usłyszała jego ryk. A zatem nareszcie ujrzał swoje pokoje! Przez cały dzień cieszyła się na tę chwilę i w obawie, że przegapi najciekawsze, niechętnie opuszczała dom. Całą sypialnię Luciena, jego garderobę i salon przemalowano na uroczy, blad różowy kolor. Zabrakło czasu na znalezienie odpowiednio dopasowanej tkaniny na zasłony, ale białe, koronkowe firaneczki prezentowały się całkiem miło i pogodnie, podobnie jak ażurowa narzuta i falbaniaste poduszki. Miranda zdążyła nawet osobiście pomalować kilka starych krzesel, aby pasowały do reszty wnętrza.

Gdyby Lucien był siedemnastoletnią dziewczyną, nie posiadałby się z zachwytem.

Miranda zachichotała radośnie. Powinna teraz zająć się przemalowaniem swojego apartamentu. Obecnie dominowała w nim spłowiała zieleń, a garderoba tonęła w mroku, zwłaszcza przy zamkniętych drzwiach.

Miranda świetnie wiedziała, co zrobi Lucien. Przez pewien czas będzie się miotał, a potem każe pokojowcowi znaleźć inne pokoje, których w tym wielkim gmazysku nie brakowało. Obrażony, nie odezwie się do niej ani słowem, i bardzo dobrze. Była to część planu bitwy, podstępny atak, który powinien boleśnie dotknąć Luciena.

Mylła się.

Drzwi do jej pokoju nagle otworzyły się z hukiem i stanął w nich rozjuszony Lucien. Bridget, zajęta szykowaniem stroju dla swojej pani na wieczór, podniosła wzrok, szczerze przerażona.

- Precz - warknął.

Bridget momentalnie uciekła, a Lucien zbliżył się do Mirandy, która wpatrywała się w niego niepewnie, jakby w obawie, że rzuci się na nią z pięściami. Po kilku sekundach wahania uśmiechnęła się szeroko.

- Czy pokoje przypadły ci do gustu? - spytała pogodnie. - Postanowiłam odświeżyć je w pierwszej kolejności, gdyż dobra żona zawsze powinna przede wszystkim myśleć o potrzebach męża. Śmiem twierdzić, że poradziłam sobie nad podziw dobrze. Nie udało mi się dopiąć wszystkiego na ostatni guzik, ale apartament prezentuje się niezwykle, prawda? Zawsze uważałam, że kolor różowy jest nad wyraz kojący.

Chyba się myliłam, pomyślała ostrożnie, kiedy Lucien złowrogo zacisnął wargi.

- Wyjdź z wanny - zażądał.

- Jeszcze nie skończyłam kąpieli, najdroższy. Jeśli chcesz pogawędzić, wróć za pół godziny. Widzę, że jesteś odrobinę nierad, a klnę się, że nie mam pojęcia, z jakiego powodu. Czyżbyś z jakichś niezrozumiałych względów czuł niechęć do różu?

- Nie lubię różu!

- Niby skąd miałam to wiedzieć? - spytała z udawaną desperacją. - Może wolałbyś raczej kolor lila?

- Wyjdźże wreszcie z wanny.

Naprawdę kipiał wściekłością. Miranda miała ochotę zachichotać z radości.

Lucien de Malheur, hrabia Rochdale, niewzruszony Skorpion, który nigdy nie okazywał emocji, nagle wpadł w szal.

- Już wiem - oświadczyła beztrąsko. - Niewątpliwie jesteś wielbicielem jasnego błękitu.

Jeszcze nie skończyła, a już wiedziała, że posunęła się za daleko. Lucien podszedł do wanny, chwycił Mirandę i wywłócił ją na zewnątrz z taką siłą, że woda rozprysła się na wszystkie strony.

Instynktownie zapragnęła z nim walczyć, ale nie miała szans w starciu z nieporównanie silniejszym przeciwnikiem. Uniósł ją tak, jakby była dzieckiem, przeniósł do garderoby i bezceremonialnie cisnął na podłogę. Potem usłyszała trzaśnięcie drzwi i pomieszczenie pograżyło się w ciemnościach.

Wylądowała na dywanie, ale szybko usiadła i podkuliła nogi, żeby się osłonić. Zrobiło się jej zimno, lecz nie sięgnęła po ubranie, czekając na zgrzyt klucza w zamku.

Po chwili uświadomiła sobie, że Lucien wcale jej nie zamknął. Dlaczego wrzucił ją do garderoby, skoro mogła z niej wyjść?

Wtedy usłyszała, jak jej prześladowca ściąga frak i rzuca go na podłogę. A więc nie była sama w tym ciasnym pomieszczeniu.

- Lucienie? - wyszeptała, nie wiedząc, w którą stronę mówić. - Wybacz, że cię poirytowałam. Doprawdy, najdroższy, nie masz poczucia humoru...

Pisnęła cicho, kiedy podniósł ją z podłogi i całym ciężarem ciała przycisnął ją do ściany.

Nie odpowiedział ani słowem, ale czuła bicie jego serca pod cienkim materiałem koszuli. W ciemnościach dotykał nogami jej nagich nóg. Poruszyła się niespokojnie, mimowolnie pozwalając mu wsunąć kolano między jej nogi. Unieruchomił ją i objął dłońmi jej twarz.

- Lisica z ciebie - powiedział łagodnie. - Masz szczęście, że nie spuściłem ci manta.

Stała nieruchomo, świadoma jego bliskości, która jednak wcale jej nie przeszkadzała. Przeciwnie, miała ochotę zbliżyć się do niego jeszcze bardziej. Była zarazem zdumiona i wystraszona swoją reakcją.

- Nie pobiłbyś mnie - wyszeptała. - Dobrze wiesz, że mnie uwielbiasz.

- Lisica - powtórzył i pocałował ją w usta.

Domyśliła się, co się wydarzy, bez względu na to, co powie i jak się zachowa. Gdyby zdradziła, że tego pragnie, zrobiłby swoje. Gdyby udawała, że jej się nie podoba, kontynuowałby tak czy owak, w końcu sam wcześniej twierdził, że zna jej ciało lepiej niż ona sama.

Przywarła dłońmi do ściany za plecami i poddała się pocałunkom Luciena. Czowała, że ulatuje z niej cała złość i nie miała nic przeciwko temu, aby ją obejmował, więc położyła ręce na jego ramionach.

Całował jak anioł i diabeł zarazem. Miranda odruchowo wyszarpnęła jego koszulę ze spodni.

Nie musiała nic mówić, od razu zrozumiał, o co jej chodzi. Ściągnął ją przez głowę, bez rozpinania, i po raz pierwszy przytuliła się do jego muskularnego torsu. Pod palcami czuła szramy na jego plecach. Zamarł na moment, a ona przeraziła się, że zostawi ją teraz, spragnioną.

- Jestem potworem o ciele pokrytym bliznami - wyszeptał jej do ucha. - A ty wpadłaś w moją pułapkę.

Cofnęła ręce, a on stał nieruchomo i czekał. Na co? Czyżby spodziewał się, że Miranda odepchnie go z odrazą?

W ciemnościach odszukała dłońmi jego twarz i objęła łagodnie.

- Nie jesteś potworem - szepnęła, muskając ustami jego wargi. - I ty również wpadłeś w pułapkę. - Pocałowała go w usta.

Gdy dotykał jej ud, rozsuneła nogi, aby ułatwić mu zadanie, a wtedy zamruczał gardłowo niczym trawione żądzą zwierzę. Uniósł rękę, zacisnął palce na jej dłoni i dotknął nią swojej męskości przez spodnie, aby Miranda przekonała się, jak bardzo jej pragnie.

- Teraz mnie oswobodzisz - zażądał chrapliwie. - Rozepnij mi spodnie.

Z każdą sekundą pragnęła go coraz bardziej, więc bez wahania drżącymi palcami poszukała jakiegoś zapięcia, guzików, czegokolwiek!

- Nie wiem jak - wyznała w końcu.

Lucien spokojnie wziął ją za rękę i naprowadził ją na miejsce, w którym znajdowały się ukryte guziki. Odetchnęła głęboko i sprawnie rozpięła wszystkie cztery.

- A teraz zsuń mi spodnie.

Miranda położyła obie dłonie na jego biodrach i energicznie wykonała polecenie. Lucien odsunął je nogą i oboje stanęli przed sobą zupełnie nago. Dotknęła go delikatnie i wstrzymała oddech, zdumiona jedwabistą gładkością skóry pod opuszkami jej palców.

- Niemożliwe - wyjąkała. - Nie będzie pasował.

Bardziej wyczuła jego śmiech, niż go usłyszała.

- Zaufaj mi - szepnął.

Wsunął rękę pod jej nogę i uniósł ją, jednocześnie przypierając do ściany. Posiadł ją jednym, delikatnym ruchem i natychmiast zaczął się rytmicznie poruszać.

Jęknęła cicho, tuląc twarz do ramienia Luciena i głaszcząc dłońmi jego przeorane bliznami plecy. Wyglądało na to, że nie miał już nic przeciwko temu, gdyż za bardzo skupił się na tym, co robił. Napięcie Mirandy narastało, aż w końcu przeszył ją rozkoszny dreszcz. Wbiła paznokcie w plecy Luciena i głośno krzyknęła, nie zważając na to, że w pobliżu kręcą się służący. Gdy usiłowała ochłonać po najsilniejszych i najcudowniejszych doznaniach w całym swoim życiu, poczuła, jak Lucien szczytuje i ją wypełnia. Wówczas wtuliła twarz w jego szyję, aby stłumić kolejny krzyk, gdyż ponownie zatraciła się w nieopisanej rozkoszy.

Lucien drżał, wszystkie jego mięśnie nagle osłabły. Na szczęście mógł oprzeć Mirandę o ścianę, gdyż niewiele brakowało, a oboje osunęliby się na podłogę. Nie miał ochoty odsunąć się od niej, zwłaszcza że poczuł znowu pożądanie. Nie wyobrażał sobie, by kiedykolwiek mógł się nią nasycić, ale w końcu niechętnie się wycofał. Wolał nie dawać Mirandzie do zrozumienia, jak bardzo jej potrzebuje, choć pewnie i tak by się nie zorientowała. Pod względem doświadczenia z mężczyznami kojarzyła mu się raczej z zakonnica niż z kobietą upadłą. Podobało mu się to i był zadowolony, że nic nie wiedziała o zawilosciach pożycia damsko-męskiego. Chyba jednak powinien podziękować St. Johnowi za jego nieudolność.

Ostrożnie opuścił nogi Mirandy na podłogę i ją podtrzymał, gdyż omal nie upadła, po czym ułożył się wraz z nią na grubym dywanie. Przytulił ją i nagle poczuł, że po jej policzkach spływają łzy, które kapały na jego rozgrzaną skórę. Dlaczego potrzebowała pociechy po tym, jak dostarczył jej nieopisanej przyjemności?

Po ciele Mirandy przebiegł lekki dreszcz. Lucien żałował, że nie ma pod ręką szala, aby okryć ją i siebie. Wyglądało na to, że przy tej dziewczynie tracił rozum, a teraz w dodatku był na nią zły. Przez cały dzień usiłował nie myśleć o jej ciele, o gładkiej skórze i jej zapachu, a potem zobaczył te okropne pokoje, zmienione nie do poznania, i coś w

nim eksplodowało. Wpadł raptownie do jej pokoju, ujrzał ją nagą i cudownie ponętą w różanej kąpieli i od razu wiedział, że dłużej nie wytrzyma.

Musiał być z nią, w niej, natychmiast.

W ostatnim przeblysku świadomości skojarzył, że na zewnątrz jeszcze jest jasno, a przecież nie chciał, by ktoś oglądał jego odrażające, okaleczone plecy.

Przygarnął Mirandę i przytulił się do niej. Zwykle nie zasypiał po zbliżeniu, gdyż zawsze pragnął wtedy uciec. Teraz jednak czuł się inaczej.

Miranda przestała płakać i zasnęła, więc odsunął się ostrożnie, choć wcale nie miał ochoty jej zostawiać. Garderoba była całkiem przestronna, więc przyszło mu do głowy, że powinien wstawić tutaj małe łóżko dla pokojówki, co oczywiście nie oznaczało, że miał chęć baraszkować w łóżku służącej.

Przez chwilę szukał rozrzuconej odzieży, a potem ubrał się szybko i uchylił drzwi, wpuszczając do środka nieco światła. Wtedy zorientował się, że Miranda tylko udawała. Lucien pochylił się i ją podniósł, po czym przeszedł z nią do łóżka, gdzie przykrył ją kołdrą. Choć robiła, co w jej mocy, nie udało się jej przestać płakać.

Popatrzył na nią z góry. KobiECE łyzy zwykle nie robiły na nim wrażenia, gdyż nie był zainteresowany mniej lub bardziej dramatycznymi gierkami swoich kochanek. Nie rozumiał, dlaczego płacz Mirandy wytrącił go z równowagi. Może dlatego, że na ogół była nieustraszona? Delikatnie odgarnął wilgotne kosmyki włosów, które przylepiły się do jej twarzy, i pomyślał, że jeszcze moment, a położy się obok niej, aby ją pocieszać.

Odwrócił się pośpiesznie.

Gdzie, u licha, zostawił laskę?

Nie widział jej w półmroku, a nie mógł czekać, gdyż nie odpowiadał za siebie. Po-kuśtykał więc prosto do wyjścia i cicho zamknął za sobą drzwi.

Rozdział dwudziesty trzeci

Jane posłusznie dała się zaprowadzić z powrotem do powozu i usiadła na kanapie z dłońmi złożonymi na kolanach. Po chwili pojazd ruszył z raptownym szarpnięciem, a ona uśmiechnęła się lekko. Jacob naprawdę nie był wytrawnym woźnicą, ale za to zachowywał się jak dżentelmen, w przeciwieństwie do jej byłego narzeczonego, który okrutnie się nad nią pastwił. Poza tym król złodziei odwiózł ją bezpiecznie do domu, choć z pewnością miał mnóstwo innych, ważnych spraw na głowie. Cóż, niewątpliwie chciał odzyskać pierścień, który w porywie serca wsunął na jej palec, zrobił to jednak w ciemnym pokoju, nie widząc jej twarzy. Odkąd ujrzał ją w świetle dnia, zachowywał się z nienaganną przyzwoitością, niewątpliwie żałując nocnego pocałunku.

Teraz musiała jechać do Mirandy. Jeśli Rochdale naprawdę zamierzał zabrać ją na zebranie Niebiańskich Zastępów, Mirandzie groziło poważne niebezpieczeństwo. Każdy słyszał upiorne opowieści o czarnych mszach, wypijaniu krwi, orgiach, kulcie szatana i ofiarach z ludzi.

Tak swoją drogą, co powiedzieliby jej rodzice, gdyby wyznała, że kocha złodzieja? To znaczy, naturalnie, wcale go nie kochała, skądże! - upomniała się. Mogła ewentualnie przyznać się do lekkiego zauroczenia, ale nic ponadto. Ciekawiło ją jednak, co by zrobili. Większość rodziców spuściłaby lanie krnąbrnej córce i przez pewien czas trzymałaby ją pod kluczem, o chlebie i wodzie. Ojciec Jane, zreformowany hulaka i hazardzista, był jednak człowiekiem doświadczonym i życiowym, o wielkim sercu. Z pewnością wysłuchałby jej i nie prawił kazań. Matka Jane również lubiła używać życia, z którego czerpała garściami do czasu związania się z panem Pagettem. Do dnia obecnego zachowała otwarty umysł i twierdziła, że nigdy nie wiadomo, kiedy napotka się prawdziwą miłość - gdy to jednak nastąpi, trzeba ją chwycić obiema rękami i mocno trzymać, żeby nie uciekła.

Naturalnie, Jane nie była zakochana, dlatego postanowiła pomyśleć raczej o odzieży. Ostatnie dwa dni spędziła w drodze, mając do dyspozycji zaledwie dwie suknie, w tym tylko jedną własną, oraz, również pożyczoną, bieliznę na zmianę. Trochę przygnębiała ją perspektywa podróżowania w takich warunkach jeszcze przez trzy dni.

Pragnęła uciec, zwiedzać świat, ale potrzebowała nowych ubrań i gorącej kąpieli.

Była ciekawa, czy i tym razem będzie im towarzyszyła pani Grudge. Jane знаła już prawdę o niej, co wcale nie zmieniało jej stosunku do pogodnej jejmości, którą ceniła za troskliwość i za ciekawe, choć zmyślane opowieści o rzekomym woźnicy i kobieciarzu Jacobsie.

W pewnej chwili powóz zahamował, jak zwykle z gwałtownym szarpnięciem, a Jane omal nie poleciała do przodu, na kanapę naprzeciwko. Na szczęście w ostatniej chwili chwyciła się skórzanego paska, który odgrywał rolę uchwytu.

Wyrzała przez okno i zauważyła jakichś ludzi na zewnątrz. Po chwili Jacob otworzył drzwi i zajrzał do powozu. Jane odruchowo zerwała się, by wysiąść, ale pokręcił głową.

- Nie, Jane. Mam tutaj dwóch ludzi do pilnowania koni i jeszcze co najmniej czterech, którzy mają oko na powóz. Nie chcę, żeby ktokolwiek cię zaczepiał, a tutaj roi się od łotrzyków. - W jego oczach nie zauważyła rozbawienia. - Stoimy przed Gildią Żebra-czą, która od siedemdziesięciu pięciu lat jest domem obieżyświatów i złodziei. Dama nie powinna tutaj zaglądać, dlatego szybko załatwię swoje sprawy i ruszamy w dalszą drogę.

- Tak, ale... - Umilkła, gdyż nie chciała narzekać.

- Tak, ale co?

- Czy jest szansa, że znajdziemy dla mnie jakąś odzież? I może coś do jedzenia?

Jacob spojrział z rozbawieniem w oczach.

- Dopilnuję tego. - Zastanowił się przez chwilę. - Jeśli sobie życzysz, zawiozę cię do wiejskiej posiadłości twoich rodziców, tylko powiedz mi, gdzie leży. Nie musisz zostawać przy mnie. Obiecuję, że twój były narzeczony nie zbliży się już do ciebie.

Wydał usta, a Jane pomyślała, że szukał pretekstu, aby się jej pozbyć. Nagle straciła chęć do życia.

- Nie musisz mnie nigdzie wieźć - oświadczyła z pozorną obojętnością. - Sama znajdę dorożkę, która zabierze mnie do domu. Myślę, że pan Bothwell już sobie poszedł i po prostu wydam służbie polecenie, aby nigdy więcej nie wpuszczano go do środka. Nie czuj się za mnie odpowiedzialny, z pewnością masz mnóstwo ważnych spraw do załatwienia. Szkoda twojego czasu na...

Stanął jedną nogą na schodku, pochylił się do wnętrza ciemnej kabiny, a Jane piśnęła niespokojnie. Nie zdążyła jednak zaprotestować w żaden inny sposób, gdyż wielką dłonią chwycił ją za kark i zamknął jej usta zdecydowanym pocałunkiem.

Gdy się odsunął, oszołomiona Jane siedziała nieruchomo niczym słup soli.

- Jesteś moją najważniejszą sprawą do załatwienia - szepnął. - Zabieram cię do Ripton Waters, gdzie będziesz traktowana jak na damę przystało.

Z trudem zbierała rozproszone myśli.

- Do Ripton Waters? - powtórzyła. - Czy Miranda tam właśnie bawi?

- W Krainie Jezior. - Skinął głową. - Jeśli się pośpieszymy, będziemy na miejscu za dwa, trzy dni. Jestem na to przygotowany, o ile nie zmieniłaś zdania, dziewczyno.

Nie miała pojęcia, czemu uwielbia, gdy zwraca się do niej w taki sposób.

- Nie zmieniłam - odparła. - I też jestem przygotowana, o ile nie sprawiam ci za dużo kłopotu.

Uśmiechnął się wesoło i łobuzersko.

- Nie ma mowy o żadnym kłopotcie, Jane.

Lucien zjadł kolację w samotności. Niestety, potwierdziły się jego najgorsze obawy. W jadalni panowała nieskazitelna czystość, wszędzie stały niezliczone wazony z żonkilami. Dobrze przynajmniej, że szklarnie jeszcze nie nadawały się do użytku, w przeciwnym razie cały dom utonąłby w kwiatach. Żonkile i tak były nieznośne, ich słonecznie żółta barwa klóciła się z jego nastrojem. Lucien miał chęć unieść laskę i tłuc wazony jeden po drugim, ale w ostatniej chwili oparł się pokusie. Dręczyło go poczucie winy, przez co czuł się dziecinnie poirytowany, a na dodatek podświadomie pragnął, aby Miranda zeszła do niego i uśmiechnęła się promiennie w charakterystyczny dla niej sposób.

Nie doczekał się jej jednak aż do następnego dnia, kiedy w wiśniowej sukni wmaszerowała do gabinetu.

- Dzień dobry, Lucienie - powitała go lekko drwiącym, wesołym tonem. - Rety, naprawdę uwielbiasz zamykać się w gabinecie i izolować się od świata.

- Tutaj się odprężam. - Obrzucił ją uważnym spojrzeniem. - Nie uważasz, że jest tu miło?

- Raczej ponuro - odparła, rozglądając się pobieżnie. - Moglibyśmy przemaalować ściany na uroczy odcień...

- Tylko ich dotknij, a dostaniesz baty.

- Czcze pogrożki, najdroższy. - Demonstracyjnie rozsiadła się na krześle. - Chciałam się dowiedzieć czegoś więcej na temat wizyty, o której napomknąłeś. Jakie suknie mam zabrać? Wykazałeś się ogromną szczodrością przy zaopatrywaniu mnie w nową garderobę i na pewno mam wszystko, co mi potrzebne, ale Bridget będzie chciała za czasu wiedzieć, co przyszykować. Czy znam kogokolwiek z zaproszonych?

- Tyle pytań! - Lucien rozparł się wygodnie. - Odpowiem po kolei. Dobór odzieży nie jest specjalnie istotny na naszych małych zebraniach. Zamówiłem coś odpowiedniego u krawcowej, specjalizującej się w adekwatnych strojach.

- Inna krawcowa? - spytała łamiącym się głosem, ale już po chwili uśmiechnęła się promiennie. - To wspaniale! Nowe suknie! Naprawdę jesteś najbardziej troskliwym ze wszystkich kochanków na świecie.

- Cieszę się, że sprawiłem ci przyjemność, moje złoto. Co do zaproszonych gości... Szczerze wątpię, byś znała któregokolwiek.

- Zapominasz, że ładnych parę lat spędziłam w mieście, więc siłą rzeczy poznałam tam wielu ludzi.

- Na pewno nie tych. Nawet zbrukana gołąbeczka, taka jak lady Miranda Rohan, raczej nie miała styczności z mężczyznami tego autoramentu.

- Zjawiają się wyłącznie panowie? - Z trudem przełknęła ślinę. - Czy zamierzacie uprawiać hazard?

- Część zaproszonych przywiezie swoje utrzymanki, niektórzy może nawet siostry albo żony, jeśli są wyjątkowo perwersyjni. Większość zadowoli się co atrakcyjniejszymi kociątkami z chowu Dużej Molly.

- Mam rozumieć, że chodzi ci o ładacznicę? - Zmarszczyła brwi.

- Któż by inny zabawiał szacowne grono członków Niebiańskich Zastępów?

Zauważył z uznaniem, że nawet nie drgnęła. Nic dziwnego, była przecież inteligentną kobietą, może nawet odrobinę zbyt inteligentną... Pewnie już wcześniej domyślała się tego i owego.

- Mamy wziąć ślub na oczach akurat tej grupy twoich znajomych? - spytała ze stoickim spokojem. - Nie to, żebym miała coś przeciwko temu, ale śluby zwykle odbywają się w kościołach, gdyż tylko wtedy mają moc prawną, czyż nie?

- Mówisz o parach, które połączył Bóg, a przynajmniej salony. Nas połączył diabeł, a planowana uroczystość będzie tego odzwierciedleniem. Podobnie jak przyjęcie weselne na naszą cześć. - Obserwował Mirandę z uwagą, ciekawy jej reakcji. - Zapowiada się absolutna orgia radości.

Natychmiast pojęła jego intencje i wstała, nadal z uśmiechem przyklepionym do twarzy.

- Kiedy zatem mogę się spodziewać tych wyjątkowych doznań? - zapytała głosem ociekającym słodyczą.

- Wyjeżdżamy jutro. Podróż będzie krótka, zaledwie kilkugodzinna, więc możemy wyruszyć popołudniem. - Musiał przyznać, że odwagi jej nie brakowało. - Mniemam, że po tak długiej nieobecności musisz zadbać o wiele spraw. Czy spotkamy się przy kolacji?

- Niewykluczone - mruknął. - Do widzenia, moje złoto.

Wkrótce został sam i przez chwilę siedział nieruchomo, ze wzrokiem utkwionym w pustym krześle. Ogarnęła go dziwna melancholia, zapewne związana z nadejściem wiosny. Nie rozumiał dlaczego, ale po zimie zawsze robiło mu się : smutno na duszy. Widocznie słońce źle wpływało na jego łotrowską duszę, zdecydowanie wolał mrok i cień.

Lucien zaśmiał się cicho. Teraz zachowywał się jak nastolatek, zupełnie jak ten osioł Byron, do którego przyrównała go Miranda. Przecież wszystko przebiegało zgodnie z planem i nie miał powodu do zmartwień. Dziwaczna uroczystość była już zaplanowana. Po jej zakończeniu zamierzał zabrać Mirandę do kościoła i tam postawić kropkę nad i, żeby odciąć jej ostatnią drogę ucieczki i przysporzyć Rohanom cierpień. Szkoda tylko, że wnukowie Francisa i synowie Adriana Rohana nie należeli do Niebiańskich Zastępów. Byłoby doskonale, gdyby uczestniczyli w ceremonii z udziałem własnej siostry. Inna

sprawa, że zapewne zakłóciłoby przebieg uroczystości, więc lepiej, aby dowiedzieli się o wszystkim po fakcie. Wtedy też będą cierpieli.

Lucien zastanawiał się tylko, dlaczego nie jest zadowolony z przebiegu zdarzeń.

Na dach powozu spadły pierwsze krople mżawki, niebo stawało się coraz ciemniejsze. Jane szczerzej otuliła się grubym szalem. Ponieważ salwowali się ucieczką, w pośpiechu nie zdążyła zabrać pelisy i wielu innych, potrzebnych przedmiotów.

Po prostu podała Jacobowi rękę i oboje wyszli, nie oglądając się za siebie. Nawet nie przeszło jej przez myśl, aby sprawdzić, czy pan Bothwell jeszcze żyje. Jeśli wyzionął ducha, to Jacob wpakował się po uszy w śmiertelne tarapaty i powinien jak najszybciej opuścić Londyn. Wymierzenie ciosu dżentelmenowi rangi pana Bothwella groziło surowymi konsekwencjami i niewykluczone, że Jacob miał już na karku śledczych. Pan Bothwell był człowiekiem zajadłym, a Jane nie mogła znieść myśli, że przystojny złodziej klejnotów naraził się dla niej na tak poważne niebezpieczeństwo. Nic dziwnego, że z narastającym zniecierpliwieniem wyczekiwała jego powrotu i w pewnej chwili otworzyła drzwi powozu, aby się rozejrzeć po okolicy.

Od razu zrozumiała, że to był błąd. Znalazła się przecież w dzielnicy brudu, biedy i występku. Wokoło kręciło się mnóstwo ludzi, lecz nim zdążyła przyjrzeć im się bliżej, przed drzwiami powozu stanął potężnie zbudowany mężczyzna. Nie wydawał się specjalnie atrakcyjny, niemniej uśmiechał się całkiem miło, choć brakowało mu kilku zębów.

- Jaśnie panienka musi zostać w powozie - oznajmił. - Król kazał, coby nikt nie podchodził blisko panienki i coby nie wychodziła na ulicę, bo tu za niebezpiecznie dla niej. Kręcą się tu źli ludzie, proszę jaśnie panienki.

- A ty to jeden z nich, Neddie - zauważyła radośnie ładna kobieta z koszykiem, moknąca w deszczu za plecami mężczyzny. - Przyniosłam jej coś do jedzenia.

- Król kazał, coby nikogo nie wpuszczać.

- Naprawdę myślisz, że chodziło mu o mnie? - Niewiasta przepchnęła się obok strażnika. - Dziewczyna umiera z nudów i z głodu, dobrze mówię, panienko? To i mam dla niej przekąskę.

Neddie nie wydawał się zachwycony, ale ustąpił, więc kobieta bezceremonialnie weszła do powozu.

- Jaśnie panienska mnie woła, jakby co - powiedział. - Tu będę.

- Poradzę sobie - zapewniła go Jane, choć wcale nie była tego pewna.

Nieznajoma usiadła naprzeciwko niej, a gdy Neddie zamknął za nią drzwi, wewnątrz powozu pograżyło się w ponurym mroku.

Ale nie na długo. Nieznajoma poszperała w koszyku i wyjęła z niego pudełko z hubką oraz krzesiwem. Po chwili paliły się już obie świece na ścianach kabiny. Kobieta usiadła wygodniej i uważnie przyjrzała się Jane.

- Przeciętny z ciebie drobiazg - oznajmiła szczerze. - Och, masz ładne oczy i miłe usteczka, a do tego dobrą skórę i zęby, ale tak w ogóle toś całkiem zwyczajna, a królowi nie brakowało najwspanialszych kobiet w Anglii. Co on w tobie widzi? - Zanim Jane zebrała myśli, nieznajoma wepchnęła jej w rękę koszyk. - Jestem Gracie - przedstawiła się. - Kieruję tą norą, a przynajmniej tym, co mi w niej powierzyli. I tak się zastanawiam, co takiego kazało królowi rzucić wszystko i oddać komuś takiemu, jak ten bezczelny Jem Beesom. Tak się składa, że Jem i tak ostrzył sobie zęby na dorobek Jacoba i na pewno dobry będzie z niego włodarz, ale to i tak dziwne, że król tak łatwo z czegoś rezygnuje, więc musiałam przyjść i rzucić okiem na dziewczę, co to mu zawróciło w głowie.

Jane z osłupieniem wpatrywała się w rozgadaną istotę przed sobą.

- Nie zawróciłam mu w głowie - oznajmiła.

- Może i nie - mruknęła Gracie. - Nosi go już od roku. I ja to zauważyłam, i Jem też. Dlatego był gotowy zabrać królowi, co się da. Trzeba było widzieć facjatę Jema, jak usłyszał, że Jacob wyjeżdża i oddaje mu władzę. Wyglądał tak, jakby miał się rozplakać. Ludzie to się najbardziej rozklejają wtedy, jak są gotowi do walki, a wróg się poddaje. Inna rzecz, że Jacob i Jem nie wojują ze sobą, ale to się może zmienić, jeśli Jacob się rozmyśli, bo Jem łatwo nie ustępuje, jak już na czymś położy łapę. To jasne, że Jacob to robi przez ciebie, bo poczuł miętę. Pilnuje cię jak jakiego skarbu i będzie wściekły, jak się dowie, że tu przysła.

Gracie nie przestawała mówić, aż w pewnej chwili pochyliła się i poklepała Jane po dłoni.

- Niespecjalnie skora jesteś do pogaduchy, co, panienko? - spytała, choć Jane i tak nie miałyby szansy jej przerwać. - Nie ma sprawy, Jacob się tym zajmie. Przy nim na pewno rozwiąże ci się język. W koszyku masz coś na ząb, boś podobno głodna. Dorzuciłam jeszcze kilka swoich sukien dla ciebie, choć nie będą pasować. Chuda jesteś jak pająk i trochę mała, choć Jacob się upiera, żeś wysoka. Kochasz go?

Jane słuchała jej z uwagą, ale nieoczekiwane pytanie zbiło ją z tropu.

- Słucham?

- Nie przesłyszalaś się. Pytam, czy go kochasz. Zresztą, to głupie pytanie, większość kobiet go kocha. Starczy, że na którą spojrzysz, a ta już leży u jego stóp, łącznie ze mną.

Jane miała ochotę powiedzieć Gracie, że to nie jej sprawa, ale nie była aż tak odważna.

- Nie wiem, o czym pani mówi - westchnęła zbolalym głosem.

- Przeciwnie, bardzo dobrze wiesz. - Gracie nieoczekiwanie mocno zacisnęła palce na nadgarstku Jane. - Kochasz go? - wycodziła ostro. - Chcę znać prawdę. I tylko mi nie kłam, bo zauważę.

- To boli! - Jane nie mogła spojrzeć Gracie w oczy. - Oczywiście, że go nie kocham. Ledwie go znam. Po prostu okazał mi uprzejmość, ale tak naprawdę wcale mu na mnie nie zależy, a ja na pewno go nie kocham.

Gracie z lekkim uśmiechem puściła jej nadgarstek, a Jane roztarła obolałe miejsce.

- Nadasz się - oznajmiła Gracie i pokiwała głową. - Mówiłam, że zauważę, jak skłamiesz, no i właśnie mi nakłamałaś. Ani razu nie powiedziałaś, że jest gorszy od ciebie. Po mojemu będzie mu z tobą dobrze. - Zanim Jane zdołała cokolwiek powiedzieć, Gracie otworzyła drzwi powozu i ostrożnie zeszła po schodkach, a potem odwróciła się do nowej znajomej. - Tylko pamiętaj: złamiesz mu serce, to odpowiesz mi za to.

- Ale on mnie nie kocha... - wyjąkała Jane, lecz Gracie już się oddaliła, pozostawiając koszyk.

Istniało pewne niebezpieczeństwo, że była obłąkana i zatruta żywność, ale głodna Jane miała to w nosie. Nie przywykła do takiego chleba i sera - pieczywo okazało się

ciemne i ciężkie, ser zaś mocny i wyrazisty, niemniej z przyjemnością zjadła wszystko do ostatniej okruszyny.

Ściemniało się, kiedy Jacob Donnelly wetknął głowę do powozu.

- Możemy ruszać, dziewczyno, jeśli nie zmieniłaś zdania. - Uśmiechnął się do niej wyzywająco.

- Nie zmieniłam - odparła spokojnym tonem. - Muszę ratować Mirandę.

- Skoro o tym mowa, to wcale nie jestem przekonany, czy potrzebuje ratunku, ale służę pomocą. - Wyciągnął do niej rękę. - Kazałem przyszykować mniejszy, lekki powóz, a ponieważ podałaś w wątpliwość moje umiejętności, zatrudniłem woźnicę, który pokieruje zaprzęgiem. Zechciej udać się ze mną.

Była gotowa iść za nim na koniec świata, ale nie przyznałaby się do tego za żadne skarby. Gracie przejrzała ją na wylot. Jane była zakochana w Jacobie, więc powinna pogodzić się z tym i zastanowić, co dalej. Nie wolno jej było okazać mu miłości i musiała nauczyć się żyć bez niego. Nie pasowali do siebie, pomyślała ze smutkiem.

Postanowiła jednak choć na kilka krótkich dni zapomnieć o zdrowym rozsądku i szacunku do siebie, więc podała mu rękę i wysiadła z powozu.

Rozdział dwudziesty czwarty

Rankiem następnego dnia pogrążona w rozmyślaniach Miranda, siedziała bez ruchu przy fortepianie. Jej plan nie wypalił. Dom okazał się zbyt duży, aby mogła wyprowadzić Luciena z równowagi. Gdy zachowywała się zbyt entuzjastycznie i zgodnie, po prostu odchodził. Rzecz jasna, mogła udawać jeszcze bardziej frywolną trzpiotkę, co budziło jego niesmak. Gdyby jakimś cudem uznał, że znowu jej pragnie, w trakcie jego zalotów nie przestawałaby mówić, a nawet śpiewać, niemożebnie fałszując.

Nie, chyba nie dałaby rady. Zbyt entuzjastycznie reagowała na jego pieszczoty.

Położyła palce na klawiaturze i rozpoczęła preludium Jana Sebastiana Bacha. Rok wcześniej nauczyła się tego utworu na pamięć, gdyż uwielbiała Bacha, jego matematyczną precyzję połączoną z radosną lekkością. Grała z wielką mocą, bardzo głośno, chcąc zirytować Luciena, nawet jeśli zaszył się w najdalszym kącie domu. Preludium było trudne i wymagające, więc zdarzało się jej co jakiś czas pomylić lub przegapić nutę, niemniej bawiła się przednio.

- Dość już, proszę.

Wydała z siebie przenikliwy pisk i rąbnęła dłońmi w klawisze, jednocześnie odwracając się do Luciena.

- Napędziłeś mi stracha - oświadczyła oskarżycielskim tonem. - Musisz się tak skradać?

- Grasz tak głośno, że nie usłyszałybyś nawet przemarszu pułku dragonów. Skoro uparłaś się znęcać nad tym nieszczęsnym kompozytorem, to może przynajmniej wybierzesz coś bardziej stonowanego, dajmy na to fugę? Z pewnością masz w repertuarze utwory, których nie trzeba grać z taką werwą i które nieco lepiej opanowałaś.

Jak zwykle ubrany był w czerń, a na jego okaleczone oblicze padały promienie słońca. Wpatrywał się w Mirandę nieprzeniknionym wzrokiem i mogła tylko mieć nadzieję, że ona jest równie enigmatyczna. Problem w tym, że serce ją bolało na widok pokrytego bruzdami oblicza Luciena.

- Obawiam się, że moje umiejętności pozostawiają sporo do życzenia, bez względu na utwór, który gram - odparła słodko. - Ludzie mówią, że przy fortepianie zupełnie zapominam o bożym świecie.

- Tak. A zwłaszcza o wrażliwości.

- Mniemam, że ty poradziłbyś sobie lepiej?

- I owszem, ale tego nie zrobię. Graj, ile chcesz, byle nie tak głośno, jeśli łaska. Głowa mnie boli.

Miranda ponownie rąbnęła w klawisze, tym razem rozmyślnie fałszując jedną nutę w akordzie, i wstała od fortepianu zadowolona, że Lucien skrzywił się z niesmakiem.

- Zatem powiedz mi, o której wyjeżdżamy? - zagruchała słodko.

- Gdy tylko będziesz gotowa. Jak sędzę, ponad wszystko pragniesz wyrwać się stąd i wrócić między ludzi. Z pewnością będziesz wybornie się bawiła.

- Szczerze mówiąc, jest mi tutaj bardzo dobrze - zapewniła go. - Podoba mi się, że mam własny dom, tylko dla siebie, niemniej z radością podążę wszędzie tam, gdzie i ty. Nie mogę się doczekać spotkania z twoimi przyjaciółmi. - Uśmiechnęła się szeroko, jednak jej oczy pozostały chłodne. - Najdroższy, zrobię absolutnie wszystko, czego sobie zażyczysz.

- Właśnie to chciałem od ciebie usłyszeć, moje złoto - mruknął zimno. - Wiążę z tobą ważne plany.

Mogłabym pchnąć go nożem, rozmarzyła się Miranda. Jeśli uważał, że była skłonna zadawać się z jego obmierzłymi kompanami, musiała wkrótce wyprowadzić go z błędu. Na razie nie wierzyła jednak, że naprawdę chciał ją skrzywdzić. Lucien cenił to, co do niego należało, a zatem i żonę, gdyż przecież uważał ją za swoją własność - pod warunkiem że nadal zamierzał się z nią ożenić. Jakoś nie wyobrażała sobie, by chciał dzielić się nią z koleżkami.

- Czy dotrzemy na miejsce w porze kolacji? - zaszczębiotała. - Bo jeśli nie, to każe pani Humber przygotować dla nas koszyk.

- Nie jadamy uroczystych posiłków. Nie zaprzataj sobie ślicznej główki takimi sprawami, pani Humber o wszystko zadba. Ty masz się uśmiechać i dobrze prezentować, nic ponadto. - Uniósł brwi. - Czyżbyś coś powiedziała, moje złoto?

Miranda zacisnęła pięści, ale natychmiast rozluźniła palce.

- Ależ skąd, najdroższy. Ogromnie się cieszę na to, co się wydarzy. - Poszperała w pamięci. - „Można nosić na ustach uśmiech i być łotrem”* - wyrecytowała i doszła do wniosku, że Lucien nie jest Ryszardem Trzecim, tylko Hamletem, pałającym żądzą zemsty.

* William Szekspir, *Hamlet*, tłum. Józef Paszkowski, PIW 1974.

Tyle tylko że to były słowa samego Hamleta. Miranda z uwagą przyjrzała się Lucienowi. Jak daleko mógł się posunąć w swoim łotrostwie? Powinam go zasztyletować, pomyślała ponownie, zbierając się na odwagę.

- O czym rozmyślasz, gołąbeczko? - spytał nagle.

- O Hamlecie - odparła najzupełniej zgodnie z prawdą.

- Moja cudowna panna młoda ceni klasykę! Jakżeby inaczej. „O łotrze, uśmiechający się bezczelny łotrze!”* - zacytował, a ona drgnęła niespokojnie. Czyżby czytał jej w myślach? Aż dziw brał, że w tak krótkim czasie zaczęli się tak dobrze rozumieć. - Ale nawet Klaudiusza nękają wyrzuty sumienia. Już mówiłem, że czuję się najbliższy Ryszardowi Trzeciemu.

* *Ibidem*.

Pod wpływem impulsu dotknęła blizn na jego twarzy.

- Kalibanie - powiedziała cicho. - Czy mi wyjawisz, jak to się stało?

Lucien przez chwilę stał nieruchomo, po czym wzdrygnął się i odsunął.

- Wątpię, by zaciekała cię moja opowieść - oświadczył sztywno. - Możemy spędzić czas na inne, znacznie ciekawsze sposoby.

Obserwowała go z zainteresowaniem.

- Robisz wszystko, aby mnie przekonać, że jesteś niegodziwcem - zauważyła łagodnie. - Nie męczy cię to?

- Uwierz mi, moje złoto, przychodzi mi to bez trudu. - Był zimny i wycofany. -
Wyjeżdżamy za godzinę. Szczegółowe polecenia przekazałem twojej pokojówce. Szykuj się.

Od wielu godzin jechali wyboistymi drogami, praktycznie nie odzywając się do siebie. Jacob tylko raz przerwał ponure milczenie, gdy spytał Jane, czy ktoś dostarczył jej posiłek, a potem wyciągnął długie nogi, rozparł się na kanapie naprzeciwko i zasnął jak kamień.

Żałowała, że nie może iść w jego ślady. Czuła się tak, jakby spędziła w powozie całe życie, i choć nadal uwielbiała podróże, chętnie zwolniłaby tempo i wydłużyła przerwę między wyjazdami.

Z frustracją spojrzała na Jacoba. Bała się o Mirandę, która niewątpliwie trafiła między wrogów i była tak pochłonięta miłością, że kompletnie zapomniała o najlepszej przyjaciółce. Jane widziała, jak hrabia Rochdale patrzy na Mirandę. Doskonale знаła to spojrzenie, jej rodzice często je wymieniali.

Czy to możliwe, że hrabia zamierzał oddać ukochaną potworom z Niebiańskich Zastępów jako ofiarę, podarunek, czy też przedmiot igraszek?

Jane wzdrygnęła się z przerażeniem.

Tymczasem Jacob Donnelly spał dalej, obojętny na wszystko. Pomyślała ze złością, że równie dobrze mogłaby podróżować w samotności, a przecież była bliska histerii. Jacob koniecznie musiał się obudzić i ją uspokoić.

Wpadli na wybój tak wielki, że Jane niemal spadła z kanapy, lecz jej towarzysz ledwie drgnął. Tego było już za wiele. Jechali od prawie dwunastu godzin, zatrzymując się tylko na zmianę koni, a na zewnątrz świtało. Jeśli Jacob naprawdę sypiał jak zabity, to mogła tylko współczuć biednej kobiecie, która za niego wyjdzie.

Rozmyślenia te wprawiły Jane w taką irytację, że bez zastanowienia kopnęła go w nogę, ale i tak nie obudził się. Może powinna go uszczypnąć? Uniosła nogę, żeby wymierzyć mu jeszcze jednego kopniaka, ale zamarła, słysząc jego przyciszony głos.

- Nie kop mnie, dziewczyno - mruknął.

- Chciałabym wiedzieć, czy na pewno dotrzemy na czas - oświadczyła nieco zbyt piskliwym i podenerwowanym głosem. - Hrabia Rochdale nie może przecież rzucić Mirandy na pożarcie swoim niegodziwym znajomkom.

Otworzył oczy i popatrzył na nią z leniwym uznaniem. Jane poruszyła się niepewnie. Nie rozumiała, co godnego aprobaty widział w jej kościstej, banalnej sylwetce.

- Hola, panno Jane - zaoponował. - Wkrótce się przekonasz, że nie jest tak źle, jak ci się wydaje. Niebiańskie Zastępy to tylko gromada rozpieszczonych, głupich arystokratów, którzy mają więcej pieniędzy niż rozumu i zabawiają się, udając potwory. Są nieszkodliwi, choć Kościół raczej nie aprobuje ich działalności. To, co robią, niekiedy nie jest zgodne z prawem, ale skoro kilku członków organizacji chce popełniać występki we własnym gronie, to innym nic do tego.

- Tylko kilku? - upewniła się. - Więc nie składają krwawych ofiar i nie dopuszczają się okropności?

- Okropny jest tylko brak godności tych głupców.

Jane z roztargnieniem skubała wygniecioną suknię.

- A ty byłeś kiedyś na ich zebraniu? - odważyła się zapytać.

- To nie dla mnie. Po pierwsze, nigdy nie interesowały mnie ich poczynania. Po drugie, dopuszczają do siebie wyłącznie szlachetnie urodzonych. Twojego narzeczonego odrzucili.

- Co takiego? - wykrzyknęła zbulwersowana. - Mój nudny, sztywny i nieciekawy narzeczonego chciał dołączyć do tych obrzydliwców?

- Może nie był aż tak nudny, jak sądziłaś.

- Wierz mi, był potwornie nudny - zapewniła go z przekonaniem. - Na świecie nie brakuje nudnych zwyrodnialców.

- Co racja, to racja - zaśmiał się. - Poza tym przynależność do Niebiańskich Zastępów nie oznacza, że się zaprzedało duszę diabłu. Nawet twój... - Ugryzł się w język, ale Jane od razu zorientowała się, co miał na myśli.

- Mój ojciec? - dopowiedziała. - Tak, sam mi wyznał, że przez wiele lat tylko marnotrawił czas i majątek. Nie powinnam się dziwić, że należał do Zastępów. - Popatrzyła mu w twarz. - Miałeś na myśli mojego ojca, prawda?

- Sama go spytaj, jeśli się ośmielisz. - Wzruszył ramionami. - I tak powiedziałem za dużo.

- Od razu widać, że nie znasz mojego ojca. Mogę go pytać o wszystko. - Poruszyła się z niepokojem. - Myślisz, że zdążymy ich zatrzymać?

- Uszy do góry, dziewczyno. Do Ripton Waters mamy jeszcze szmat drogi, ale pamiętaj, że Skorpion nie jest w ciemną bitą. Na pewno zrozumie prawdę i w porę się powstrzyma.

- Prawdę?

- Oboje wiemy, że ma bzika na punkcie Mirandy - ciągnął Jacob. - Muszę przyznać, że jeszcze nigdy nie widziałem go w takim stanie. Z radością zawiozę cię na miejsce, aby nie trawił cię niepokój, ale po prawdzie, to on ją kocha, i to chyba z wzajemnością.

- Mimo to chce ją ofiarować odszczepieńcom z Niebiańskich Zastępów? - powątpiewała Jane.

- Widziałaś Skorpiona. Spędziłaś z nim trochę czasu. Naprawdę sądzisz, że byłby skłonny dzielić się z kimś kobietą, w której się zakochał? Jego problem tkwi w tym, że chyba jeszcze nie przejrzał na oczy i nie słuchał, kiedy mu to klarowałem. Wkrótce sam dostrzeże prawdę. Wystarczy, że inny mężczyzna położy rękę na Mirandzie.

- Skoro ona jest całkiem bezpieczna, to czemu zgodziłeś się gnać co koń wyskoczy, aby ją ratować? - spytała, niezbyt przekonana.

Jacob uśmiechnął się zagadkowo.

- Może po prostu miałem chęć spędzić z tobą trochę czasu - odparł.

- Panie Donnelly, tak się składa, że mam zwierciadło i wiem, jak wyglądam - prychnęła nieelegancko.

Uśmiech znikł z jego ust.

- Może i masz, dziewczyno - mruknął. - Ale pewnie niedowidzisz. A na imię mi Jacob.

Nagle wstał, usiadł u jej boku, po czym chwycił ją za rękę, jednocześnie przywierając do niej dużym, ciepłym ciałem.

Miranda wcisnęła się w kąt powozu, szczelnie otulona peleryną. Lucien zapowiedział, że wyjeżdżają na trzy lub cztery noce, mimo to nie pozwolił jej zabrać Bridget. Kufer, który kazał dla niej spakować, był niepokojąco mały. Nie miała pojęcia, co znajduje się w środku, ale nie było tego wiele.

Zrobiła, co tylko mogła, a teraz musiała spojrzeć prawdzie w oczy i pogodzić się z przegraną. Lucien był górą. Wiózł ją do swoich zdegenerowanych kompanów, co ostatecznie dowodziło, jak mało dla niego znaczyła. Powinna na zawsze pogrzebać wszelkie nadzieje na bliskość z tym człowiekiem.

Dobrze przynajmniej, że jechał wierzchem. Trudno byłoby jej nieustannie szczebiotać przez całą podróż, która podobno miała trwać większość dnia.

Zapewnił ją, że nie ma mowy o gwałcie. Może chciał przez to powiedzieć, że sam nie zada jej gwałtu, co innego jego znajomkowie? Chyba powinna zaryzykować i uciec. Lucien sądził, że jest potulna i spokojna, więc wystarczyłaby chwila jego nieuwagi, aby wyskoczyła z powozu i umknęła.

Tyle tylko że miała znikome szanse powodzenia. Brakowało jej pieniędzy i Lucien znalazłby ją bez większego trudu, a gdyby poprosiła kogoś o pomoc, zapewne oświadczyłby, że jest szalona albo że uciekła przed ołtarza. W razie konieczności zabiłby każdego, kto miałby odwagę stawić mu czoło. Innymi słowy, tylko bliscy mogli jej pomóc, a przecież nie mieli pojęcia, gdzie jej szukać. Nawet Jane nie wiedziała, dokąd pojechali. Na dodatek Lucien wybierał boczne drogi, na których łatwo było stracić orientację.

Gdyby podróżował z nią powozem, może skłoniłaby go do zmiany zamiarów. Pewnie z tego powodu wolał trzymać się od niej z daleka. Miranda uniosła suknię i wyjęła przypasany do łydki sztylet, który ukradła z kolekcji broni, zdobiącej ściany korytarza na trzecim piętrze. Ostrze było długie i spiczaste, choć nieco tępe. Od wielu lat nikt nie odkurzał zbioru, więc Lucien na pewno nie zauważył zniknięcia noża.

W ostateczności była gotowa go użyć, choć nie miała zamiaru zabijać Skorpiona. Postanowiła boleśnie zranić go w nogę albo w rękę, żeby zyskać na czasie, i uciec. Wcześniej zastanawiała się, czy nie rozbić mu dzbana na głowie, jak to uczyniła w wypadku St. Johna, ale gdyby Lucien miał twardszą czaszkę, plan mógłby się nie powieść. Sztylet wydawał się pewniejszy.

Ponownie wsunęła go za podwiązkę. Kto wie, przed kim będzie musiała się bronić. Niebiańskie Zastępy, też coś, prychnęła. Nie bała się krwawej ofiary ani czarnych mszy, gdyż wiedziała co nieco o tej organizacji. Należeli do niej zarówno jej ojciec, jak i dziadek, okryty niesławą Francis Rohan. Jeśli przez ostatnie dwadzieścia lat nic się nie zmieniło, nadal była to zbieranina znudzonych arystokratów, którzy lubili kwestionować boskie prawa, zabawiać się z dziewczkami, a także przebierać w egzotyczne stroje i oddawać się rozkoszom. Miranda nie miała nic przeciwko ich prostackim rozrywkom, pod warunkiem że będą trzymali łapy przy sobie.

Raczej nie mogła liczyć na to, że bracia ją okłamali i poszli w ślady ojca oraz dziadka, dołączając do tej bandy degeneratów. Szkoda, gdyż wówczas uratowałyby ją z opresji. Niestety, znała ich aż nazbyt dobrze i było jasne, że żaden nie miałby cierpliwości do takich wygłupów. Po prostu nie interesowały ich Niebiańskie Zastępy. Benedick i Charles odnaleźli się w małżeństwie, a Brandon był zbyt sztywny na tego typu hece.

Mogła zatem walczyć, uciec bądź zranić Luciena sztyletem. Tylko czy naprawdę chciała go skrzywdzić? Chyba tak, skoro chętnie trzasnęłaby go dzbanem w łeb. Nie mogła zrozumieć, skąd te rozterki. Mało prawdopodobne, by go lubiła, zimnego łotra. Żalowała go? Raczej nie, był na to zbyt silny i niezależny.

A więc może go pragnęła? Byłaby gotowa przyznać się do tego, ale wolała walczyć z własną słabością. Nadal miała w pamięci chwilę, kiedy płakała, a on ją tulił i spoglądał na nią tak uważnie, kiedy myślał, że ona go nie widzi... Szkoda tylko, że był aroganckim draniem. Czuła, że ma dość rozumu, aby nie zakochać się w mężczyźnie, któremu zależało wyłącznie na zemście. Chciał skrzywdzić jej bliskich, a ją traktował jak środek do osiągnięcia celu.

Chyba była dostatecznie rozsądna, by nie kochać kogoś, kto nigdy nie odwzajemni jej uczuć, prawda? - zapytała samą siebie w myślach.

Rozdział dwudziesty piąty

Pomimo deszczu i przenikliwego chłodu Lucien nie zamierzał schronić się w powozie. Jak zwykle, nie był z siebie zadowolony, ale też szczególnie się nad tym nie zastanawiał. W życiu nie spotkało go zbyt wiele szczęścia, więc nie miał powodów do radości.

Matka Luciena zmarła podczas porodu, razem z jego maleńkim bratem. Ojciec, odziedziczywszy same długi oraz zgubną skłonność do hazardu, nie miał wyboru - musiał się przeprowadzić do zamorskich posiadłości rodzinnych, dokąd zabrał ze sobą czteroletniego syna. W Nowym Świecie ożenił się powtórnie, głównie po to, by zyskać posag i kobietę do łóżka. Na pewno niespecjalnie zależało mu na zapewnieniu matki zaniedbanemu dziecku.

Lucien pamiętał, że choć nie był wtedy szczęśliwy, to przynajmniej odzyskał nadzieję. Cecily traktowała go z przychylnością i uczuciem, a w dodatku ofiarowała mu siostrę Genevieve, zanim ojciec Luciena zmarł na cholere.

Po jego śmierci Lucien zaczął dostrzegać mroczną stronę Cecily i przestał kochać jedyną matkę, którą znał, całkiem jakby przeczuwał, że w niedługim czasie nieszczęsna kobieta postrada zmysły.

Nic dziwnego, że o wiele bliższe było pragnienie sprawiedliwości i zemsty. Szczęście traktował jak przelotną uludę. Przy Mirandzie Rohan zdarzały mu się jednak chwile, w których czuł się dobrze.

Dlaczego w ogóle uznał, że ślub z nią to dobry pomysł? Zapewne dlatego, że Miranda była piękną kobietą z charakterem i fascynowała go od chwili, gdy wsiadła do jego powozu w Hyde Parku. Wcześniej traktował ją jak narzędzie, zamierzał wykorzystać i odrzucić, zamknąć w Pawlfrey House i wymazać z pamięci.

Nie doceniał jej. Czy mógł przypuszczać, że będzie miała na niego tak ogromny wpływ? Doprowadzała go do szału, bawiła, budziła jego pożądanie. Co najgorsze, osłabiała jego silną wolę. Nie mógł do tego dopuścić, więc obmyślił nowy, chytry plan pogwałcenia Rohanów. Tylko dlatego coraz bardziej pragnął oszczędzić i chronić Miran-

dę, skoro już postanowił wykorzystać ją do zadania bólu ludziom, którzy kochali ją najbardziej?

Nic dziwnego, że wołał moknąć na deszczu. Parszywa pogoda pasowała do stanu jego duszy.

Obecni członkowie Niebiańskich Zastępów rezydowali w Bromfield Manor, wiejskiej posiadłości za Morecomber. Lucienowi zdarzało się uczestniczyć w ich rozrywkach. Z rozbawieniem obserwował bezsensowne czarne msze, a potem ochoczo zabawiał się podczas wystawnych orgii. Nie miał z tego powodu wyrzutów sumienia, w końcu nikt nikogo nie zmuszał, do uczestnictwa w rozbuchanych przyjęciach. To samo dotyczyło Mirandy. Jeśli tylko odmówi, będzie miała spokój i nic jej nie zagrozi. Sama podejmie decyzję.

Zmierzchało, gdy dotarli do Bromfield Manor. Nawet jeśli Miranda obawiała się czegoś, to skutecznie to ukryła pod bezustannym trajkotem w drodze do apartamentu. Zawahała się tylko na chwilę, gdy pokojówka uchyliła wieko kufra i wyjęła ze środka jej kreację na wieczorne przyjęcie.

Na pierwszy rzut oka stylizowana na grecką tunikę suknia wyglądała całkiem skromnie, podobnie jak złote, klasyczne sandały. Dopiero z bliska widać było, że cienki materiał jest praktycznie przezroczysty, co oznaczało, iż wszyscy uczestnicy zabawy będą mogli podziwiać wdzięki przyszłej lady Rochdale.

Lucien skłonił Bromleya do zaaranżowania ślubu podczas czarnej mszy. Zgodnie z ustaleniami, uroczystość miała obejmować konsumpcję małżeństwa z osobą dowolnie wybraną przez Mirandę, która tym samym wyrażała zgodę na brak monogamii w związku oraz otwartość w oddawaniu się wszelkiego typu rozkoszom. Akceptując to absurdalne rozwiązanie, Miranda bezgranicznie podporządkowałaby się mężowi, a Rohanowie utraciliby ją na zawsze. Mogliby przymknąć oko na jej kilkudniową ucieczkę z łowcą fortun, lecz z pewnością nie pogodziliby się z jej dobrowolnym udziałem w orgii.

- Oczekujesz, że to włożę? - Podniosła delikatną tkaninę i rzuciła ją z powrotem na łóżko. Mówiła głosem nieco bardziej spiętym niż zwykle, lecz poza tym nie wydawała się niespokojna. - Zaziębię się.

- Pomieszczenia są ogrzewane - odparł, nie ruszając się z fotela przy kominku. - A na początku będziesz nosiła pelerynę.

- Zbytek łaski - burknęła i popatrzyła na niego cierpko. Pod jej radosnym tonem pobrzmiwał sarkazm. - Nie mogę się doczekać tej lawiny rozkosznych doznań. Wspominałeś jednak o uroczystości ślubnej w obecności przyjaciół, a nie widzę sukni ślubnej.

Z obojętną miną sięgnął po kieliszek wina.

- Ceremonia będzie dość nietypowa - odparł. - Niebiańskie Zastępy to grupa intelektualistów o dociekliwych umysłach. Ich celem jest badanie istnienia Boga oraz jego adwersarza. Sądzę, że nasz ślub będzie symbolicznym poddaniem się woli tego ostatniego. Zgodną z prawem uroczystość zawarcia związku małżeńskiego zorganizujemy po powrocie do domu.

- Rozumiem - powiedziała po chwili milczenia. - Satanistyczny ślub. Cóż za oryginalny pomysł. Rzadko się zdarza, by panna młoda mogła powiedzieć, że wyszła za mąż, ślubując zarówno przed Bogiem, jak i przed diabłem.

Lucien gwałtownie odstawił kieliszek.

- Podczas ceremonii nie będziesz przysięgała dozgonnej wierności, tylko obiecasz zachować otwarty umysł. I rozwarte nogi - dodał obcesowo, ale Miranda nawet nie drgnęła.

- Fascynujące - skomentowała z niesmakiem. - Czy potem będę musiała dowieść, że jestem wierna przysiędze?

- Tak to zwykle wygląda - potwierdził, choć Niebiańskie Zastępy nigdy wcześniej nie przeprowadzały ceremonii zaślubin.

- Wiedziałaś, że mój ojciec i dziadek należeli do Niebiańskich Zastępów? - spytała, dotykając sukni, którą miała włożyć.

- Owszem. Uznałem, że ten zbieg okoliczności dodaje pikanterii całej sytuacji.

- W istocie - przyznała z uśmiechem, który zdawał się mówić: „Cokolwiek zrobisz, i tak mnie nie tkniesz”. - Nie mogę się doczekać wieczornej uroczystości. Z pewnością wiele się nauczę, porównując innych mężczyzn z tobą. Bez wątplenia górujesz nad tym żalonym Christopherem St. Johnem, niemniej zastanawiam się, czy twoja budowa nie odbiega od normy. Większość mężczyzn chyba nie jest tak dziwacznie wielka, prawda?

Po raz pierwszy od wielu dni Lucien miał ochotę się roześmiać. Jego niewinna narzeczona nie miała pojęcia, że ta obelga jest w gruncie rzeczy komplementem.

- Z zainteresowaniem zapoznam się z twoimi spostrzeżeniami - odparł.

Miranda podeszła do stołu, naląła sobie wina i duszkiem wypila cały kieliszek.

- Kiedy nas oczekują?

- W każdej chwili.

- Zatem wezwij którąś z pokojówek. Potrzebuję odrobiny prywatności oraz kogoś do pomocy, aby się przygotować.

Wolałby raczej popatrzeć, jak Miranda się rozbiera i wkłada strój hetery, tyle tylko, że w jej spojrzeniu dostrzegł niemą groźbę, a dobrze pamiętał, jak się rozprawiła z Christopherem St. Johnem. Co prawda nie miała pod ręką dzbana, ale butelka wina wydawała się całkiem skuteczną bronią.

- Jak sobie życzysz, moje złoto. - Wstał niespiesznie. - Nie śpiesz się. Może masz chęć na kąpiel?

Uniosła brew.

- Podejrzewam, że będę musiała się umyć po zakończeniu uroczystości - zagruchała. - Ale i teraz chętnie zanurzę się w gorącej wodzie, aby ukoić nerwy.

- Nerwy, moje złoto?

- Wszystkie panny młode denerwują się przed ślubem, najdroższy. A ja nie chcę zawieść twoich przyjaciół.

Poczuł, że zgrzyta zębami, i natychmiast przestał.

- Wedle życzenia. - Ukłonił się i wyszedł z pokoju.

Miranda powiodła za nim wzrokiem, a gdy zamknął za sobą drzwi, zwiesiła głowę. Musiała spojrzeć prawdzie w oczy. Była mu obojętna i nic nie mogła na to poradzić.

Zerknęła na okna. Ucieczka tą drogą raczej nie wchodziła w grę, gdyż pokój znajdował się na drugim piętrze. Gdyby włożyła pelerynę, pewnie wymknęłaby się z domu, ale wokoło rozciągały się mokradła, a Miranda zbyt mocno stąpała po ziemi, aby przedłożyć śmierć nad hańbę.

Wyciągnęła spod poduszki nóż i popatrzyła na jego ostrze. Czy mogłaby się zdobyć na zasztyletowanie Luciena?

Tak. Gdyby ofiarował ją swoim pobratymcom, a potem sprowadził z powrotem do swojego łoża, pchnęłaby go z całą pewnością.

Czekała w milczeniu, aż służba przyniesie wannę i napełni ją gorącą wodą. Pokojówka, którą przysłano Mirandzie do pomocy, na szczęście milczała, zapewne przyzwyczajona do ekscesów lorda Bromleya i jego przyjaciół. W ciszy umyła Mirandę, wytarła ją ręcznikiem, ubrała w przewiewną kreację, a nawet splotła jej włosy w warkocz, który upięła w pseudoklasycznym stylu.

- Czy jaśnie pani życzy sobie coś jeszcze? - spytała na koniec. - Niektóre damy wolą rozpocząć wieczór od czegoś mocniejszego.

Miranda zamrugnęła oczami.

- Mocniejszego? - powtórzyła.

- Może laudanum albo brandy dla ukojenia nerwów? - zaproponowała pokojówka obojętnie.

- Nie, dziękuję, wystarczy mi kieliszek wina - odparła Miranda po krótkim zastanowieniu. Wolą zachować przytomność umysłu. - Czy możesz poinformować pana hrabiego, że jestem gotowa?

Poczekwała, aż służąca wyjdzie, a potem spojrzała do lustra i wstrzymała oddech. Równie dobrze mogłaby być zupełnie naga. Miała obnażone piersi, wyraźnie widoczny zarys ciała, łona, gołe nogi. Na moment zamknęła oczy i wstrząśnięta popatrzyła na odbicie swojej twarzy. Była blada jak kreda i wydawała się bliska omdlenia. Natychmiast uszczypnęła się w policzki, żeby odzyskać choć trochę kolorów, a potem przygryzła wargi i uśmiechnęła się pogodnie.

Lucien nie powinien nic zauważyć.

Odwróciła się, słysząc za plecami szcęknięcie otwieranych drzwi. Na jej widok Lucien znieruchomiał i dopiero po chwili wahania spokojnie podszedł bliżej.

- Wyglądasz doskonale, moje złoto - ocenił z aprobatą. - Będiesz cudowną panną młodą. A może zmieniłaś zdanie?

Dlaczego o to pytał? Przecież sam ją tutaj sprowadził i chciał tego, co ją czekało.

Miranda uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Zrobię wszystko to, czego ode mnie oczekujesz, najdroższy. Pragnę tego samego, co ty.

- Więc niech tak będzie - oznajmił sztywno.

Sięgnął po pelerynę, zarzucił ją Mirandzie na ramiona i zapiął pod szyją. - Czy dołączymy do innych, skarbie? - Otworzył drzwi.

Wzięła go pod rękę i poprowadził ją ciemnym korytarzem.

- Byłeś tu już kiedyś? - spytała spokojnie.

- Bromley organizuje spotkania co kilka miesięcy - wyjaśnił. - Wpadam tutaj, jeśli nie mam nic lepszego do zrobienia.

- Lubisz obcować z degeneratami?

Uśmiechnął się ponuro.

- Nie zauważyłaś, że jestem jednym z nich?

Mogła się wycofać, zrezygnować ze ślubu, ale wtedy poniosłaby klęskę, a nie chciała przegrywać z Lucieniem. Liczyła na to, że ją uwolni, zabierze z tego okropnego domu, gdyż przecież zależało mu na niej, nawet jeśli nie był gotowy wyznać tego otwarcie.

On jednak szybko szedł naprzód, tego wieczoru bez laski, zupełnie jakby nie mógł się doczekać rozpoczęcia ponurej ceremonii.

Wkrótce dotarli do wielkich, dwuskrzydłowych drzwi, strzeżonych przez dwóch lokajów, którzy ukłonili się Lucienowi. Gdy skinął im głową, jednocześnie otworzyli podwoje.

Wewnątrz rozległ się ryk oczekujących gości.

Rozdział dwudziesty szósty

Miranda uświadomiła sobie poniewczasie, że Lucien trzyma ją za rękę, więc z pewnością czuje zimny pot na jej dłoni. Natychmiast wyrwała ją z jego uścisku i spokojnie rozejrzała się po pomieszczeniu.

W głębi wielkiej sali wznosiła się scena, udekorowana tak, żeby pełnić funkcję ołtarza. Choć Miranda nie wierzyła w opowieści o krwawych ofiarach, i tak jej ulżyło, że zamiast kamienia ofiarnego czekało na nią niskie łóżko. Jej ojciec i dziadek może i nie byli przyzwoitymi dżentelmenami, ale w żadnym razie nie zasługiwali na miano morderców.

Zebrani mieli na sobie przeróżne, dziwaczne stroje, począwszy od habitów, na prostych, obszernych pelerynach z kapturami zasłaniającymi twarze skończywszy. Nic dziwnego, że członkowie Niebiańskich Zastępów pragnęli ukryć tożsamość, skoro podobno wywodzili się z wyższych sfer.

Na powitanie wyszedł im niski, nieco otyły jegomość, zapewne gospodarz, w luźnej tunice, z wieńcem laurowym na rzadkich włosach. Jego twarz ukryta była pod maską kozła.

- Wzywamy was wszystkich na świadków ślubu zawartego w piekle przez naszego drogiego brata Luciena, zwanego Skorpionem, oraz jego wybrankę - oznajmił. - Dla uczczenia ich bezbożnego związku skosztujemy teraz magicznego eliksiru...

Uniósł naczynie w kształcie wielkiego fallusa, a Miranda powiodła wzrokiem po twarzach napierających wokoło ludzi. W pomieszczeniu panował chłód, niemniej oblicza części zgromadzonych zroszone były potem.

Lucien stał u jej boku, jak zwykle milczący i posepny.

Miranda nieoczekiwanie uniosła rękę i rozpięła pelerynę, która z cichym szelestem osunęła się na podłogę. Lucien drgnął, a publiczność ryknęła z aprobatą.

Gospodarz, zapewne lord Bromley, podsunął Mirandzie obsceniczny kielich.

- Przyjmij naszą komunię, mroczna damo, a wtedy...

- Dziękuję, nie jestem zainteresowana - oświadczyła chłodno. - To wygląda wyjątkowo niehigienicznie i nawet nie chcę wiedzieć, co jest w środku.

W sali zapadła grobowa cisza, jakby zebrany objawił się sam diabeł.

- Hm... No, tak - wykrztusił skonfundowany jegomość w koziej masce i wręczył naczynie słudze. - Zatem wzywamy moce ciemności, Belzebuba i jego upadłe anioły, aby przeklął ten związek...

Miranda przewróciła oczami.

- Wielkie nieba - westchnęła głośno. - Chyba nie sądzi pan, że przywoła diabła? Wątpię, aby pan w ogóle w niego wierzył. Jakie to męczące. Czy możemy przejść do rzeczy? - Zauważyła, że z łatwością udaje znudzoną irytację.

Gospodarz popatrzył na nią z wściekłością.

- Najpierw musisz dowieść swojej wartości - oznajmił. - Niech pan młody zaprowadzi wybrankę do małżeńskiego łóża.

Dobrze przynajmniej, że nie nazwał go znowu Skorpionem, gdyż na pewno zaczęłyby chichotać. Może nie powinna była raczyć się kieliszkiem wina przed ceremonią, ale nie zdołałyby znieść tego wszystkiego zupełnie na trzeźwo.

Lucien przez chwilę stał nieruchomo, ale w końcu wziął ją pod rękę i poprowadził do ołtarza. Miranda zerknęła przelotnie na przyszłego męża, który w tej chwili wyglądał jak woskowy manekin, całkowicie obojętny i pozbawiony emocji.

Zatrzymali się przed łóżkiem, a wtedy odwrócił ją twarzą do publiczności.

- Czy dołączasz do nas z własnej, nieprzymuszonej woli, jaśnie pani? - spytał korpulentny prowadzący. - Czy twoim życzeniem jest stać się jedną z nas?

W sali zapadła cisza, a Miranda skierowała wzrok na Luciena.

- Niezupełnie - oświadczyła donośnym głosem. - Takie życzenie wyraził pan hrabia, a moją wolą jest zapewnienie mu szczęścia.

Czuła się tak, jakby uśmiech po raz ostatni zagościł na jej ustach.

Wśród tłumu rozszedł się szmer komentarzy, ale wyglądało na to, że jej słowa zostały uznane za przyzwolenie.

- Pan hrabia zechce spocząć - ciągnął gospodarz i wziął Mirandę za rękę.

Natarczywy tłum napierał coraz bardziej, odpychając Luciena, a jegomość w masce kozła poprowadził pannę młodą do łóża. Do licha, pomyślała z rezygnacją Miranda.

Najwyraźniej źle rozegrała tę partię. Była niemal pewna, że Lucien się zbuntuje, zabierze ją stąd, ale on nie robił nic, aby ją uratować.

Miała chęć poddać się odrażającemu rytuałowi tylko po to, aby zrobić Lucienowi na złość.

Zerknęła na łóżko. Najwyraźniej ci ludzie oczekiwali, że będzie publicznie swawoliła, i wszystko wskazywało na to, że Lucien będzie się temu biernie przyglądał.

Miranda zaczęła się zastanawiać, co by się stało, gdyby teraz wrzasnęła i z całej siły zdzieliła tę ohydną, zamaskowaną pokrakę. Co ją przed tym powstrzymywało, może nadzieja? Skąd, utraciła ją dawno temu. Duma? Jak mogła myśleć o dumie, stojąc praktycznie nago przed tyloma ludźmi?

Niepotrzebnie zrzuciła pelerynę, choć nikt tego nie żądał. Była głupia i teraz musiała cierpieć przez własną bezmyślność.

Pokraka zaintonował coś o więziach poddaństwa, ale ona nie zwracała na niego uwagi. Otworzyła usta, żeby posłać ich wszystkich do czorta, ale w tej samej sekundzie ktoś owinął jej wargi aksamitnym szalem, a ktoś inny związał jej nadgarstki.

Wpadła w panikę. Napastnicy zarzucili jej na głowę kaptur, unieśli ją i położyli na łóżku. Usiłowała walczyć, ale przytrzymały ją niezliczone dłonie, z którymi nie miała szansy wygrać.

- Nie ma się co przejmować, że tak się szamocze - usłyszała czyjś głos. - To tylko część uroczystości. Sama nam pozwoliła, nikt jej nie zmuszał, więc możemy...

- Zabierać łapy od dziewczyny.

Miranda usłyszała słowa Luciena i znieruchomiała na łożu, cały czas czując obce dłonie na ramionach i na nogach.

- Powiedziałem coś - warknął z morderczym spokojem. - Zabiję każdego, kto ją tknie.

Ludzie momentalnie odsunęli się od Mirandy, która próbowała usiąść. Kręciło się jej w głowie i trzęsła się z przerażenia, poczuła jednak, że Lucien bierze ją w ramiona, a potem przecina więzy. Gdy ściągnął z jej głowy kaptur, zamrugła oczami, on zaś rozwiązał aksamitny szalik na jej głowie i rzucił go na podłogę.

- Chyba jestem bardziej zaborczy, niż sądziłem - oznajmił i pociągnął ją za rękę, żeby wstała.

Po chwili zdjął swoją czarną pelerynę i okrył prawie nagą Mirandę. Dygotała, lecz postanowiła nie okazywać słabości przed zbieraniną żalosnych pomyleńców. Lucien objął ją w talii, żeby nie upadła, a choć oczy zaszyły jej łzami, z kamienną miną ruszyła do wyjścia. Tuż przed drzwiami Lucien zatrzymał się, rozejrzał po twarzach ludzi w tłumie, a wtedy poczuła, jak jego ciałem wstrząsa dreszcz. Po chwili poprowadził ją dalej, nie mówiąc ani słowa.

Gdy szli na dół, odprowadzały ich ciekawskie spojrzenia, ale Lucien ze stoickim spokojem wziął Mirandę na rękę i w całkowitym milczeniu przeniósł ją do powozu. Drżał, idąc z nią w ramionach, a ona nie wiedziała, czy jest tak ciężka, czy też Lucien walczy z silnymi emocjami. Żałowała, że nie waży trzydzieści kilogramów więcej, należałoby mu się.

Pomyślała, że jeśli pozostała mu choć odrobina przyzwoitości, to pozwoli jej wrócić samotnie, ale było jasne, że ten człowiek jest ulepiony z zupełnie innej gliny niż ona. Wszedł za nią do środka i wyciągnął ręce, aby ją przytulić, a wtedy kopnęła go mocno i uciekła na kanapę naprzeciwko, gdzie z zaciętą miną wcisnęła się w kąt. Lucien nie mógł widzieć jej miny. Gdyby ją ujrzał, zrozumiałby, że nie powinien nawet próbować jej dotykać.

Nie odezwał się ani słowem. Po chwili powóz ruszył, a Miranda poczuła, że Lucien okrywa ją grubym, ciepłym futrem. Najchętniej strząsnęłaby je z siebie na podłogę i na dodatek podeptała, ale trzęsła się z zimna. Zamknęła oczy, żeby całkowicie odizolować się od tego potwora, gdy uświadomiła sobie, że jego powóz przez cały czas stał w gotowości do szybkiego wyjazdu.

Niebywale interesująca sprawa, pomyślał Christopher St. John, gdy dyskretnie wycofywał się z tłumy. Przyszła hrabina Rochdale powiedziała Niebiańskim Zastępom do słuchu, a jej narzeczony jak zwykle wykazał się imponująco zimną krwią, częstując zebranych swoją żoną tak, jakby była butelką przedniego porto.

Najciekawsze było jednak to, że w ostatniej chwili zmienił zdanie, powstrzymał rozochoczone towarzystwo i wyniósł Mirandę niczym szlachetny zbawca.

St. John specjalnie ustawił się tak, aby Rochdale go zobaczył. Reakcja hrabiego była dokładnie taka, jak należało się spodziewać. Lucien sądził, że jego dawny druh bawi na kontynencie, dokąd zbiegł po niepowodzeniu z Mirandą. Teraz jednak wrócił, a mina hrabiego jasno wskazywała na to, że jego oblubienica nie ma pojęcia, kto wynajął St. Johna. Skoro Rochdale utrzymywał ten fakt w tajemnicy, zapewne będzie chciał czynić to nadal, a nawet słono zapłacić za dyskrecję.

St. John musiał przyznać, że fortuna kołem się toczy i nigdy nie wiadomo, na którym polu się zatrzyma.

Postanowił dowiedzieć się, gdzie szukać hrabiego Rochdale, gdyż zamierzał złożyć mu krótką wizytę. Szantaż zawsze sprawdzał się lepiej niż zemsta, ale był gotów na wszystko, gdyby Skorpion nie chciał płacić. Ten człowiek umiał zastraszyć ludzi, ale tym razem to on trzymał w dłoni wszystkie atuty.

Tymczasem jednak miał ochotę się zabawić. Z uśmiechem na ustach odwrócił się i zmieszał z tłumem.

Jacob wcale nie miał zamiaru budzić panny Pagett. Kiedy nocą powóz nieoczekiwanie zahamował, on ostrożnie odsunął się od śpiącej, cicho uchylił drzwi i wyskoczył na zewnątrz. Po krótkiej rozmowie z Simmonsem, jednym z najlepszych woźniców w Londynie, jak najdyskretniej wdrapał się z powrotem do środka, ale Jane już nie spała.

- Co się stało? - spytała sennym głosem.

- Jeden z koni zgubił podkowę - wyjaśnił. - Następna gospoda jest tuż, tuż, ale musimy się liczyć z opóźnieniem.

Zauważył, że zrobiła się niespokojna.

- A jeśli przyjedziemy poniewczasie?

- Bez obaw, dziewczyno - powiedział łagodnie, kiedy powóz ruszył ponownie, tym razem w ślimaczym tempie. - Skorpion z pewnością zaopiekuje się twoją przyjaciółką. Jest bardziej niebezpieczny, niż ci się wydaje, i na pewno nie pozwoli nikomu jej tknąć. Sama się przekonasz, że zmienił zdanie.

Nie wydawała się pokrzepiona, więc chciał usiąść przy niej i ją pocieszyć, ale powstrzymała go, unosząc rękę.

- Nie musi pan mnie uspokajać - oświadczyła stanowczo. - Nie jestem dzieckiem.

Po prostu martwię się o przyjaciółkę.

- Wiem, dziewczyno. A ja...

- Proszę zwracać się do mnie panno Pagett. - Mówiła piskliwym, zdenerwowanym głosem. - I nie obchodzi mnie, jak bardzo to pana irytuje.

- Nie irytuje mnie to ani trochę... panno Pagett - zapewnił ją, przekrzywiając głowę. - Po prostu jestem zaskoczony. Czyżbym panią obraził?

- Ależ skąd - zaprzeczyła zdenerwowana Jane.

Na szczęście w mroku nie widziała szerokiego uśmiechu na jego ustach, który jednak przygasł, gdy w blasku księżycy Jacob zauważył w jej oczach łzy.

- Co jest, dziewczyno? - spytał łagodnie. - Tak bardzo martwisz się o przyjaciółkę?

- Tak. - Pociągnęła nosem. - Przecież tylko z jej powodu jestem tutaj, z panem, w środku nocy...

Przysunął się do niej i ostrożnie wziął ją w ramiona. Był przygotowany na to, że Jane zacznie się wrywać, ale ona wybuchła płaczem i wtuliła twarz w jego ramię. Szepotał kojące, ciche słowa tak długo, aż wreszcie się uspokoiła.

- Nie musisz tego robić - powiedziała ze smutkiem w głosie.

- Nie muszę trzymać dziewczyny w ramionach? To dla mnie bolesne wyzwanie, ale jestem gotów mu sprostać.

Usłyszał jej przyciszony chichot i lekko się wyprostował. Położył dłoń na karku Jane i zaczął go delikatnie masować, aby rozluźnić spięte mięśnie. Nie wyraziła sprzeciwu, więc chwilę później pogłaskał ją po szyi, wyraźnie wyczuwając przyśpieszone tętno. Tak łatwo byłoby pocałować ją teraz w usta tak jak tej pamiętnej nocy, dawno temu... Gdyby jednak to uczynił, musiałby posadzić ją sobie na kolanach, a wtedy mógłby nie wytrzymać napięcia i wprawić siebie oraz ją w zakłopotanie. Chociaż z drugiej strony Jane pewnie nawet nie wiedziałaby, co się stało.

Coraz lepiej poznawał Jane. Kochała go i podziwiała, a gdyby istniał choćby cień szansy na to, aby zgodziła się zostać jego żoną, byłby dla niej najlepszym mężem pod słońcem. Przekazał już Gildię Żebaczą Jemowi i Gracie, a miał dostatecznie dużo pieniędzy, żeby wieść wystawne życie i nigdy nie przejmować się wydatkami.

Wolał jednak nie płoszyć Jane pochopnymi propozycjami, więc tylko głaskał ją po szyi, lekko muskając jej obojczyk. Nie mógł się oświadczyć, gdyż na pewno nie chciała by go na męża. Dlatego nie zamierzał jej całować, nawet jeśli miała na to ochotę. Była przecież taka czysta, nieskalana, w przeciwieństwie do niego...

- Zabieraj łapska - warknęła jego subtelna ukochana.

Rzecz jasna, puścił to żądanie mimo uszu i obrócił ją twarzą do siebie.

- Dosyć tego, Janey - zdecydował. - Masz mi natychmiast powiedzieć, co cię ugryzło.

- Nic mnie... - Zasłonił jej usta dłonią, żeby ją uciszyć.

- Tylko bez kłamstw, słoneczko. Zachowujesz się tak, jakbyś chciała poderżnąć mi gardło, więc muszę wiedzieć dlaczego.

- Nie lubię... nie lubię, kiedy ktoś mnie dotyka.

Tym razem była na tyle blisko, że wyraźnie ujrzała jego szeroki uśmiech.

- Ejże, to nieprawda - zaproponował. - Kiedy cię dotykam, mruyczysz jak zachwycone kociątko.

- Ani trochę. Nie ma potrzeby, żebyś... użalał się nade mną. Czuję się dobrze i dam sobie radę. I nie musisz mnie tulić tak, jakbym była dzieckiem.

- Wcale nie użalam się nad tobą. - Miał wrażenie, że zaczyna rozumieć powody smutku i irytacji Jane. - I wierz mi, nie tuliłbym tak żadnego dziecka.

- Daj spokój - westchnęła z niekłamany żalem.

Sytuacja stała się tak absurdalna, że Jacob postanowił wyznać wszystko, co mu leżało na sercu, kiedy nagle powóz zahamował przed gospodą.

Jacob w jednej chwili wyskoczył na zewnątrz, żeby tylko nie powiedzieć Jane prawdy o tym, co do niej czuje. Jeszcze nie musiał tego robić, jeszcze nie nadszedł odpowiedni moment. Gdy się odwrócił, żeby pomóc jej wysiąść, już stała przed powozem, rozprostowując zdrętwiałe kończyny.

- Dziewczyna chce coś jeść? - spytał gospodarz, ale Jane pokręciła przecząco głową.

- Poproszę tylko łóżko - odparła cicho i grzecznie, ze skromnie spuszczonego wzrokiem.

- Każę Simmonsowi przynieść kufer - zaproponował Jacob uprzejmie.

- Bardzo dziękuję. - Dygnęła i weszła po schodach do budynku.

Jacob powiódł za nią wzrokiem. Śmiertelnie obraził Jane, co do tego nie miał wątpliwości. A może uświadomiła sobie, że postępuje wyjątkowo głupio, uciekając w towarzystwie złodzieja? Nie zamierzał prosić jej o wyjaśnienia, gdyż tylko narobiłby obojgu kłopotów, a odpowiedź zapewne nie przypadłaby mu do gustu.

Simmons rzucił mu mały kufer, a Jacob złapał go bez najmniejszego trudu. Skrzynka była mniej więcej takiej wielkości jak ta, którą ogłuszył narzeczonego Jane, więc z przyjemnością zważył ją w rękach i dopiero potem postawił przed schodami, aby gospodarz zaniósł bagaż do pokoju.

- Ja się zajmę końmi, Jacobie - zapowiedział Simmons. - Kompres i nocny wypoczynek powinny pomóc, a nowe konie wypożyczymy w następnej gospodzie, o ile nadal tak ci spieszno.

Jacob zerknął na schody i zamknięte drzwi, po czym znowu skierował wzrok na Simmonsa.

- Może lepiej będzie dać koniowi dodatkowy dzień i noc wolnego - zasugerował z wahaniem.

- Twoja panienka robi problemy? - spytał Simmons ze współczuciem.

- Bywało gorzej. Dam sobie radę.

- Kiedy Jacob Donnelly trafi na kobietę, z którą nie będzie sobie radził, to ja całkiem dam sobie spokój z babami. Wtedy stracimy wszelką nadzieję. - Simmons westchnął ciężko.

Jacob ugryzł się w język, gdyż miał ochotę powiedzieć mu, żeby się przygotował na dożywotni celibat. Jane Pagett okazała się wyjątkowo trudną sztuką i jeden Bóg raczył wiedzieć, jak się to wszystko zakończy.

Po dwóch szklaneczkach zacnej irlandzkiej whisky odprężył się na tyle, że gotów był udać się na spoczynek. Niestety, jego pokój znajdował się na piętrze, po sąsiedzku z Jane, co oznaczało, że czeka go jeszcze wiele godzin niespokojnego przewracania się z boku na bok i rozmyślania o ukochanej.

Posnuł się po schodach na piętro. Gdy dotarł do pokoju, szeroko otworzył okno, przez cały czas myśląc o dziewczynie, którą miał na wyciągnięcie ręki. Gdyby był pijakiem, a Jane szklanką whisky za grubą szybą, z pewnością czułby się identycznie. Miał ochotę poderżnąć sobie gardło.

Cisnął płaszcz i kamizelkę na podłogę, a potem umył się w zimnej wodzie i ponownie włożył luźną koszulę. W samym środku łóżka znajdowało się niewygodne zagłębienie, w którym się ułożył. Bywało, że sypiał w gorszych warunkach, a teraz pragnął tylko uwolnić umysł od panny Jane...

Nagle wyraźnie dobiegł go jej płacz. Jacob uważał się za człowieka niespecjalnie wrażliwego, w dodatku nie przepadał za mażącymi się kobietami. Jane jednak była inna. Nie mógł beczynnie leżeć i słuchać, jak ona cierpi.

Wstał z łóżka, a gdy uchylił drzwi, nagle zapadła cisza, zupełnie jakby Jane go usłyszała. Jacob wiedział, że powinien wrócić do swojego pokoju, ale zabrakło mu silnej woli. Nie zaprzatając sobie głowy pukaniem, najzwyczajniej w świecie władował się do jej sypialni i zamknął drzwi na zasuwę.

Jane leżała w łóżku pośrodku pokoju, również przy otwartym oknie, przez które wpadał łagodny, wiosenny wietrzyk. Na widok Jacoba zamarła.

Do diaska ze szlachetnymi planami, pomyślał z desperacją. Cokolwiek się zdarzy, pragnął mieć tę dziewczynę tylko dla siebie, na zawsze. Szybko przemierzył pokój, ujął jej twarz w dłonie i pocałował ją mocno, z całego serca. Jane cicho załkała.

- Jane - zaczął niepewnie. - Robiłem, co w mojej mocy, żeby zachowywać się jak dżentelmen, choć bardzo pragnąłem cię pocałować. Bałem się jednak, że jeśli zacznę, to nie będę mógł skończyć, a wtedy zrobię ci coś znacznie gorszego i...

- Znacznie gorszego? - powtórzyła oszołomiona.

Zaśmiał się mimowolnie.

- Tak czy owak, w ogóle nie powinienem robić ci tego, o czym dobrze wiesz - płatał się. - Nie pochodzę z twoich sfer.

- Nie wierzę ci - jęknęła głucho. - Po prostu mnie nie chcesz.

- Wielkie nieba, kochana - westchnął i położył jej dłoń na swojej męskości. - Masz pojęcie, co to takiego?

Podskoczyła wystraszona, ale nie cofnęła ręki. Przeciwnie, kilka razy przesunęła delikatnymi palcami tam i z powrotem, jakby poznawała bliżej nową zabawkę.

- Na litość boską, Janey! - wychrypiał, odsuwając jej dłoń. - Niebezpiecznie sobie poczynasz. W pewnym momencie mężczyzna może stracić panowanie nad sobą.

Jane nie ruszała się z miejsca, jakby usiłowała przyswoić sobie nowe wiadomości.

- Wiem, co to takiego - oświadczyła nagle. - Chcesz mnie pocałować, a potem włożyć mi to do środka.

- Dziewczyno - wykrztusił. - Nawet sobie nie wyobrażasz, co chciałbym ci zrobić. Mam ochotę iść z tobą do łóżka i nie wychodzić całymi dniami. Pragnę mieć ciebie w dzień i w nocy, przez całe życie, a jeśli mi nie wierzysz, spójrz na rękę.

- Na rękę? - powtórzyła zdeorientowana i opuściła wzrok. Na jej palcu lśnił wielki, migoczący brylant. - Kiedy to zrobiłeś?

- Przed sekundą, ukochana. Jesteś moja i dobrze o tym wiesz. Po prostu chciałem zachować się uprzejmie.

Zastanawiała się, a on patrzył na jej mokre od łez policzki. Czy naprawdę sprawił jej aż taki ból?

- Udowodnij.

- Co mam udowodnić? - spytał z roztargnieniem, gdyż ponownie pogłaskała go w okolicach rozporka.

- Udowodnij, że naprawdę mnie chcesz. - Cofnęła rękę, a on miał ochotę ją błagać, żeby nie przestawała. Tymczasem odrzuciła koldrę, odsłaniając cienką halkę. - Skoro mnie pragniesz, to zrujnuj mi życie. Potem nie będziemy mieli wyboru.

Nigdy w życiu nie spotkał się z równie kuszącą propozycją, ale ciągle się wahał.

- Raczej nie nazwałbym tego rujnowaniem życia, dziewczyno...

Chwyliła go mocno za poły koszuli i przyciągnęła.

- Proszę cię... - wyszeptała.

- Jak mógłbym zlekceważyć tak uprzejmą prośbę? - spytał i przywarł do niej całym ciałem.

Starał się postępować jak najdelikatniej, całował ją i głaskał, wprawnymi dłońmi wywoływał u niej rozkoszne dreszcze, ale wiedział, że prędzej czy później będzie musiał

zadać jej ból. Gdy w końcu odebrał jej dziewictwo, zamarł w oczekiwaniu na potoki łez i krzyk bólu.

- To tyle? - szepnęła.

Jacob zastanawiał się, czy nie powinien przypadkiem się obrazić.

- Tak się składa, dziewczyno, że podobno jestem dość hojnie obdarowany przez naturę... - zaczął.

- Nie, chodzi mi o to, czy to był cały ból?

Popatrzył na jej przejętą, niewinną twarz.

- Na to wygląda.

- Och. - Uśmiechnęła się lekko. - Nie było tak źle. W takim razie możesz teraz zrobić coś znacznie gorszego.

- Gorszego?

- Przecież sam mnie przed tym ostrzegałeś, Jacobie. - Spojrzała na niego z miłością, po raz pierwszy zwracając się do niego po imieniu.

Pocałował ją w usta.

- Dam z siebie wszystko, dziewczyno - zapowiedział.

I dotrzymał słowa.

Miranda miała nadzieję, że prześpi całą drogę powrotną do Pawlfrey House, zwłaszcza że wcześniej uraczyła się winem. Niestety, nie zdołała zasnąć nawet na minutę. Targały nią sprzeczne emocje, była wściekła i nadal trochę przestraszona, ale też czuła ulgę i nadzieję. Skupiła się na kołysaniu powozu, na śpiewie nocnych ptaków, na zapachu powietrza, ale nieustannie wyczuwała bliskość mężczyzny, który siedział naprzeciwko niej. Odnosiła wrażenie, że ten człowiek nie jest Skorpionem, błyskawicznie zadającym śmierć, lecz pajakiem, który pojmał ją w utkane przez siebie sieci. Walczyła, miała się, jednak jej wysiłki pozostawały nadaremne.

Dotarli do Pawlfrey House dopiero przed świtem. O tej porze wielki, stary budynek wyglądał na zimny i opuszczony. Lucien wysiadł z powozu i wyciągnął rękę, żeby pomóc Mirandzie, ale ona zignorowała go i sama zeskoczyła ze schodków. W tej samej

chwili otworzyły się drzwi wejściowe do domu i stanął w nich jeden z nowych lokajów, zaspany i zdumiony, ale gotów służyć jaśniepaństwu.

- W tym miejscu się rozstajemy - oświadczył Lucien oficjalnym tonem, nawet nie próbując jej dotknąć. - Wybieram się na przejażdżkę.

Nie zareagowała na jego słowa, zupełnie jakby nic dla niej nie znaczyły. Z obojętną miną skierowała się do domu, w myślach życząc Lucienowi upadku z konia i skreślenia karku. Całkiem dobrze radziłaby sobie sama w tym domu, tylko musiałaby wyrzucić z niego panią Humber. Miranda była tak wściekła, że zapomniała, że nie jest jego żoną i nie ma prawa do jego majątku.

Istniała niewielka szansa, że nosiła jego dziecko. Niektóre kobiety zachodziły w ciążę błyskawicznie, jakby pod wpływem samego spojrzenia mężczyzny, inne czekały latami. Miranda nie miała pojęcia, do której grupy pragnęłaby należeć, i z pewnością nie zamierzała tracić czasu na tego typu rozważania. W tej chwili marzyła tylko o tym, by rzucić z siebie obrzydliwy przydzwiek i iść do łóżka.

Bridget zapewne została uprzedzona o jej powrocie, gdyż czekała w pokoju, ubrana w przepisowy uniform. Kiedy rozpięła pelerynę i rzuciła okiem na strój Mirandy, otworzyła szeroko usta i dopiero po chwili zamknęła je z powrotem.

- Zdejmij to ze mnie - wycedziła Miranda przez ściśnięte gardło, szarpiąc złote rzemyki przy talii.

Pokojówka natychmiast zabrała się do rozplątywania kokardek, ale ze zdenerwowania trzęsły się jej ręce i nie mogła dać sobie rady. Mirandę szybko poniosły nerwy.

- Zdejmij to ze mnie! - krzyknęła histerycznie, coraz mocniej zaciągając supły. - Nie wytrzymam tego dłużej! Nie obchodzi mnie, co z tym zrobisz, tylko zabierz to wreszcie! Potnij to, rozerwij!

Bridget bez namysłu rozcięła płataninę poślacanych rzemieni. Strój osunął się na podłogę, a Miranda wybuchła płaczem. Szlochała i łkała bez opamiętania, aż służąca objęła ją mocno i przytuliła jak małe dziecko.

- Już dobrze, jaśnie pani, nie ma co płakać. Przecież przywiózł jaśnie panią, tak? Pani Humber mówiła, że jaśnie pani to w ogóle nie wróci, ale ja wiedziałam swoje i czekałam, aż jaśnie pani przyjedzie. - Przygarnęła naga, roztrzęsioną Mirandę do swoich ob-

fitych piersi. - Jaśnie pan nie taki straszny, jak gadają, a jakby mnie kto pytał, to jemu zależy na jaśnie pani, czy tego chce, czy nie.

- Nie pytałam cię - zauważyła Miranda z przygnębieniem, kiedy Bridget pomagała jej włożyć czystą, białą halkę. - Nie interesuje mnie, co on lubi, a czego nie. Nic mnie nie interesuje.

- Pewnie, że tak, jaśnie pani - uspokajała ją pokojówka. - Nie dziwota. A teraz włożymy nocną koszulę i pójdziemy spać.

Miranda pokręciła głową.

- Nie chcę koszuli, dobrze jest tak, jak jest - westchnęła płaczliwie. - Chcę spać...

- Tak, jaśnie pani. - Bridget otuliła ją śnieżnobiałą pierzyną, czystą i pachnącą świeżością.

Miranda ułożyła się wygodnie i zamknęła oczy, by już po chwili zapaść w kojący sen.

Rozdział dwudziesty siódmy

Lucien gnał, co koń wyskoczy, przemierzając pola i łąki, skapane w porannym słońcu. Czuł, że oszalał, i powinien trafić do zakładu dla obłąkanych. Co go opętało, u licha? Zemsta idealna była na wyciągnięcie ręki. Wystarczyło tylko, żeby odwrócił się na pięcie i wyszedł, a tymczasem wziął Mirandę na ręce, jak jakiś przeklęty bohater romantyczny, przywiózł ją do domu i zostawił.

Na domiar złego zauważył Christophera St. Johna, który stał na skraju tłumu i bacznie im się przyglądał. Było jasne jak słońce, że katastrofa wisiała na włosku.

Gdyby miał szansę dotrzeć teraz do Londynu, bez wahania ruszyłby w drogę. Skierował się nawet w stronę stolicy, kiedy prawda uderzyła go z siłą huraganu.

Zakochał się w Mirandzie, choć podobno nie wierzył w miłość. I pomyśleć, że uwiodła go krucha dziewczyna, przycięła mu skrzydła, skupiła na sobie całą jego uwagę.

Do diaska, zaklął w duchu.

Był głupcem, gdyż jej nie doceniał. Teraz jednak zdiagnozował problem i mógł zastosować prostą kurację. Postanowił pozbyć się Mirandy, odesłać ją do Londynu, na kontynent albo nawet do swoich posiadłości na Jamajce, byleby na zawsze zapomnieć o jej istnieniu. Z całą pewnością nie mógł tak dłużej żyć. Uznał, że ożeni się z nią, żeby zapewnić jej spokojne życie, a potem zrobi wszystko, aby więcej jej nie widzieć.

Zawrócił do Pawlfrey House. Ludzie różnie o nim mówili, jednak nikt nie mógł zarzucić mu tchórzostwa. Gdy zatrzymał się przed domem, słońce świeciło wysoko na niebie, a jezioro lśniło niczym brylanty, które niedawno ukraść Jacob. Lucien rzucił wodze stajennemu i polecił dosypać wierzchowcowi dodatkową porcję ziarna. Wiedział, że gdy Miranda zniknie mu z oczu, nie będzie już musiał jeździć po nocy ani uczestniczyć w spotkaniach Niebiańskich Zastępów. Dzięki Bogu. Zawsze uważał tych ludzi za nudziarzy, choć podobały mu się igraszki. Z czasem jednak ta wymuszona deprawacja straciła swój urok i świeżość, a durne rytuały wydały mu się żalosne. Teraz pragnął kochać się wyłącznie z Mirandą i narastało w nim przekonanie, że tak będzie zawsze. Dlatego powinien wysłać ją za ocean - nie znał innego lekarstwa na swoją dolegliwość.

Pośpiesznie wbiegł na trzecie piętro, prosto do jej pokojów, by kuć żelazo, póki gorące. Szybko podszedł do drzwi Mirandy i nacisnął klamkę.

Zamknęła się na klucz.

W starym budynku nie brakowało starej broni, a na końcu korytarza stała rycerska zbroja. Niewiele myśląc, Lucien podbiegł do niej, sięgnął po topór bojowy i natarł na zablokowane drzwi. Wystarczyło jedno solidne uderzenie, aby rozłupać drewno i zmiażdżyć ozdobną klamkę.

Lucien pchnął zdemolowane drzwi i wpadł do środka, po czym rąbnął nimi z całej siły o framugę. Nie pomyślał tylko, że z uszkodzonym zamkiem drzwi nie zdołają się zatrzasnąć, więc odbiły się, uderzając go mocno w pośladki. Lucien zaklął cicho, pośpiesznie sięgnął po krzesło i zablokował nim drzwi.

Dopiero wtedy odwrócił się i ruszył prosto ku Mirandzie.

Obudziła się, wystraszona hałasem, i machinalnie podciągnęła kołdrę pod szyję, spoglądając na Luciena przerażonym wzrokiem. Stał w jej sypialni i trzymał w dłoniach imponujący, średniowieczny topór. Przez moment była pewna, że ten szaleniec zaraz odrąbie jej głowę, ale wcale jej to nie wystraszyło.

Lucien rzucił broń na podłogę i z pozornym spokojem zbliżył się do wielkiego łóżka.

- Drzwi były zamknięte - wyjaśnił niepotrzebnie.

- Przed tobą.

- Następnym razem lepiej się zastanowisz.

Powinna uśmiechnąć się do niego, ale straciła tę umiejętność, kiedy zostawił ją na pastwę człowieczka w ohydnej masce kozła.

- Czego chcesz? - spytała ponuro.

- Porozmawiać.

- Nie mam ochoty. - Ostatecznie przestała udawać rozszczebiotaną kochankę.

- Sądziłem, że jestem twoim ukochanym, miłością twojego życia - mruknął, siadając na jednym z eleganckich krzeseł.

- Jesteś podłym, zdradzieckim, zdegenerowanym potworem - wysyczała z wściekłością. - Zawsze mi to powtarzałeś, a teraz przyznaję ci rację: Odejdź.

- Uratowałem cię - zauważył.

- Sama nie wiem dlaczego. Tak na marginesie, jesteś uboższy o jeden ze swoich cennych eksponatów. Ukradłam sztylet z twojej kolekcji broni i zostawiłam go w domu twoich zwyrodniałych przyjaciół.

- Niezupełnie - oświadczył z rozbawieniem. - Wyjąłem go spod poduszki i zawczasu przenieśliśmy do powozu.

- Wiedziałaś, że mam broń? - Zmrużyła oczy.

- Jak najbardziej.

- Powinnaś była cię dźgnąć, kiedy nadarzała się sposobność.

Uśmiechnął się, a Miranda nabrała ochoty, żeby go udusić.

- Jeśli zaraz nie wyjdiesz, będę wrzeszczeć - warknęła.

- Nic ci z tego nie przyjdzie, aniele. Pamiętaj, że bawisz w moim domu. Pies z kulawą nogą nie zainteresuje się twoimi krzykami.

- Na pewno nie pani Humber. Ona mnie nienawidzi.

- Absurd, Essie nikogo nie nienawidzi.

- Nie obchodzi mnie pani Humber. Po prostu chcę, żebyś się wyniósł.

- Pamiętaj, że czekał na nas powóz gotowy do drogi - przypomniał jej.

- Niewątpliwie czekał tylko na ciebie. - Wzruszyła ramionami. - Idę o zakład, że zamierzałaś porzucić mnie tam i wyjechać.

Nie zaprzeczył.

- Jak myślisz, dlaczego zmieniłem zdanie?

- Nie mam pojęcia. Pewnie wymyśliłaś jeszcze bardziej podłą i odrażającą zemstę na moich bliskich.

Lucien wstał i podszedł do łoża. Południowe słońce wpadało przez okna, rzucając niezwykle cienie na śnieżnobiałą pościel.

- W istocie, przyszło mi coś do głowy - przytaknął.

- Wreszcie słowo prawdy. Czekam, aż mnie oświecisz.

- Zdecydowałem, że twoi bliscy dostaną szału, jeśli ożenię się z tobą, odizoluję cię od nich i unieszczęśliwię, zaniedbując cię i traktując jak najgorzej.

- Marzę o tym, byś mnie zaniedbywał. Najlepiej kompletnie o mnie zapomnij - poradziła mu.

- Daj mi skończyć. - Uciszył Mirandę, unosząc dłoń. - Potem jednak obmyśliłem jeszcze lepszą zemstę. A gdybym uszczęśliwił cię do tego stopnia, że wcale nie będziesz chciała odejść? Wtedy twoi bliscy będą bezradni. Gdybym cię maltretował, zawsze mogliby wezwać władze na pomoc. Gdybym cię pokochał, nie mieliby nic do powiedzenia i musieliby skapitulować.

- Postradałeś zmysły - oznajmiła. - To, co mówisz, nie ma sensu.

- Obawiam się, że klamka zapadła. - Powoli ściągnął palto, lecz Miranda nawet nie drgnęła.

- Uważasz, że będę leżeć bezczynnie i patrzeć, jak znowu mnie dotykasz? - wycedziła.

- Mam nadzieję, że wykażesz inicjatywę. Będzie znacznie ciekawiej, jeśli zechcesz aktywnie uczestniczyć w tym, co planuję. - Kamizelka wylądowała na podłodze.

- Więc oczekujesz, że wstanę z łóżka i przejdę z tobą do garderoby, żebyś nie mogła cię oglądać? Twój obłęd nie zna granic.

- Tylko w odniesieniu do ciebie. - Usiadł na krześle i ściągnął buty.

Potem wstał, a gdy zdjął koszulę, pierwszy raz ujrzała go w pełnym świetle dnia.

Wyglądał pięknie, miał szerokie barki i muskularne ramiona. Gdy celowo odwrócił się do niej plecami, wbiła wzrok w jego zdeformowane plecy i mimowolnie wstrzymała oddech. Nie mogła uwierzyć, że ktoś przetrwał tak upiorne tortury. Ślady razów krzyżowały się na skórze: jedne były tak głębokie, że sięgały kości, inne wydawały się lżejsze, płytsze. Miranda nie miała pewności, ale wyglądało na to, że powstawały na przestrzeni długiego czasu. Niektóre blizny rozciągnęły się wraz z rosnącą skórą, inne nadal były wąskie. Lucien odwrócił się po chwili i przekrzywił głowę, odsłaniając szramę, przecinającą twarz do wysokości włosów.

- I co? - spytał z pozornym spokojem. - Ryszard Trzeci czy Kaliban?

Uśmiechnęła się z wysiłkiem, choć po jej policzkach spływały łzy.

- „O nowy, wspaniały świecie tych ludzi!”* - zacytowała Miranda z szekspirowskiej *Burzy*. - Zbliź się, ukochany.

Nie wahał się ani przez moment.

* William Szekspir, *Burza*, tłum. Maciej Słomczyński, Zielona Sowa 2000.

Późnym popołudniem leżeli obok siebie, senni i zaspokojeni, a Miranda powoli głaskała Luciena po okaleczonych plecach.

- Czy te rany nadal są bolesne? - spytała cicho.

- Ani trochę - zapewnił ją, nie odrywając twarzy od poduszki.

Pochyliła się i pocałowała jedną z głębokich blizn, potem następną.

Lucien cicho mruknął.

- Przyjemnie - westchnął. - Ale nie trać czasu. Potrzebuję najmarniej godziny, żeby odzyskać siły.

Roześmiała się i opadła na materac, jednak przez cały czas dotykała Luciena.

- Kto ci to zrobił?

Mógł odtrącić jej rękę, ale tego nie uczynił, zupełnie jakby ostatecznie przestał toczyć z nią boje i zaakceptował to, co do siebie czują.

- Macocha - odparł po chwili. - Była obłąkana. Właśnie dlatego Genevieve wychowała się tutaj. Rodzina mojej siostry nie chciała zostawiać jej z szaloną matką. Ja jednak nie byłem ich krewnym, więc stałem się łatwą ofiarą nienormalnej kobiety.

- A twój ojciec?

- Już nie żył. Mieszkaliśmy na Jamajce, ale tutaj nie spotkałoby mnie nic lepszego.

- Skierował wzrok na Mirandę. - Nie płacz, kochana, to sprawy sprzed wielu lat. - Otarł kciukiem łzy z jej twarzy.

- Co się stało z twoją macochą? Co ją w końcu powstrzymało?

- Podejrzewam, że w końcu zatłukłaby mnie na amen, jednak na szczęście którejś nocy się utopiła. Wbrew pozorom, nie przyłożyłem do tego ręki. Miałem wtedy tylko dwanaście lat. Z pewnością zabiłbym ją, gdybym mógł, ale byłem wyjątkowo drobny jak na swój wiek. Nikt mnie nie karmił jak należy, jadłem tylko to, co mi wpadło w ręce.

- Och, Lucienie... - Nie mogła wydobyć z siebie głosu.

- Nie trzeba płakać, dziewczyno - powiedział cicho i okrył ją kołdrą, a następnie wstał i sięgnął po ubranie. Wtedy Miranda po raz pierwszy zauważyła, że blizny sięgają także jego pośladków i przecinają udo. - Mało atrakcyjny widok - powiedział, wyczuwając na sobie jej wzrok.

- Prawdę mówiąc, wręcz przeciwnie. Bardzo mi się podobasz.

- Rozpustnica - zażartował. - Masz świadomość, że drzwi cały czas były otwarte? Nawet nie wiem, czy trzeba wstawić nowe. Chyba będziesz musiała wprowadzić się do mojego różowego pokoju.

Miranda zachichotała, a on spojrzał na nią z uśmiechem.

- Dokąd idziesz? - spytała.

- Mam kilka rzeczy do zrobienia. Chętnie spędziłbym z tobą cały dzień, ale chyba potrzebujesz trochę odpoczynku. Obiecuję, że obudzę cię przed kolacją.

- A jak mnie obudzisz?

- W najbardziej wyuzdany sposób - zapewnił ją chytrze.

Miranda uśmiechnęła się z aprobatą. Wiedziała, że nie ma powodów do obaw, po prostu musiała przywyknąć do szczęśliwego życia u boku kochającego mężczyzny.

- Wróc jak najszybciej - poprosiła znużonym głosem i zapadła w sen, nim jeszcze Lucien zdążył opuścić sypialnię.

Lucien wychodził z różowego pokoju wykąpany, w świeżym ubraniu i z rozmazonym uśmiechem na ustach. Zastanawiał się, czy zakochał się w Mirandzie właśnie teraz, czy też stało się to dużo wcześniej, kiedy płakała w jego ramionach, a potem odwróciła się i pogodnym głosem wygłosiła jakiś komentarz.

- Jaśnie pan ma gościa - odezwał się przy drzwiach jeden z nowych lokajów.

Lucien zamarł. Dom stał na uboczu i przypadkowi goście nigdy tu nie zaglądali, więc mógł to być tylko jeden człowiek. Zjawił się prędzej, niż należało oczekiwać, więc Lucienowi zabrakło czasu na wyjawienie Mirandzie prawdy o przeklętym Christopherze St. Johnie.

- Gdzie jest? - Nie przypominał sobie imienia lokaja, ale to nie miało większego znaczenia.

- W zielonym salonie, jaśnie panie. Powiedział, że nazywa się...

- Znam jego godność. Przekaż mu, że zjawię się lada moment. - Lucien zawrócił do swojego pokoju po pistolet.

Christopher St. John niewiele się zmienił przez ostatnie lata. Nadal był przystojny, jeśli nie liczyć cofniętej szczęki i podwójnego podbródka. Jego ubrania na pierwszy rzut oka wydawały się kosztowne, ale przy bliższych oględzinach stawało się jasne, że uszyto je nie najlepiej, z kiepskiego materiału. A zatem źle mu się wiodło, pomyślał Lucien z satysfakcją.

Christopher St. John jednak się zmienił. Dotychczas zawsze wydawał się wystraszony w obecności Luciena, teraz jednak był nieprzyjemnie pewny siebie. Może w pokoju brakowało Leopolda, który swoją posturą zawsze wprawiał gości w przerażenie.

- Nie wstawaj - rzucił Lucien od progu i ciężko wsparł się o laskę. - Cóż za radość znowu cię widzieć, stary druhu. Odniosłem jednak wrażenie, że miałeś trzymać się z dala od Anglii. Zapłaciłem ci okrągłą sumę za to, byś już nigdy tutaj nie wrócił, prawda?

- Pieniądze zawsze kiedyś się kończą, Rochdale - zauważył St. John lekko szyderczym tonem. Nawet nie próbował się silić na uprzejmość. - Tak się składa, że potrzebuję więcej. Z pewnością mnie wspomozesz, skoro przygarnąłeś tę turkaweczkę, którą miałem okazję poznać od podszewki, że tak powiem.

- Szantaż?

- Och, po co tak mocne słowa, mój drogi. Powiedzmy, że chodzi o to, abyś skorzystał z atrakcyjnej oferty ubezpieczeniowej. Jestem gotów zaproponować ci kupno mojej dyskrecji. Przecież nie chcesz, aby twoja szczebiotka dowiedziała się, że zapłaciłeś mi za jej porwanie i deflorację. Albo, jeśli wolisz, chciałbym prosić cię o drobną pożyczkę.

Lucien pomyślał, że najchętniej wpakowałby tej gadzinie kulę w łeb, ale huk wystrzału zaniepokoiłby Mirandę.

- Jak bardzo drobna ma być ta pożyczka, mój chłopcze?

St. John zwlekał z odpowiedzią, a Lucien domyślił się, że jego gość zastanawia się nad optymalną sumą, nie za wysoką i nie za niską.

- Ułatwię ci sprawę - mruknął Lucien. - Sądzę, że pięć tysięcy funtów wystarczy, abyś wyjechał z Anglii i żył dostatnio aż do śmierci.

Naturalnie, ani przez moment nie wierzył, że St. John da mu spokój raz na zawsze. Był rozrzutny, więc za rok wróciłby po więcej.

St. John w milczeniu rozważał propozycję. Zamierzał uzyskać niższą kwotę, ale skoro Lucien zaczął od pięciu tysięcy, to może należało podbić stawkę?

- Na twoim miejscu przyjąłbym tę ofertę - poradził mu Lucien łagodnie. - Bo mogę się rozmyślić i zastrzelić cię jak psa.

- Nie zrobiłbyś tego. Jak wytłumaczyłbyś moją śmierć swojej damie?

- Bez wątpienia z wielką trudnością, ale czy naprawdę uważasz, że nie potrafiłbym nagiąć jej do swojej woli?

W oczach St. Johna pojawił się strach i Lucien od razu zrozumiał, że wygrał, przynajmniej tę partię.

- Nie masz co do tego żadnych gwarancji - burknął St. John. - Dlatego myślę, że...

- A ja myślę, że powinieneś przestać myśleć, wziąć gotówkę i zniknąć mi z oczu, nim zmienię zdanie - przerwał mu Lucien.

- Chcesz powiedzieć, że masz przy sobie pięć tysięcy? - wykrztusił St. John z niedowierzaniem.

- Owszem, chłopcze. Zawsze warto trzymać pod ręką trochę drobniaków. - Lucien rzucił na stół sakiewkę, którą St. John zgarnął łapczywie i wepchnął do kieszeni.

Gdy wstawał, na jego czole lśniły krople potu.

- Robienie z tobą interesów to prawdziwa przyjemność - powiedział w przypiływie brawury.

- Wątpię - odparł Lucien chłodno.

St. John uklonił się i wyszedł.

Rozdział dwudziesty ósmy

Jacob obudził się u boku Jane i ciężko westchnął. Miał ochotę ponownie kochać się z nią, tak jak uczynił to już dwukrotnie, ale jakiś cholerny idiota w jadalni ryczał, zamiast prowadzić normalną rozmowę. W takich warunkach zaloty nie były możliwe.

Uśmiechnął się, gdy Jane otworzyła oczy.

- Idź spać, kochana - powiedział cicho, całując jej powieki. - Pójdę po herbatę i śniadanie dla ciebie.

- A kąpiel? - zamruczała. - Czy to byłaby przesada, gdybym zapragnęła się wykąpać?

- Zaslługujesz na wszystko, co najlepsze, moja mała - zapewnił ją.

Gdyby gospodarz nie dysponował przenośną wanną, Jacob gotów był poszukać takiej w okolicznych domach.

Na szczęście wanna znalazła się w gospodzie i wkrótce gorąca kąpiel czekała już na Jane. Tymczasem zadowolony z siebie Jacob poszedł do jadalni na poranny kufel piwa.

Przy jednym ze stołów siedziało trzech elegancko ubranych młodzieńców, którzy mogli okazać się znajomymi Jane. Jacob postanowił uprzedzić ją, żeby trzymała się od nich z daleka, tak na wszelki wypadek.

Gdy tylko przekroczył próg sali, wszyscy trzej ściszyli głosy i pochyłili głowy, jakby prowadzili tajną naradę. Głupcy, pomyślał Jacob, nie mają pojęcia, że słyszą ich w całej gospodzie.

- Musimy ruszać w drogę - zdecydował najstarszy z trójki. Młodzieńcy wstali od stołu, a wtedy Jacob zorientował się, że to z pewnością bracia. Co prawda nie byli do siebie przesadnie podobni, ale łączyła ich wyczuwalna bliskość. - Pamiętajcie, jeśli dojdzie do przelewu krwi, biorę wszystko na siebie, bo jesteście młodszy. Poza tym ten człowiek ma pretensje do mnie, więc sam muszę stawić mu czoło.

Psiakość, pomyślał Jacob i wypił następny łyk piwa. Jeśli ci młodzieńcy zamierzali kogoś zabić, to na pewno Skorpiona, gdyż przecież to właśnie on wyzwał w ludziach najgorsze instynkty.

- Przecież była obłąkana, Benedick - zauważył najmłodszy. - Groziła ci pistoletem. Powiedziała, że pozabija nam rodziców. Nikt nie mógł żądać, żebyś ożenił się z wariatką.

- Powiniennem był zadbać o nią, Charles, a przynajmniej dopilnować, żeby nie zrobiła krzywdy ani sobie, ani innym. Nigdy sobie nie wybaczę, że tego nie uczyniłem.

Do diaska, wyglądało na to, że nie tylko Jane wyruszyła na odsiecz Mirandzie. To musieli być przyszli szwagrowie Luciena. Ewentualne spotkania rodzinne nie zapowiadały się szczególnie obiecująco.

Jacob zastanawiał się, co powinien zrobić, gdy na schodach pojawiła się Jane, ze zmierzwionymi włosami i zadowolonym uśmiechem na ustach.

- Wielkie nieba, Jane, co ty tutaj robisz? - odezwał się najmłodszy z mężczyzn.

Tak się gapić na jego Jane! Jacob nie posiadał się z oburzenia.

- Zapewne to samo, co ty, Brandonie - odparła spokojnie. - Usiłuję uratować twoją siostrę. Benedick, Charles, witajcie.

Bracia wpatrywali się w nią z niedowierzaniem. Benedick ochłonął pierwszy.

- Nie wierzę, żebyś była tu sama, Janey - wycodził z dezaprobatą, a irytacja Jacoba przeobraziła się w zaborczą wściekłość.

Jak ten człowiek śmiał tak poufale zwracać się do jego Jane! Jacob usłyszał przyciszony warczenie i ze zdumieniem zorientował się, że wydobyło się z jego gardła.

Jane, jego Jane, uśmiechnęła się do niego łobuzersko.

- Nie tylko nie jestem tu sama, ale w dodatku pozostaję pod niebywale troskliwą opieką - odparła, niesłychanie zadowolona z siebie. - Mój drogi Benedicku, przedstawiam ci mojego narzeczonego, pana Jacoba Donnelly'ego. Panie Donnelly, oto bracia Mirandy i moi przyjaciele z dzieciństwa. Benedick, Charles i Brandon Rohanowie.

Zapadła głucha cisza. Bracia od razu zauważyli, że Jacob nie wywodzi się z ich sfer.

- To jest twój narzeczonego, Jane? - przerwał milczenie najmłodszy. - A co z panem Starym Nudziarzem?

- Nic - odparła Jane ze stoickim spokojem.

- No i dzięki Bogu - odetchnął z ulgą młodzieniec. - Miło pana poznać, panie Jacobie.

- Pan jest tym królem Donnellym? - upewnił się Benedick lodowatym tonem.

- I owszem - przyznał Jacob.

Zastanawiał się, czy czeka go walka z całą trójką, czy tylko z dwoma braćmi. Najmłodszy spoglądał na niego z wyraźną aprobatą, w przeciwieństwie do Benedicka, który wydawał się poirytowany.

- A z jakiegoż to powodu, jeśli wolno spytać... - zaczął, ale Jane nie dała mu dokończyć.

- Nie, nie wolno - ucięła z nietypową dla siebie odwagą. - Może i dorastaliśmy jak brat i siostra, ale moje małżeństwo to nie twoja sprawa.

- Powiedziałaś, że jesteście tylko zaręczeni.

- To się wkrótce zmieni - wtrącił Jacob cicho. - Ma pan coś przeciwko temu?

Benedick niewątpliwie miał coś przeciwko temu, lecz Jane raz jeszcze postanowiła interweniować.

- Przestańcie natychmiast. Nie jestem kością, o którą moglibyście się bić jak dwa psy. Musimy ratować Mirandę, a nie wszczynać burdy. Jak sądzę, przyjechaliście tutaj z jej powodu, prawda?

- Janey, na litość boską, po cóż innego mielibyśmy jechać na koniec świata? - jęknął Charles, a Jacob doszedł do wniosku, że nie znosi, kiedy obcy ludzie używają wobec jego Jane zdrobnienia Janey, nawet jeśli z nią dorastali. - Minęło już ponad dziesięć dni, odkąd znikła. Nie wiem, jak długo rodzina może utrzymywać to w tajemnicy.

- Nie ma potrzeby, panowie, żebyście wszyscy trzej pędzili do Ripton Waters - zauważył Jacob trzeźwo. - Jadę tam z Jane, choć sądzę, że wcale nie będziemy potrzebni. Moim zdaniem państwo młodzi są już po ślubie i nie będą zachwyceni, że zakłóca im się miesiąc miodowy.

Benedick Rohan popatrzył na niego przeciągle.

- Ripton Waters, tak? A jak tam się dostać?

- Dobry Boże - westchnęła Jane. - Jacob ma słuszość. Nie wyobrażam sobie, by Miranda ucieszyła się na widok trzech osiłków, wpadających znieacka do jej nowego domu. Moglibyśmy przesłać jej wiadomość...

- Nie spoczne, póki się nie przekonam, że mojej siostrze nic nie grozi - zakomunikował Benedick.

Spoglądał nieufnie na Jacoba, który nagle zrozumiał, dlaczego przez większość życia zajmował się okradaniem arystokratów. Byli równie sympatyczni jak drzazga w tyłku.

- Mogę wskazać panom drogę do Ripton Waters. Tylko ja wiem, gdzie znajduje się dom. - Uśmiechnął się uprzejmie. - Ale proszę mi obiecać, że zostawią panowie młodą parę w spokoju, jeśli się okaże, iż lady Miranda jest szczęśliwa.

- To mało prawdopodobne. - Benedick wzruszył ramionami. - Nasza siostra darzy mężczyzn głęboką nieufnością i ma po temu istotne powody. Nie wyobrażam sobie, żeby mogła czuć się dobrze przy kimś, kto jest znany jako Skorpion.

- Czy panowie dadzą jej spokój, jeżeli tego sobie zażyczy? - Jacob nie zamierzał ustąpić.

Benedick zerknął na braci, a potem skinął głową.

- Zgoda - potwierdził i ruszył do drzwi, ale na progu odwrócił się i popatrzył na wszystkich wyczekująco. - Na co czekamy?

Wyższe sfery, pomyślał Jacob z ironią. Cóż, dla Jane gotów był znieść wszystko, nawet arystokrację.

Westchnął i spojrzał na narzeczoną.

- Wkrótce do panów dołączymy - zapowiedział, a gdy tylko zostali sami, przyciągnął Jane do siebie i pocałował w usta. - Nic jej nie jest - zapewnił ją po chwili. - Skorpion nie zrobiłby jej krzywdy. Wierz mi, w ostatecznym rozrachunku nie jest tak taki zły, jak mu się wydaje.

- Obyś miał rację - westchnęła z powątpiewaniem.

- Znam go od ponad dwudziestu lat, kochana. Wiem, co robi, a czego nie. Na miejscu zastaniemy ich oboje w małżeńskim łóżu, a Lucien nie podziękuje mi za to, że przywlokłem ze sobą jej trzech natrętnych braci.

- Ja też muszę się z nią spotkać - powiedziała cicho. - Nie zrozum mnie źle, wierzę ci, ale chcę pożegnać się z Mirandą, nim pojedziemy do Szkocji. Byłoby dobrze, gdyby cię poznała.

- Zatem w drogę. - Pocałował ją ponownie.

Teraz pozostało mu jedynie mieć nadzieję, że stary druh go nie zawiedzie.

Popołudniowe słońce świeciło jasno, rzucając długie cienie na rozległe trawniki przed domem. Lucien stanął przy wysokim oknie na półpiętrze i pomyślał, że trzeba będzie jak najszybciej skosić trawę.

Z tego miejsca doskonale widział Mirandę, która szła w kierunku jeziora. Lucien drgnął niespokojnie. Chyba nie zamierzała ponownie wejść na pomost? Przecież poprzednio omal nie wpadła do wody.

Na szczęście Miranda usiadła na ławce w starej, wyciągniętej na brzeg łodzi. Lucien zrozumiał, że na niego czeka.

Odetchnął z ulgą. Powinien był domyślić się, że z łatwością upora się z taką pijawką jak St. John. Pieniądze, które przekazał szantażyście, niewiele znaczyły w skali jego majątku i chętnie zapłaciłby dziesięciokrotnie więcej, byle tylko Miranda nie odkryła, jakim był perfidnym nikczemnikiem.

Czuł, że prędzej czy później będzie musiał zlecić zamordowanie Christophera St. Johna. Z doświadczenia wiedział, że szantażyści nigdy nie dają za wygraną, a taki śmieć jak St. John nie powinien żyć w przekonaniu, iż przechytrzył samego Skorpiona. Gdy przyjdzie czas, znajdzie się odpowiedni zabójca, który szybko i sprawnie wykona zlecenie. Świat nic nie straci na jego śmierci.

Innymi słowy, wszystko się ułoży. Lucien był przywiązany do Mirandy, czy to mu się podobało, czy nie. Chciał się zemścić na Rohanach, a tymczasem oni byli górą, lecz nic a nic go to nie obchodziło. Miał Mirandę, tylko to było ważne.

Piękny dzień, pomyślała Miranda z roztargnieniem, w sam raz na miłość. Ona tymczasem odkryła, że jej przyszły mąż jest śmierdzącym skunksem, padalcem i ohydny, dwulicowym szczurem. Czy warto psuć tak uroczy dzień morderstwem? Może i nie, ale żądza krwi nie dawała jej spokoju.

Wszędzie wokoło rosły żonkile, więc z braku ciekawszego zajęcia Miranda zaczęła je zrywać. Gdy Lucien zostawił ją samą, ubrała się i wyruszyła na jego poszukiwania.

Nie znalazła go w różowych pokojach, a szkoda, bo tam nasza ją chęć, by się rozebrać i poczekać na niego w łóżku. Z pewnością znalazłby ją prędzej czy później, jednak zabrakło jej cierpliwości, więc postanowiła kontynuować poszukiwania. Ostatecznie spotkała go w zielonym salonie, w którym za zamkniętymi drzwiami prowadził rozmowę z jakimś człowiekiem. Już miała nacisnąć kłamekę, kiedy rozpoznała głos gościa i zamarła.

Czy to naprawdę był on, ten najbardziej znienawidzony przez nią szubrawiec na świecie?

Niemożliwe! Przyszło jej do głowy, że tylko się przesłyszała. Chciała wejść do środka, lecz nagle uświadomiła sobie, że ktoś w salonie mówi o szantażu. Po chwili знаła już całą prawdę. To nie Christophera St. Johna darzyła teraz największą nienawiścią, lecz mężczyznę, z którym spała zaledwie kilka godzin temu i który zapewniał ją o swojej miłości. Właśnie jego miała ochotę zamordować.

Zasztyletowanie byłoby zbyt łagodną karą. Już wcześniej nerwowo poszukiwała jakiegoś pistoletu wśród wyeksponowanej na ścianach broni, ale wyglądało na to, że de Malheurowie zrezygnowali z wojowania przed upowszechnieniem się broni palnej. Nic dziwnego, skoro najlepiej im wychodziło wbijanie ludziom noża w plecy.

Jej wzrok spoczął na starej łodzi z solidną ławeczką dla wiosłarza. Miranda podeszła bliżej, po drodze rzucając na ziemię naręczce żonkili i obojętnie je deptając. Bez pośpiechu wspięła się na burtę i wskoczyła do środka, gdzie dostrzegła stare wiosło, mocne i ciężkie. Podniosła je i weszła na pomost. Słońce osuszyło nieco zbutwiałe deski pomostu, ale nadal część z nich była niebezpiecznie spróchniała. Miranda przeszła nad dziurą, przez którą wpadłaby do wody. Lucien ją wtedy uratował, choć może byłoby lepiej, gdyby utonąła.

Dotarła do połowy pomostu, kiedy usłyszała jego okrzyk, ale nie odwróciła się, udając, że nie słyszy. Co za łotr z gębą pełną pomyj. I pomyśleć, że go kochała po tym wszystkim, co jej zrobił, jak jej groził. A przecież już mu wybaczyła...

Koniec tego dobrego, postanowiła i zacisnęła dłonie na wiosle, nadal odwrócona plecami do Luciena. Czekwała.

Stary, rozchwiany pomost zakołysał się, kiedy Lucien wskoczył na deski i ruszył ku Mirandzie. Odwróciła się i popatrzyła na niego lodowatym, groźnym wzrokiem.

Niestety, w ogóle nie zauważył jej ponurej miny, gdyż był za bardzo skupiony na prawieniu kazania o bezmyślnym narażaniu życia. Miranda stała bez ruchu i nadal czekała. Gdy omijał złamaną deskę, dostrzegła, że nie wziął ze sobą laski. I dobrze, pomyślała, tym trudniej mu będzie zachować równowagę.

Wkrótce znalazł się na tyle blisko, że mogła go dosięgnąć starym wiosłem

- Ani kroku dalej, najdroższy - rozkazała mu jedwabistym głosem.

Zorientował się, że coś jest nie tak, i zatrzymał.

- Co tutaj robisz? - spytał spokojnie.

- Czekam na ciebie. Wspomniałeś, że woda jest lodowata.

Nie spuszczał z niej wzroku.

- Owszem.

- I bardzo głęboka?

- Tak. - Wydawał się spięty, choć w jego głosie nie słychać było zdenerwowania. - Mam wrażenie, że spotkałaś pana St. Johna.

- Niezupełnie. Podsluchiwałam pod drzwiami.

- Ciekawość to pierwszy stopień do piekła - zauważył lekko.

- W którym będziesz się smażył - wycedziła Miranda, zamachnęła się i z całej siły uderzyła Luciena wiosłem.

Rozległ się głośny trzask, wiosło pękło na pół, a Lucien wpadł w czarną, zimną toń i pograżył się w niej jak kamień.

Wahała się tylko przez dwie sekundy, a potem wrzasnęła, wzywając pomocy, cisnęła szczątki połamanego wiosła i skoczyła w ślad za Lucieniem.

Woda naprawdę była lodowata. Miranda zanurzyła się i kurczowo objęła ciało ukochanego, gotowa wraz z nim iść na samo dno.

Nie spodziewała się, że Lucien błyskawicznie się wynurzy, mocno przytrzymując ją ramieniem i nie zwracając uwagi na jej paniczne wierzganie.

- Chryste, kobieto! - parsknął. - Odkąd to jesteśmy Romeem i Julią?

- Kłamca! - wykrztusiła, tłukąc go pięściami na oślep. - Parszywy degenerat, odrażający łotr, cuchnąca kupa łajna, nienawidzę cię, nienawidzę, nienawidzę... - Szamotała się tak gwałtownie, że znowu zaczęli się zanurzać i woda zalała jej usta.

Lucien, choć ranny w głowę, nadal był silniejszy od Mirandy, więc obezwładnił ją bez wysiłku i popłynął do brzegu. Gdy tylko poczuł grunt pod nogami, puścił ją i wyszedł chwiejnie na kamienistą plażę, gdzie padł jak długi.

Kilka sekund później także Miranda wyszła z wody. Spojrzała z góry na leżącego Luciena i zaczęła się rozglądać w poszukiwaniu nowej broni. W szuwarach dostrzegła inne stare wiosło i chciała je przynieść, ale Lucien chwycił ją za kostkę i runęła na ziemię. Lucien podczołgał się bliżej i przycisnął ją do ziemi ciężarem ciała.

Miranda wpadła w furję. Lucien nawet nie próbował się zasłonić, kiedy okładała go pięściami, tylko konsekwentnie przygniatał ją sobą, żeby nie uciekła. Szamotała się długo, aż wreszcie opadła z sił. Wtedy odsunął się ostrożnie, a Miranda przetoczyła się na brzuch i wybuchła płaczem.

Oboje stracili poczucie czasu, a gdy w końcu podniosła na niego wzrok, słońce powoli znikło za horyzontem.

- Masz zakrwawioną głowę - powiedziała chrapliwie.

W istocie, krew zalewała Lucienowi połowę twarzy i ściekała na białą koszulę. Mirandzie przyszło do głowy, że może jednak go zabiła.

- Wiem.

Wstała powoli, odtrącając jego rękę, kiedy usiłował jej pomóc.

- Idź do domu - mruknęła ze znużeniem. - Równie dobrze mogę cię opatryć, bo inaczej umrzesz na zakażenie, a to byłaby dla ciebie zbyt łagodna śmierć.

Miał dość rozumu, żeby milczeć. Kiedy oboje znaleźli się w budynku, Miranda kazała przynieść czyste ściereczki, ciepłą wodę, bandaże i szarpie, a potem poleciła Lucienowi przejść do salonu.

- Nie do zielonego - warknęła.

Posłusznie ruszył do czerwonego pokoju po drugiej stronie holu, lecz nagle przystanął i spojrzał na nią z ciekawością.

- Dlaczego wskoczyłaś za mną do wody?

- Chciałam się upewnić, że pójdziesz na dno i nie wypłyniesz.

Roześmiał się, a wtedy twarda gula w jej gardle zmiękła i rozpułyła się jak masło. Miranda pośpiesznie odwróciła się plecami do Luciena, żeby nic nie zauważył. Zbyt dobrze ją znał.

Rana na jego głowie okazała się powierzchowna, więc wystarczyło ją lekko oczyścić, ale Miranda kilka razy szturchnęła ją z zapalem, żeby zadać Lucienowi ból. Zniósł jej zabiegi ze stoickim spokojem i nie odzywał się, kiedy w dosadnych słowach opisywała wszystkie jego wady charakteru. Opatrunek był już prawie gotowy, gdy w głównym holu zapanowało zamieszanie.

- Co tam się dzieje, do licha ciężkiego? - ryknęła Miranda z nieskrywaną irytacją.

Drzwi otworzyły się gwałtownie, a wtedy wytrzeszczyła oczy i głośno jęknęła. Do pokoju wpadli jej bracia, wymachując szablami i pistoletami, za nimi zaś wbiegła spanikowana Jane wraz z wysokim nieznajomym. Miranda pomyślała, że ten mężczyzna wygląda jak złodziej klejnotów oraz pocałunków z pamiętnego balu. Opiekuńczo trzymał dłoń na ramieniu Jane, podczas gdy trzej bracia Mirandy darli się ile sił w płucach.

- Zamknąć się! - wrzasnęła Miranda, która dobrze wiedziała, jak ich uciszyć.

Lucienowi najwyraźniej doskwierał upiorny ból głowy, gdyż wzdrygnął się zniechęca na dźwięk donośnego głosu narzeczonej.

- Psiamać, Mirando - powiedział zafrasowany Brandon.

- Brandonie! - zmitygował go Benedick. - Nie zapominaj, że są tu damy.

- Miranda sama klnie jak szewc - burknął Brandon. - Zresztą, to twoja wina, sam ją nauczyłeś tych wulgaryzmów.

- Uciszyć się wreszcie? - spytała z narastającą wściekłością Miranda. - Nie widzicie, że mam tutaj rannego?

- Co mu się stało? - spytał z ciekawością milczący dotąd Charles.

- Gruchnęłam go wiosłem.

- I dobrze - ucieszył się Benedick.

Miranda wypłukała ściereczkę i mocno przyłożyła ją kilka razy do rany. Lucien spojrzał na nią z ukosa i zmełł w ustach przekleństwo, ale miał dość rozumu, by milczeć.

- Dlaczego to zrobiłaś? - zdziwiła się Jane.

- Pewnie zasłużył - odezwał się wysoki mężczyzna.

- Chciałam go zabić - wyjaśniła Miranda.
- Och, na to zdecydowanie zasłużył - dodał nieznajomy.
- Mogę dokończyć to, co zaczęłaś - zaproponował Benedick złowieszczo.

Miranda popatrzyła na obojętną twarz Luciena.

- Kusząca propozycja - mruknęła. - Ale najpierw muszę zatamować krwotok.
- Po co zaprzątasz sobie tym głowę, skoro Benedick i tak wykończy tego niegodziwca? - zdumiał się Brandon.

- Głupi jesteś - warknęła Jane. - Miranda nie pozwoli, żeby Benedick tknął go choćby palcem.

- Rochdale, wyzywam cię na pojedynek - obwieścił najstarszy brat Mirandy. - Masz prawo wyboru broni. Wiem, że jesteś wyborowym strzelcem, ale znajdziesz we mnie...

- Idźże stąd wreszcie, Benedick. Wyrównasz z nim rachunki, kiedy skończę bandażować. - Miranda ponownie stuknęła Luciena w ranę.

- Lisica - wymamrotał półgłosem.

- Każę spakować twoje bagaże - zaproponował nieoczekiwanie jej brat. - Nasze konie muszą wypocząć. Gdyby nie to, zabrałbym cię stąd niezwłocznie.

Jane położyła dłoń na ramieniu zapalczywego Benedicka.

- Zostawmy ich na chwilę - zaproponowała łagodnie. - Przecież to jasne, że Mirandzie nic nie zagraża.

Benedick prychnął z niesmakiem, ale Jane była nieugięta. Chwilę potem wyszli i w salonie zapadła cisza.

- Czy to on miał się ożenić z moją siostrą? - przerwał milczenie Lucien.

- Tak.

- Lepiej jej na tamym świecie - oświadczył ponuro.

- Benedick jest nieco buńczuczny - zauważyła Miranda, z trudem tłumiąc śmiech. - Podobnie jak ty.

Sięgnęła po czystą ściereczkę, zanurzyła ją w drugiej misce z wodą i niedelikatnie zmyła resztę krwi.

- Wyjedziesz z nimi?

Zamarła, ale po chwili zabrała się do owijania mu głowy gazą.

- Wszystko wskazuje na to, że dostaniesz silnej gorączki i umrzesz, zwijając się z bólu - mruknęła.

- Miejmy nadzieję. Tyle tylko że przy tak troskliwej opiece jestem skazany na przeżycie. - Chwycił ją za rękę. - Jestem...

- Nie waż się mówić tego głośno. Nawet nie próbuj - ostrzegła go zapalczywie.

- Jestem dokładnie tym, za kogo mnie uważasz. Jestem bezwartościowym śmieciem, stertą łajna, nikim. Możesz odjechać, jeśli taka jest twoja wola. Nie będę miał ci tego za złe.

Wpatrywała się w niego z furią i niedowierzaniem.

- Ty głupi, bezmyślny wyrzutku społeczeństwa - wycedziła. - Myślisz, że znosiłam to wszystko na darmo? Mów zaraz, czy mnie kochasz.

Jego jasne oczy wydawały się zimne jak lód.

- Nikogo nie kocham - oznajmił.

Przewróciła oczami.

- Czasami bywasz potwornie nużący. Chcę wiedzieć, czy mnie kochasz.

- Nie.

- Uwierz mi! Nie chcesz się przekonać, jak to jest, kiedy wpadam w szal. Kochasz mnie?

Patrzył na nią niepewnie.

- Tak, psiakrew.

- I dobrze - oświadczyła, pochylając się, żeby go pocałować.

Już po chwili leżała pod nim na kanapie i wyglądało na to, że obolała głowa w niczym mu nie przeszkadza. Lucien całował ją, przyciskał do poduszek, a Miranda coraz wyraźniej czuła, że mu się podoba.

- Jak to możliwe, że jesteś taki energiczny i skory do igraszek, skoro zaledwie godzinę temu usiłowałam cię zabić? - spytała z niedowierzaniem. - Jak daleko sięga twoja perwersja?

- Zaraz się przekonasz - zapowiedział z uśmiechem.